

T. R. R I C H M O N D

TO JEST NOWA ZAGINIONA DZIEWCZYNA
„MARIE CLAIRE”

PRAWDA O DZIEWCZYNIE



10 LAT
WYDAWNICTWA
OTWARTEGO

T. R. R I C H M O N D

PRAWDA O DZIEWCZYNIE

TŁUMACZENIE JOANNA DZIUBIŃSKA


OTWARTE
KRAKÓW 2016

Dla Isabel. Za wszystko

***Dedykacja w książce Prawda o dziewczynie
profesora J.F.H. Cooke'a, opublikowanej we wrześniu
2013***

Dla Alice Salmon (7 lipca 1986–5 lutego 2012)

i Felicity Cooke (ur. 16 października 1951).

Bez pierwszej ta książka byłaby niczym,

bez drugiej ja byłbym nikim

PROLOG

Artykuł w magazynie Rady Sztuki „Słowo Znaczące” 2001 rok

Czymże jest imię? Takie pytanie zadaliśmy nastolatkom w tegorocznym Konkursie Młodych Talentów na tekst liczący dziewięćset słów. Oto zwycięska praca autorstwa piętnastoletniej Alice Salmon.

Na imię mi Alice.

Tu mogłabym skończyć pisać. Wiem, co chciałam przez to powiedzieć. Jestem sobą: Alice Salmon^[1]. Wysoka, wygląd przeciętny, duże stopy i długie włosy, które zaczynają się puszyć już na samą wzmiankę o wodzie, często się martwi. Wielka fanka muzyki, prawdziwy mól książkowy, uwielbia przebywać na łonie natury, choć paraliżuje ją widok najmniejszego nawet pająka.

Zazwyczaj ludzie mówią do mnie Alice, choć czasem jestem też Al, Aly, Lissa (tak dla jasności: nie znoszę tego ostatniego zdrobnienia). Kiedy byłam dzieckiem, miałam miliardy przydomków, takich jak Ali Baba i Ala-lala, oraz moje ulubione – zwłaszcza kiedy używał go ojciec – As.

Wujek mówi do mnie Celia, co jest anagramem imienia Alice, choć słowo „anagram” myli mi się z „anachronizmem”. „Tym właśnie jestem” – mówi tata, jeśli ktokolwiek napomknie o anachronizmie, choć słowo „tata” bliżej do palindromu. Dowiedziałam się tego wczoraj.

Lubię wiedzieć takie rzeczy, chociaż moja najlepsza przyjaciółka Megan dogryza mi, mówiąc, że połknęłam słownik. Nie żebym lubiła się popisywać swoim słownictwem, ale gdy chce się studiować filologię, to po prostu trzeba. Jeśli będę miała odpowiednie oceny, chciałabym wyjechać do Exeter albo Liverpoolu, wszystko jedno gdzie, byle dalej od Corby. Podejrzewam jednak, że wszędzie są ludzie, którzy chcą się wyrwać ze swoich miast. Szczerze mówiąc, nie mogę się doczekać, kiedy się wyprowadzę, moja mama bez przerwy wtyka nos w nie swoje sprawy. Twierdzi, że to z troski, ale to nie w porządku, że muszę cierpieć z powodu jej paranoi. Oczywiście dopisałam to ostatnie zdanie, jak już przeczytała mój tekst. Nigdy się o nim nie dowie, bo przecież i tak nie wygram.

Czymże jest moje imię? Może muzyką, którą lubię (już jakieś czterysta razy odtworzyłam dziś *Dancing in the Moonlight*), albo programami w telewizji, które często oglądam (macie do czynienia z największą fanką *Jeziora marzeń* na świecie), moimi przyjaciółmi albo moim dziennikiem? Może to te wszystkie drobiazgi, które mam w pamięci, czyli właściwie niewiele, bo moja pamięć jest naprawdę kiepska.

Może to moja rodzina? Mama, tata i brat, który kiedyś nazywał mnie Małpencją, Myszą czy Malicją, jakby to było bardzo zabawne. A może będą to moje dzieci... Nie żebym chciała je mieć – nie, dziękuję bardzo za wszystkie te obrzydlistwa, rzygi i kupy. Nie mam nawet chłopaka, choć jeśli czyta to pan DiCaprio, to piątkowy wieczór mam wolny...

Mama twierdzi, że jeszcze zmienię zdanie w kwestii dzieci, ale to samo mówiła o szparagach, a jakoś się do nich nie przekonałam.

Może to rzeczy, które planuję zrobić w przyszłości? Na przykład podróżowanie po świecie. Albo najlepszy z moich dotychczasowych uczynków, czyli jednodniowy wolontariat w ośrodku dla głuchych (widzicie aureolę nad moją głową?). A może to, co dotąd zrobiłam najgorszego (nigdy,

przenigdy nikomu się do tego nie przyznam!)?

Mogłabym wam opowiedzieć o najwspanialszym dniu w moim życiu. Trudny wybór. Może był to dzień, w którym poszliśmy z Meg na koncert Enriquego Iglesiasa albo kiedy spotkałam J.K. Rowling, albo kiedy dziadkowie zorganizowali piknik niespodziankę z okazji moich urodzin. Problem w tym, że jeszcze nie skończyłam żyć i jutro może przydarzyć się coś wspanialszego, więc chyba lepiej mówić o najwspanialszym dniu „do tej pory”, prawda?

Czasem można wytłumaczyć, czym coś jest, udając, że się o tym wcale nie mówi (właśnie sprawdziłam w Google – to paralipsa), więc może definiują mnie rzeczy, które mogłabym robić zamiast pisania tekstu na konkurs, na przykład praca domowa z matematyki albo spacer z moim psem, Panem Hau.

Kiedyś żałowałam, że więcej znanych osób nie ma na imię Alice. Nie takich megaznanych, tylko umiarkowanie popularnych, bo w przeciwnym razie, gdyby ktoś wymówił moje imię, wszyscy myśleliby właśnie o nich – jak przy Britney albo Cherie. Jest Alice Cooper, ale to mężczyzna i w dodatku wcale się tak nie nazywa. Jest też *Alicja w Krainie Czarów*, którą często przy mnie cytowano – na przykład, że jestem ciekawiejsza, coraz ciekawiejsza. Moim ulubionym fragmentem – nawet jeśli nigdy do końca go nie rozumiałam – jest jednak ten, w którym Alicja nie może się wytłumaczyć, bo nie jest sobą.

Podejrzewam, że jestem też tym, co tu wypisuję, choć to pewnie same bzdury. Poprosiłam mamę, żeby to przeczytała – i sprawdziła, czy nie zrobiłam jakichś byków – i powiedziała, że świetnie się spisałam, nawet jeśli w pierwszych i ostatnich zdaniach brzmię trochę jak alkoholiczka (ale to tylko jej interpretacja).

Mama stwierdziła, że jest kilka fragmentów, nad którymi powinnam się

jeszcze trochę zastanowić, ale nie ma sensu oddawać tekstu, w którym są kłamstwa, choć zgodziłam się wyrzucić skróty z SMS-ów i przekleństwa, a było ich sporo w pierwszej wersji (ta jest siódma!). Stosuję też zbyt wiele nawiasów i wykrzykników, ale one zostają, inaczej (powtarzam) to nie byłabym ja.

„Czasem przeraża mnie, jakie jesteśmy do siebie podobne” – oznajmiła mama, gdy skończyła czytać. Cóż, nie ona jedna tak myśli. Są takie dni – choć mama stara się to ukryć – kiedy snuje się z kąta w kąt, jakby świat miał się niedługo skończyć. (Tak, to zdanie też dopisałam później – to dopiero autocenzura!)

Tata uważa, że kiedy byłam dzieckiem, ktoś musiał upuścić mnie na głowę, bo ja i on nie mamy właściwie nic wspólnego, choć oboje uwielbiamy salmon en croûte i inne dania z łososia, co właściwie czyni z nas kanibali.

Nazywam się Alice Salmon. Cztery krótkie słowa z moich dziewięciuset. Jestem kimś więcej – ponad dwieście razy więcej – niż te cztery słowa. Nawet jeśli nie teraz, to na pewno kiedyś będę.

Kończę pisać, wstaję i zadaję sobie pytanie, kim jestem. Często to robię. Patrę w lustro. Uspokajam się, przerażam, lubię siebie, nienawidzę.

Nazywam się Alice Salmon.

I

ZATRZYMAĆ COŚ, CO

PRZEMIJA

Studenckie forum internetowe Southampton StudentNet 5 lutego 2012

TEMAT: Wypadek

Ktoś wie, co się dzieje nad rzeką? Wszędzie policja i karetki.

Autor: Simon A, 8.07

Rzeczywiście. Wszędzie pełno glin. Nurkowie przeszukują rzekę i pewnie cały brzeg jest zamknięty.

Autor: Ash, 8.41

Mam nadzieję, że nie zdarzył się żaden wypadek. Tamten most nad jazem jest bardzo niebezpieczny. Uczelnia już dawno powinna była go zagrodzić. Miesiąc temu utopił się tam pies.

Autor: Misia Klara, 8.48

Może i niebezpieczny, ale trzeba się bardzo postarać albo mieć kurewskiego pecha, żeby wpaść przez te barierki.

Autor: Woodsy, 9.20

Pewnie jakiś bezdomny.

Autor: Pani Biolog Rebecca, 9.54

Czytałem na Twitterze, że jakiś gość założył się na wieczorne kawalerskim, że wejdzie na most. Uderzył się w głowę, spadając w dół, więc był nieprzytomny. Kiedyś łowiłem ryby w tamtej części rzeki... Zimą woda jest lodowata. Kilka sekund i wpadasz w hipotermię. Prądy są szalone.

Ściągnie cię na głęboką wodę, chyba że jesteś megasilnym pływakiem.

Autor: Graeme, 10.14

Kiedyś to było ulubione miejsce samobójców. Poważnie.

Autor: 1992, 10.20

Zamknijcie się lepiej, cmentarne hieny – wyobraźcie sobie, jak się czują ich rodziny, czytając takie wpisy.

Autor: Jacko, 10.40

Chyba mało prawdopodobne, żeby ich rodziny były teraz na forum, co? Są tu tylko tacy popaprańcy jak my, Jacko, którzy nie mają prawdziwego życia!

Autor: Mazda Man, 10.51

Mój brat jest strażakiem i mówi, że to jakaś była studentka – Alice Samson.

Autor: Globtrotter na dziekance, 10.58

Na roku mojego brata była Alice Salmon. Świetna laska.

Autor: Harriet Stevens, 11.15

Na Facebooku jest mnóstwo Alice Salmon. Tylko jedna tu studiowała. Od wczorajszego popołudnia, kiedy napisała: „Nie mogę się doczekać dzisiejszego wieczoru we Flames”, nie ma nic nowego na jej tablicy. Nadal mieszkała w Southampton?

Autor: KatiePerryfan, 12.01

OMG. Właśnie się dowiedziałam o Alice Salmon. Nie znałam jej, ale jestem zdruzgotana. Nie miała dzieci, prawda? Błagam, niech mi ktoś powie,

że to NIE JEST prawda.

Autor: Sierotka Annie, 12.49

Aż się tam roi od policji. Czemu aż tylu? To nie był wypadek?

Autor: Simon A, 13.05

Witam wszystkich. Jeśli to „ta” Alice Salmon, to byłem z nią na roku. Mieszkała w Portswood, a na ostatnim roku w Polygon. Pracuje w mediach, choć nie sprawiała wrażenia takiej, co ma parcie na szkło.

Autor: Gareth1, 13.23

Mówiliśmy na nią Rybka Alice! Nie wierzę. Może profil upamiętniający na Facebooku?

Autor: Eddie, 13.52

A rybki przypadkiem nie umieją pływać?

Autor: Smithy, 13.57

Spier**laj, Smithy, nie masz wyczucia. C*pa.

Autor: Linz, 13.58

Czy ona nie chodziła przypadkiem z jakimś gościem z Soton? Taka piegowata, tak? Często nosiła czapki?

Autor: Zosia nie-samosia, 14.09

Uczelnia niedługo wystosuje oficjalne oświadczenie w tej sprawie, a do tego czasu publikowanie komentarzy byłoby niestosowne, dlatego wątek zostaje zawieszony w trybie natychmiastowym.

Autor: Administrator forum StudentNet, 14.26

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 6 lutego 2012

Drogi Larry,

usłyszałem tę wiadomość przypadkiem. Dasz wiarę, przypadkiem, i to w dodatku w pokoju profesorskim. Przypadkiem usłyszeć można, że twój kolega miał małą stłuczkę nowym autem, że budują nowe Tesco przy obwodnicy albo że twój poseł stracił stołek w wyborach uzupełniających, ale nie o czyjejs śmierci.

To było dziś rano. Siedziałem pochylony nad krzyżówką w „The Times”.

– „Imię kodu” na dziewięć liter – mruknąłem pod nosem. – Siedem pionowo.

Nikt nie odpowiedział. Miałem w perspektywie trzygodzinną męczarnię wykładu dla pierwszego roku. Wokół mnie rozmowy toczyły się jak zawsze.

– A co z tą martwą była studentką? – odezwał się Harris. Cisza, podczas gdy wszyscy czekali na ciąg dalszy. Ten mały parweniusz zawsze wiedział, jak skupić na sobie uwagę. – Wczoraj bez przerwy mówili o tym w wiadomościach. Utopiła się w rzece.

Jakoś mnie to ominęło, znowu rzadko kiedy potrafię się zmusić do włączenia telewizora. Tak wiele z podawanych wiadomości to niepoparte faktami sensacyjne bzdury, na dodatek przygnębiająco przewidywalne. Sądziłem, że ewolucja miała nas ucywilizować. Poza tym akurat przekopywałem ogródek.

– W *Points South* mówili, że była dobrą pływaczką – dorzucił ktoś.

– Tak, ale *Points South* uważa też, że nie ma globalnego ocieplenia –

odparł ktoś inny.

Nic tak nie ożywia rozmowy w pokoju profesorskim jak czyjaś śmierć. Zastanawiałem się, czy kiedy odejdę, będzie to wyglądać tak samo.

– Uczyłam ją – odezwała się jedna z wykładowczyń literatury. – Tę Salmon.

Poczułem, jak moja zaciśnięta na gazecie dłoń zaczyna więdnąć. O Boże. Tylko nie Alice. Nie, tylko nie Alice, każdy, tylko nie moja Alice.

– Nic dziwnego, że interesowała się poezją Plath – dodała. – Miła dziewczyna. Bystra.

Więcej głosów. Zauważył ją ktoś spacerujący z psem, na początku myślał, że to worek ze śmieciami. Według jednej z wersji wydarzeń, coraz bardziej popularnej, dziewczyna była na wieczorze panieńskim i kilka koleżanek wygłupiało się na łódce.

– Chodzi o tę Alice Salmon, która skończyła uczelnię w 2007 roku? – zapytałem głosem tak obojętnym, na jaki tylko było mnie stać.

– Właśnie o nią – powiedział Harris.

– „Alice, Alice, kim jest, kurwa, Alice?” – jeden z doktorantów zanucił słynny przebój, prychając śmiechem.

To ciebie nie dotyczy, Jeremy, pomyślałem sobie. Już nie. Skup się na krzyżówce. Idź uczyć pierwszoroczników, którzy gapią się na ciebie jak cielęta na malowane wrota, o międzykulturowej różnorodności w relacjach rodzinnych. Idź na umówioną wizytę do szpitala, a potem przyrządź w domu strzępiela. Problem polegał na tym, Larry, że obraz Alice utkwiał mi w głowie. Próbowałem ją sobie wyobrazić, spokojną i nieruchomą, niczym Ofelia na obrazie Millais’a, która unosi się twarzą do góry, a jej sukienka tańczy w wirach i odmętach wody. Tylko że rzeka Dane nie przypomina chłodnego strumyka z wyobraźni Johna Everetta Millais’a, jest brudna i zdradliwa, pełna śmieci i szczurów. W czasie, jaki zajęło mi nieodgadnięcie kolejnych trzech

hasał – kiedyś rozwiązanie przeze mnie krzyżówki trwało zwykle tyle, co wypicie filiżanki kawy, ale najwyraźniej tracę polot – Alice stała się inną osobą niż ta, którą pamiętałem: teraz grała w tenisa w rozgrywkach krajowych, miała charakterek i mówiła po francusku jak prawdziwa paryżanka. Z tego co wiedziałem, żadna z tych informacji nie była prawdziwa.

– Podobno była z niej niezła laska – powiedział jeden z nowych.

– Na miłość boską! – wypaliłem. – Czy wy się w ogóle słyszycie? Jesteście jak sępy.

– Tylko nie zejdź na zawał, staruszku – zażartował.

Ktoś przytoczył dowcip o tym, jak to po śmierci paznokcie i włosy nadal rosną, ale liczba telefonów zaczyna się kurczyć, co zepchnęło rozmowę na boczne tory: służbę zdrowia i Levesona, ostatnią rundę negocjacji płac, sytuację w Syrii. Pamiętam jej rozdanie dyplomów. Moja obecność nikogo nie zdziwiła. Niby czemu? Byłem szanowanym członkiem kadry. Częścią akademickiego establishmentu, elementem instalacji i wyposażenia uczelni. Poszedłem jedynie, aby życzyć rocznikowi 2007 szerokiej drogi, by popatrzeć, jak bezpiecznie ruszają w wielki świat. Stałem cicho z tyłu – chciałem mieć takie epitafium – i patrzyłem, jak Alice, taka już dorosła, odchodzi. Wyglądała wspaniale w czapce uniwersyteckiej i todze. Żałowałem, że nie spotkałem tam jej matki – albo się minęliśmy, albo mnie unikała. Elizabeth. Biedna kobieta. Skąd się o wszystkim dowiedziała? Zapewne od policji, najprawdopodobniej przyjechali do niej do domu. Bóg raczy wiedzieć, jak to na nią wpłynie, nawet w swych najlepszych okresach była kruchą istotą. Pamiętam, jak wyglądała, kiedy płakała. Mówię o jej matce, Larry, nie o Alice. Osobliwy mechanizm nieszczęścia: to, jak jej twarz zmieniała kształt, jak zmieniało kształt całe jej ciało. Odłożyłem gazetę. Czułem, że za chwilę popłyną mi łzy, a nie płakałem od dwudziestu pięciu

lat.

– Endeavour! – zawołał Harris z drugiego końca pokoju. – Imię kodu. Endeavour. Tak miał na imię inspektor Morse z serialu.

Miał rację. Mądrała miał rację.

Przepraszam, że znów wylewam przed Tobą swoje żale, Larry, lecz jesteś jedyną osobą, z którą mogę być szczery. Już samo wyciągnięcie pióra (pisane odręcznie listy, jakież z nas urocze dinozaury) i rozpoczęcie moim standardowym pozdrowieniem przynosi mi ulgę. Niepotrzebne są żadne formalności, żadna zachowawczość, mogę naprawdę być sobą. Doceniam to, że nie muszę Cię nawet prosić o dyskrecję, gdyż nieuchronnie dosięgłyby mnie reperkusje.

Nie zasługiwała na śmierć, Larry.

Twój jak zawsze

Jeremy

*

Twitterowy biogram Alice Salmon 8 listopada 2011

Od czasu do czasu tweetuję, często chodzę na zakupy. Opinie (głównie) moje. Wymagana ostrożność. W razie znalezienia, proszę o zwrot nadawcy. A póki co piję latte z odtłuszczonym mlekiem...

*

Fragment pamiętnika Alice Salmon, lat 18

6 czerwca 2004

Szkoda, że nie mam normalnych rodziców.

Mama wcześniej wpadła do mojego pokoju i klapnęła na łóżko, żeby się nade mną poznęcać.

– Jak się czujesz? – zapytała.

Ostatnią rzeczą, jakiej było mi trzeba, był wykład. Mój pokój cały się kołysał.

– Musisz tak wszystko kontrolować? – zapytałam.

– Tylko się martwię.

Bardzo ją kocham, ale gdyby ona kochała mnie tak bardzo, jak twierdzi, dałaby mi spokój. Po prostu nie może znieść tego, że dobrze się bawię.

– Po pijaku mogą ci się przydarzyć bardzo złe rzeczy – oznajmiła, gładząc mnie po czole.

Życiowa filozofia mojej mamy – zakładanie, że każdy człowiek ma przed sobą jedynie serię katastrof, które tylko czekają, by się przytrafić. Może tak było w jej przypadku, ale w moim nie.

– Złe rzeczy zdarzają się też na trzeźwo – odparłam enigmatycznie.

– Chociaż raz mnie posłuchaj, Alice!

To był chyba żart, bo nic innego nie robiłam przez całe moje życie, nie miałam wyboru.

– Nie mogę się doczekać, kiedy się stąd wyprowadzę – rzuciłam. Odliczam dni. Przyjdzie koniec września i witamy w Southampton. Mama była święcie przekonana, że to wielki błąd, i bez przerwy truła, że muszę iść do Oksfordu i że chyba mi odbiło, że ich odrzuciłam. Typowe – udziela rad na zawołanie, pod warunkiem że jej nie dotyczą. Pod warunkiem że dzięki nim pozostanę grzeczną dziewczynką, za jaką mnie bierze: pracowitą piątkową uczennicą, która kiedyś będzie mieć dwójkę dzieci i prowadzić

życie trzeźwej zakonnicy. Cóż, nie mam najmniejszego zamiaru studiować z bandą arystokratycznych bufonów. Teraz upiera się także, żebym w przyszły piątek wróciła do domu przed północą, a wczoraj ni stąd, ni zowąd oświadczyła, że nie jest pewna, czy powinnam iść do V.

– Może to ty powinnaś się napić. Przestałabyś przynudzać – syknęłam.

Zaczęła zbierać z podłogi moje ubrania, zgarbiona jak staruszka, i ze złością wrzucała je do kosza na pranie. Była jak chmura gradowa.

– O rany! Zostaw moje rzeczy! Zawsze się na mnie uweźmiesz.

Przygryzła wargę. Wyglądała, jakby uszło z niej powietrze niczym z balonu po skończonej imprezie.

– Bardzo przepraszam, że się przejmuję dobrem mojej córki. Przepraszam, że cię kocham!

– Nie to miałam na myśli, chodziło mi...

– O co? O co dokładnie ci chodziło?

– Jesteś taka świętoszkowata – stwierdziłam, używając słowa, które ostatnio stało się moim ulubionym. Kiedy byłam młodsza, stosowałam nowe słowo w każdym wpisie w pamiętniku, najlepiej jak najdłuższe, świadczące o erudycji (to akurat mogło być jedno z tych słów), skomplikowane, które zrobiłoby wrażenie na każdym, kto natknąłby się na moje zapiski (nie żebym pozwoliła komukolwiek się do nich zbliżyć). Wszystkie stare pamiętniki przepadły – spaliłam je – a to, drogi Czytelniku, jest edycja osiemnaście plus! To opis mnie, jakiej ludzie nie widzą. Jak czarna skrzynka w samolocie. Piszę, bo w domu nikt mnie nie słucha, równie dobrze mogłabym być niewidzialna.

Mama mawia, że będzie za mną strasznie tęsknić, kiedy wyfrunę z gniazda. Wtedy wyobrażam sobie siebie jako duże i brzydkie pisklą strusia albo bociana, a nie pełnego wdzięku i powabu ptaszka. Na to wspomnienie miałam ochotę cofnąć te ostatnie kilka minut, kiedy mama była w moim pokoju.

– Dlaczego nie pijesz? – zapytałam.

– Długa historia – powiedziała. – To skomplikowane.

Ale nawet to mnie zirytowało. To ja miałam skomplikowane życie. Ona musiała jedynie chodzić z plakieta „Elizabeth Salmon, doradca hipoteczny” do swojej głupiej pracy w towarzystwie budowlanym i albo dawać pieniądze ludziom, których nie stać na pożyczkę, albo nie dawać tym, których stać. Nigdy nie mówi o swojej karierze naukowej, a była pewnie milion razy bardziej interesująca niż praca w centrum miasta. Znów wyobraziłam sobie V – SMS-y od Meg, zdjęcia Pink i Kings of Leon na scenie pomiędzy wyciągniętymi rękami w świetle słońca – i poczułam palącą złość.

– Po prostu jesteś zazdrosna – powiedziałam.

– A konkretnie o co?

– O to, że mam jakieś życie. W tym domu jest jak na cmentarzu.

Kiedy wyszła, zasnęłam od razu, jak tylko zamknęłam powieki.

Trochę później zeszłam na dół do kuchni. Mama ładowała naczynia do zmywarki. Włożyłam pieczywo do tosterka.

– Jak się teraz czujesz? – zapytała. – Mogłybyśmy później pójść na spacer, jeśli chcesz. Świeże powietrze pomaga.

Ugryzłam kęs grzanki. Była bez smaku, ale zrobiło mi się niedobrze.

– A wracając do tego, co powiedziałaś wcześniej, Alice, chyba nie uważasz, że naprawdę tak jest, co?

Nie byłam w stanie dokładnie przypomnieć sobie tego, co powiedziałam. Nakręcała mnie siła, przez którą mówiłam i robiłam rzeczy, jakich nie powinnam, i teraz czułam się jak gównno – przez kaca, ale też zwyczajnie gównianie – po prostu źle. Położyłam dłoń na rękawie jej wypłowiałego różowego szlafroka (tata kupił go jej na któreś urodziny – pomogłam mu go wybrać; okej, wybrałam szlafrok za niego) i poczułam wstyd. Uświadomiłam sobie, że może mama po prostu nie jest szczęśliwa.

Mocno ją przytuliłam, trochę popłakałam, a ona nie chciała mnie puścić.

– No, kochanie – wyszeptała, gładząc mnie po plecach. – Wypłacz się. Nic się nie stało. Rodzice muszą pozwolić swoim dzieciom dorosnąć, ale muszą też dać im odejść. Kiedyś to zrozumiesz.

Skrzywiłam się.

– To wszystko na przyszłość – zapewniła. – Czeka cię jeszcze wiele, zanim ona nadejdzie. Na przykład studia. Kto by pomyślał, dwójka moich dzieci na uniwersytecie.

Odkąd Robbie zaczął studiować w Durham, nie widzimy go zbyt często. Parszywy szczęściarz na wakacje pojechał do Australii. Dostaję od niego zdjęcia plaż i SMS-y w stylu: „Co słyhać w Corby, ofiarno?”.

– Przepraszam za to, co mówiłam wcześniej – powiedziałam. – Jestem głupia.

– Nieodrodna córka swojej matki.

Posiedziałyśmy trochę w internecie, sprawdzając stronę Narodowego Stowarzyszenia Studentów i witryny uczelni, żeby dowiedzieć się, co powinnam ze sobą zabrać (lista codziennie się wydłuża!). Oglądałam zdjęcia dziewczyn grających w hokeja albo z książkami pod pachą przechadzających się parami i trójkami pośród ceglanych budynków, lub też rzucających w powietrze swoje uniwersyteckie berety – i to wszystko wydawało się jakies nierealne. Niedługo się wyprowadzę.

– Dasz sobie radę, skarbie – odezwała się mama, jakby czytała mi w myślach. – Doskonale dasz sobie radę.

Może to właśnie jest nostalgia, pomyślałam, siedząc przy kuchennym stole – odgłosy zmywarki, zapach sosnowej podłogi, kliknięcie bojlera – może to właśnie zapamiętam, za tym będę tęsknić. Pan Hau podszedł do mnie i położył pysk na moich kolanach. Jakby nawet on wiedział, że wyjeżdżam.

– Jak się czujesz, kiedy pijesz? – zapytała mama.

Już miałam odpowiedzieć, że strasznie, ale przypomniałam sobie poprzedni wieczór. Grali Red Hoci i jeden z chłopaków tańczył na stole, a ja pociągnęłam wielki łyk ponczu, poczułam smak ananasa i uświadomiłam sobie, że byłoby cudownie, gdyby tak wyglądało całe moje życie.

– Chyba czuję się kimś lepszym – powiedziałam. – Nie jak ja, nie jak Alice.

– Kochanie – westchnęła. – To złudzenie. To, jak się czujesz, gdy wlejesz w siebie dżin, to nie rzeczywistość.

– Nie znoszę dżinu – odparłam.

– Szkoda, że ja wręcz przeciwnie – rzuciła z lekkim uśmieszkiem. – Oto co jest prawdziwe: następny poranek, żal, wstyd, nasza kłótnia. To jest najgorsze, choć się potem godzimy i zawsze będziemy się godzić. – Przechybiła dłońią moje włosy, tak jak miała w zwyczaju, kiedy byłam dzieckiem. – Ale jesteś piękna – dodała.

– Nienawidzę się z tobą kłócić – przyznałam.

– Ja też.

– Jesteś moją najwspanialszą mamą – zapewniłam ją, śmiejąc się i wycierając nos.

– A ty jesteś moją najwspanialszą córką.

*

**List profesora Jeremy'ego Cooke'a
7 lutego 2012**

Larry,

dwa listy w dwa dni to chyba rekord, zwłaszcza gdy chodzi o naszą ostatnią korespondencję.

To potworne, że śmierć potrafi wydobyć z ludzi to, co najgorsze. Studenci pastwią się nad sprawą Alice, chociaż nikt z obecnego rocznika nie widział jej na oczy. Pewnie się domyślasz, że młyn kampusowych plotek pracuje na pełnych obrotach i ten motyw całkowicie wyparł arktyczną pogodę jako główny temat rozmów. Studenci chwycili za telefony, laptopy i iPady, aby mnożyć najróżniejsze teorie. Kręcą głowami i zapalczywie potakują w kafeterii i w salach wykładowych, plotkują, marznąc w grupkach na dziedzińcu przed moim gabinetem, i strzepują śnieg z butów. I znowu zaczynam, stary chłop... Nazywam to miejsce dziedzińcem – pretensjonalny nawyk z czasów moich prestiżowych studiów. Tak naprawdę to betonowy plac, po którym studenci płaczą się bez celu; skądinąd to zgrabna metafora ich przyszłości, jeśli w ogóle jakaś ich czeka.

W poniedziałek wróciłem rowerem z budynku głównego do mojego gabinetu, wyłgawszy się z zawodowych obowiązków chorobą (co za ironia) i zacząłem szukać Alice w internecie. Wśród wielu Alice Salmon wkrótce znalazłem tę właściwą. W mediach społecznościowych było jej pełno. Kto powiedział, że czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał, co, Larry? Tak teraz krążą wiadomości, to gigantyczna, groteskowa gra w głuchy telefon. Smakowite kąski plotek, niedosłyszane rozmowy, skrawki przetworzonych informacji podsłuchanych pomiędzy „cztery pionowo” i „dziewiętnaście poziomo”. Ale takie bzdury? Nie była pełną entuzjazmu blondynką, nie była feministyczną aktywistką, nie była chlubą Fleet Street. Co za paskudne uproszczenie. W różnych miejscach charakteryzowano ją jako beztroską, idealną, nieodpowiedzialną, pechową, głupią, wysportowaną, grubą, olśniewającą, jedną na milion.

– Nie – wyrwało mi się. – Przestańcie.

Może młodzi ludzie tak teraz przechodzą żałobę? Ten psychiatra, z którym wiele lat temu łączyła mnie przelotna znajomość (niedługo po tym, jak poznałem matkę Alice, zapewne sobie przypominasz), zawsze mówił, że ból musi znaleźć jakieś ujście.

Przeczytałem wszystko, co napisano w sieci o niej i co napisała ona. Na co tylko natrafiłem. „Jesteś już wśród aniołów” – takie słowa ktoś zamieścił na jej facebookowej stronie. Poczułem ukłucie smutku. Przynajmniej nauczyć się pisać. Skopiowałem to wszystko i zapisałem sobie na pulpicie, po czym ogarnęły mnie nieczęsto odczuwane satysfakcja i spokój. Już. Miałem cząstkę jej samej. Uderzyła mnie myśl, że skoro w ciągu kilku minut znalazłem tyle rzeczy, to ileż dowiedziałbym się, gdybym zaczął szukać głębiej. Chciałbym wierzyć, że jesteśmy czymś więcej niż sumą składowych. Nawet ja. Sześćdziesięciocześcioletni wykładowca akademicki, który nigdy właściwie nie znalazł swojego miejsca na świecie.

Właśnie ponownie przeczytałem ten komunikat. Zrobiłem to na głos, bo lubię słyszeć intonację. Jest jednak coś okropnego w brzmieniu własnych wypowiedzi: jakby się słuchało kogoś obcego. Przesłodzone wyraźne samogłoski niby z elitarnej szkoły, ani śladu Edynburga i szkockiego akcentu. Dziwne, że to ja, mój głos. Profesorek. Czy na to przez te wszystkie lata skazani byli moi nieszczęśni studenci? Próbowałem sobie przypomnieć głos Alice. Akcent, który nie zdradzał pochodzenia. Rodzice, którzy przemierzali się po społecznych szczeblach. Podstawówkowa modulacja, podszyta śmiechem. Gdzie jest głos, który powiedział do mnie kiedyś: „Dlaczego więc traktujesz mnie, jakbym była wyjątkowa?”.

Nie mogę skontaktować się z Elizabeth, ale mógłbym wybrać się do przyjaciół i współpracowników Alice. Mógłbym odwiedzić jej brata. Znalazłem go na stronie internetowej jego kancelarii wraz ze skróconą biografią i czarno-białym zdjęciem. Robert. Nie przypomina ani siostry, ani

matki. Jej przyjaciół również nietrudno było namierzyć. Pracują w marketingu, nieruchomościach i finansach, niektórzy niedawno założyli rodziny, mają małe Sophie i George'ów. Dzieci, których Alice nigdy nie będzie mieć. Skontaktowałem się z nimi wszystkimi. „Nie znamy się – zaczynałem – ale mamy ze sobą coś wspólnego...”.

Badać, rejestrować, porównywać – tak, to właśnie rola antropologa. Larry, czy jej rodzinie nie przyniosłoby jakiegoś pocieszenia, może nawet radości, gdybym mógł zebrać różne informacje o Alice? Tchnąć w nią ostatnie drgnienie życia? Sprawić, że jeszcze raz zatańczy, bo zawsze to lubiła? Pewnie miała to po matce: Elizabeth uwielbiała tańczyć.

Wspaniale byłoby dowiedzieć się, co o tym sądzisz. Mimo swoich osiągnięć zawsze mocniej stąpałeś po ziemi i powszechnie uważano cię za – przyznaję, to okropne stwierdzenie – postać cieszącą się autorytetem, nawet jeśli byłem przekonany, że należysz wyłącznie do mnie. Od lat jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić. „Inspiracja” to nadużywane słowo, ale tym właśnie dla mnie jesteś. Nigdy mnie nie osądzałeś, a ja nigdy nie będę w stanie Ci się za to odwdzięczyć, choć w tym tygodniu uwzględniłem Twoje dzieci w moim testamencie.

Ach, to słodkie zatracanie się w odręcznym pisaniu. Jako dziecko martwiłem się, że moje pismo bez przerwy się zmienia: bałem się, że nigdy nie dorosnę, jeśli się nie ustabilizuje. Myślałem, że dopiero wtedy stanę się w pełni uformowanym sobą. Jak ludzie określają teraz własną tożsamość, skoro piszą jedynie na klawiaturach? Mam zamiar nadal w ten sposób z Tobą korespondować. To jedna z naszych tradycji, jeden z naszych sekretów. Jeden z wielu.

Zapewne domyślasz się, że wieści o Alice były dla mnie druzgocące. Nie będę udawał, że nie, zresztą czemu miałbym to robić? Niejednego nabiliśmy w butelkę, ale wobec siebie zawsze byliśmy szczerzy. Taką mieliśmy

umowę: żadnych kłamstw. W świecie, w którym wszyscy mają sekrety, nasza prawdomówność była jedną z niewielu niezmiennych rzeczy. Jesteś dla mnie jak kompas, który wskazuje mi kierunek. Zazartowałeś kiedyś, że możemy razem konie kraść.

Wrzuciłem wszystkie informacje do folderu „Ocalić Alice”. Zachichotałem, wpisując tę nazwę. Tytułowanie zawsze było jednym z moich ulubionych zajęć. Pierwsza odpowiedź od jednej z jej przyjaciółek przyszła w ciągu kilku minut.

Co tam Ofelia, namaluję Alice Salmon.

*

Post na blogu Megan Parker 6 lutego 2012, 22.01

Kupiłam kartkę, ale co mam napisać? Jak kartka może dać komuś choćby najmniejszy okruszek pocieszenia? Alice nie żyje. Moja najlepsza przyjaciółka Alice nie żyje. Nigdy wcześniej nie znałam nikogo, kto umarłby w moim wieku. To takie niesprawiedliwe, nieuczciwe. Nierealne – jakby ktoś mi powiedział, że w ogrodzie stoi żyrafa. Nie mogę przestać płakać. Jak to możliwe, że cię nie ma? Jak mogłaś umrzeć, skoro inni żyją? Oddychają, jedzą, chodzą po ulicach – mordercy, gwałciciele i inne ludzkie ścierwa? Jeśli ktoś tak wspaniały jak ty umiera, to nie ma sprawiedliwości. Nie wyjechałaś na dzień, na tydzień, na miesiąc, nawet na całe lato, jak wtedy, gdy pracowałaś dla Center Parcs, ale na zawsze. Wolę nawet nie myśleć, jakie to może być uczucie albo jak długo może ono trwać.

Nie mogłam znieść samotności, więc przyjechałam do rodziców. Tata

uważa, że pewnie zrobią sekcję zwłok, jak zawsze, kiedy ktoś ginie w niewyjaśnionych okolicznościach. „Biedna dziewczyna, będzie musiała przejść jeszcze przez coś takiego” – powiedział.

Gdzie jesteś? Gdzie cię zabrali? Wiem, w jakich miejscach cię nie ma – nie ma cię na tym wzgórzu w Lakes District ze mną, Chloe i Lauren, gdy trzymamy dłonie na punkcie triangulacyjnym. Nie jesteś w tajskiej restauracji na Clapham High Street, do której lubiliśmy wpadać. (Czaisz, Alice!?! Restauracji! Ale się zrobiliśmy dorosłe!) Nie ma cię w busie, którym drużyna hokejowa jedzie na wycieczkę i śpiewa *Amarillo* do muzyki lecącej z radia. Jest tyle miejsc, w których cię teraz nie ma. I znowu pojawia się żyrafa w ogrodzie: nie ma cię. Kiedy wyglądam przez okno, widzę tylko zardzewiałą huśtawkę, na której lubiliśmy się bujać, zwierzać się sobie z sekretów i snuć plany na dorosłą przyszłość. A kiedy właśnie zaczynałaś kosztować życia, moja wspaniała, ono wzięło cię w swoje szpony. To nie fair, ale kiedy powtarzałam ci te słowa, zawsze odpowiadałaś, że życie nie jest nie fair – jest pełne niesprawiedliwości, którą ludzie dostrzegliby, gdyby tylko otworzyli oczy.

Wysłałam kartkę do twoich rodziców. Głupia kartka z różowym kwiatkiem i napisem „Wyrazy najgłębszego współczucia” pod spodem. To niewiarygodne, że to ty jesteś powodem tego najgłębszego współczucia. Będę za tobą strasznie tęsknić. Robbie też. Szkoda, że nie wiem, czego chciałabyś w kwestii Luke’a – mam go nienawidzić czy nie? Jakaś część mnie jest przekonana, że wrócilibyście do siebie.

Miałyśmy po pięć lat, kiedy zostałyśmy przyjaciółkami. Trzymałyśmy się razem w lekkich i ciężkich chwilach. Zawsze śmiałaś się, że ty jesteś tą ciężką, a ja lekką... Przetrwaliśmy razem szkołę i beznadziejnych chłopaków, i nawet poszliśmy razem na studia, nie dlatego że jesteśmy tchórzami, ale dlatego że Southampton to świetne miejsce i super było być

tam razem, nawet jeśli bardziej wpasowałaś się w towarzystwo niż ja!

Kto będzie pilnował, żebym nie zбочyła z dobrej drogi, i mówił mi, że jestem dziwna, bo lubię starszych mężczyzn!? Żartowałaś, że jesteśmy dobraną parą beznadziejnych przypadków, prawda? Ty przechodziłaś przez różne problemy z Lukiem, a ja czekałam na George'a Clooneya, choć gdyby nie było innej opcji, nie pogardziłabym Harrisonem Fordem.

„Ludzie, którzy się liczą, umierają w wieku dwudziestu siedmiu lat” – powiedziałaś, kiedy przedawkowała Amy Winehouse, ale zrobiłaś to tylko po to, żeby wszcząć dyskusję. Często to robiłaś i sama nie doczekałaś nawet do dwudziestych siódmych urodzin. Umierają. Co za okropne, pełne nienawiści słowo. Krążą różne teorie w kwestii tego, co się stało. Ale dlaczego w ogóle znalazłaś się nad rzeką? Przecież nie znosiłaś wody.

Alice, kochana, mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że umieszczam to wszystko na blogu. Pewnie zrobiłabyś to samo. „Wyrzuć to z siebie – mawiałaś. – Wypluj z siebie ból. Oddaj go światu”.

Rozmawiałam wcześniej z Chloe i Lauren. Niewiele się odzywałyśmy, głównie płakałyśmy. Zadzwoiłam też do twoich rodziców, ale włączyła się sekretarka. Musimy być teraz dla nich silne: dla twojego kochanego taty w tych jego szalonych swetrach, który mówił na ciebie Al-ice, robiąc pauzę pomiędzy sylabami, jakby o coś pytał, i twojej mamy, wspaniałej mamy, kobiety dynama, z którą wyglądałyście jak dwie krople wody i którą przypominałaś na tyle sposobów. Ale teraz już nikogo nie będziesz przypominać. To się skończyło. Ty też. Postawiono pod tobą kreskę, napisano ostatnią stronę w twojej książce, i teraz tam, gdzie powinnaś być ty, twój cudowny śmiech, okropny gust muzyczny i skandaliczne legginsy, zije ogromna pustka.

Zadzwoiłam właśnie na twoją komórkę, bo chciałam usłyszeć twój głos. „Nie ma mnie. Chyba wiadomo. Chętnie z tobą pogadam, więc prooooooszę,

zostaw mi śliczną wiadomość, niedługo się odezwę...”

Zajrzała do mnie moja mama i powiedziała, że musimy wspominać te dobre chwile, bo w ten sposób ludzie żyją dalej. Przez ramię zerknęłam na pokrytą rdzą huśtawkę.

„W ogrodzie jest żyrafa” – powiedziałam.

Chyba pomyślała, że zwariowałam.

Zgasło światelko. Kocham cię, Alicjo-Policjo...

*

Artykuł w „Antropologia à la mode” sierpień 2013

Dlaczego ekshumowałem przeszłość

W ciągu dwunastu miesięcy profesor Jeremy Cooke z nieznanego wykładowcy uniwersyteckiego przeistoczył się w postać medialną. W tym osobistym artykule szczerze wyjaśnia, jak odkrycie pewnych zwłok zapoczątkowało jego „badania” i na zawsze odmieniło jego życie.

Nie był to moment nagłego olśnienia, choć chyba nigdy słowo „eureka” nie znajdowało się tak blisko końca mojego języka.

Siedziałem w bibliotece i zobaczyłem, jak pewien student gryzmoli swoje inicjały na zaparowanej szybie. RP. Robert Pearce, tak chyba się nazywał, choć to bez znaczenia. Te litery mnie zahipnotyzowały i kiedy student sobie poszedł, nie potrafiłem się powstrzymać, by nie postawić między nimi „I”. Jedna z bibliotekarek niepewnie się do mnie uśmiechnęła. „Dziwak z tego profesorka”, pomyślała pewnie. Usiadłem na zwolnionym przez studenta,

naadal ciepłym krześle. Akronim RIP – czyli „spoczywaj w pokoju” – pozostał na szybie całymi godzinami, zostałem więc i ja. Musiałem chyba przysnąć, bo kiedy się obudziłem, napisu już nie było. RIP – RIP – był, a potem nie. Wtedy coś sobie uświadomiłem. Każdy z nas robi to codziennie: zostawia ślad, piętno, znak. Nasz znak. Zacząłem się zastanawiać, czy to możliwe, aby odtworzyć czyjeś życie z takich fragmentów. Na nowo je poskładać, posklejać z takich znikających kawałków. Miałem idealną ku temu okazję. Życie – a właściwie śmierć – niemal na moim własnym progu. Tu, zaraz pod nosem. Alice Salmon.

Był to zdecydowanie – jeśli użyć młodzieżowej nomenklatury – „ten moment”. Moment, kiedy na widok chłopaka piszącego palcem swoje inicjały na zaparowanym oknie poczułem nagłą, nieznajomą, obezwładniającą radość, jaką przynosi nowy pomysł. Minęło dopiero kilka dni, odkąd Alice – jak eufemistycznie ujęto w jednym ze sprawozdań – „znalazła się w wodzie”. Stało się to, jak potem wywnioskował kryminolog, pomiędzy północą a drugą nad ranem 5 lutego 2012 roku. Alice po raz pierwszy przyjechała tu jednak osiem lat wcześniej, jesienią 2004 roku. Oczywiście dla reszty świata, a w tym początkowo i dla mnie, była wtedy kolejną studentką pierwszego roku, jedną z tysięcy, które widziałem przez dziesięciolecia spędzone na uczelni. Pamiętam, jak zauważyłem ją kilka razy na początku tamtego semestru: dość wysoka, długie włosy, wyróżniająca się.

Ostatnio pojawiło się wiele teorii na temat naszej „relacji”, ale niezależnie od tego z wielu powodów była dla mnie idealnym materiałem. Nie tylko z racji sposobu, w jaki umarła, ale i z racji tego, kiedy żyła. Sposób komunikacji między ludźmi zmienił się bardziej w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, przez jedno pokolenie, niż podczas minionego tysiąclecia. Internet wywrócił wszelkie zasady do góry nogami. Pokolenie Alice było świadkiem tej zmiany, było tą zmianą.

Oczywiście nie miałem pojęcia, do czego to wszystko doprowadzi, ale musiałem mieć jakiś plan. Zgodnie z moimi zamierzeniami miała to być szczerą, pouczającą pracę, wymagającą od czytelnika pewnej wrażliwości. Nie chciałem dowodzić żadnej tezy, pragnąłem jedynie nakreślić czyjeś życie. Jej życie. Tak, także z powodu naszych „powiązań”, ale bardziej dlatego, że była jak my wszyscy: złożona, fascynująca, wyjątkowa, ludzka.

„Czy to nie nazbyt prostackie?” – zapytał jeden z moich kolegów. Ale do diabła z nimi. W końcu postąpiłem tak, jak podpowiadało mi serce. Chciałem sprawdzić, ile tej drogiej, pięknej dziewczyny pozostało, co przetrwało. Koniec końców, relatywnie do niedawna – warto sobie przypomnieć, że według ewolucyjnych kryteriów wszystko zdarzyło się relatywnie niedawno – ludzkie życie przemijało nieodnotowane, chyba że było się arystokratą lub członkiem rodziny królewskiej. Poza kręgiem najbliższej rodziny i – być może – wąskiej grupy rówieśniczej pozostawało niezauważone. Przez krótki czas pamiętali cię ci, których zostawiłeś, ale na tym koniec.

Nie twierdzę, że to, co rozpocząłem, jest „badaniem naukowym” w tradycyjnym rozumieniu. To zbyt górnolotne określenie i sugeruje bardziej metodyczne podejście niż to, które byłem w stanie – i miałem zamiar – zastosować. „Obsesja” to kolejne słowo, którego często używali inni, i może było coś na rzeczy. Jak mawiają skauci: robiłem, co w mojej mocy.

Wszystkie moje „znaleziska” znajdują się w książce. Niezbędna była pewna selekcja, aby uniknąć dwuznaczności, ale jestem przekonany, że to, co pozostało, stanowi rzetelną reprezentację, nawet jeśli nie do końca zrozumiałą. Mam nadzieję, że w jakiś sposób oddaje to Alice sprawiedliwość, a co istotniejsze, spowoduje, że sprawiedliwość zwycięży. Bo takie jest moje szczerze życzenie: by zawartość książki została potraktowana jako materiał dowodowy.

Ta biedna, wspaniała dziewczyna miała dwadzieścia pięć lat, kiedy znalazła się w wodzie.

Jakież to przewrotne, że świat zaczyna się tobą interesować dopiero wtedy, kiedy już cię nie ma, ale tak to bywa.

O ironio, to właśnie w ten sposób stałem się pomniejszym celebrytą. Cała moja praca nad etnolingwistyką i językami lapońskimi przeszła bez echa, nie licząc wąskiego grona specjalistów, aż nagle zacząłem mieć wzięcie. Kanał Sky News o nieprzyzwoicie wczesnych godzinach posyłał po mnie samochody, aby zabrały mnie do studia, gdzie młode blondynki pudrowały mi policzki po to, żeby „kamera mnie kochała”. Pytania dziennikarzy często odnosiły się do „podróży”: jej, mojej, ich. Wygląda na to, że ostatnimi czasy każdy jakąś odbywa. Antropolog. Wszyscy kładli nacisk na to słowo. Jak gdyby przydawało im autorytetu, autentyczności. „W naszym studiu gościmy antropologa: prawdziwego, żywego antropologa”. Wkrótce przestało nawet chodzić o moją dziedzinę i zaczęto mnie prosić o komentarz we wszelkiego rodzaju bieżących sprawach. Afganistan. Aborcja. Nowy iPhone. Pewnego razu zapytano mnie w studiu Chanel 5 o obsesję widzów na punkcie telewizji w paśmie dziennym – ironia, która najwyraźniej umknęła producentowi programu.

W obliczu tej nagłej popularności moi pracodawcy stanęli przed dylematem: przyniosłem rozgłos ich instytucji, ale sprawę Alice trudno było nazwać błogosławieństwem, skoro reporterzy zaczęli nachodzić wydział, tak samo jak mój dom.

Ostatnimi czasy tak właśnie jestem przedstawiany. Antropolog Alice Salmon. Mężczyzna, który dokopał się prawdy w sprawie dziewczyny z rzeki Dane. Raz nawet nazwano mnie – Panie, zlituj się – jajogłowym detektywem. Alice i ja staliśmy się swoimi uzupełnieniami. Przepisami we wzajemnych historiach. Choć i tak zawsze nimi byliśmy.

Pierwszy, roboczy egzemplarz książki leży na moim biurku: Alice zerka na mnie z okładki. Jeśli postanowisz to przeczytać, będziesz znać prawdę o Alice Salmon, zanim przewrócisz ostatnią stronę. Waham się co do stwierdzenia, że każde słowo to święta prawda, bo słowa jej bliskich są z natury subiektywne, przepełnione miłością albo w niektórych przypadkach – jak zdołałem się przekonać – nienawiścią.

Ogólnie rzecz biorąc, ludzie byli niezwykle pomocni, nawet kiedy uprzedzałem, że ich wkład może zostać upubliczniony. Od samego początku jedno było dla mnie jasne: nie ma tu miejsca na żadne ugrzecznienie i tonowanie. Opublikuję, co mam, bez względu na to, jak bardzo będzie to zawstydzające czy szokujące. Podejście to, nawiasem mówiąc, niezłomnie stosowałem też wobec siebie.

Zważywszy terytorium, po którym się poruszałem, napotkanie sprzeciwu było nieuniknione, nie mogłem jednak przewidzieć reakcji niektórych stron: prób sabotażu mojej pracy, ciągłego mieszania mnie z błotem, tego, że moja żona stanie się celem ataków. Nazywali mnie świętokradcą, naznaczyli piętnem zboczeńca, oskarżali o to, że wykopuję trupy. Ale *Homo sapiens* ma obowiązek to robić. Jeśli byśmy tego nie robili, nie wiedzielibyśmy o Tutanchamonie czy Machu Picchu. Bez tej dociekliwości i ciekawości, bez nieustannego oglądania się przez ramię, nie wiedzielibyśmy o malowidłach w jaskini Lascaux, nie moglibyśmy stanąć tam i patrzeć na wspaniałe paleolityczne byki w biegu, zachwycać się tym, jak na naszych oczach w cudowny sposób ożywają na nowo, tak jak siedemnaście tysięcy lat temu. Mam nadzieję, że nadal mam czas, by zobaczyć je jeszcze jeden, ostatni raz. Czekam z niecierpliwością na kolejny etap mojego życia, nawet jeśli będzie krótki.

Nie chciałbym popaść w nauczycielski ton, ale to, co dziś nazywamy komunikacją – mowa – ma swoje początki około stu tysięcy lat temu. Metody

niewerbalne wyewoluowały w werbalne. Pismo było kamieniem milowym, dało nam możliwość rejestrowania i zapamiętywania. Przyspieszyło rozprzestrzenianie się wiedzy. To była ewolucja, która jednocześnie przyspieszyła ewolucję. To nas definiuje i odróżnia od innych istot. Alice była fantastyczna w komunikowaniu się. Postanowiłem pozwolić jej mówić w jej własnym imieniu. Jak z niezwykłą przenikliwością ujął to jeden z moich byłych współpracowników: „pozволь jej być jej własną historią”.

Chciałbym wierzyć, że jestem teraz lepszym człowiekiem, niż byłem, zanim to wszystko się zaczęło. Stałem się zdecydowanie mniej pompatyczny, choć może zakładanie, że tak jest, świadczy jedynie o skali mojej pompatyczności.

Kiedy przejeżdżam palcami po okładce książki, opieram się naturalnej chęci, by zakończyć ten wywód wnioskiem, że jak każda książka, tak i moja jest niedoskonała – strony, tusz układający się w kształty, biel, która z czasem żółknie, mnący i rozpadający się papier. Ma własną żywotność. Przypominam sobie o jej mocy, o jej potencjale. O tym, że sprawiedliwość nadejdzie. Musi.

Uświadamiam sobie również, że ludzie, których nigdy nie poznałem – których twarzy nie potrafię sobie nawet wyobrazić – będą trzymać w rękach tę skromną książkę (nie jestem technofobem, ale należę do pokolenia, które wyobraża ją sobie w wersji drukowanej, nie cyfrowej). Że mój głos zostanie usłyszany, że przemówię do obcych ludzi i moje słowa połączą nas niczym tkanka. Może szukam rozgrzeszenia. Pokuty. Wybaczenia. Oczywiście w całej tej historii występuje jedna osoba, której nigdy, przenigdy nie wybaczę.

Może w tych komentarzach tkwiła jednak odrobina prawdy. Na temat tego, dlaczego wybrałem dziewczynę, którą wybrałem, dlaczego chciałem – musiałem – poskładać ją z kawałków w całość. Aby żyła. Tego przecież

wszyscy pragniemy, prawda? Pragniemy czuć, że jesteśmy ważni, chciani, dostrzegani. Że nie jesteśmy światu obojętni. Że komuś nas brakuje. Że każdy z nas zostaje zapamiętany. Pragniemy czuć – jak mogliby powiedzieć moi koledzy na jej dawnym wydziale – że każdy z nas jest cudem.

A nawet więcej. Więcej i mniej.

Pragniemy czuć, że każdy z nas jest kochany.

Spoczywaj w pokoju, Alice Salmon.

- Książka *Prawda o dziewczynie* autorstwa profesora Jeremy'ego Cooke'a ukaże się w przyszłym miesiącu w oficynie Prion Press w cenie 9,99 funta. Czytelnicy „Antropologii à la mode” mogą otrzymać zniżkę, jeśli dokonają zamówienia pod numerem podanym na stronie 76.

*

Profil „Ulubione cytaty” na Facebooku Alice Salmon 3 listopada 2011

Poprawna pisownia to różnica pomiędzy robieniem komuś łaski a robieniem komuś laski[2].

Nieznany

Bądź bohaterką swojego życia, nie ofiarą.

Nora Ephron

Prawda boli tylko przez chwilę, kłamstwa bolą całe życie.

Nieznany

Wszyscy słyszeliśmy, że mnóstwo małą pracujących przy niezliczonych

maszynach do pisania zdoła w końcu odtworzyć wszystkie dzieła Szekspira. Dziś dzięki internetowi wiemy, że to nieprawda.

Robert Wilensky

Młodość każdego człowieka jest snem, jest czymś w rodzaju chemicznego szaleństwa^[3].

Francis Scott Fitzgerald

*

Zapiski Luke'a Addisona sporządzone na jego laptopie 8 lutego 2012

Nie domyśliłaś się, że mam zamiar ci się oświadczyć, prawda? Cóż, dodajmy to do listy rzeczy, których nigdy ci nie powiedziałem. Tego wieczoru, kiedy zapytałaś mnie o Pragę – wtedy, kiedy powiedziałaś, że musimy od siebie odpocząć – miałem w kieszeni pierścionek. Planowałem to od tygodni. Miałem ci powiedzieć, żebyś następnego dnia rano spakowała rzeczy na jedną noc. Poszlibyśmy na stację, pojechali na Gatwick, a następnie polecili do Rzymu. Wszystko było zarezerwowane.

– Luke, zadam ci pytanie i musisz na nie uczciwie odpowiedzieć – powiedziałaś, zanim zdążyłem sam się odezwać. – Możesz mi to obiecać?

– Jasne – odparłem.

Wyobrażałem sobie twoją minę, kiedy ci powiem, że nie musisz w poniedziałek iść do pracy, że wszystko uzgodniłem z twoim szefem i że nie musisz się niczym martwić. Rozkoszowałem się tym – wiedzą, że osiemnaście miesięcy, które ze sobą spędziliśmy, to był tylko początek. Tak, może byliśmy odrobinę za młodzi – chyba nikt nie żeni się teraz wcześniej

niż tuż przed trzydziestką – ale po co czekać? Nie tylko ty umiałaś być spontaniczna.

– Ten weekend, kiedy z drużyną rugby pojechaliście do Pragi. Przespałeś się z kimś wtedy?

W pomieszczeniu nagle jakby zabrakło powietrza. Przycupnąłem na skraju twojego łóżka, czując w kieszeni sztywny, sześcienne ciężar pudełka z pierścieniem. Nie mogłem kłamać, nie tobie.

– Al, to nic nie znaczyło.

– Kim ona była? – zapytałaś płaskim, zrezygnowanym tonem.

To zdarzyło się siedem tygodni po tym, jak się poznaliśmy. Policzyłem dokładnie, bo postanowiłem, że skoro znamy się mniej niż dwa miesiące, to nic nie powiem. Gdybyśmy byli ze sobą dłużej, przyznałbym się od razu.

– To nie ma znaczenia, kim ona była.

– Dla mnie ma – warknęłaś. – I możesz mi wierzyć, teraz ma to znaczenie dla nas obojga.

– To była jakaś dziewczyna na wieczorze panieńskim. Byłem pijany.

– Czemu mi nie powiedziałeś? – Kolejny, nowy dla mnie ton twojego głosu: twardy, nieprzejednany.

– Bałem się, że mnie zostawisz.

Obracałem w palcach pierścione. Zastanawiałem się, czy po prostu go nie wyciągnąć. Mogę poczekać, aż będziemy w restauracji na Campo de' Fiori, wybrałem to miejsce, bo jest znane ze świetnego prosciutto, a ty je uwielbiasz. Zarezerwowałem stolik, dałem nawet napiwek kierownikowi sali. Po prostu to zrób. Udowodnię, że cię kocham i że to, co stało się siedem tygodni po naszym pierwszym spotkaniu, to tylko dziewczyna, której imię ledwie pamiętam, poznana podczas weekendu, który ledwie pamiętam. Ale rozplakałaś się i kiedy próbowałem cię objąć, odepchnęłaś moje dłonie i usiadłaś na łóżku. Powróciły do mnie przebliski wspomnień z Pragi:

irlandzki pub, ona i jej koleżanki przy stoliku obok, kocie łby ulic pogrążonych w półmroku – była prawie czwarta nad ranem – skręciłem w lewo do hotelu, ona ze mną. Dziewczyna z Dartford, a może Dartmouth? Jen – nie, nie Jen, Gill. Wszystko zdawało się tak odległe od mojego codziennego życia.

– To nic nie znaczyło – powtórzyłem, odwracając się do ciebie i biorąc cię za rękę.

Patrzyłem, jak płaczesz. Za twoim ramieniem mignęło mi drzewko choinkowe postawione na komodzie. Wróciło więcej scen z Pragi: zapach mokrych kamieni, szyldy z napisem *rohlík* w witrynach piekarni, wrażenie, że to koniec jakiejś epoki. Wiedziałem, że jesteś tą jedyną, Al, nawet siedem tygodni po tym, jak się poznaliśmy, ale wiedziałem też, że to oznacza koniec wersji mnie, do której przywykłem – koniec wyjazdów za granicę z kolegami, koniec picia do czwartej nad ranem, koniec przypadkowych znajomości zawieranych w barach – i nawet nie było mi przykro. Wiedziałem, że będę za tym tęsknił, ale teraz miałem ciebie i to było lepsze. Już wtedy cię kochałem, Alice, ale czułem, że najpierw muszę się pożegnać z dawnym sobą i odprawić go z hukiem. Zaszaleć po raz ostatni.

– Chyba powinieneś już sobie pójść – powiedziałaś.

Wyobraziłem sobie, jak nasz samolot odlatuje do Rzymu z dwoma wolnymi miejscami – twoim przy oknie, bo lubiłaś podziwiać widoki.

– Nie można mieć ciastka i zjeść ciastka, Luke. W życiu tak nie bywa.

– Pieprzony Adam! – wściekłem się. – Co za jełop.

– Sekrety rzadko kiedy pozostają sekretami. – Otarłaś łzy. Powiedziałaś, że ostatnie półtora roku było wspaniałe, ale mamy po dwadzieścia kilka lat, a związki to zbyt poważna rzecz, by ryzykować porażkę. – Musimy się porządnie zastanowić nad tym, co do siebie czujemy.

– Ja wiem, co czuję – powiedziałem. – Kocham cię. – Nie chciałem pozwolić, żeby to się stało, nie znowu, nie z tobą. Po raz kolejny

zastanowiłem się, czy wyciągnąć pierścione. „Widzisz?”, zapytałbym. Ale wszystko było nie tak. Przeze mnie. A na dodatek ty już postanowiłaś.

– Ale ja nie wiem – brzmiała twoja odpowiedź. – W tej chwili nie mam pewności, czy cię kocham. Nie, kocham cię, ale nie wiem, czy wystarczająco mocno.

– Jestem tą samą osobą, co zawsze – powiedziałem.

– Nie, nie jesteś. – Jeszcze chwila i straciłabyś nad sobą panowanie. W takim stanie widziałem cię tylko raz: jechaliśmy autobusem i zobaczyłaś, jak jakiś mężczyzna uderza chłopca w twarz.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem aniołem.

– Nawet nie próbuj obarczać mnie winą, Luke.

– Na litość..., to było tylko siedem tygodni po naszym poznaniu! Na tym etapie nawet nie uważaliśmy się za parę.

– Idź, proszę, po prostu idź. Przez jakiś czas nie mogę z tobą być.

– Ale to nie jest zerwanie, tak? Nie zrywamy.

– Chcę, żebyśmy zrobili sobie przerwę. Żadnych SMS-ów, żadnych maili, żadnego niczego.

W normalnych okolicznościach zacząłbym się czepiać – zaśmiałybym się i powiedział, że nie mówi się „żadnego niczego”, ale po twarzy płynęły ci łzy. Do Bożego Narodzenia zostały dwa tygodnie.

– Nie będziemy się kontaktować przez dwa miesiące – oświadczyłaś.

Wydawało mi się, że to dziwny, przesadnie aż tak długi czas, ale uznałem, że lepsze to niż alternatywa: do końca życia tylko takie weekendy jak ten w Pradze.

– A teraz wynoś się z mojego mieszkania.

Zawsze byłaś krytyczna wobec ludzi, którzy są w skomplikowanych związkach. „To przecież proste – mówiłaś – albo kogoś kochasz, albo nie”. A ja uczyniłem cię jedną z takich osób. Mój prezent dla ciebie. A teraz nie

żyjesz. Nie żyjesz już od trzech dni i to jest nie do zniesienia, Al. Spanie. Wstawanie rano, jedzenie, mycie się, golenie, jeżdżenie metrem, odbieranie telefonu. Wszystko pozbawione sensu. Opowiadałaś mi, że kiedy byłaś nastolatką, dopadała cię ciężka depresja, a ja nigdy tego nie rozumiałem, aż do teraz. Wreszcie, wreszcie, kiedy jest już za późno, w jakiś sposób zaczynam rozumieć, jak się czułaś, Alice Louise Salmon, dziewczynko poznana w piątek, 7 maja 2010 roku (widzisz, pamiętam naszą rocznicę) w Covent Garden. Weszłaś do środka i stanęłaś niedaleko mnie. Później żartowałem, że to przez mój zwierzęcy magnetyzm. Zostałaś obsłużona przede mną, więc powiedziałem:

– Chyba spodobałaś się barmanowi.

– Chyba chcesz się wbić w kolejkę! – odparowałaś.

Nie mogłem żyć z tym, że nie jesteśmy razem, kiedy byłaś, a teraz nie mogę żyć z tym, że nie jesteśmy razem, kiedy cię już nie ma.

Nigdy nie przepadałem za pisaniem, ale mówiłaś mi: gdyby nikt tego nie robił, to jak dzielilibyśmy się informacjami, uczyli i stawali lepsi? A więc piszę to, co czuję, tak jak kiedyś robiłaś to ty – w końcu zawsze powtarzałaś, że to wszystko zmienia.

Chcesz, żebym był szczery, Al? W porządku, powiem coś szczerze. Wdałem się w burdę, a właściwie dwie. Nigdy nie dowiedziałaś się o tej drugiej, bo doszło do niej w zeszłą niedzielę, dzień po twojej śmierci, ale o pierwszej tak, bo brałaś w niej udział.

*

E-mail od Elizabeth Salmon
3 marca 2012

OD: Elizabeth_salmon101@hotmail.com

DO: jfhcooke@gmail.com

TEMAT: Odczep się

Jeremy,

nie mogę uwierzyć, że piszę do Ciebie po tylu latach. Obiecałam sobie nie mieć już z Tobą nic wspólnego, ale okazuje się, że ten, kto decyduje o naszych losach, miał w planach coś innego. Darujmy sobie uprzejmości. Co się, do cholery, dzieje? Dowiedziałam się, że – Bóg raczy wiedzieć dlaczego – zbierasz informacje o Alice. Podobno do jakiegoś projektu badawczego. Właściwie powód zupełnie mnie nie obchodzi, ale musisz z tym natychmiast skończyć.

Mój syn pracuje w kancelarii adwokackiej i wystosował do Ciebie pismo. Powiedziałam mu, że je wysłałam, ale tak naprawdę wyrzuciłam je do kosza. Posługując się prawniczym językiem, mój syn podkreślał, jak bardzo potrzebujemy teraz prywatności, prosił Cię, abyś zaprzestał jakichkolwiek działań w naszej sprawie, i subtelnie postraszył Cię konsekwencjami prawnymi. Ale ja znam Cię lepiej, więc Cię ostrzegam.

Podobno tworzysz album z wycinkami. No to w takim razie umieść w nim to: „Jestem dumna z mojej córki”. Mam gdzieś to, co mówią inni, jestem dumna, że brała się z życiem za bary i nie bała się tego. Nieważne, gdzie jestem, czasem łapię się na tym, że krzyczę: „Alice Salmon była moją córką”. Wchodzę do jej pokoju i mówię do jej ubrań, płyt i różowej świnki skarbonki w kropki. Mówię dobranoc i dzień dobry, że ją kocham i że nawet jeśli zrobiła coś głupiego czy lekkomyślnego, nie mamy jej tego za złe, oczywiście, że nie, ale tęsknimy za nią. Nikt z nas nie ma pełnej kontroli nad swoim losem, a popełnionych przez nią głupstw chyba nie mam prawa osądzać, prawda?

Zawsze miałeś skłonność do tego, żeby opacznie interpretować różne zdarzenia, więc w tym przypadku nie miej wątpliwości. Wysłałam tego maila tylko po to, żebyś skończył te swoje makabryczne zabawy. Nie mam nawet zamiaru komentować listu, który otrzymałam od Ciebie tuż przed jej śmiercią. Sentymentalnego, zbytecznego i obraźliwego.

Mówią, że Bóg opiekuje się pijakami i małymi dziećmi. Gdzie więc był 5 lutego, Jem? Jeśli jesteś taki mądry, to może mi na to odpowiesz? A właściwie to nie – nie odpowiadaj, tylko zostaw w spokoju mnie i to, co zostało z mojej rodziny. Zrób to dla mnie, a jeśli nie dla mnie, to dla Alice.

Elizabeth

*

Fragment pamiętnika Alice Salmon, lat 19 25 listopada 2005

– Cześć, Panno Perspektywo – odezwał się chłopak, z którym chodzę na zajęcia z marketingu, kiedy wychodziliśmy z sali wykładowej.

To, że zapamiętał moje słowa, zrobiło na mnie wrażenie.

– Jestem Ben – powiedział, podając mi rękę. – Może się czegoś razem napijemy?

Zawahałam się, nie dlatego że mi się nie spodobał, tylko dlatego że chłopcy nieczęsto mnie gdzieś zapraszali.

– To jak? – zapytał. – Może my zatrzymamy coś, co przemija?

Właśnie to wypaliłam kilka chwil wcześniej podczas grupowej dyskusji, kiedy zapytano mnie, co jest istotą dobrego zdjęcia.

– Bardzo zabawne – odparłam, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to tak,

jakbym uważała, że się ze mnie nabija, podczas gdy w mojej głowie brzęczała myśl, że chcę, chcę, chcę z nim iść. Więcej niż chcę: na pierwszym roku żyłam prawie jak zakonnica.

– Nie daj się prosić – nalegał. – Ja stawiam. Choć właściwie stawia Bank Mamusi i Tatusia, ale to bez różnicy.

Przeszliśmy parkingiem w stronę niewielkiej uliczki biegnącej wzdłuż rzeki, która skrótem prowadziła do głównej ulicy. Ben był na trzecim roku i miał znaną paczkę, którą często można było zauważyć na mieście w fajnych ciuchach, z pacholkami ulicznymi pod pachą albo jak noszą jeden drugiego na barana. W pubie kupił nam po kuflu cydru, a sobie dodatkowo wódkę z red bullem.

– Nie rozdrabniasz się, co? – powiedziałam.

Zignorował to i odparł:

– Dyskusja była do dupy. Sprawdziłem gościa w internecie i żaden z niego Henri Cartier-Bresson. Robi głównie śluby i chrzciny.

– Nie ma nic złego w fotografowaniu radosnych uroczystości. Ty pewnie pstrykasz tylko w strefach wojennych, co? – Nadal byłam naładowana po seminarium. Chęć posługiwania się słowami takimi jak „perspektywa” i „osobowość” była powodem, dla którego poszłam na studia. I jeszcze chęć poznawania nowych ludzi. Czułam, jak krąży we mnie cydr, sprawiając, że robi mi się ciepło i miło.

– Nie ma, kurwa, szans. Nie będę ryzykować, że ktoś odstrzeli mi tyłek.

Pomyślałam sobie, że jeżeli upiję kolejny spory łyk cydru i popatrzę, jak on robi to samo, to może udzieli mi się jego pewność siebie.

– To właśnie masz zamiar zrobić, kiedy skończysz studia? – zapytał. – Być fotografem?

– Chciałabym, ale przerasta mnie technika. Zanim ustawię czułość, ucieka mi kadr. Byłabym beznadziejnym paparazzi!

– Wolałbym być śmieciarzem niż paparazzi. Chociaż nie, cofam to. Śmieciarze muszą wcześniej wstawać. To wolałbym być handlarzem narkotyków. Oni mają jakiś wkład w rozwój społeczeństwa!

– A tak naprawdę co masz zamiar robić? – zapytałam. Na trzecim roku wielu studentów składało już podania o pracę.

– Cholera wie, jestem beznadziejny właściwie we wszystkim. – Było w nim coś z dziecka. – A ty?

– Chciałabym się zająć dziennikarstwem. Tak jak wszyscy.

– Błagam, tylko nie mów, że chcesz pracować w jakimś brukowcu.

– Nie ma mowy, to zdecydowanie będzie jakieś ambitniejsze czasopismo. W najgorszym razie literacki dodatek do „The Times”.

Oboje upiliśmy kolejny łyk. Za dobrze mi szło.

– Zawsze wydawało mi się, że media powinny obalać stereotypy, ale one tylko je umacniają – oświadczył.

– Bardzo to głębokie – odpowiedziałam z przekąsem, w głębi duszy myśląc, że rzeczywiście tak jest.

– Oglądałaś kiedyś wiadomości na kanale informacyjnym? – ciągnął. – W sensie, czy siadłaś przed telewizorem i naprawdę oglądałaś. Często to robię, bo od urodzenia jestem leniwy, i muszę powiedzieć, że to jedno wielkie gówno. Nawet prezenterzy nie są interesowni.

– Zainteresowani.

– Co?

– Chodziło ci o „zainteresowani”, nie „interesowni”. To nie to samo. Prezenterzy muszą być bezstronni, więc nie mogą być interesowni, ale tobie chodzi o to, że mają wszystko w dupie.

– Punkt dla ciebie – odpowiedział.

– No to co będziesz robił?

– Pewnie skończę, pracując u ojca.

Sposób, w jaki wypowiedział słowo „ojciec” – rozwlekle, z pogardą – sprawił, że pomyślałam, iż niechętnie dokonuje takiego wyboru, ale niewykluczone, że to jego jedyna opcja. Uświadomiłam sobie nagle, że nie jestem przekonana, czy polubiłabym tego chłopaka, gdybym poznała go bliżej, ale upomniałam samą siebie, że wcale nie muszę.

– A co robi twój ojciec? – zapytałam.

– Pracuje w ubezpieczeniach.

– To znaczy w *call center*?

– Bardzo zabawne. Tak naprawdę ubezpiecza statki.

– Miało mi to zaimponować?

– To już zależy od ciebie. Powinniśmy świętować.

– Ale co?

– Co chcesz. Jeśli potrzebujesz powodu, to mogę z lekkim opóźnieniem wznieść toast za to, że księżę Karol i Camilla się pobrali.

– Jestem republikanką.

– Ale niespodzianka! To może wypijemy za to, że udało mi się przedłużyć termin oddania pracy zaliczeniowej z patentów i własności intelektualnej? Że przetrwaliśmy wykład faceta, który myśli, że jest Robertem Capą? Że jesteśmy tutaj, w Southampton? Że się poznaliśmy? O tak, to najlepszy ze wszystkich powodów.

Podobało mi się to, jak siedzi, w połowie zwrócony w moją stronę, z jedną nogą podwiniętą, wyciągając lewą rękę wzdłuż sofy za moimi plecami.

– Ale się napięrzyłem. Nic dziś nie jadłem. I dla ścisłości, niczego nie sugeruję – powiedział, dodając po chwili: – Powinniśmy coś zjeść, nie pieprzyć. Choć wiesz...

– Nie licz na to – odparłam. Jego komentarz przeniósł naszą rozmowę na zupełnie inną płaszczyznę, gdzie pojawiały się nowe możliwości. Mogłabyś się z nim przespać, Alice, przebiegło mi przez myśl, podczas gdy on poszedł

do baru.

– A już myślałam, że porwiesz mnie na romantyczny posiłek – powiedziałam, kiedy postawił na stole kolejne dwa cydrys i dwa szoty.

– Jedzenie jest dla cieniasów – skwitował. – Zaryzykowałem i kupiłem nam po podwójnym dżinie. Powiedziałem, że właściwie do niczego się nie nadaję, tak? No to do jednego się właśnie nadaję – rzucił i poszedł do toalety. Kiedy wrócił, uśmiechał się od ucha do ucha. – I proszę, to mi akurat idzie świetnie!

– Co? Sikanie?

– Nie, to co zrobiłem potem! – Postukał palcem o czubek nosa. – To co? Obściskujemy się? – Nachylił się w moją stronę i mnie pocałował. To nie twój typ, pomyślałam, patrząc na sztywną, piegowatą masę jego przedramienia. Nagle zdałam sobie jednak sprawę, że nigdy nie ustaliłam, jaki jest mój typ.

– Ale wystarczy już o mnie, co robi twój ojciec? – zapytał.

– Prowadzi własną firmę jako konsultant do spraw planowania – powiedziałam, a potem pomyślałam: chrzanić to, nie potrzebuję aprobaty tego chłopaka. – A raczej prowadził, ale firma padła. Tata jest termotechnikiem.

– Bardzo mi przykro – rzucił.

– Dlaczego? Bo jego firmę trafił szlag czy dlatego że jest termotechnikiem? – Coś mnie kusilo, by mu dołożyć. Wzbudzał we mnie mieszankę pogardy i zainteresowania, której nigdy wcześniej nie czułam. Jeszcze kilka drinków i może będę w stanie robić to samo co on: mówić, co chcę, i nie ponosić za to żadnych konsekwencji. – Upijmy się na koszt magnata żegluga!

Nie upłynęło wiele czasu, zanim znów poszedł do baru. Wysoki, prawie dziesięć centymetrów wyższy ode mnie, a mierzący metr siedemdziesiąt pięć. Bez wątplenia ćwiczył na siłowni. Wrócił z szampanem.

– Nadal nie jestem pod wrażeniem.

– No to w takim razie się nie napijesz! – powiedział, napełniając dwa kieliszki.

Czasem życie potrafi cię zaskoczyć. Wtorek po południu, musujący alkohol w niemal pustym pubie i ten nowy facet, Ben – zawsze podobało mi się to imię – o niesamowitych oczach. Patrzyłam na uciekające bąbelki i do głowy przyszło mi słowo „dekadencki”.

– Podobało mi się, co mówiłaś dziś o zdjęciach – zauważył. – Pieprzenie tego gościa, jak to niby jego praca ma na celu rejestrację biegu zdarzeń, a nie zmienianie go, było takie pretensjonalne. Ale ty... ty powiedziałaś szczerą prawdę.

– Ale poważnie, co masz zamiar robić, kiedy skończysz Southampton? – zapytałam, nagle onieśmielona kierunkiem, w jakim zmierza nasza rozmowa.

– Najmniej, jak się da. Może będę pracować w barze. – Pocałowaliśmy się. – Jesteś niesamowita.

– Pewnie mówisz to wszystkim dziewczynom.

– Oczywiście, że tak, ale nie wszystkim mówię to na serio. Tobie tak, Panno Zatrzymanie Przemijania. Nie ruszaj się, wracam w try miga – powiedział, znów znikając w łazience.

Poczułam, jak kręci mi się w głowie, i postanowiłam, że muszę iść, bo jestem bliska miejsca, z którego nie ma już powrotu – nie żebym nie mogła z niego wrócić, ale to, jak miałabym tego dokonać, było poza moją kontrolą. Robiłam to od czasu do czasu: jakbym obserwowała samą siebie, kiedy przekraczam pewną granicę.

– Chcesz trochę? – zapytał po powrocie.

– Nie.

– Nie wygłupiaj się, nie bądź sztywniarą.

Dotknął moich włosów, a ja zaczęłam się zastanawiać, jak to jest po

kokainie: jak bym się po niej czuła, jaka bym po niej była, czy nadal byłabym sobą, czy kimś zupełnie innym. Z głośników rozbrzmiała piosenka *Holiday* zespołu Green Day i zdałam sobie sprawę, że nie jest ze mną aż tak źle. Poczułam lekki przypływ przyjemności bycia sobą. W nosie szalały mi bąbelki i opanowała mnie nawet lekka nostalgia na wspomnienie dawnej wersji mnie samej: dziewczyny w szaro-żółtym szkolnym mundurku, która krzyczała „Nienawidzę wszystkiego!”, stojąc w drzwiach swojej sypialni ozdobionych plakatem grupy Boyzone.

– Zawsze wiedziałem, że nie jesteś taka idealna – powiedział Ben.

– Jak to „zawsze”? Nie znasz mnie od zawsze.

– Znam cię przynajmniej od godziny. To wystarczająco długo.

– Wystarczająco długo na co?

Położył dłoń – ciepłą, zmysłową, kościstą – na mojej nodze. Znów się pocałowaliśmy. Ben naparł na mnie, a ja przyłgnęłam do niego, gdy jego ciężar wcisnął mnie w sofę.

– Miło cię poznać, Panno Zatrzymanie Przemijania – powiedział.

Prowadzący seminarium zapytał nas, czym właściwie jest zdjęcie, i kiedy nikt się nie odezwał, zwrócił się do mnie:

– Może pani na przedzie, w fioletowym szaliku.

Zrobiłam się czerwona jak burak i wypaliłam:

– To wycinek, jakby ktoś zamroził ruch. – Na co on odrzekł, że to bardzo „poetyckie” i czy mogłabym rozwinąć tę myśl, więc dodałam: – To jak zatrzymać coś, co przemija.

– Idziemy do mnie? – zapytał Ben.

– Na kawę?

– Też.

Był moment, że prawie wstałam i wyszłam, ale zalety szampana szumiały mi w głowie i nie miałam najmniejszego zamiaru wracać do swojego

mieszkania. Mieszkaliśmy tam w sześć osób i wiedziałam, że jeśli wszyscy będą poza domem, to zostanę sama, a byłam wcześniej w moim pokoju i to wróciło. TO. Coś złego – uczucie smutku i pobudzenia, bezsenność, stan, w którym możesz się rozkleić nawet na widok podniszczonej tablicy korkowej. Nigdy nie dałam temu czemuś satysfakcji wynikającej z nadania mu nazwy. TO. Po prostu.

Ben położył mi rękę na udzie. Alice, to zupełnie nie w twoim stylu, pomyślałam. Nigdy nie sypiam z chłopakami na pierwszej randce. Zobaczyłam nasze odbicia w wysokim lustrze: dwa ciała na brązowej sofie, a przed nami szereg pustych szklanek na niskim drewnianym stoliku.

– Idziemy?

– Tak – odpowiedziałam tak obojętnym tonem, na jaki tylko mogłam się zdobyć, lecz mimo to zabrzmiał nieśmiało, jak dawna ja, ale Ben nie znał dawnej mnie, i przyszło mi na myśl, że może bym nią nie była, gdybym wzięła trochę kokainy.

– Chcę się z tobą przespać – szepnął mi do ucha, kiedy wstaliśmy. Miałam wrażenie, że jestem oddalona o miliony mil od dziewczyny z Corby, która zastanawiała się, w jaki sposób będzie dotykać mężczyzny i jaka stanie się później – czy zacznie wyglądać inaczej i czy będzie inna, nawet jeśli tylko wobec ludzi, którzy znają ją najlepiej, mamy i taty (nie Robbiego, ten głupek nie zauważyłby nawet, gdyby wyrosła mi trzecia noga!). – W mieszkaniu mam mnóstwo alkoholu. Mnóstwo wszystkiego – powiedział, dotykając nosa.

– Jestem grzeczną dziewczynką – zaśmiałam się.

Jego mieszkanie było zimne i brudne jak chlew. Piliśmy białe wino, potem wódkę, a on puszczał Eminema, a kiedy sąsiedzi zaczęli walić w ściany, on zrobił to samo. Później wysypał kokainę na stół kawowy i zaczął ją rozdzielać i formować w kreski za pomocą karty kredytowej, jak to

robią w filmach. Następnie zwinął banknot w rulonik i ostro wciągnął powietrze, a ja patrzyłam, jak biały proszek znika z powierzchni blatu.

– Twoja kolej – oświadczył.

– Tylko nie za dużo – powiedziałam, czując się nagle bardziej trzeźwa, ale tylko chwilowo.

– Spodoba ci się, widzę to po tobie.

– Boję się – odparłam niewyraźnie.

Powiedział mi, żebym nie była dzieckiem i żebym się nie martwiła, bo to nic wielkiego, naprawdę nic wielkiego, a to, jak wypowiedział słowo „naprawdę”, miało w sobie tę samą rozwlekłość, to samo zwolnione tempo, tylko że teraz wszystko się takie zdawało: ruchy jego dłoni, rzucone na ścianę cienie liści drzewa za oknem, nawet muzyka.

Nachyliłam się i pomyślałam: Dziś zaczynasz się nowa ty, Alice. Najwyraźniej nie byłam za bardzo przywiązana do tej dawnej, bo mnie nie powstrzymała. Poczułam czyste, zaskakujące uderzenie, kiedy wciągnęłam proszek – wciągnęłam od razu całość, tak jak na filmach, i od razu poczułam się lepiej – wszystko wydało się lepsze.

– Dobrze? – zapytał.

– Dobrze.

I jedno z nas powiedziało coś o magnatach żeglugi i magnesach na lodówkę, śmialiśmy się i polewaliśmy sobie czerwone wino – nie wiedziałam, że pijemy czerwone – i pomyślałam, że muszę być ostrożna, bo mogę to wszystko za bardzo polubić.

Dziś rano, kiedy leżeliśmy w jego łóżku, powiedział:

– Dziś z pewnością coś „zamrozi mój ruch”.

Poprzedniego wieczoru padał śnieg, a ogrzewanie w mieszkaniu Bena ledwie dawało radę. Przez głowę przemknęły mi obrazy z minionych godzin: jak pieści ustami moje ucho i szepcze mi, że jestem piękna, jego łopatki –

wielkie odstające bryły. Zrobił nam herbaty, czytaliśmy razem gazety, po czym powiedział, że jedzie dziś do domu na weekend – do Bucks albo Berks, nie zapamiętałam gdzie – na dwudzieste pierwsze urodziny brata.

– Ale będzie impreza – powiedział.

– To w takim razie co było wczoraj?

– To było jedynie preludium.

Przecież nigdy nie sypiasz z obcymi facetami na pierwszej randce, Alice, pomyślałam.

Nigdy, ale nie wczoraj.

Nigdy nie bierzesz kokainy.

Jak wyżej.

Nie byłam pewna, czy powinnam pójść, czy zostać i próbować coś ocalić, znaleźć jedną cechę, którą w nim lubiłam oprócz tego, że był wysportowany.

– Poważnie, dzięki za wczorajsze towarzystwo – rzucił.

O właśnie, może to było to, ten komentarz, mówił szczerze. I zauważyłam, że często zaczyna zdania od „poważnie”. Pomyślałam, że za kilka lat będę siedzieć ubrana w garsonkę w jakimś szpanerskim biurze i nie będziemy już studentami. Staralam się zapamiętać ten pokój. Butelka po winie z wbity w nią świecą, szparagowata uschnięta roślina, zwędzona z ulicy tablica z napisem „roboty drogowe”, wciśnięta pomiędzy szafę a ścianę. Wiedziałam, że więcej go nie zobaczę, a jeśli nawet, to już nie będzie to samo. Ben stanie się gościem, z którym przepadłam po dyskusji na fotografii, Pan Marketing albo Pan Zatrzymanie Przemijania, jak potem nazywały go dziewczyny, drocząc się ze mną.

– Czyli tym właśnie będziemy? – zapytał. – Kumplami od seksu?

Śmiałam się, kiedy usłyszałam to wyrażenie w jednym ze starych odcinków *Seksu w wielkim mieście*, ale teraz wydało mi się brutalne, umniejszające to, co się wydarzyło. Sięgnął pod łóżko i wyciągnął spod niego

tackę, na której znajdowało się jeszcze więcej kokainy.

– Czas na dokładkę – powiedział.

Zaczęłam zbierać swoje ciuchy i ubierać się. Czy to możliwe, że jeszcze kilka lat temu naprawdę wierzyłam, że pójście z kimś do łóżka to taka poważna sprawa? Poczułam bolesną tęsknotę za tamtą mną. Chciałabym chociaż sobie przypomnieć, czy sama zdjęłam ubrania, czy on mnie rozebrał.

– Poważnie, nie idź. Jeśli pójdziesz, będę taki samotny.

Wciągnął kreskę i przygotował sobie kolejną, po czym uśmiechnął się do mnie.

„Wszystko w porządku?” – zapytała mama następnego ranka po tym, jak po raz pierwszy przespałam się z Joshem. Wiedziała, że ten chłopak zostanie na dłużej. Ona i tata go lubili. Lepszy diabeł znany niż nieznany, twierdziła mama. Wszyscy to diabły, twierdził tata. Przez kilka miesięcy naszego spotykania się Josh i tata – dwaj mężczyźni w moim życiu – podawali sobie dłonie na powitanie. Pytali się nawzajem: jak w szkole, jak w pracy. Widziałeś mecz Manchesteru? Mężczyźni są tacy podobni, a jednak tacy różni, pomyślałam kiedyś, przyglądając się im, ich niekompatybilnym kształtom. Josh był w atrakcyjny sposób chudy, tata okrąglejszy. Nie przyszło mi na myśl, że to chyba jest dorosłość: mój pierwszy chłopak. „Nigdy nie daj się traktować tak, jakbyś nie była skarbem” – mówił tata, ale Ben, Ben i jego mdła woda kolońska oraz skóra usiana różowymi kropkami tam, gdzie się golił, to właśnie robił.

Usiadłam na skraju jego łóżka. W głowie mi huczało. Przypomniałam sobie o pracy, którą musiałam skończyć, trzy dni po terminie, i jasnej, przestronnej ciszy biblioteki. Spojrzałam na kokainę, na Bena i z powrotem na kokainę, może nadal byłam trochę pijana. Pomyślałam, że mama i tata byliby przerażeni, ale to nic wielkiego, a poza tym już to zrobiłam – przekroczyłam granicę już wczoraj wieczorem, a teraz zrobię to tylko

ponownie. Nagle zaświtało mi, od jakiego słowa zacznę kolejny wpis w moim pamiętniku. Nie musiałam się długo zastanawiać: koka.

– Zuch dziewczyna – powiedział Ben, gdy nachyliłam głowę. Poczułam się tak dobrze, że mogłabym się rozplakać.

[1] *Salmon* (ang.) – łosoś [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] Polski cytat pochodzi z wypowiedzi profesora Jerzego Bralczyka.

[3] F.S. Fitzgerald, *Diament wielki jak góra*, tłum. A. Kaska, Warszawa 1973, s. 107.

II

NIE MA SŁOWA NA TO, KIM

JESTEŚMY

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 17 lutego 2012

Dzień dobry, Larry,

a wydawało mi się, że dożyję późnej starości. Byłem przekonany, że stanę się staruszką, który bez względu na pogodę drepce po głównej ulicy miasta w kaszkiecie i płaszczu. Który traci poczucie czasu i mruży coś pod nosem, gdy nagle spojrzy zdziwiony na zegarek. Który przypomina jakąś źle złożoną maszynę, kiedy próbuje przyspieszyć kroku. Nie zauważa smarków na własnym nosie i plwocin na brodzie, spojrzenie ma zamglone i nieobecne, a żeby utrzymać równowagę, chwyta się stołów i krzeseł, jak gdyby na przekór zwiększającemu prędkość i coraz bardziej niezrozumiałemu światu. Ale najwyraźniej tej starości nie dożyję. Mam grudkę na prostaty: twardą, rakową grudkę. Wraz z lekarzem przedyskutowaliśmy najlepsze i najgorsze z możliwych scenariuszy i słysząc, jak wymawia słowa, których albo nie znałem, albo nigdy nie sądziłem, że będą mnie dotyczyć – „biopsja”, „metastaza” i „finasteryd” – postanowiłem w drodze do domu kupić kwiaty dla Fliss: ogromny bukiet astrów, irysów i gipsówki. Może zrobię pieczeń wieprzową? Zawsze ją lubiła. Oczywiście ona wie o wszystkim, ale ty też powinienes. Ostatnia seria wizyt u lekarza sprawiła, że dotarło do mnie, jaki ze mnie szczęściarz, że miałem ją przy swoim boku przez te wszystkie lata.

Chciałem spędzić emeryturę na krzątaniu się, Larry. Krzątaniu po ogrodzie z rydlem, po sklepach z antykami w Winchesterze, po domu, trzymając w dłoni kubek z napisem „Największa maruda na świecie”. Cieszyła mnie myśl, że na jakiś czas przestanę się martwić o zanieczyszczanie powietrza i kupię sobie stary sportowy samochód,

któremu będę dłużej pod maską. Miałem zamiar sprawić sobie ogrodniczki – nie wiem, czy kiedykolwiek takie miałem – i zostawiałbym plamy smaru na czajniku. Nawet gdybym, Boże broń, skończył w domu opieki, gdzie wraz z innymi nieszczęśnikami stalibyśmy pod ścianą, jakby czekając na pluton egzekucyjny, albo grywalibyśmy w grupkach w karty nad dywanami dobranymi tak, by nie było na nich widać pewnych „wypadków” – nawet to (nieważne jak ograniczone, dziecinne i naładowane seksualnym niespełnieniem) byłoby lepsze niż to, co mnie czeka: nicość.

Pewnie nie powinienem narzekać: nadal przeżyję ponad dwa razy tyle co Alice. Czy to nie zmienia postaci rzeczy, Larry? Wydawało mi się, że śmierć jest czymś, co zdarza się innym ludziom, jak kłótnie na ulicy albo bankructwo. Miliony lat ewolucji, a my nigdy nie zajęliśmy się nieuniknionością tej konkretnej wady bycia człowiekiem, czyż nie?

„Mam wrażenie, że doszło tu do jakiegoś przemieszczenia” – powiedziała Fliss łagodnie, kiedy poinformowałem ją o moim planie „skatalogowania zmarłej byłej studentki”.

Tym zajęciem wypełniam luki, w które inaczej wkradłby się strach. Informacji napływa zaskakująco dużo – przeszłość Alice zapisana w zdjęciach, mailach, wiadomościach, dyskusjach na Twitterze, anegdotach, a nawet niewydarzonych teoriach, z których na przykład jedna głosi, że brała heroinę. Pomyśleć tylko, że kiedyś byliśmy tylko kilkoma papierowymi i obiektywnymi dokumentami: aktem urodzenia, prawem jazdy, aktem małżeństwa, aktem zgonu. Teraz jesteśmy w tysiącach miejsc: rozbieżni, ale kompletni, efemeryczni, ale stali, cyfrowi, ale prawdziwi. Ta ogromna skarbnica informacji gdzieś tam jest. Boże, posiadanie sekretów jest teraz chyba niemożliwe. Gdybyśmy urodzili się czterdzieści lat później, staruszku, nie byłibyśmy tacy anonimowi, nie mam co do tego wątpliwości.

Kilka osób porozmawiało nawet ze mną osobiście i sięgnęło do swoich

pamięci tymczasowych albo obdartych kieszeni, na co ja chwyciłem za notes albo dyktafon. Dokumentowanie szczegółów staje się nałogiem.

„Pan jest tym gościem od Alice? – zapytała mnie dziś pewna dziewczyna. Ten przydomek nie zabrzmiał w moich uszach aż tak źle. Wyciągnęła do mnie dłoń z komórką, jak żebraczka. – To tylko SMS, ale za to ostatni, jaki od niej dostałam”.

Przeglądając to, co zebrałem wcześniej, zastanawiałem się, z czym właściwie mam do czynienia. Zdjęcie od koleżanki z czasów szkolnych, na którym Alice stoi obok namiotu podczas wycieczki Duke of Edinburgh^[4]. Fotografia z wycieczki na plebanię sióstr Brontë – „Biedni mieszkańcy Haworth zupełnie się tego nie spodziewali” – przeczytałem w towarzyszącym zdjęciu mailu. Zdjęcie od pary, która mieszkała obok Alice, gdy ta była dzieckiem i „widzieli ją, jak skacze na trampolinie ponad linię płotu”.

– Brzmi to trochę jak spóźniony nekrolog – podsumowała Fliss.

– Rzeczywiście – odparłem, wyobrażając sobie niedostatek własnego: kilka akapitów w uniwersyteckiej gazecie, kilka centymetrów w kolumnie wielkoformatowej gazety.

Umieram, Larry. Proszę: wydusiłem to z siebie. Chwilę mi to zabrało, ale teraz potrafię już to powiedzieć. Nie zaserwować banału w stylu „wszyscy umieramy” godnego studenta filozofii, ale naprawdę, dobitnie to wyznać. To nieuniknione. Dożyję do najbliższych świąt, potem kolejnych i najwyżej jeszcze jednych. Cały ja, prawda? Nie potrafię nawet umrzeć w dramatyczny sposób.

Zastanawiam się, jak naprawdę wygląda ten koniec istnienia. Gdzie nastąpi? Jakie to uczucie? Z żoną przy łóżku, którą kurczowo trzymasz za rękę, czy może jest to jedynie ugrzeczniona telewizyjna wersja? Może nie będę nawet wiedział, że to się stało. Albo gorzej – będę wiedział, ale nie będę rozumiał tego złożonego przejścia do... dokąd? Kolejne pytanie, na które

odpowiedzi nie umieli znaleźć tak zwani mądrzy naukowcy. Nie mam zamiaru wchodzić łagodnie do tej dobrej nocy^[5], Larry. Czas być szczerym, czas wszystko wyjaśnić. O Alice, o mnie, o wszystkim.

Nie wiem, jak jest na Twojej uczelni, ale część tutejszych wykładowców odnosi się od mnie z jowialnym lekceważeniem.

„Jak tam postępy w »Projekcie Salmon«?” – zapytał jeden z nich dziś rano, z trudem ukrywając pogardę. Mogą się wszyscy wypchać. Całe życie szukałem aprobaty kolegów, podczas gdy oni śledzą twoje poczynania tylko po to, by ukraść ci najlepszy pomysł lub naigrawać się z jego niedoskonałości. Boże, jak to możliwe, że kiedyś czerpałem przyjemność z towarzystwa tych ludzi? Są jak lisy, które wzajemnie obwąchują sobie tyłki.

Wątpię, aby wieści stąd, choćby najtragiczniejsze, miały wielkie znaczenie w Twojej części globu, ale niewykluczone, że mogłeś doszukać się jakichś informacji o Alice. Tutejsze media nie schodzą z tematu, lecz nie mają o niczym pojęcia. Przynajmniej na tym etapie. Wybacz, jeśli pomnę któryś z faktów, relacjonując tę historię, ale postaram się mówić wyczerpująco i z zachowaniem obiektywizmu. Nigdy nie ufaj temu, kto opowiada, ufaj opowieści, mówił Lawrence – cóż, będziesz musiał jakoś ze mną wytrzymać, bo nie mam już takiej głowy do szczegółów jak kiedyś. Nigdy Cię nie okłamałem, nie celowo, ale spodziewam się, że w ciągu najbliższych tygodni i miesięcy będzie mnie to kusić. Muszę się temu oprzeć, nawet w kwestii tych najmniej chlubnych fragmentów, których – matko kochana! – jest naprawdę dużo. Nieprawdy, zdrady, obsesje, podstępny – od czego mam zacząć?

Powinienem zachować ostrożność, biorąc pod uwagę to, kiedy po raz ostatni widziałem Alice, ale muszę to zrobić. Nie mogę odtwarzać jej portretu w nieskończoność, trzeba tu mieć na uwadze japoński termin *kintsukuroi* –

celebrację pęknięcia, wady, ponownego scalenia przedmiotu, które staje się częścią jego historii. A skoro to mój łabędzi śpiew, może być gorzej.

Dziś rano w moim gabinecie zjawiała się dziewczyna, pieszcząc w dłoni telefon, jakby to był artefakt o historycznej wartości. Na imię miała Megan: ładne dziewczątko, pracujące w *public relations*.

– Kochałam ją – powiedziała.

Nie mogłem opędzić się od myśli, jak by to było poczuć jej dłonie – jej czerwone paznokcie – na mojej cienkiej jak papier, bladej skórze.

– Kochałaś? – zapytałem. – Już jej nie kochasz?

Dziwne, jak zmagamy się z czasami gramatycznymi. Kochałam, Kocham. Znałam, znam. Chciałam, chcę. Nasi przyjaciele – myślę o nich „przyjaciele”, ale już dawno urwał się nam kontakt – stracili jednego z nastoletnich synów. Chyba najtrudniejszym pytaniem, z jakim musieli się zmierzyć – może nadal tak jest – było jedno z najprostszych: ile macie dzieci?

– Kocham ją – poprawiła się.

– Wiem, moja droga – powiedziałem, wyciągając do niej rękę.

Cofnęła się, wzdrygając, jakby nie było nic bardziej obrzydliwego na całym świecie niż stary człowiek.

– Skąd pan wie?

– Bo ja też ją Kocham.

*

**Artykuł na stronie nationalgazette.co.uk
6 lutego 2012**

Tragiczna śmierć dziewczyny w pobliżu mostu, który próbowała zamknąć

Młoda kobieta zginęła w pobliżu mostu, do którego zamknięcia próbowała doprowadzić.

Wczoraj rano (niedziela) w jednym z kanałów w Southampton znaleziono ciało dwudziestopięcioletniej reporterki Alice Salmon.

Źródła podają, że Salmon, która studiowała w Hampshire, ale niedawno przeniosła się do Londynu, przyjechała na weekend w odwiedziny.

Policja odmawia udzielania informacji, ale nieoficjalnie podaje się, że Salmon, amatorka imprez, odłączyła się od przyjaciół i wracała mostem po wielogodzinnej zabawie.

Na ironię losu zakrawa fakt, że pierwszym reporterskim zadaniem zmarłej, gdy pracowała w miejscowej gazecie, było lobbowanie o poprawę bezpieczeństwa w tym właśnie miejscu, w którym czekała ją lodowata śmierć.

W jednym z artykułów nazwała most znajdujący się około siedmiu i pół metra nad wodą i mocno uczęszczany przez pieszych „miejscem, które prosi się o tragedię”. Co więcej, wezwała miejscowe władze do wzniesienia wyższych barierek wzdłuż kładki. „Pytanie nie powinno brzmieć, ile to będzie kosztować, lecz jaką poniesiemy cenę, jeśli się tego nie zrobi” – napisała ekstrawertyczna Salmon w „Southampton Messenger”.

Byli koledzy ze studiów zapamiętają ją jako nieustraszoną aktywistkę walczącą z przestępczością. Zaangażowała się w akcję „Złap nocnego bandytę”, która doprowadziła do skazania mężczyzny odpowiedzialnego za brutalną napaść na osiemdziesięciodwuletnią staruszkę.

Media społecznościowe huczą od spekulacji. Jeden z użytkowników Twittera napisał, że most „to świetne miejsce do letnich skoków do wody po pijaku”. Inny użytkownik, który rzekomo znał ofiarę, twierdził, że miała

„skomplikowane życie uczuciowe”.

Rodzice zmarłej odmówili komentarza reporterom „National Gazette”, lecz jeden z sąsiadów powiedział nam, że są „zdruzgotani”.

Zobacz także:

- Nastolatek debiutuje w angielskiej lidze
- Sprzeciw wobec nagłych rządowych zmian w budżecie
- Kłopoty fabryki samochodów mogą wywołać zwolnienia

*

Zapiski Luke’a Addisona sporządzone na jego laptopie 9 lutego 2012

Kiedy wspomniałem, że wdałem się w burdę, Al, to nie wyraziłem się jasno, a powinienem powiedzieć prawdę. Nie wdałem się w burdę: wszcząłem ją. Biedny gość nie zrobił niczego złego, ale zamachnąłem się i nagle znalazł się na podłodze, a był całkiem spory – właśnie dlatego go wybrałem.

Po chwili rzucił się na mnie i zaczął okładać pięściami.

– Uderz mnie jeszcze, skurwielu! – krzychałem, każdy cios był jak błyskawica bólu, momentalnie wybił mi z głowy ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Kiedy tylko skończył, zniknął w otchłani, moja twarz była kompletnie zmasakrowana, a on odszedł, nawet niedraśnięty. Nie chciałem go zranić, na świecie jest wystarczająco dużo cierpienia bez takich złamasów jak ja, przysparzających go z taką łatwością, jak gdyby rozrzucali konfetti na ślubie.

Zdarzyło się to w jakimś obskurnym barze niedaleko Waterloo. Właśnie wróciłem z Southampton. W głowie miałem gonitwę myśli. Kupiłem sobie piwo i siedziałem w barowym ogródku, kiedy zadzwonił twój brat.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

Nie powiedziałem mu, oczywiście, że nie. Co niby miałem mu powiedzieć? Że właśnie wróciłem do Londynu z Southampton, dokąd pojechałem za jego siostrą? Najbardziej swobodnym tonem, na jaki było mnie stać, odparłem jedynie:

– Poza domem.

Wiedział, że na jakiś czas się rozstaliśmy. Nie lubił mnie. Nigdy nie powiedział mi tego wprost, ale to było oczywiste.

– Mam tragiczną wiadomość – powiedział. Odniosłem wrażenie, że nie jestem pierwszą osobą, do której zadzwonił. Ledwie mogłem go dosłyszeć. Ogródek piwny był pełen ludzi. Usłyszałem, że nie można tego pojąć, szczegóły nie zostały jeszcze wyjaśnione, miniony wieczór, jak w innej rzeczywistości, twoi rodzice są w rozsypce... Siedziałem tak, z całych sił wciągając w płuca kredowobiały dym jointa, i czułem, jak uderza mi do głowy. Wokół mnie zbierały się grupki rozwydrzonych nastolatków. Nie mieli bladego pojęcia, jak bardzo nie są teraz w stanie mnie zranić – ani oni, ani ich kumple w barze. Też byłem martwy.

– Spadaj do domu, albo rozwałę ci tę szklankę na twarzy – powiedziałem do jednego. Wzbierało we mnie szalone wzburzenie: piwo Stella, trawa, stopniowo narastająca we mnie potrzeba, aby ugasić jeden pożar bólem kolejnego.

Później SMS od twojej mamy: „Przyjedź do nas”. A potem, jeszcze później, kiedy dusiłem się z poczucia winy, ten wielki koleś w barze. Nada się, pomyślałem.

Przez te dwa miesiące, które spędziliśmy osobno, Al, zrobiłem to, na co

się umówiliśmy: zastanowiłem się nad sobą i nad tym, czego chcę. Nie żebym tego potrzebował, wiedziałem już wcześniej, że jesteś tą jedyną. Ciężko pracowałem, zaoszczędziłem sporo forsy, nawet obejrzałem kilka mieszkań dla nas. Nie spotykałem się z nikim innym, a ty? Kim, kurwa, był jakiś Ben, z którym wymieniałaś tweety? Bez wątpienia coś przede mną ukrywałaś, kiedy kłóciliśmy się ostatnim razem. To działa w obie strony, Alice. Chodziło o naszą przyszłość, nie tylko twoją. Naszą. A teraz nie żyjesz, więc kimkolwiek on był, nie będziesz się już z nim spotykać, co? Tak jak nie widzisz się ze mną. Oto co robi z człowiekiem zazdrość, to właśnie się dzieje, kiedy jest się zakochanym, a ja byłem w tobie zakochany, Al. Praga nic nie znaczyła – to była tylko jakaś dziewczyna z miasta na D, którego nazwy nie potrafiłem nawet zapamiętać, i z którą poszedłem do obskurnego hotelu. Zamieniliśmy ledwie kilkadziesiąt słów, a kiedy po wszystkim zbierała swoje rzeczy, powiedziała:

- Jesteś w kimś zakochany, prawda?
- Dlaczego tak uważasz? – zapytałem.
- Bo ja nie jestem zakochana, a wtedy zawsze zauważasz to u innych.

Spodziewałem się, że rzuci jakiś cytat – ty w podobnej sytuacji na bank zrobiłabyś coś takiego – który wyjaśniłby dokładniej, co ma na myśli, ale kobieta, która nie była tobą, tylko otarła łzę, a może rozmazany tusz z kącika oka i wyszła z mojego pokoju.

To wszystko nie dzieje się z jej powodu, tylko z mojego. Muszę to napisać.

„Gdyby nikt nigdy niczego nie napisał, to nie mielibyśmy Jane Austen, a trudno sobie wyobrazić życie bez niej” – powiedziałaś na jednej z naszych pierwszych randek. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, więc milczałem, bo nie chciałem wyjść na ignoranta, choć szybko mnie rozgryzłaś!

Życie jest jak próba pobicia rekordu świata w węzach z domino, którą

widziałem w telewizji, kiedy byłem dzieckiem: jeden źle ustawiony klocek zmienia wszystko, co stanie się dalej. Gdyby nie Praga, może nie pojechałabyś do Southampton, a może nie upiłabyś się tak strasznie i nie poszłaś nad rzekę, a ja z pewnością nie poszedłbym tam z tobą. A może wysłałabyś mi tego wieczoru wiadomość, a ja poznałbym po kiepskiej interpunkcji, że jesteś zalana, i szybko jak petarda odpisałbym: „Skarbie, uważaj na siebie” albo: „Wracaj do przyjaciół”. Zazwyczaj umiałem do ciebie dotrzeć, kiedy byłaś zalana, nawet jeśli czasem czułem się tak, jakby dzieliła nas szklana szyba.

Mówiłaś często, że fajnie jest się ze mną upić, że zabawny ze mnie pijaczyna. Ale ja jestem popapranym pijakiem, przestraszonym pijakiem, wściekłym pijakiem, a moja twarz wygląda paskudnie. Czemu inni ludzie nie mieliby widzieć tego, co sobie zrobiłem? Co zrobiłem nam? Wyobrażałem sobie czasami, jak wyglądałyby nasze dzieci, czy miałyby mój nos i twoje piegi, mój podbródek i twoje włosy, moje uszy i twoje dołeczki – tworzyłem sobie w głowie obraz naszej przyszłości, ale rozbiłaś go na tysiąc kawałków, mimo że to, co zrobiłem w Pradze, zdarzyło się nędzne siedem tygodni po naszym poznaniu, kiedy nie byliśmy jeszcze parą.

Dziwne, że ciosy w twarz sprawiły, że po raz pierwszy od niemal dwóch miesięcy poczułem się jak człowiek. Odkąd powiedziałaś: „Chcę, żebyśmy zrobili sobie przerwę”. Odkąd powiedziałaś: „żadnego niczego”.

Dziwne jest też to, że policja nie zadaje mi więcej pytań, że nie są bardziej podejrzliwi. Jedyne co robią, to szukają ewentualnych świadków, zwłaszcza tych, którzy mieli z tobą kontakt w dniu zajścia. Pewnie śmierć pijanej dziewczyny to nic nadzwyczajnego. Każdego dnia w każdej minucie ktoś umiera.

„Rozumiem, że na jakiś czas postanowiliście się rozstać – powiedziała do mnie policjantka. – To musiało być trudne. Kłóciliście się z Alice?”

Zaśmiałem się na to pytanie, zaśmiałem się głośno w jej bystrą, zarozumiałą, ciekawską gębę.

*

Fragment pamiętnika Alice Salmon, lat 20 3 grudnia 2006

Jestem w Paryżu! W Paryżu!

Nie rozmawiałam z Benem od tygodni, ale zadzwonił we wtorek i zapytał, czy miałabym ochotę wyjechać gdzieś na weekend na jego koszt.

– Jestem zajęta – powiedziałam. – Piszę pracę dyplomową.

– A jeśli powiem, że potrzebny ci będzie paszport?

Nie ma słowa na to, kim jesteśmy. Nie chodzimy ze sobą, ale robimy razem różne rzeczy. Nie jesteśmy parą, ale niekiedy się tak zachowujemy. Tak jakby. Jest tak samo, odkąd poznaliśmy się na seminarium o fotografii. I oto jesteśmy w Paryżu.

– Trochę mała – powiedział o *Mona Lisie*.

– Tak, ale spójrz tylko na te oczy. Nie dałaby sobie w kaszę dmuchać.

Musiałam mu wyjaśnić, że Wenus z Milo i Afrodyta to to samo, ale skomentował jedynie, że szkoda, że dupkom nie chciało się skończyć. A kiedy się zaśmiałam, dodał:

– Widzisz, mówiłem, że przerwa od pisania dysertacji dobrze ci zrobi. A jak ci idzie pisanie tej okropnej konstypacji?

– Fatalnie. Czuję się, jakbym tonęła. A co? Oferujesz mi pomoc?

– Wolalbym już przydeptać sobie jądra!

Byliśmy na wieży Eiffla, kiedy Ben z radością poinformował mnie, że

gdyby upuścić jabłko z tej wysokości, na pewno zabiłoby kogoś na dole, potem poszliśmy na obwieszony kłódkami Pont des Arts (wiedziałam, że kiedyś mi się przyda matura z francuskiego!).

– Pary przyczepiają je tutaj, a potem wyrzucają kluczyk do rzeki, by w ten sposób okazać sobie wzajemne oddanie – wyjaśniłam. – Podobno jeśli para się tu pocałuje, to będą ze sobą już na zawsze.

Wyglądał na zdenerwowanego.

– Tylko niech ci nie wpadnie do głowy nic głupiego, Złota Rybko.

Znów zaczęło mnie to męczyć: niejasność tego, kim właściwie dla siebie jesteśmy. „Kumple od seksu”, powiedział kiedyś o nas, jednak niedługo skończę dwadzieścia jeden lat, a on już skończył. Rok temu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy – w porządku, ale nie pozwolę się tak traktować dużo dłużej.

– Moglibyśmy to robić częściej – powiedziałam. – Jak normalna para.

– Mnie pasuje, jak jest.

Meg mówi, że to kompletny idiota, ale ona – uwaga, zaraz się porzygacie – nie widzi w nim tego co ja. Kiedy pojawia się w drzwiach z bukietem kwiatów albo przedstawia mnie ludziom jako Pannę Zatrzymanie Przemijania.

– To nie byłoby takie złe umawiać się ze sobą jak normalni ludzie, prawda?

– Sądziłem, że nie znosisz normalnych ludzi.

– Nie mówię, że powinniśmy się ustatkować i kupić przyczepę kempingową. Sugeruję jedynie, że moglibyśmy się trochę więcej widywać. Mogłoby być fajnie.

– Znasz mnie, Rybko, nie lubię ciężkich klimatów. – Spuścił wzrok na wodę. – Lubię żyć chwilą.

Spędziliśmy razem świetny dzień, ale w tamtej chwili wiedziałam, że ta

rozmowa przeżre mnie na wylot. Nawet gdybyśmy zmienili temat – a oczywiście go zmieniliśmy – on nadal będzie w mojej głowie.

– Możesz zmienić zdanie – powiedziałam, siląc się na uśmiech.

– Nie psuj nam weekendu – brzmiała jego odpowiedź.

– To mnie nie prowokuj.

Pieprz się, Ben, pomyślałam. Jestem warta więcej niż życie chwilą. Przejechałam dłonią po kłódkach i zdałam sobie sprawę, że może właśnie tutaj, na Moście Zakochanych, ze światłami wieży Eiffla mrugającymi w oddali, w najbardziej romantycznym mieście Europy, nasza znajomość się zakończy.

Choć i wcześniej już tak mi się zdawało.

Nie powinnam była przyjeżdżać do Paryża.

To jedna z najgłupszych rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobiłam. Trzeba było zostać w domu i orać pracę licencjacką (nie ma dyskusji nad tym, o czym będzie ten wpis – dysertacja!). Doktor Edwards, mój promotor, mówi, że jestem na dobrej drodze do pierwszej – tu cytat – bardzo dojrzałej analizy twórczości Austen.

– Jesteś wyczulonym czytelnikiem, Alice – powiedział. – Wykazujesz też ewidentną skłonność do tragicznych bohatererek.

Żadna z jego pochwał czy zachęt nie pomaga mi jednak przestać się stresować. Nie byłoby tak źle, gdyby z chwilą oddania dysertacji stres zniknął, potem jednak trzeba będzie jeszcze znaleźć pracę. (Ben nie ma takiego problemu, ale tak to jest, jak sponsorują cię mamusia i tatuś). Czasem czuję się tak, jakbym nie była wystarczająco bystra, żeby nadążyć. To znaczy potrafię zgadnąć dziesięć czy jedenaście pytań w teleturnieju *Mastermind*, ale tylko cztery albo pięć w *University Challenge*. Gdybym była jakimś sprzętem elektronicznym, iPodem albo pralką, to zgłoszono by reklamację

i zostałamby zabrana do naprawy, ale z ludźmi się tak nie robi, bo nie produkuje się nas w fabrykach. Wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć, po kim to mam: oczywiście, że po mamie, jest równie kiepska jak ja, choć kiedy pytam ją, jaka była w moim wieku, zamyka się w sobie.

„Nie chodzi o to, żeby przeczekać burzę – powiedziała kiedyś – tylko o to, żeby nauczyć się tańczyć w deszczu”.

Do niedawna byłam przekonana, że prowadzenie tego dziennika to wentyl bezpieczeństwa, ale to nie pomaga, tak jak nie pomaga poszerzanie słownictwa, bo nie można nauczyć się bycia elokwentnym jak Stephen Fry, i oznacza to jedynie, że masz więcej sposobów (istny róg obfitości!), żeby opisać, jak do dupy się czujesz. Żadne ze słów, jakie wyrzuca z siebie w teleturnieju *QI*, nie zdoła sprawić, by TO odeszło. Dają mu jedynie nową formę, nowy kształt, nowy dźwięk.

Oczywiście istnieje pewien sposób na to, by stres minął. Wcześniej zajrzałam do hotelowej łazienki i przypominałam sobie inną, sprzed kilku lat: otwieranie po cichu szafki z lustrem, wyciąganie zawartości – plastrów, kropli do oczu, nożyczek do paznokci, paracetamolu – i wykładanie ich na brzeg wanny, a potem układanie w równą linię, jakbym ruszała się pionkiem na planszy do monopoli (zawsze byłam psem Scottiem).

Przeszył mnie dreszcz i sięgnęłam po telefon. Ben wyskoczył niby po papierosy, ale na pewno siedział w barze. „Wróć” – napisałam do niego. Poprzedniego wieczoru po naszej rozmowie na moście zachowywaliśmy się jak zwykle. Niczego nie postanowiliśmy. Nic się nie zmieniło. Zadzwoiłam do niego, czując nagłą panikę.

– Alice? – zapytał, jak gdyby spodziewał się kogoś innego.

Wyobraziłam sobie, jak opiera się na moście i przechyla głowę do nieba, wydychając dym i myśląc o mnie, i poczułam się trochę jak bohaterka książki, ale nie mogłam zdecydować, jaka: pełna niedoskonałości i tragiczna

czy harda, co to nie da sobie wciskać kitu.

- Gdzie jesteś?
- Kupuję jabłka!
- Mówię poważnie. Gdzie jesteś?
- Na mieście.

Mówił niewyraźnie. Postanowiłam, że nie ma sensu tego ciągnąć. To był koniec i świadomość, że pewnie się przez to wszystko popłaczę, sprawiła, że zaczęłam trochę nienawidzić Bena.

– Właściwie to kupowałem ci prezent – powiedział. – Mam dla ciebie niespodziankę.

Pół godziny później kolejna wiadomość: „Będziesz musiała pokazać mi się w tym prezencie”.

Poczułam lekką ekscytację, a może pałący wstyd.

– Jesteś moją Afrodytą? – zapytał później, kiedy piliśmy wino, które zamówił do pokoju.

To prawda: mam słabość do tragicznych bohaterów.

Próbowałam pracować nad moją pracą końcową, ale poddałam się i utkwiałam wzrok w uciekającym krajobrazie, po czym otworzyłam pamiętnik.

Kiedy miałam dwanaście, piętnaście czy siedemnaście lat, nie tak wyobrażałam sobie siebie w wieku lat dwudziestu – w pociągu, po weekendzie spędzonym w Paryżu z mężczyzną, który nie potrafi się zmusić, by wypowiedzieć słowa „moja dziewczyna”.

Ben zapadł w głęboki sen. Taki ufny, taki bezbronny. Jego blond czupryna i idealne białe zęby. Pewnie ani drgnie aż do Waterloo, po czym obudzi się nagle, przeciągnie, chwyci plecak i ruszymy do Southampton. Potem zapadnie się pod ziemię na kilka dni, może wyśle SMS-a – coś

blahego o tym weekendzie: o Ninie Simone w tej restauracyjce albo o Wenus z Milo, albo o jabłkach. Tak, podobało mu się to, to właśnie zapamięta: że możesz kogoś zabić, upuszczając na niego jabłko ze szczytu wieży Eiffla.

Nie dostanie jednak odpowiedzi.

– Musimy się trzymać razem – stwierdził kiedyś, ogarnięty paniką, gdy na niego nakrzyczałam. – A poza tym – dodał, gdy zaczęła mu wracać zwykła pewność siebie – nie możesz mnie rzucić, bo tak właściwie ze sobą nie chodzimy!

Po tej wymianie zamilkliśmy na dłużej niż zwykle: miesiące zamiast tygodni. A mimo to pozwoliłam, żeby to zdarzyło się ponownie: jak wtedy, gdy zespół schodzi ze sceny i plac się wyludnia albo po przyjęciu we własnym domu, kiedy zostajecie w kuchni tylko we dwoje – jest w tym jakaś ciężka nieuniknioność, ja i on. Cała ja: robię coś, choć każda komórka ciała krzyczy (czy komórki mogą krzyczeć?) „stop”. Na przykład to, że się zadłużam. Wypominam gospodarzowi domu, że jest pasożytem. Upijam się na bożonarodzeniowym przyjęciu wydziału antropologii na pierwszym roku. Część mnie cieszy się, że nie pamiętam więcej, ale większa część mnie chciałaby pamiętać. Mam jedynie przebłycki. Kanapeczki z anchois. Rozmowy o jakimś znalezisku w Indonezji, które przypomina hobbita. Zimne wino („Nie takie paskudne” – powiedział profesor Cooke, choć wolałby czerwone i wyrzucał z siebie nazwy odmian winogron, które brzmiały jak zupełnie obcy język). Później próbowałam przeczytać tabliczkę na ścianie i litery rozpląwały mi się przed oczami. Śmiałam się, kiedy Profesorek mówił:

– Czas cię stąd zabrać, młoda damo.

Ben zaczął wiercić się na swoim miejscu i zaspanym głosem zapytał:

– Gdzie jesteśmy?

Zrobiło mi się przykro, że nie będziemy razem wspominać tego

weekendu. Będziemy pamiętać to samo zdarzenie, ale z innych perspektyw.

Doktor Edwards bez przerwy głądzi o perspektywie.

– Czyimi oczami patrzysz? – pyta. – Kim jest narrator w tym opowiadaniu? Kim jest bohater?

Ben obudził się, ziewnął, potarł dłońmi twarz i przez chwilę się zawahałam.

Za późno, pomyślałam.

– Wszyscy jesteśmy bohaterami naszych własnych historii – powiedział kiedyś doktor Edwards.

– Albo bohaterkami – dodałam. – W końcu na przestrzeni dziejów anonim zwykle był kobietą.

– Zgadza się. To, jak mniemam, parafraza cytatu z Woolf.

W tamtym momencie nagle mnie oświeciło. W mojej historii to byłam ja. Zawsze ja.

– Moglibyśmy pójść na bajgle – powiedział Ben, a ja pomyślałam: ty idioto, mogliśmy pójść na bajgle jako my, ale wszystko spieprzyłeś. Nie będzie drugiej szansy. Miałeś ich już z sześć. Nie będzie szansy numer siedem.

Nie miał pojęcia, co go czeka. Prawie zrobiło mi się go żal.

*

**E-mail od profesora Jeremy'ego Cooke'a
14 marca 2012**

OD: jfhcooke@gmail.com

DO: Elizabeth_salmon101@hotmail.com

TEMAT: Odczep się

Droga Elizabeth,

jest mi niezmiernie przykro z powodu Alice. Nic to pewnie dla Ciebie nie znaczy, ale naprawdę tak jest. Tak często mówi się o sile słów, a mimo to zdają się one żałośnie nieadekwatne w przypadkach takich jak ten. Zastanawiałem się, czy nie wysłać Ci kartki z kondolencjami, ale doszedłem do wniosku, że bezpieczniej będzie tego nie robić, zwłaszcza po moim wcześniejszym nieprzemyślanym mailu. Przepraszam, jeśli był dla Ciebie nieprzyjemny.

Rozumiem, dlaczego tak bardzo starasz się chronić Alice – każdy rodzic by to robił – ale pozwól, że dokładniej wytłumaczę, na czym polega mój „projekt”. Postrzegam go raczej jako trybut, nie nekrolog, zdecydowanie nie chodzi tu o ujawnianie jej słabości, bo wszyscy mamy ich w nadmiarze. Znasz mnie, Liz: interesują mnie ludzie, ludzie z całym zjawiskowym bogactwem barwnych szczegółów. A niewielu jest ludzi bardziej zjawiskowych lub wielobarwnych niż Alice.

Quasi-akademickie przedsięwzięcia są jak życie. Trudno je ocenić, będąc dopiero w połowie, powinnaś zobaczyć końcowe rezultaty. Czy nie znajdujesz jednak jakiegoś pokrzepienia w tym, jak wielu przyjaciół i współpracowników Alice chce mi pomóc? Daję Ci też słowo, że zawsze traktuję jej pamięć z bezwzględnym szacunkiem.

Powinienem podkreślić, że jest to prywatny projekt, a nie pod auspicjami uczelni. Szczerze mówiąc, dość mam już akademii, jej snobizmu i umysłowej ciasnoty. Oczywiście mówię, że odżegnuję się od sformułowania „badania naukowe”, ale nie mogę nie być badaczem, tak jak Ty nie możesz nie pracować w towarzystwie budowlanym, Twój mąż nie może przestać być termotechnikiem, a Twój syn prawnikiem. Rozumiesz, co próbuję

powiedzieć o śladach? Wystarczyło nieco pogrzebać w internecie, a znalazłem kilka Twoich.

Widzę, że Twój syn ma dwoje dzieci (rany, Liz – jesteś babcią), a bycie współnikiem w kancelarii o takiej reputacji to naprawdę wielkie osiągnięcie dla mężczyzny w jego wieku. Pewnie nie powinienem mówić o nim „młody”, ale każdy w końcu osiąga wiek, w którym wszyscy inni właśnie tacy się wydają – chyba tylko z wyjątkiem twoich współpracowników, którzy coraz rychlej zaczynają spadać ze swoich grzęd. Pogrzeby są jedyną okazją, kiedy mam kontakt z większością moich rówieśników. Byłem już na dwóch w tym roku, a do cholery, jest dopiero marzec. Jestem nad wyraz wprawiony w tych uroczystościach – pochód, uściski dłoni, niezręczne pierwsze zdania, a nawet obejmowanie się, choć jak wiesz, nigdy za tym nie przepadałem. Na pamięć znam wszystkie zasrane żałobne hymny.

Czy moglibyśmy się spotkać na kawę lub coś mocniejszego? Możemy się zobaczyć w jakimś „neutralnym” miejscu, jeśli Southampton źle Ci się kojarzy. Podzieliłbym się z Tobą – znów, wybaczone okrutne słowo – „znaleziskami”.

Jeśli chcesz znać moje zdanie, to Alice – prawdziwa Alice, ta, którą poznałem naprawdę dopiero w minionych tygodniach – różniła się znacznie od dziewczyny, z którą ludzie mieli do czynienia na co dzień. Była głębsza, bardziej złożona. Jest do Ciebie niezwykle podobna.

A jak Ty się czujesz, Liz? Rozumiem, że zostałeś w Corby. Nie wątpię, że czujesz się teraz, jakby Southampton zdarzyło się w innym życiu. Ja nigdy stąd nie uciekłem, siedzę nawet w tym samym przeklętym gabinecie. Niedługo będę miał urodziny i to całkiem porządne – sześćdziesiąte piąte. Czyli Ty masz pięćdziesiąt cztery lata, prawda? Nie najlepiej u mnie ze zdrowiem, ale Fliss zabiera mnie z tej okazji na obiad: do restauracji w hotelu New Forest. Mają świetne włoskie czerwone wina, a dziczyznę serwują

wyśmienitą. Chodzimy tam co roku, siadamy przy tym samym stoliku. Lubię tradycję.

Już nikt nie mówi do mnie „Jem”.

Z pozdrowieniami

Jem

*

Wpis na blogu Megan Parker 8 lutego 2012, 21.30

To może być wielki błąd, ale czasem trzeba zrobić to, co podpowiada intuicja. „Publikuj i niech cię szlag” – mawiała Alice.

Była jedną z tych przyzwoitych, uczciwych dziennikarek, starała się coś zmienić. Nie pisała o siostrach Kardashian albo nowym psie Katy Perry, nie publikowała też zdjęć celebrytek spoconych pod pachami albo wychodzących z nocnych klubów i ledwie trzymających się na nogach, i była oburzona podsłuchami telefonicznymi. Potrafiła za to poświęcić całe tygodnie na tropienie kogoś, kto oszukał staruszkę, pozbawiając ją oszczędności, albo szemranego wykonawcy, który zwiął w połowie budowy, pozostawiając rodzinę na lodzie. Mam zamiar zrobić to co ona. Zresztą i tak nie mogę już pogorszyć sytuacji.

„Czasem otrzymujesz odpowiedź, nie wiedząc nawet, jakie było pytanie – powiedziała kiedyś Alice. – Trzeba się tylko odważyć”.

Znalazłam to w pudełku z rzeczami Alice, które dała mi jej mama. Sama nie mogła się zdobyć na ich przejrzenie. To były zwyczajne, codzienne

rzeczy – stare numery „Cosmopolitan”, mnóstwo paragonów z H&M, ulotka organizacji dobroczynnej JustGiving na temat biegu charytatywnego, w którym Alice planowała wziąć udział, zaproszenie na ślub jesienią, plus trochę rzeczy z pracy – między nimi zagrzebana była kartka A4 z samoprzylepnym karteluszkiem, na którym pismem Alice napisano: „Otrzymano 21 grudnia 2011”.

Dwie godziny głowiłam się, czy opublikować ten post.

Publikuj i niech cię szlag.

PAMIĘTASZ MNIE, TY MAŁA SUKO OD ZAMYKANIA PRZESTĘPCÓW? MUSIAŁAŚ SIĘ WTEDY WSPANIALE POCZUĆ, CO? ARESZTUJĄC LUDZI, ŻEBYŚMY WSZYSCY MOGLI SPAĆ SPOKOJNIE. WYZYWAJĄC OD POTWORÓW, KOGO CI SIĘ TYLKO PODOBA. NO TO MUSISZ UWAŻAĆ ALBO BĘDZIESZ MIAŁA WŁASNEGO POTWORA. CO TY NA TO? MOŻE POTWÓR NA BOŻE NARODZENIE? BOISZ SIĘ POTWORÓW? CO TY SOBIE WYOBRAŻASZ, TY NADĘTA SUKO? TY I TA TWOJA NAGONKA – NIC O MNIE NIE WIESZ. NIE BOJĘ SIĘ CIEBIE. A TY MNIE? JAK CI SIĘ ŚPI? KONIEC DOBREGO ZACHOWANIA. CZAS NA ZŁE. WOLEŃ STARSZE KOBIETY, ALE TEŻ SIĘ NADASZ. OD WOLNEGO CZŁOWIEKA.

Komentarz pod powyższym postem:

Jesteś taką samą DZIWKĄ jak twoja przyjaciółka. Jak ci się śpi, Megan Parker?

WOLNY CZŁOWIEK

*

Pytania do Alice Salmon w jesiennym wydaniu studenckiego magazynu uniwersytetu w Southampton „Głos”

Pytanie: Dlaczego wybrałaś takie studia?

Odpowiedź: Pewien nauczyciel powiedział mi kiedyś, że szkoła może sprawić, że zakochamy się w jakimś autorze, ale uniwersytet pomaga zrozumieć, dlaczego jesteśmy z nim w związku. Chciałam się dowiedzieć, jak taki odludek jak Emily Brontë mógł mieć tak wiele do powiedzenia w tak młodym wieku. Przecież nie podróżowała, nie wspominając już o internecie. Cała ta mądrość, kształtowana gdzieś pośród smaganych wichrem wrzosowisk Yorkshire. Muszę chyba zapamiętać to zdanie. Całkiem mi się podoba: „kształtowana gdzieś pośród smaganych wichrem wrzosowisk Yorkshire”!

P: Spotykasz się z kimś?

O: Nie, ale jestem otwarta na propozycje. Nie żebym miała czas na chłopaków!

P: Szklanka do połowy pełna czy do połowy pusta?

O: Zdecydowanie do połowy pełna. Ale jeśli stawiasz, to poproszę dolewkę. Najchętniej mojito.

P: Ulubione miejsce?

O: Southampton. Zwłaszcza Flames w środowe wieczory. W następnej kolejności są miejsca, w których przebywanie wymaga butów trekkingowych.

P: Kto cię inspiruje?

O: Ludzie z Nowego Orleanu, za odbudowywanie miasta po huraganie Katrina. Oglądałam filmik, w którym pokazano, jak z zalanego domu

wyciągano kobietę, która musiała zostawić tam swojego psa – dała mu jeść, wiedząc, że zostawia go na pewną śmierć. Okej, pies to nie osoba, ale zalałam się łzami.

P: Polityka?

O: Śledzę, ale jest przeważnie niespójna i wewnętrznie sprzeczna. A kredyty studenckie są do dupy.

P: Co masz zamiar robić, kiedy dorośniesz?

O: Nie mam zamiaru dorosnąć, więc trudno odpowiedzieć! Ale poważnie, chciałabym móc obiecać, że zaprowadzę pokój na świecie, zlikwiduję biedę i znajdę lekarstwo na raka, ale pewnie będę bezrobotna albo stanę się wieczną stażystką. Zakładając oczywiście, że w ogóle skończę studia, bo jeszcze nie oddałam wszystkich prac zaliczeniowych.

P: Opisz siebie w trzech słowach.

O: Spóźniona, lojalna, bardzo pracowita. (Zakładam, że ostatni epitet policzycie za jedno słowo).

P: Gdybyś miała magiczną różdżkę, co zmieniłabyś w sobie?

O: Stopy, włosy, ramiona... ile mamy czasu?

P: Co cię złości?

O: To, co wszystkich. niesprawiedliwość. Przemoc. Samolubność. Ja sama. I zimna kawa. Nie znoszę zimnej kawy.

P: Najcenniejsza posiadana rzecz?

O: Mój iPod oraz rodzina i przyjaciele, niekoniecznie w tej kolejności.

P: Najlepsza rada, jakiej ktoś kiedykolwiek ci udzielił?

O: Masz szczęście, jeśli wierzysz w samego siebie. Powiedział to ktoś znany, ale nie wiem kto.

P: Gdybyś wygrała milion funtów, na co byś je wydała?

O: Czy wykładowcy biorą łapówki?

P: Największe osiągnięcie?

O: Zwycięstwo w konkursie literackim, kiedy miałam piętnaście lat.

P: Czego najbardziej żałujesz?

O: *Je ne regrette rien.* A właściwie to żałuję, ale gdybym ci powiedziała, to musiałabym cię zabić.

P: Na koniec zdradź nam jakiś sekret o sobie samej.

O: Kiedy byłam dzieckiem, udawałam przed obcymi, że jestem kimś zupełnie innym, wymyślałam nowe imię i nazwisko, tworzyłam sobie zupełnie nową tożsamość i przeszłość.

Chcesz zostać bohaterem tej kolumny? Nie dostaniesz za to kasy, ale Twoje słowa pojawią się w najbardziej fascynującym czasopiśmie internetowym w Southampton i zyskasz swoje piętnaście minut (a raczej piętnaście pytań) sławy.

*

E-mail od Elizabeth Salmon
18 marca 2012

OD: Elizabeth_salmon101@hotmail.com

DO: jfhcooke@gmail.com

TEMAT: Odczep się

Nic się nie zmieniłeś, Jem. Twoja praca, Twoje urodziny, Twoje wino – tu nie chodzi o Ciebie. Nie traktuj mnie, jakbym była Twoją studentką. Mam być pod wrażeniem, że sprawdziłeś nas w internecie? To żadne odkrycie, że wszyscy tam jesteśmy, łącznie z Tobą. Niektóre rzeczy się nie zmieniły. Twoi studenci wciąż uważają Cię za obojętnego bufona. Liczyłeś na sukces w kwestii swoich badań fonologicznych, ale najwyraźniej przeszedł Ci on koło nosa. Podobnie jak Order Imperium Brytyjskiego. Niemilo chyba zobaczyć swoje niedostatki czarno na białym, prawda? Mam wrażenie, że to Twoje życie, nie Alice, potrzebuje rekonstrukcji. Jesteś szczęśliwy? Jak tam Twoje małżeństwo? Często zżera Cię myśl, że nie masz dzieci? Widzisz, to nie jest miłe, kiedy ktoś bierze twoje życie pod mikroskop. Normalnie nawet by mi się nie śniło zadawać takich pytań, ale to, co robisz z Alice... To Ty postawiłeś nas w tej sytuacji. Wszyscy nosimy jakąś część siebie, którą chcielibyśmy zachować w tajemnicy. Czy jedna autopsja nie wystarczy? Natychmiast przestań... proszę... nie chcę słyszeć żadnych Twoich intelektualnych tłumaczeń czy uzasadnień, po prostu przestań.

Założę się, że nikt nigdy nie zapukał do Twoich drzwi, prosząc o komentarz na temat zmarłego członka rodziny, mam rację? Do Davida i moich – tak. Dziennikarze nazywają to pukaniem śmierci. Kiedyś przychodzili po zdjęcia, ale teraz po prostu kradną je z internetu, więc polują na komentarze. Kilka tygodni po tym jak Alice rozpoczęła nową pracę, kazano jej pójść do kobiety, której syn zginął potrącony przez samochód, a kierowca uciekł z miejsca zdarzenia. Alice odmówiła. Możesz sobie wyobrazić – ledwie po studiach, z mlekiem pod nosem, a postawiła się redaktorowi? Powiedziała, że nie po to wybrała dziennikarstwo. Nie zwątpiła

w swoje zawodowe powołanie, ale nigdy nie wykonała pukania śmierci.

Mam już dość czytania bzdur na temat mojej córki. Alice ginie już pod samym ich ogromem. Jesteśmy świadomi faktów. Miała we krwi 2,1 promila alkoholu. Której części słowa „wypadek” nie rozumieją ci krwiopijcy?

I mała ironia. Alice o mały włos nie poszłaby do Southampton, dostała się też do Oksfordu. Merton. Oczywiście próbowałam ją namówić – wszystko, byle nie Southampton – ale ona wolała bardziej „prawdziwe” miejsce. Cieszę się, że wydostałam się z Twojego miasta. Życie akademickie toczyło się okropnym, plemiennym trybem. Mały świątek, w którego oczach byłam zbrukana.

Alice to nie rebus typu „połącz punkty”, Jem. Nie jest jakimś zakurzonym archeologicznym artefaktem, który możesz odkopać i zaprezentować światu. Ona nie jest Twoja. Zbyt wiele osób próbowało rozgrabić jej życie. Upoluj sobie kogoś innego, a Alice zostaw w spokoju. Nie rób tego, co robisz zazwyczaj – nie mieszaj faktów z fikcją, nie naginaj rzeczywistości, by pasowała do Twojego świata. Nie, z pewnością nie mam zamiaru spotkać się z Tobą na drinka – skończyłam z pić dawno temu. Nie sądzę też, aby mój mąż był szczególnie zachwycony perspektywą naszego ponownego spotkania. To wrażliwy człowiek, nie powiedziałam mu więc, że wysyłamy sobie maile. Proszę, miej na tyle przyzwoitości, by zachować tę wymianę w tajemnicy.

Miałam powiedzieć coś jeszcze, ale straciłam wątek... nie odpisuj – chyba że wymyśliłeś, jak przywrócić martwych do życia, a jestem przekonana, że nawet taki szanowany antropolog jak Ty jeszcze do tego nie doszedł.

Jeszcze raz grzecznie Cię poproszę. Zaprzestań tego, co robisz. Będę błagać, jeśli będzie trzeba. Tak bardzo tęsknię za moją córeczką, Jem.

Liz

*

**Oświadczenie wydane przez prawnika w imieniu Holly
Dickens, Sarah Hoskings i Lauren Nugent
6 lutego 2012, 10.00**

Alice Salmon była pełnym życzliwości, wspaniałomyślnym i cudownie ciepłym człowiekiem, a to, że została nam odebrana, jest zupełnie niepojęte.

Była bystra, piękna i lubiana, i miałyśmy ogromne szczęście, że należałyśmy do licznego grona jej przyjaciół. Przytłacza nas wielki smutek, nie może się on jednak równać z rozpaczą rodziny Alice. Nie jesteśmy w stanie nawet pojąć cierpienia, jakie odczuwają jej najbliżsi. Łączymy się z nimi w bólu.

Jak podano do publicznej wiadomości, nasza trójka spędziła razem z Alice część wieczoru w sobotę 4 grudnia w centrum Southampton. Oczywiście próbowaliśmy pomóc służbom, jak tylko umiałyśmy, i nadal będziemy to robić. Jesteśmy przekonane – i wyrażamy taką nadzieję – że wkrótce uda się ustalić tragiczny ciąg zdarzeń, które poprzedziły śmierć Alice. Nie przywróci jej to życia, ale może się okazać pewnym pocieszeniem dla jej rodziny. Niestety nie posiadamy żadnych informacji co do losów Alice i miejsca jej przebywania po godzinie dwudziestej drugiej.

Myślenie o tym, co robiła nasza przyjaciółka albo gdzie się udała w ciągu tych kolejnych kilku godzin, które dzieliły ją od śmierci, to prawdziwa tortura. Do końca życia będziemy żałować, że lepiej się nią nie zajęłyśmy, nie powstrzymując tym samym tego, co zdarzyło się dalej. Jest nam z tego powodu niezmiernie przykro.

Wszystkie uważamy, że jedynym sposobem, w jaki możemy teraz okazać

Alice szacunek, jest niepodsyćanie spekulacji. Z tego powodu postanowiliśmy nie wypowiadać się publicznie na jej temat. Niniejszy sposób postępowania został nam zasugerowany przez policję. Jednocześnie prosimy wszystkich o poszanowanie prywatności państwa Salmon i całej rodziny.

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 30 maja 2012

Przeżyłem szok, Larry.

Jakiś kudłaty łobuz wparował dziś rano do mojego gabinetu i powiedział:

– To ty jesteś ten gość, który przywraca do życia martwą laskę?

– Tak bym tego nie opisał – odpowiedziałem.

Z impetem rzucił plecak na moje biurko, wyciągnął z niego płytę CD, parę tenisówek, kubek i kolczyk.

– Co do cholery...

– Przychodzę z darami – powiedział. – To wszystko należało do Alice.

– Ukradłeś to?

– Można to i tak ująć. Nie żebym ją cokolwiek obchodził, ale ja za nią szalałem i widząc, że nie zostaniemy parą, postanowiłem, że przynajmniej zachowam sobie coś na pamiątkę!

– Jeśli to naprawdę jej rzeczy, to powinieneś oddać je Liz. To znaczy Elizabeth Salmon, jej matce.

– Pewnie, że to naprawdę jej.

– Kim ty jesteś? Jak się nazywasz?

– To nie ma związku.

– To ważne... dla kompletności moich akt.

– To proszę mnie odnotować jako jedną z zainteresowanych stron – powiedział. – Tak, bardzo zainteresowaną. Wszystkich ich znałem – dodał. – Ją i jej paczkę. To działa się na moich oczach.

– Studiowaliście razem?

– Tak. I razem mieszkaliśmy. Mieliśmy wspólną metę na drugim roku. Dużo przesiadywałem w domu, stary.

– Czyli byliście sobie bliscy?

– I to jak. – Uniósł dłoń i skrzyżował palce. – Tak blisko byłem z nią, jej kumplami, jej facetami, ze wszystkimi. Opowiem o tym, ale nie za darmo!

Wyciągnął z plecaka biały T-shirt i rozłożył go przede mną. Na przedzie widniał napis: „Jeśli w niebie nie ma czekolady, to nie idę”. Przyłożył koszulkę do nosa i zaciągnął się głęboko, nieprzytomnie.

– Mam tego dużo. Takie skarby.

– To należało do niej? Dlaczego to masz?

– To był duży dom, mieszkaliśmy tam w sześć osób. Gubiliśmy swoje pierdoły, wkładaliśmy różne rzeczy nie tam, gdzie trzeba – powiedział, uśmiechając się chytrze. – Tylko ja jej niczego nie włożyłem! To nie było takie trudne, ona bez przerwy coś gubiła, kiedy upijała się na mieście. Brałem jej rzeczy, bo przez to czułem się, jakbym był bliżej niej. Nie jestem kretynek, robiłem to etapami. Trzeba uważać, co się robi. Nie igra się z planszą ouija.

– Podejrzewam, że nie.

– Będzie miała tablicę upamiętniającą?

– Uczelnie nie są zwykle chętne, by upamiętniać byłych uczniów, którzy zginęli w niejasnych okolicznościach.

– No to chyba nie podoba im się to, co robisz, stary, ty ją czynisz sławną. – Na chwilę odwrócił wzrok. – Niezła z niej była dupa.

Myślenie o mężczyznach w jej życiu było dla mnie ciężkie. Przez pierwsze kilka miesięcy, odkąd się tu zjawiała, byłem zły na każdego pierwszorocznika, jakiego z nią widziałem – wyobrażałem sobie, że obłapiają ją dzieciaki z plecakami, wpinkami i szerokim uśmiechem. Pamiętasz przecież, jaki byłem wtedy zatroskany, Larry. Pewnego dnia zauważyłem, jak wychodzi z akademika. Zapytałem nawet stróża, gdzie jest zakwaterowana – D3, Bates Hall. Już miałem się z nią skontaktować. Czy byłoby to takie straszne, skoro już za nią szedłem, gdybym wyciągnął rękę i położył na jej ramieniu albo u nasady pleców? Gdybym może wziął ją za rękę?

– Chcesz zobaczyć moje ulubione elementy kolekcji? – zapytał. Wyciągnął parę fioletowych fig.

– Ty popaprańcu.

– I po co takie słowa? Ty i ja mamy dużo wspólnego. Poza tym oddałbym je, ale tam, gdzie teraz przebywa Alice, nie miałyby z nich wielkiego pożytku, prawda?

Sam też nie byłeś obojętny na wdzięki młodszych kobiet, prawda, Larry? „Zapach perfum – powiedziałeś kiedyś z tą swoją poetycką wrażliwością – jest jak najlepsze dzieła Händla”. Czasem kręci Ci się w głowie, przyznałeś się kiedyś, kiedy patrzysz na studentki z okna swojego biura, nawet jeśli czyniłeś te obserwacje z naukowym obiektywizmem. Chętnie myślałem o nas jako o estetach. Wystarczy zresztą spędzić na kampusie odpowiednią ilość czasu, a nawet najbrzydsi, społecznie nieudolni mężczyźni (oczywiście odnoszą się tu do siebie, nie do Ciebie) odkryją, że mają pewne „możliwości”.

– Co masz w ogóle zamiar zrobić z tym zbiorem? – zapytał chłopak.

Rozejrzał się wokół, jakby spodziewał się pudełka z napisem „SALMON, A.”. – To jak gigantyczna układanka. Ciekawe, jak będzie wyglądać, gdy skończysz. Moim zdaniem ona się zabiła. Pewnie przeszło ci przez myśl stare dobre harakiri?

Przypomniałem sobie ostry, sterylny zapach pokoju mojego lekarza i to, jak gwałtownie zareagowałem na jego diagnostyczną niejednoznaczność. „Nie płacę panu tyle forsy za hipotezy” – warknąłem, kiedy na swoim komputerze uzupełniał moją kartę o nowe notatki.

Przez kilka sekund siedzieliśmy z chłopakiem w ciszy, po czym rozwścieczony jego zachowaniem powiedziałem:

– Wiesz, co to wyrażenie naprawdę oznacza?

– No tak: skończyć ze sobą.

– A dosłownie?

Spojrzał na mnie bezmyślnie.

– To po japońsku. Znaczy „cięcie brzucha”.

Chłopak nie odpowiedział. Jakie to okropne nie umieć się wysłowić, pomyślałem. Nigdy nie być słyszany. Może dlatego ludzie piszą? Dlaczego Alice prowadziła dziennik? Kiedyś pięknie to podsumowała: powiedziała, że nie chodzi o to, aby samemu stanąć i krzyknąć „Patrzcie na mnie!”, raczej znaleźć się w tłumie i wrzasnąć: „Słuchajcie nas!”.

– Oficjalnie seppuku – dodałem. – To forma używana w piśmie, ale w mowie częściej stosuje się „harakiri”.

– Nieważne. Chodziło mi o to, czy twoje małe śledztwo bierze to pod uwagę.

– Nie – odparłem, ale ta myśl już wcześniej tłukła mi się po głowie. Ludzi zrozpaczonych i odrzuconych często ciągnęło do tego odcinka rzeki, od czasu do czasu sam tam siadywałem. Według policji wszystko było jednak jasne: była pijana, poślizgnęła się, utonęła.

– Czemu ludzie zawsze są tacy mili wobec umarłych? Kiedy żyła, była niezłym czubem.

Obracałem w dłoniach kamienny przycisk do papieru. Prezent od Elizabeth, moja jedyna pamiątka. Żadnych zdjęć, żadnych listów (nigdy się nie ośmieliliśmy), tylko ten jeden cenny, ciężki szary przedmiot, mniejszy niż główka dziecka, mniejszy niż pięść. Cała epoka w moim życiu sprowadzona do kawałka czertu z plaży Chesil i naszych wspomnień, szczątków chemicznych reakcji w jędrnej, subiektywnej, ważącej półtora kilograma galaretowatej tkance, którą zwiemy mózgiem.

Wstał i zaczął przechadzać się po moim gabinecie, przejechał palcem po grzbietach kilku książek. *Człowiek człowiekowi* profesora Johna Wintera, *Gdzie ciało staje się mózgiem* Margaret Monahan, *Malując przeszłość* Guya Turnera.

– Nie dotykaj tego – warknąłem.

– Kto to w ogóle pisze?

– Między innymi ja. A przynajmniej miałem udział w paru.

– Ach, zawsze druhna, nigdy panna młoda, co? – zapytał z zaskakującą spostrzegawczością.

Wykładowca zakochuje się w studentce, jakież to straszny banał, prawda, Larry? Ale w te dni, kiedy się za nią włóczyłem, serce biło mi szybciej, zaciskałem zęby i pięści. Jakbym sam znów był studentem. Robiła wrażenie zdenerwowanej, jak każdy pierwszorzecznik, ale dużo się śmiała, a ci, którzy łatwo wybuchają śmiechem, zawsze dają sobie radę. Szkoda, że nie śmiałem się częściej. Pamiętasz tego statystyka z zamiłowaniem do różowego dżinu i chłopców, który miał swój gabinet niedaleko mnie? Kiedyś nazwał mnie „starym próchnem”. Wziąłem to za komplement: trzymałem się swojej zasady, że jestem „zbyt inteligentny, by uznać za zabawne to, z czego śmieją się wszyscy pozostali”, i postanowiłem, że to niezbędny atrybut twórczego

myślenia, jakie planowałem wdrożyć. Zrobiłem się w tym planowaniu cholernie dobry, szkoda że nie mogę powiedzieć tego samego o twórczym myśleniu.

– Schowaj je, na miłość boską – powiedziałem, wskazując podbródkiem majtki. – Bez względu na to, do kogo należały.

– Należały do Alice, bez dwóch zdań. Możesz je sobie zatrzymać – odparł. – Uznajmy to za akt mojej dobrej woli, prezent, choć na świecie nie ma nic za darmo, prawda, profesorze? – Rozsiadł się w fotelu i powiesił majtki na lampie, która stała na stoliku obok. – Nieodwzajemniona miłość jest do dupy, co?

Zdjęcie mojej żony na ścianie. I Milly, naszego labradora, z lat dziewięćdziesiątych. Czarno-biała fotografia matki ze mną. Co wiedział ten chłopiec ze zdjęcia o rzeczach, które robi w życiu, o tym, kim się stanie? Uśmiechał się szeroko, ale nawet wtedy był to uśmiech pełen obaw. Założę się, że temu chłopcu ani razu nie przyszło do głowy, że to może się skończyć – to jego życie, to, co budziło go każdego ranka, co sprawiało, że wkładał kwiaty pomiędzy delikatne strony Biblii dziadka, że szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w atlasy i mikroskopy. Jakże mógł wyobrazić sobie chwilę, gdy pojawi się pierwszy prawdziwy znak śmiertelności? Słowa lekarza: „Testy wykazały pewne kwestie, którymi musimy się zająć”.

Popchnął palcem stosik książek, na który spadły majtki.

– Wow, zajebiste.

Nie jestem pewien, czy dotarło do Ciebie to sformułowanie, Larry, ale rozumiem, że oznacza ono „dobre”. Nie jestem też pewien, czy będę jeszcze miał szansę odwiedzić Twój wspaniały kraj. Ludzie w moim stanie zdrowia nie powinni latać, wątpię też, aby było dla nich wskazane przebywanie tak daleko od domu, lekarzy, tabletek i zabiegów. Jak widzę, tak właśnie działa

choroba: jedną po drugiej odbiera części składowe twojej osoby. Możliwość podróży, popęd płciowy, poczucie celu. To jakby losowo wymazywać wartości z równania albo wyrzucać elementy modelu cząsteczkowego, aż zostanie coś, co nie działa i co nawet z grubsza nie przypomina ciebie.

– Te książki i gabinet... jesteś jak z filmu. Jesteś kozak.

– Uznaję to za komplement.

– Jak chcesz, ale musimy porozmawiać o liście.

– Jakim liście?

Spojrzałem na jego przedramiona: całe pokryte tatuażami, w czerwieniach, zieleniach, błękitach i żółciach.

– Mam nadzieję, że wiesz, iż nie ma w tym nic oryginalnego – powiedziałem urzeczony. – Ludzie od tysięcy lat znaczyli swoje ciała. Ötzi też miał tatuaże.

– Kto?

– Człowiek lodu. Szczątki ciała z epoki lodowcowej, które odkryliśmy w 1991 roku. Mają ponad pięć tysięcy lat.

– O kurka – powiedział.

W tym odkryciu nie było liczby mnogiej, pomyślałem. Po raz kolejny stałem z boku.

– Miał brązowe oczy i grupę krwi zero, około czterdziestu pięciu lat, kiedy zmarł, a dokładnie kiedy został zamordowany. Ustaliliśmy nawet, co zjadł na ostatni posiłek: mięso kozicy. Spekuluje się, że jego tatuaże były próbą ulżenia sobie, biedak cierpiał na artretyzm.

– Ty też do nich należysz – odparł.

– Do kogo?

– Mówisz, że ludzie znaczyli swoje ciała, ale nie tak to powinno brzmieć. Powinieneś powiedzieć „my znaczyliśmy ciała”, bo przecież też jesteś

człowiekiem. Ale dość pierdół. Co zrobimy z listem, panie Człowiek Lodu?

– Jakim listem?

– Nie rźnij głupa. Twoim listem. Stary, jesteś lokalnym gwiazdorem. Wyobraź sobie tylko, w jakie wpakowałbyś się gównno, gdyby przyczepiły się do ciebie media. Rozszarpałyby i ciebie, i twoją starą.

Sięgnął do plecaka, wyciągnął z niego starannie złożoną kartkę papieru i przesunął ją na środek biurka, nie cofając dłoni. Rozpoznałem swój charakter pisma i serce mi podskoczyło. List zaczynał się od słów: „Uroczą Alice”.

– Wynoś się albo sam cię stąd wyrzucę – zażądałem, ogarnięty nagłą złością. Podobnie bywało, gdy miałem pięćdziesiąt czy czterdzieści lat. Poczułem coś. Wymacałem przycisk do papieru i w głowie zaświtało mi osobliwe pytanie: co by było, gdybym trafił nim chłopaka w głowę? Sprawił, żeby zniknął, przymknął mu dziób, sprawił, by wiedział, jak to jest być śmiertelnym, skończonym. Potarłem twarz i opanowałem się. – Ona powodowała, że ludzie inaczej na siebie spoglądali – powiedziałem. – Poruszała ludzi.

– Mnie ani tknęła. Może zrobiła ci dobrze? Albo ty jej? Co jest, wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha!

Larry, to wszystko jest takie skomplikowane. Wiemy, że jest skomplikowane, ale teraz skomplikowało się jeszcze bardziej.

Teorię tego prymitywa o samobójstwie sprawdziłem jak każdą inną. Moim zadaniem jest oddzielić fakty od bajek, uporządkować chaos. To misja, która zupełnie mnie pochłonęła, stąd też ta niechlubna przerwa od ostatniego listu. Opuścisz mi to, prawda? Spróbuję odmalować wzory, ale moje kognitywne umiejętności nie są już takie jak kiedyś. Nowy dzień i najświeższe szczegóły przenikają do mojego ciemienia, wiodą prym, a fragmenty przeszłości pozostają w na przemian jasnym i zamglonym

obszarze pamięci. Ale będę się starał być wierny faktom, bez względu na to, jak krwawe czy sprośne mogą się okazać. Wszystko tam jest, zamknięte w głowach i sercach garstki z nas, czeka na wydobycie. Muszę zagłębić się w szczegóły, zweryfikować je, uwiarygodnić, uzasadnić, oddzielić prawdę od mitu: kłamstw, miłości, pretensji, niewierności, zdrady, morderstwa.

Siedziałem, próbując złapać oddech. Próbując tchnąć życie w więcej niż jedno martwe ciało.

I oto proszę, rażący i jednoznaczny list miłosny i zawarte w nim rewelacje: gorzka mieszanka protekcjonizmu i... cóż, czegoś o wiele bardziej grzesznego.

Jezu, co ja narobiłem?

Twój jak zawsze

Jeremy

*

Artykuł na stronie „Southern Eye” 7 grudnia 2012

Pierwszy policjant przy zwłokach Salmon odchodzi ze służby z powodu telefonów „zza grobu”

Były policjant, który jako pierwszy dotarł na miejsce śmierci Alice Salmon, wypowiedział się na temat tamtego wstrząsającego zdarzenia.

Dzielny Mike Barclay opisał w wywiadzie dla „Southern Eye”, jak zajście, które od roku nie schodzi z czołówek gazet, przyczyniło się do jego rezygnacji ze służby w policji po niemal trzech dekadach.

Oficjalne śledztwo nadal trwa, ale były policjant oświadczył, że zdarzenie mogło mieć „podłoże seksualne”, ponieważ „jej bluzka była poszarpana i zadarta”.

Dla ojca trójki dzieci od razu było jasne, że ma do czynienia ze zwłokami, nie podjął więc próby samodzielnego wyłowienia dziewczyny z rzeki Dane – zamiast tego zadzwonił po wsparcie.

– Byłem gotów iść razem z nią wzdłuż rzeki, gdyby zaczął znosić ją prąd, ale zaplątała się w tatarak – powiedział. – Mężczyzna, który zadzwonił pod numer alarmowy, siedział na brzegu w całkowitym szoku i powtarzał w kółko, jak ją znalazł. Kiedy przyjechał sierżant, przejął dowodzenie, i po chwili na miejscu zebrały się tłumy: kryminalistka, oficerowie śledczy, nurkowie z ekwipunkiem, kto tylko mógł. Reszta funkcjonariuszy ogradzała teren: ścieżkę, schodki, most. Chodziło głównie o to, aby zabezpieczyć miejsce zdarzenia i powstrzymać ludzi przed niszczeniem dowodów.

Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną zgonu było utonięcie, przy jednoczesnym stwierdzeniu we krwi denatki obecności alkoholu i kokainy. W orzeczeniu otwartym koroner odnotował także „otarcia i drobne rany na jej twarzy, zadrapania na kolanach i sporej wielkości świeży siniak na prawym ramieniu”.

– Nawet przy słabym świetle i ze sporej odległości widziałem rany na jej twarzy – powiedział Barclay. – Zaryzykowałbym tępy uraz, jakby ktoś wymierzył jej cios w twarz.

Szczególnie zaniepokoił go odgłos komórki Salmon.

– Leżała w błocie blisko wody i bez przerwy dzwoniła. Ktokolwiek próbował się połączyć z dziewczyną, nie miał bladego pojęcia, jakie czekają go wieści – powiedział.

– Jeśli pracuje się w zawodzie trzydzieści lat, to może cię dopaść znieczulica, ale moja córka ma niewiele ponad dwadzieścia lat, więc się

przejąłem.

Barclay przyznał, że nadal powracają do niego obrazy z tamtego zdarzenia, często wzbudzone przez dzwonek o nazwie „Sonar”, taki jak w komórce Salmon.

– Kiedy służy się w policji, trzeba się zmagać z najróżniejszymi rzeczami, ale ta sprawa podziałała na mnie w zupełnie wyjątkowy sposób. Następnego dnia moja wnuczka obchodziła urodziny i kiedy zdmuchnęła świeczki, ja też wypowiedziałem życzenie – podsumował Barclay.

*

Recenzja autorstwa Alice Salmon w muzycznym magazynie „Stunt” ukazującym się w Southampton 2005 rok

Baczenie obserwujcie zespół The Dynamite Men.

Dumnym, stylowym krokiem wkroczyli na scenę Pump House i wykonali sześćdziesięciodwuminiutową wiązaną, przy której świetnie bawiła się studencka publika.

W tym popularnym klubie, wypełnionym po brzegi ponaddwuosobowym tłumem, który zebrał się, by zobaczyć lokalne trio, próżno było szukać miejsca do siedzenia.

Najpierw wyznanie – autorka recenzji nie jest bezstronna. Poznałam kiedyś wokalistę grupy w barze na East Street i zachwyciłam się nim jak czternastoletnia *groupie*. „Stunt” ujawnia, że naprawdę nazywa się on Jack Symonds, ma dziewiętnaście lat, pochodzi z Southampton i jest współczesnym Lordem Byronem o seksownych, rozwichrzonych, ciemnych

lokach, w wąskich dżinsach i o mrocznej prezencji scenicznej.

Na godzinę świat zwolnił tempo. Martwienie się o pieniądze, stres związany z egzaminami i faszystowskimi dozorcami gdzieś się ulotnił, a rzeczywistość sprowadzała się tylko do muzyki, która wypełniła salę i nasze serca. W smutnej i przejmującej piosence *Poranek* śpiewali o relacjach: „obudziłem się obok obcej dziewczyny, kiedy się do niej odwróciłem, nie uśmiechała się”. Potem zagrali pełen melancholii kawałek *Daleko*, mówiący o trudnościach związanych z opuszczeniem domu, o chwili gdy „odwracasz się przez ramię, to, co widzisz jest takie małe, lecz ty już nie jesteś mały wcale i dumnie idziesz dalej”. W ich tekstach nie brakuje jednak humoru. W przezabawnym i bez wątpienia bazującym na własnych doświadczeniach utworze *67 pensów* śpiewają o tym, jak to jest nie mieć grosza przy duszy. Kolejna z moich ulubionych piosenek to *Zabijasz mnie* napisana dla anonimowej pierwszej miłości (szczęściara!), która „złamała serce bez mrugnięcia okiem”.

W ich muzyce słyhać wpływy innych wykonawców. The Libertines, Oasis, a nawet trochę Amy. Zdołali jednak połączyć wszystkie te inspiracje w nietuzinkowe brzmienie. Brzmienie The Dynamite Men.

Najbardziej spodobał mi się utwór *Cios*, przenikliwa analiza uzależnienia, w którym udręczony i samotny na scenie Jack z doskonałą dokładnością opisywał jasność, ukojenie i odwagę, jakich mogą dostarczyć narkotyki. „Moja kolej na toaletę, moja kolej na tabletkę, jakbym połykał musującą rybę, wdychał kwiatowy pyłek...”

Oczywiście nie był całkiem sam – miał swoich kumpli z zespołu: Calluma Jonesa (19 lat) i Eddy’ego Coxa (20 lat). To koledzy ze szkoły, których – jak kiedyś powiedział wokalista – połączyła siła muzyki, aby razem mogli zmienić świat. „Uznaliśmy, że mamy coś do powiedzenia!” – krzyknął.

Słuchamy, Jack. Słuchamy z zainteresowaniem.

Muzyczne źródła twierdzą, że w tej branży trzeba mieć dużo szczęścia i chyba tylko tyle dzieli The Dynamite Men od wielkiego sukcesu. Jeden z dziewiętnastoletnich studentów matematyki opisał ten występ jako najlepszy koncert, na jakim był, i choć nie mogę się w pełni zgodzić – koncert Pulp w Apollo w Manchesterze wygrywa, jeśli chodzi o tę recenzentkę – to DM lądują na drugim miejscu.

Jasne jest, dlaczego The Dynamite Men zdążyli już sobie zaskarbić grono wiernych fanów w kręgach uniwersyteckich. Po występie Jack siedział przy barze z uczestnikami koncertu. (Z przyjemnością donoszę, że recenzentka została z nim aż do zamknięcia – oczywiście z powodów zawodowych!)

Czuję się wyróżniona, że mogłam zobaczyć występ tego zespołu. Miałam wrażenie, że na moich oczach tworzy się historia muzyki. Kiedy po raz pierwszy na scenie stanęli Arctic Monkeys, było pewnie podobnie. To była chwila, o której ludzie będą rozmawiać latami. Wieczór, kiedy The Dynamite Men po raz pierwszy zagrali w Pump House. Dalej będą eksplodować. Będą robić hałas. Ten zespół z hukiem wejdzie do show-biznesu.

Od tej pory będę chodzić na każdy ich koncert, zdecydowanie (kredyt studencki – jaki kredyt studencki?). Studiowanie może poczekać. Muzyka taka jak ta – nie. Zresztą, jak ujęli to Babyshambles, „pieprzyć wieczność”.

*

**Wpis na blogu Megan Parker
12 lutego 2012, 21.30**

Sprawdziłam prywatne wiadomości Alice na Twitterze. Jak miło, że nie

wzięłaś sobie do serca mojej rady i nie zmieniłaś hasła, Salmonetko... pewnie używałaś tego samego do każdej strony, na której się zarejestrowałaś! Znalazłam rozmowę z 15 stycznia. Oczywiście powiedziałam o niej policji, ale niczego to nie zmieniło. Publikuj i niech cię szlag, co, Alice?

OD @WolnyWolnyCzłowiek: Nie zapomniałem o tobie, moja mała bojowniczo o wolność.

OD @AliceSalmon1: Kim jesteś?

OD @WolnyWolnyCzłowiek: Cierpliwości, cierpliwości, Panno Pogromczyni Przestępców, wszystko w swoim czasie.

OD @AliceSalmon1: Nie boję się ciebie.

OD @WolnyWolnyCzłowiek: I wzajemnie.

OD @AliceSalmon1: Kim jesteś? Nie masz jaj, żeby mi powiedzieć?

OD @WolnyWolnyCzłowiek: Nie martw się, mam jaja, i to całkiem spore. Chcesz zobaczyć?

OD @Alice Salmon1: Jesteś żałosny.

OD @WolnyWolnyCzłowiek: A ty martwa.

OD @AliceSalmon1: Przestań do mnie pisać, bo powiadomię policję.

OD @WolnyWolnyCzłowiek: Masz ładną fioletową czapkę. Chciałbym cię zerznąć.

OD @AliceSalmon1: Idź do diabła. I przy okazji naucz się pisać.

*

**Korespondencja SMS-owa Alice Salmon i Gemmy
Rayner
14 grudnia 2011**

G.R.: Sorki z powodu ciebie i Luke'a – przebieżka na poprawę humoru?

A.S.: Nie mogę, rozwaliłam kostkę.

G.R.: Kontuzja?

A.S.: Pijacka J

G.R.: Gdzie i kiedy?

A.S.: Wczoraj u Meg. Różnica zdań pomiędzy mną a schodami!
Obwiniam balustradę.

G.R.: Pijaczynka:*

A.S.: Zadzwoń. Nie wiem nawet co u ciebie. Musisz opowiedzieć o szukaniu mieszkania. Może truchcik w Battersea Park czy coś?

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 10 czerwca 2012

Mój drogi Larry,

chłopak z tatuażami powrócił. Wszedłem do swojego gabinetu, a on siedział w środku z bezczelną miną i czekał na mnie.

– Znowu ty – powiedziałem.

– Witam Człowieka Lodu – odpowiedział. – Pomyślałem, że będziesz chciał jeszcze raz zobaczyć swój list. – Wyciągnął go z plecaka. – Nie wiem właściwie, dlaczego go zachowałem, może coś we mnie poruszył. Odkrycie, że jeszcze ktoś oprócz mnie leciał na Alice, było dość dziwne. Zacząłem wtedy kraść więcej jej rzeczy niż normalnie. Psycholog miałby ze mną ubaw, co? Pewnie by uznał, że próbuję się pozbyć konkurencji!

Powinienem się był spodziewać, że ten list któregoś dnia wróci, choć

Alice powiedziała, że go zniszczyła. Twierdziła, że go spaliła, co wydało mi się nieco teatralnym gestem, ale założyłem, że nawet jeśli to nieprawda, list nie przetrwał. W końcu był zaledwie kartką papieru. „Jakiś wariat wsunął list pod moje drzwi na początku pierwszego roku, deklarując miłość” – powiedziała mi kiedyś w zaufaniu. „Bardzo niepokojące – odparłem, udając, że o niczym nie wiem. – Do twojego światła zlatują się ćmy?” „Chyba raczej muchy do gówna” – skwitowała.

Chłopak w moim gabinecie powiedział:

– Musisz być niezłe popieprzony, żeby napisać coś takiego.

Okrągły brzusek B. Wysoki, ostry daszek A. Moje, wszystko moje.

– Uznała, że to jakiś żart, ale ja umiem rozpoznać wariata już na pierwszy rzut oka. Jak myślisz, Człowieku Lodu, jak wyczulony na wariatów jest twój radar? Żartowniś czy świr? Ja bym postawił forszę na to drugie, a ty? No, gdzie jest twoja forsa?

– Proszę się przedstawić – zażądałem.

– Mówią na mnie Mocksy. – Pieścił w dłoniach mój list. Nie miał prawa tak go bezcześcić. Kolejne słowo, które rozpoznałem, sformułowanie, konstrukcja zdania. Dla specjalisty język przypomina profil DNA, można na nim polegać jak na policyjnym okazaniu. Rozejrzałem się wokół. Mój dyplom, wyblakła fotografia z pomniejszonym ministrem, wycinek z gazety z nagłówkiem „Cooke bliski przełomu”, odnoszący się do jakiegoś w końcu daremnego badania.

– Zamiast podpisu jest pytajnik. Co za pomylenie! Pytajnik i buziak. Coś takiego zrobiłoby chyba dziecko.

Wlepiłem wzrok w X. Dwa skrzyżowane pociągnięcia. Dwudziesta czwarta litera w alfabecie łacińskim, rzymska 10, nieznana zmienna, pierwsza litera imienia Chrystusa w grece. Całus.

– Trzymaj się z dala ode mnie i od pamięci Alice Salmon, słyszysz?

– Dlaczego? – zapytał. – Ty tego nie robisz. No dalej, spróbuj strzelić w ciemno i powiedzieć, kto twoim zdaniem to napisał?

Obaj spojrzeliśmy na pojedynczą kartkę papieru: była częstką mnie, toksyczną, cenną. „Uroczą Alice, nie bój się” – brzmiały pierwsze słowa.

– Pięćset funtów – powiedział.

Straciłem już rachubę, ile razy zdarzyło mi się obciążać Cię swoimi problemami, Larry. Ale było – jest – tak niewiele osób, które darzę zaufaniem. Wszystkie te kartki, które poświęciliśmy na rozmowy o Kartezjuszu i Tomaszu z Akwinu, były chyba kroplą w morzu w porównaniu z tym, ile rozmyślałem o Alice w 2004 roku, a wcześniej, we wczesnych latach osiemdziesiątych, o mojej małżeńskiej niewierności.

Pamiętasz, jak błagałem, żebyś przyjechał? Żebyś przybył z litościwą misją niczym wlokący się ciężko bernardyn niosący brandy i mądrą poradę? Mogliśmy pójść do The Crown. Usiedlibyśmy gdzieś w głębi baru, a inni bywalcy nie byłiby w stanie stwierdzić, czy jesteśmy sobie zupełnie obcy, czy może stanowimy parę najbliższych przyjaciół, którzy gawędzą nad kufkami okropnego orzechowego, spienionego sikacza, który oni uważają za piwo.

– Pięćset funtów – powtórzył chłopak z tatuażami. – Albo kopię tego listu zobaczą państwo Salmonowie.

Chłopak znów wyciągnął list i w kąciku jego ust pojawił się delikatny uśmiezek. Zobaczyłem kolejne słowo i poczułem ukłucie melancholii z czasów, kiedy uczyłem się pisać: uczucie niekończących się możliwości. Po raz pierwszy dotarło do mnie wtedy, że nasze rozumienie świata – a więc i jego istoty – zależało od słów, jakimi zdołamy go objaśnić.

Wróciło do mnie jaskrawe wspomnienie tego dnia, kiedy zakradłem się do Bates Hall: zimne klatki schodowe, korytarze, po których niosło się echo, wyleniałe dywany. Przypominało mi to Warwick. Zapach stęchłego jedzenia,

chili con carne. Proustowska część mojego mózgu pracowała na najwyższych obrotach. Nie jesteś głupim, nic nieznaczącym naukowcem, myślałem, szukając jej pokoju. Miała na drzwiach tabliczkę z nazwiskiem, która wyglądała, jakby zrobiło ją dziecko. Gdyby otworzyła drzwi, to kto wie, co bym zrobił. Powiedział „cześć”? Zapytał, czy zdołała się już rozpakować? Wprosił się do środka? Szedłem korytarzem, szamocząc się z myślami. nie otwieraj drzwi, otwórz drzwi, nie otwieraj drzwi, otwórz drzwi. Najważniejsze wydawało mi się to, że nie można tego przemilczeć – tego, jaka Alice jest wyjątkowa. To, że nie miała o tym bladego pojęcia, czyniło ją oczywiście jeszcze bardziej nietuzinkową. Była idealną kopią swojej matki.

Boże, jak ja uwielbiam kobiety. Wielbiłem kształt ich szyi, kolor ich ust, zapach ich włosów. „Chcę je wszystkie zerznąć, co do jednej” – napisałem Ci kiedyś. Jak wiesz, nie zawsze pociągały mnie tylko kobiety – wiele razy opowiadałem o moich kilku epizodach ze studentami z Warwick. Dlaczego, Larry, kiedy przypominam sobie te szybkie i przeważnie niesatysfakcjonujące schadzki, czuję wstyd? Dowiedziono, że setki gatunków zwierząt wykazują homoseksualne zachowania, a mimo to tylko jeden – my – przejawiamy homofobię. Każdy z tych mężczyzn mógł chyba skierować mnie na inną ścieżkę. Zamiast tego zagrzebałem tę część mnie, jeśli rzeczywiście była częścią mnie – ten pierwiastek, fragment, który wiódł do miejskich parków i pokojów obcych mężczyzn, pokojów ozdobionych pamiątkami ze szkół tylko odrobinę gorszych od mojej. Teraz to bez znaczenia. Dokonałem swoich wyborów.

Napisałem ten list w taki sposób, żeby Alice się nie przestraszyła. To zadziwiające, jak dużo i jak mało można powiedzieć w dwunastu zdaniach. Pisząc, zastanawiałem się, czy przeżywam załamanie. Często rozmyślałem o tym, jakie by to było uczucie. Nie jest pewnie tak dramatyczne, jak można sobie wyobrazić: seria maleńkich, prawie niedostrzegalnych kroków. Nie

obchodziło mnie to jednak. Ktoś mnie zauważał, słuchał, czuł. Mnie. Profesorka. Nawet gdyby zaczęła opowiadać o tym liście, nigdy nie doszliby, że chodzi o mnie, a poza tym moja kariera i tak nie zmierzała w żadnym kierunku. Tuż przed tym zdarzeniem pominięto moją kandydaturę na dziekana i został nim jakiś chłopiec z Imperial.

„Bynajmniej nie chodzi o to, że nie doceniamy twojego wkładu – zostałem protekcjonalnie poinformowany. – Ta funkcja wymaga raczej innych umiejętności niż twoje”.

Fliss musiała wyczuć, że coś jest nie tak.

„Wydajesz się czymś bardzo zaabsorbowany” – powiedziała tego wieczoru, kiedy napisałem list. Natknąłem się wtedy na film dokumentalny Attenborough, który na chwilę zaspokoił nas oboje, po czym poszliśmy na górę, gdzie ona poczytała swoją książkę o florze i faunie South Downs, podczas gdy ja w rozkojarzeniu przerzucałem kartki mojej, dotyczącej schyłku języka Irokezów. Kilka minut później zasnęła, a ja zakradłem się na palcach do swojego gabinetu i wyciągnąłem pióro.

Fliss uważała, że mój romans – przepraszam, że skaczę po tematach, ale tak działają ludzkie wspomnienia – umocnił nasze małżeństwo, lecz coś nam odebrał. Problem polega na tym, że ludzka natura każe nam troszczyć się o tak zwany numer jeden. Wszyscy musimy być przekonani, że jesteśmy najważniejszymi istotami na ziemi, to podstawa ewolucji. Brzmi bardzo pesymistycznie, ale czy nieposiadanie dzieci nie jest objawem takiej właśnie postawy? Mówi się, że rodzicielstwo uczy stawiać potrzeby drugiego człowieka przed własnymi. Jasne, zdobyłem się w życiu na wiele poświęceń. Jezu, patrzenie, jak matka powoli umiera, z pewnością ich wymaga – mój ojciec i ja zerwaliśmy wszelkie kontakty, na długo zanim ten wredny stary knur wyciągnął kopyta – ale gdybyś zapytał: „jej życie czy twoje?”, to co bym odpowiedział? Jak każdy z nas by na to odpowiedział?

Tak, piłem, ale tylko żeby się rozgrzać. Single malt whisky marki Balvenie, którą oszczędzaliśmy z Fliss na szczególną okazję. Problem tkwi w tym, że chyba nigdy się nie nadarzyła. Spędziłem na tym prawie całe moje życie, Larry: na czekaniu.

Może dzień, kiedy zakradłem się do Bates Hall, to była ta specjalna okazja? Bo czułem, że żyję, znów wiedziałem, co to znaczy być człowiekiem, mężczyzną. Nie doświadczyłem czegoś takiego od lat. Czasem jesteśmy czymś więcej niż tylko nauką, prawda? Więcej niż moją antropologią albo Twoją genetyką. Zadajemy kłam logice. Wtedy czujemy się najlepsi, najbardziej wartościowi. I najbardziej niebezpieczni.

– Czy byłem dobrym człowiekiem? – zapytałem chłopaków w moim gabinecie: tego z tatuażami przede mną i tego zaniepokojonego ze zdjęcia na ścianie.

– Dobry człowiek na pewno nie napisał tego listu, odpowiedział jeden z nich. – A teraz: gdzie jest moje pięćset funtów?

Dziesięć minut później stałem z nim przy bankomacie.

Twój jak zawsze

Jeremy

*

Fragment pamiętnika Alice Salmon, lat 21 5 sierpnia 2007

Ledwie skończyłam jeść sernik, kiedy tata nagle wstał, stukając w kieliszek.

– Proszę wszystkich o kilka chwil uwagi. Mam wrażenie, że ledwie wczoraj pędziliśmy z Lizzie do szpitala, i kiedy mówię „pędziliśmy”, to mam na myśli, że naprawdę mknęliśmy z prędkością światła. Nasza piękna córka nieomal urodziła się na autostradzie A427!

Z okazji moich dwudziestych pierwszych urodzin rodzice zarezerwowali miejsce na lunch w pięknej restauracji, która była tak popularna, że musieliśmy się wpisać na listę oczekujących, stąd opóźnienie. Było nas osiemnaścioro: bliscy, rodzice chrzestni i przyjaciele rodziny, których zwykłam nazywać ciotkami i wujkami, mimo że nimi nie byli. Zamówiłam wędzonego szkockiego łososia (ten mój kanibalizm), i był przepyszny, choć skusiłyby mnie też małże świętego Jakuba i homar w imbirze, gdybym nie była takim cieniem w kwestii owoców morza. Okazja do świętowania zrobiła się podwójna, bo ledwie co dostałam propozycję pracy. Żegnaj, Kate Adie! Nadchodzi nowa dziennikarka „Southampton Messenger”, Alice Salmon, i zaczyna 10 września.

– Jesteśmy bardzo dumni z Alice – powiedział tata. – Skończyła uczelnię z bardzo dobrym wynikiem, choć upierała się, że ledwie się prześlizgnie!

Twierdził później, że ta przemowa była improwizowana, ale nie dałam się na to nabrać, bo strzelał żartami, jak to kanclerz skarbu Gordon Brown ma pierwszą w życiu okazję wydusić ze mnie trochę podatków. Nieźle się rozgadał.

– Rozumiem, że prawdziwa urodzinowa impreza odbędzie się w następnym weekend gdzieś w Southampton, w jakimś miejscu, które nazywa się Flames – powiedział tata i znów poczułam ukłucie smutku, że tata nie potrafi sobie tego wyobrazić: tych łóż i drewna, oświetlonego parkietu i ciemnych zakamarków – miejsca, które, jak dowiedziałam się na początku pierwszego roku, trzeba zobaczyć – gdzie spędziłam tyle rewelacyjnych wieczorów.

– Mężczyźni z Southampton, uważajcie – dodał, z czego moja ciocia Bev

wywnioskowała, że pewnie jestem szmatą, bo potem od razu do mnie podbiegła i zaczęła wypytywać o moje życie uczuciowe (dewotka w rodzinie).

– Wyglądasz pięknie, Asie – powiedział tata, na co ja zaczęłam się mazać, po czym dodał, że nie wie, co by beze mnie począł („Ej, on nie wie, co by począł!”, krzyknął Robbie... Wydaje mu się, że jedno DVD Petera Kaya zrobiło z niego komika) i ile przysporzyłam im dumy, na co poczułam się winna, bo właściwie to nie zrobiłam nic. A kiedy zaczął mówić o tym, jaką zżytą jesteśmy rodziną, zupełnie się posypałam, bo pomyślałam, że ojciec zna mnie prawie doskonale, i zapragnęłam, żeby powiedzieć mu o tylu innych rzeczach. O tym, jak nigdy nie czułam się wystarczająco dobra, jakbym ciągle udawała, przez co tak bardzo smakował mi alkohol, bo dzięki niemu dorównywałam wszystkim pozostałym. Drink i kilka kresek, choć mam zamiar z tym wszystkim skończyć, bo teraz najważniejsza jest kariera, ale chciałabym, żeby tata o tym wiedział, bo inaczej będzie znał tylko część mnie.

– Nie mogę uwierzyć, że ta mała wrzeszcząca kulka cudowności, której Lizzie o mały włos nie urodziła w zatoczce przy autostradzie dwadzieścia jeden lat temu, przemieniła się w tę... nieco większą wrzeszczącą kulkę cudowności!

A kiedy przytoczył łacińską sentencję *tempus fugit*, przerwała mu mama.

– Daj spokój, Dave. Powiedziałam, że włączę alarm przeciwpożarowy, jeśli będziesz plótl dłużej niż pięć minut.

Dodał więc tylko:

– Dziękuję, Alice. Po prostu dziękuję.

Podeszłam do niego i uścisnęłam go mocno, zastanawiając się, czy czuł wino i colę, których opary unosiły się z mojej skóry, jakby moje wnętrzności nie mogły im już podołać. Tata był za to taki jak zawsze: duży, postawny

i miękki – jak mój tata.

Kiedy w końcu udało nam się posadzić tatę na miejscu, pobawiłam się w gospodynię wieczoru i zagadywałam do wszystkich moich gości, mówiąc: „jak miło znów was widzieć”, „jak tam wasza córka?” i „świetnie wyglądasz”.

– Dorosłaś – powiedział dziadzio Mullens, kiedy do niego podeszłam.

– Czuję się bardzo staro.

– Poczekaj, aż osiągniesz mój wiek, wtedy się dopiero poczujesz piernikiem. – Kelnerka przyniosła mu kufel piwa. – Bycie staruszkiem ma swoje zalety – powiedział, puszczając do mnie oko. Kazał mi usiąść obok, z trudem przesunął swoje krzesło i zaczął opowiadać o babci: jak cieszyłaby się z dzisiejszej uroczystości, o tym, że minęły już trzy lata, ale on wciąż za nią tęskni, i jaka była piękna, kiedy się do niej „zalecał” i podjeżdżał po nią fordem anglią, a ona czekała wystrojona jak Elizabeth Taylor, długie włosy i skarpetki z falbankami...

Dziadek tak ma, czasem zdarzają mu się wspaniałe momenty umysłowej klarowności (to będzie słowo tego wpisu), kiedy pamięta wszystko, co mu się przytrafiło, ale potem ma chwile, w których wszystko mija i mówi do mnie Liz, do mamy Alice, a do Robbiego – David.

– Ile rozmawiacie z mamą? – zapytał nagle. – Nie chodzi mi o gadkę szmatkę, tylko o porządną rozmowę.

– Dość dużo – odparłam.

– Koniec końców, sekrety i tak wychodzą na jaw, nawet jeżeli zajmuje to całe dziesięciolecia. Można z nimi wygrać, jeśli ujawnisz je na własnych warunkach. – Nie zrozumiałam go, nie pierwszy raz. Kiedyś mnie to irytowało, ale mama kazała mi okazać trochę wyrozumiałości, bo kiedy jest się starym, mózg przestaje pracować w linearny sposób. – Nigdy nie znałem

nikogo tak dumnego jak ta dziewczyna, a co dopiero rozmawiać z nią czy jej słuchać.

Patrzyliśmy, jak mama chodzi od stolika do stolika i gawędzi z przyjaciółmi.

– Pamiętasz, jak czasem przychodziłaś do mnie i wyprowadzałaś Chipa? – zapytał dziadzio, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy dziś nie wypadał przypadkiem jeden z tych dni, kiedy dziadek nie myśli w linearny sposób.

– Pewnie, że pamiętam. To był strasznie fajny pies! – Rob i ja przychodziliśmy do dziadka po jego pupila, żeby pies mógł się trochę poruszać. Kiedy wracaliśmy, dziadek stał w oknie i czekał, a Chip zwijał się w kłębek u jego stóp, na co dziadek głaskał go po głowie, mówiąc: „dobry psiak, dobry psiak, dobry psiak”.

Pewnego popołudnia, pod koniec liceum, dziadek wręczył mi brązową kopertę. Nalegał, żebym ją wzięła.

– Baw się dobrze na uczelni – powiedział. Później, kiedy płaciłam za czynsz albo kupowałam książki, mówiłam sobie, że płacę z pieniędzy dziadzia Mullensa, ale kiedy kupowałam alkohol i papierosy, robiłam to z kredytu studenckiego.

Uwielbiał słuchać historii o uczelni, bo były dla niego takie nieprawdopodobne: o tym, jak nie spałam całą noc, żeby napisać pracę końcową, o beznadziejnym zarządcy budynku, który uciekł z naszą zaliczką, i chłopaku z dziwnymi tatuażami, z którym dzieliliśmy lokum.

– Musisz mi coś obiecać co do mamy – powiedział dziadek, zmieniając temat. – Że zaopiekujesz się nią, kiedy ja odejdę.

– Jest twarda jak stare buty – powiedziałam, używając jednego z jego ulubionych powiedzeń.

– Nie jest aż tak niezłomna, tylko udaje. Jesteś taka sama. Zapytaj ją

o Southampton i jak jej minęły tamte lata. Zapytaj ją. Ona potrzebuje, byś to zrozumiała, ale poczekaj, aż odejdę, księżniczko, bo kazała mi dotrzymać tajemnicy.

– O czym tak szepczecie? – zapytała mama, nachylając się nad nami. – Wyglądacie, jakbyście spiskowali.

– Obgadujemy cię – odparł dziadek, puszczając do mnie oko. A kiedy mama poszła, uśmiechnął się do mnie psotnie i rzucił jeden z naszych prywatnych żartów:

– Opowiadałem ci kiedyś, jak zostawiłem szkołę, gdy miałem piętnaście lat?

To był jeden z jego dobrych dni. Linearnych.

– Cześć, Rybi Pyszczku.

Jego oczy przypominały mi oczy dziadka, ale z innego powodu. Ben był wstawiony.

– Co ty tutaj robisz?

– Pomyślałem, że wpadnę z wizytą. Nie zaprosisz mnie do środka i nie przedstawisz rodzinie?

– Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

– To nie było trudne, Lisso. Przez cały tydzień nie pisałaś na Facebooku o niczym innym. Zapalimy?

Było jak kiedyś, tylko że teraz musieliśmy wyjść na zewnątrz, żeby zapalić, to nie była studencka impreza i tylko jedno z nas było nawalone. Uważałam, żeby nie było nas widać z okien restauracji, bo właściwie nigdy nie zwierzyłam się rodzicom z zamiłowania do okazjonalnego papierosa.

– Dostałaś pracę.

– Tak. To nie „New York Times”, ale przynajmniej mam od czego zacząć. Nie jest to też jakiś beznadziejny staż.

– A dodatkowo pewnie będziesz mogła nadal studiować na Southampton – dodał Ben.

– To pewnie byłby błąd. Nie można udawać wiecznego studenta. – Wyjaśniłam mu, jak mam zamiar zacząć od nowa i że w następnym tygodniu przeprowadzam się do nowego mieszkania, droższego o sześćdziesiąt funtów miesięcznie, w którym będziemy mieszkać tylko we trójkę. – W końcu wkraczam teraz w życie zawodowe, prawda?

– Dobrze, że robi to chociaż jedno z nas – powiedział. – To zabrzmiało dziwnie, Lisso, ale... jestem z ciebie dumny, to się świetnie zapowiada.

Byłam przekonana, że wszystko zepsułam, bo podczas rozmowy kwalifikacyjnej weszłam w tryb, który mama nazywa katarynką, i zaczęłam paplać bez opamiętania o tym, jak to interesują mnie duże tematy, typu zniknięcie Madeleine McCann czy strzelanina na politechnice w Wirginii, i jak lubię recenzować muzykę, i że chętnie zajmę się tematyką kryminalną i dziennikarstwem śledczym, bo na wolności jest zbyt wielu przestępców. Byłam pewna, że spieprzyłam sprawę, ale redaktor pokiwał tylko głową i powiedział:

– W tym mieście mamy sporo szumowin, którymi trzeba się zająć.

Zastanawiałam się, jaka będzie ta nowa ja. Z upiętymi wysoko włosami, zajmująca biurko w wielkim pokoju redakcyjnym, uczestniczka narad w ratuszu i przesłuchań w sądzie, stenografująca, którą to umiejętność obiecałam sobie przyswoić do świąt. Może nie lubiłam dawnej Alice – a raczej młodej Alice – ale przyzwyczaiałam się do niej: do dziewczyny, która często wstawiała po dziesiątej, która pisała prace zaliczeniowe do wczesnych porannych godzin, ślęcząc nad internetowymi dyskusjami na temat Sylvii Plath, która robiła notatki na marginesach książek, uwielbiała małe akwaria w barach przy Bedford Place i weekendowe wyjazdy drużyny hokeja, a nawet tego chłopaka, skoro teraz należał już do przeszłości. Poczułam ostre

ukłucie smutku, że to już za mną – poranki, podczas których piliśmy herbatę na obskurnych kanapach, pokazując sobie zdjęcia z poprzedniego wieczoru. Poranki, które ewoluowały (może to powinno być słowo tego wpisu!) w popołudnia w bibliotece i wieczory spędzane na poduchach na oglądaniu *Lost* i *Grasz czy nie grasz*, dni i tygodnie, podczas których wtulaliśmy się w siebie, aż – bum – nadeszła moja praca końcowa!

– Nie mogę uwierzyć, że wbiłeś się na mój lunch. Nie masz wstydu?

– Nie – odpowiedział Ben.

Uśmiechnął się i nagle wszystko do mnie wróciło: jak przebrał się za Supermana tego popołudnia, kiedy po raz pierwszy zażyliśmy razem kokainę, wspólny pobyt w Paryżu. Wtedy wszystko było takie proste – tylko wykłady, wieczory na mieście i podekscytowanie, kiedy zapytał, czy chciałabym z nim wyjechać bez żadnych zobowiązań gdzieś, gdzie będę potrzebować paszportu. Wtedy przypominałam sobie, jak napadłam na niego na peronie szóstym na stacji Waterloo.

– Rzucasz mnie? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak.

– Dziwka – powiedział i odszedł gniewnym krokiem.

Na wspomnienie, że potrafił nazwać mnie takim słowem, poczułam spazm wściekłości, ale to się stało ponad pół roku temu, było przeszłością i jakoś się z tym pogodziłam.

– Uświadomiłam sobie, co jest w tobie takiego – powiedziałam.

– To znaczy, dlaczego jestem taki porywający?

– Nie, taki nieznośny. – Czułam się jak dziadek w jeden ze swoich klarownych dni. Wszystko miało sens. – Ty zawsze istniejesz tylko w teraźniejszości. To nieustające poszukiwanie gratyfikacji jest jak u dziecka albo u zwierzęcia.

– No to u kogo?

– Co „u kogo”?

– Nie można być i tym, i tym. Jestem albo dzieckiem, albo zwierzęciem.

– Nie zachowuj się jak palant.

– To może pójdziemy na kompromis i uznamy, że jestem małym zwierzątkiem? Kurwa, Lisso, odpuść mi trochę, zrobiłem taki kawał drogi, żeby życzyć ci wszystkiego najlepszego.

To było bardzo w jego stylu – spontanicznie przyjechać do Corby aż z Southampton. Mogłam go sobie z łatwością wyobrazić w jakiejś studenckiej norze. Był beztroski, lecz niedługo stanie się to żenujące i smutne. W końcu wprowadzi się do rodziców w Londynie, do kamienicy w angielskim stylu z wielkim korytarzem i żyrandolem, który błyszczy jak setki kolczyków. Mogłam mieć rację, ale kiedy wróżyłam mu tak czarną przyszłość, poczułam się bardzo staro i nie byłam przekonana, czy mi się to podoba.

– Przypomnij mi, dlaczego ja się w ogóle z tobą zadawałam.

– Bo powalam urodą.

– Wystarczy zajrzeć ciut głębiej i założę się, że nadal jesteś tym samym gigantycznym fiutem, co zawsze.

– Chcesz mi powiedzieć, że mam wielkiego?

– Widzisz, nie da się z tobą porozmawiać jak z dorosłym.

– Pieprzyć dorosłość, Lisso. Chodźmy się upić. Chodźmy gdziekolwiek. Zrobimy sobie afterparty.

Przypomniałam sobie, co powiedział dziadek, zanim zaczął gadać dziwne rzeczy o mamie: powinnam każdego dnia żyć tak, jakby był moim ostatnim. Kiedy zacznę pracę, wszystko będzie pięknie, picie wody, siłownia i wczesne chodzenie spać. Patrząc na salę, w której jedliśmy – opustoszała, kelnerzy sprząтали stoliki – wyobrażałam sobie kolejne rodzinne spotkanie. Widziałam, jak za oknem mama pomaga dziadkowi wsiąść do samochodu, podnosi mu

nogi i podaje laskę. Pewnie to będzie jego pogrzeb.

– Czemu nie – powiedziałam do Bena. – Tylko raz jest się młodym.

*

**Playlista Alice Salmon na Spotify pod tytułem *Lato 2011*
30 sierpnia 2011**

Post Break-Up Sex The Vaccines

Skinny Love Bon Iver

Tonight's the Kind of Night Noah and the Whale

Sex on Fire Kings of Leon

Someone Like You Adele

That's Not My Name The Ting Tings

Just for Tonight One Night Only

Sigh No More Mumford & Sons

Your Song Ellie Goulding

Mr. Brightside The Killers

Dog Days Are Over Florence and the Machine

Last Request Paolo Nutini

Sweet Disposition The Temper Trap

Just the Way You Are Bruno Mars

The A Team Ed Sheeran

The Edge of Glory Lady Gaga

Sleeping to Dream Jason Mraz

*

E-mail od profesora Jeremy'ego Cooke'a
22 marca 2012

OD: jfhcooke@gmail.com

DO: Elizabeth_salmon101@hotmail.com

TEMAT: Odczep się

Droga Liz,

może trudno Ci będzie w to uwierzyć, ale przeczytałem Twój mail z przyjemnością, był dla mnie niezwykle zajmujący. Tylko mnie posłuchaj, jedno zdanie, a już mówię jak wykładowca, który poprawia czyjąś pracę. Trudno się pozbyć starych nawyków. Dziękuję też, że nazwałaś mnie „szanowanym”, wolałbym być „wielkim”, ale komplementów się nie wybiera.

Pamiętasz boiska do krykieta? Stoją tam teraz domy. A pokój starszych wykładowców? Jedyne przyzwoite miejsce na kampusie, a oni przerobili je na serwerownię. Trochę dębowej boazerii, kilka kamiennych pionowych szprosów – potencjalni inwestorzy najwyraźniej poczuli się wystarczająco zachęceni, by rozstać się ze swoimi pieniędzmi, i oddelegowali nas, piechurów, do koszmarnego bunkra z pustaków. Pamiętasz to wszystko? Bo teraz pamięć jest dla mnie bardzo istotną rzeczą. Widzisz, mam trochę problemów z prostatą. Cały ja – nie potrafię nawet zachorować na coś oryginalnego!

Próbowałem sobie uzmysłwić, kiedy ostatnio tak naprawdę rozmawialiśmy. Wpadliśmy na siebie przypadkiem na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy szłaś z Alice. Przyjechałem do Corby na konferencję i z czystej ciekawości zjawiłem się na Twojej ulicy. Trochę to zajęło, zanim w końcu Cię przyuważyłem.

– Alice – powiedziałaś, zachowując nadzwyczajne wręcz opanowanie – to znajomy mamy, doktor Cooke. Przywitaj się.

Wyciągnąłem rękę, którą ona nonszalancko uścisnęła.

– Dawno temu współpracowałem z twoją mamą na uniwersytecie – poinformowałem dziecko, jakby miało jakiegokolwiek pojęcie, co oznaczała współpraca albo uniwersytet i jak dawno temu to było. – Duża z ciebie dziewczynka – powiedziałem.

Nie miałem zbyt wiele doświadczenia z dziećmi i w mówieniu ich językiem. To odrębny język: podzbiór naszego.

– Mam prawie siedem lat – wyznała.

Rozpoznałem Ciebie w jej głosie.

– W niedzielę będzie moje przyjęcie urodzinowe i dostaniemy galaretkę – dodała.

Zabawne, że to właśnie utkwilo mi w pamięci. Dostaną galaretkę.

– Przyjdzie pan na przyjęcie?

– Jem jest zajęty w niedzielę – wtrąciłaś się.

– Jak wspaniale cię widzieć, Liz. Jak się masz?

Zagryzłaś wargę, oczy Ci płonęły, położyłaś dłoń na czubku głowy córki i lekko ją odwróciłaś, po czym szepnęłaś:

– Trochę za późno, żeby o to pytać.

– Ale... ale...

– Nie ma żadnych „ale”, Jem. To, jak się mam, nie ma z tobą absolutnie żadnego związku.

Alice dosłyszała Twój ton, bo wykręciła się spod Twojej dłoni i odwróciła do nas.

– Doktorzy pomagają – stwierdziła.

– Jeremy to inny rodzaj doktora, skarbie – wyjaśniłaś jej. – Zajmuje się

ludźmi, którzy żyli na długo, zanim urodziłyśmy się ja czy ty.

– Czy to znaczy, że oni są martwi?

– Wyciągasz słuszne wnioski, młoda damo – odparłem.

Na podjazd podjechał samochód.

– Tatuś, tatuś, tatuś! – zakrzyknęła Alice, wrywając się z Twoich objęć.

– Masz dzieci? – zapytałaś.

– Nie. Nie udało się nam. Ominęło nas to szczęście – odpowiedziałem, używając sformułowania, do którego zwykle uciekaliśmy się z Fliss. To mogła być wina każdego z nas, często przypominałem o tym żonie, na co ona zawsze odpowiadała: „Ale to nie było każde z nas, to byłam ja”. – Jak widzę, ty wręcz przeciwnie.

– Tak – przytaknęłaś. – Mamy też syna.

– No to powinszowania – mruknąłem, przypominając sobie ucisk w dołku, testy, teorie, statystyki. Wszyscy lekarze uwielbiali prawdopodobieństwa.

Stałem na chodniku i przyglądałem się Twojemu mężowi. Zwalisty. Nie taki znów brzydki. W Twoim wieku. Przypomniałem sobie tych parę miesięcy spędzonych razem dziesięć lat wcześniej. Pomachał do nas nonszalancko, jakbym pytał o drogę, po czym zaczął wyładowywać zakupy z bagażnika, a ja poczułem nagłą potrzebę, by do niego podejść i powiedzieć, że wiem o jego żonie rzeczy, o których on nie ma pojęcia.

A więc zrezygnowała z Oksfordu? Nigdy bym się nie domyślił. Wyobrażam sobie, że wywołało to w Twoim domu nie lada dyskusję. Ja miałem odpowiednie oceny, ale zawałem rozmowę wstępną. Najwyraźniej już wtedy, kiedy byłem w tak młodym wieku, wyczuli, jakie jest moje przeznaczenie: dobry w piśmie. Jako doktor dowiedziałem się, że żeby stać się naprawdę wybitnym naukowcem, trzeba mieć duszę.

Czy mogę coś zrobić, byś zmieniła zdanie o naszym spotkaniu, Liz?

Mógłbym Ci pokazać pamiątki po Alice, które zbieram. Bóg raczy wiedzieć, co myślą w uczelnianym dziale informatycznym o moich działaniach, bo od lat nie dostawałem tyłu maili. Moim jak na razie ulubionym zdjęciem jest Alice wdrapująca się na posąg przed budynkiem wydziału biologii. Od dawna staramy się odgonić studentów od tej paskudnej figury, ale to syzyfowa praca. Obejmuje ją ramionami za szyję z brązu i wystawia do niej język. Brawo dla Alice, mówię, naigrawającej się z notorycznego plagiatora, którego upamiętnia statua.

Mogę Ci zadać pytanie, Liz? Jak się miała Alice niedługo przed śmiercią? Czy w ostatnich dniach nic jej nie dolegało, nic nie gryzło? Bo – wybaczyć, że podnoszę ten temat – wiele z tego, co czytam, odnosi się do jej nastroju.

Jak to się mówi? Dziennikarstwo to pierwsza, wstępna wersja historii? Zastanawiam się, czy tym właśnie jest nasza korespondencja. Pierwszym szkicem. Słowa, zdania, które tworzą, uczucia, które wyrażają. Prawdy – lub nieprawdy – które sobie przekazujemy. Bo nic nie jest w pełni obiektywne, a fakty potrafią być bardzo niepewne. Zostaliśmy lepiej wyposażeni, by się między sobą komunikować, niż wszystkie inne organizmy, jakie kiedykolwiek istniały na ziemi, ale nie jesteśmy w tym dużo lepsi niż czterdzieści tysięcy lat temu, kiedy neandertalczyki zostawiali odciski dłoni w jaskiniach El Castillo. Codziennie ponosimy fiasko we wzajemnym porozumieniu. Mówimy zagadkami, mówimy sobie półprawdy albo i gorzej. Codziennie rezygnujemy ze wspaniałej, pięknej szansy, by wyciągnąć dłoń w ciemność i się z kimś porozumieć. A mimo to jedyne, co mamy, by z tego szaleństwa stworzyć jakiś sens, to te wariackie, śmieszne, magiczne i oszałamiające drobiazgi, które nazywamy słowami. To wszystko, co mamy.

Zapytałbym Cię, jak sobie dajesz radę po naszym rozstaniu, tyle razy byłem tego bliski, nie miałem jednak pojęcia, jak zareagujesz, albo czy ludzie, którymi się otaczasz, są świadomi Twojej sytuacji. Zamartwiałem się.

Oczywiście Twoje maile zachowam dla siebie. Nie wspomniałem też o naszej korespondencji Fliss. Sekrety – czyż nie dobrana z nas para?

Bardzo chciałbym się z Tobą zobaczyć, nawet jeśli miałyby to być nasza koda.

Z pozdrowieniami

Jem

*

**Kolumna redakcyjna naczelnej reporterki
„Southampton Messenger” Alice Salmon
14 września 2008**

Dziś w nocy mieszkańcy Southampton mogą spać spokojnie. Liam Bardsley, mężczyzna, który zaatakował osiemdziesięciodwuletnią staruszkę, został skazany w tym tygodniu na cztery lata więzienia.

Ten potwór w ciągu roku włamał się aż do czterdziestu domów w naszej okolicy. Zostawił za sobą wiele ofiar – w tym odważną osiemdziesięciolatkę Dot Walker, która stawiała opór trzydziestosześcioletkowi, gdy obudziły ją „jakieś ruchy w kuchni”. Powalił ją na ziemię i, jak stwierdził prokurator, uderzył „w twarz przynajmniej pięć razy”, zanim uciekł z miejsca zdarzenia. W sądzie został określony mianem „nieczłowiek, który nie okazuje litości”.

Jego miejsce jest za kratkami. Chcemy więc wiedzieć, dlaczego został skazany jedynie na cztery lata. Uwzględniając dobre sprawowanie, może wrócić na nasze ulice za niespełna dwadzieścia cztery miesiące.

Czytelnicy, którzy odpowiedzieli na naszą inicjatywę „Złap nocnego

bandytę”, powinni czuć się dumni z roli, jaką odegrali w posłaniu tego dzikusa za kratki. Bez waszych zgłoszeń nigdy nie bylibyśmy w stanie zgromadzić wystarczającej ilości dowodów, by zamknąć Bardsleya – dowodów, które policja określiła jako „kluczowe” w rozwikłaniu sprawy.

Zdjęcie Dot po tym okrutnym ataku, które opublikowaliśmy za zgodą rodziny, wywołało falę telefonów na policyjną niebieską linię (wielu czytelników skontaktowało się również bezpośrednio z „Southampton Messenger”).

Kara czterech lat więzienia, jaką przestępca otrzymał za włamanie i wyrządzoną kobiecie krzywdę, powinna być znacznie wyższa. Nawet dwa razy dłuższy wyrok wydaje się zbyt krótki dla mężczyzny, który nie wahał się powiedzieć starszej pani, że ją „wybebeszy, jeśli tylko piśnie”.

Wzywamy dziś rząd, by ustanowił ostrzejsze kary za brutalne przestępstwa wobec osób starszych, i pracujemy z lokalnym posłem, który obiecał podnieść tę kwestię na posiedzeniu parlamentu.

Ostatnie słowo należy do Dot, jednej z najodważniejszych kobiet, jakie mieliśmy zaszczyt poznać – pod wieloma względami zwyczajnej emerytki, choć jednocześnie absolutnie wyjątkowej.

Usłyszawszy wiadomość o tym, co się stało na sali D w Sądzie Koronnym w Southampton w tym tygodniu, powiedziała:

– Mam jedynie nadzieję, że nikt nie będzie już musiał przechodzić przez to, co ja.

Kiedy zapytano ją, co sądzi o wysokości wyroku dla jej napastnika, odpowiedziała z właściwą sobie mądrością, godnością i współczuciem:

– Dostanie swoją karę, kiedy stanie przed Stwórcą.

- Masz informacje na temat przestępstwa? Zadzwoń w zaufaniu do Alice Salmon pod numer telefonu podany u góry kolumny na stronie 7.

*

Zapiski Luke'a Addisona sporządzone na jego laptopie 14 lutego 2012

Dom twoich rodziców był ostatnim miejscem na świecie, w jakim chciałem się znaleźć, ale nie mogłem tam nie pójść. To by tylko wzbudziło podejrzenia.

– Wyglądasz, jakbyś wrócił z wojny – stwierdziła twoja mama, kiedy stanąłem w drzwiach. Sprzedałem jej jakąś bajkę o wypadku na rowerze górskim, ale później przyznałem się, że wdałem się w bójkę.

– Cóż, można uznać, że wszyscy musimy zrobić kilka rzeczy, z których nie jesteśmy dumni, aż powiemy sobie: dość – skwitowała. – Przepraszam za te straszne pytania, jakie zadaje ci policja, ale taką mają pracę. Wszyscy chcemy tego samego, skarbie. Prawdy – powiedziała i w uszach zabrzęczało mi słowo „skarbie”, bo mogłem sobie wyobrazić, że pewnie tak cię nazywała, a sam nigdy nie byłem blisko z moją mamą.

– Byłeś dla niej bardzo ważny – powiedziała. Jej włosy przy mojej twarzy... Nigdy nie będę bliżej ciebie.

Sekrety, Al. Tyle sekretów.

– Zdaje sobie pani sprawę, że Alice i ja nie byliśmy razem – zdobyłem się na szczerość. – Mieliśmy pewne problemy. – Moje wyznanie krążyło po kuchni, odbijając się od błyszczących białych powierzchni, aż wróciło do mnie. Byłoby dziwne, gdybym o tym nie wspomniał. Zastanawialiby się dlaczego.

– Oczywiście. Jesteśmy bardzo zżytą rodziną. Nasza córka o wszystkim nam mówi. A właściwie mówiła.

– Zrozumiem, jeśli nie będzie pani chciała, żebym wziął udział w pogrzebie – powiedziałem, częściowo licząc, że na to przystanie.

– Nie, chcemy, żebyś przyszedł, a przynajmniej ja tego chcę. Trzymam się myśli, że wy dwoje, uparte koziółki, prędzej czy później byście się pogodzili. David ma oczywiście inne zdanie na ten temat.

Dziwnie było przebywać w tym domu – domu, w którym byliśmy razem tak często, domu, w którym wizyty początkowo mnie stresowały. Niepotrzebnie – twoi rodzice byli fantastyczni, poili mnie alkoholem, nawet jeśli było to paskudne piwo Pale Ale, i zapewniali mnie, że gdybym lekko podchmielony poszedł do szklarni i zakopał się pod niedzielnymi gazetami, nie czuliby się ani trochę urażeni. Dom, w którym pilnowaliśmy psa twoich rodziców i wzięliśmy wspólną kąpiel, gdzie pokazałaś mi swój stary szkolny mundurek, a ja zażartowałem, że powinnaś go dla mnie włożyć, na co ty nazwałaś mnie zбочeńcem. Potem, o drugiej po południu, przenieśliśmy się na twoje pojedyncze łóżko, gdzie ty sumiennie odwróciłaś od nas wzrok pluszowego króliczka, co było tak bardzo w twoim stylu, a po wszystkim położyłaś się na plecach i patrzyłaś przez świetlik w dachu na chmury mknące po błękitach nieba.

Ten dom był pełen ludzi, którzy cię kochali, twoje imię było na ustach wszystkich, w każdym zdaniu i w każdym pokoju. Wszyscy się odwrócili, kiedy się pojawiłem. Twoja mama objęła mnie ramieniem i wprowadziła do ogrodu, tyłu ludzi, a ona znalazła czas dla mnie. Powiedziałem jej, jak bardzo siebie nienawidzę.

– Nie myśl tak – odparła. – Nie myśl.

Może byłbym inny – lepszy – gdybym miał rodziców takich jak twoi. Poczulem przyływ czułości do twojej mamy. Może nie będzie mną gardzić za to, co zrobiłem. Później poszedłem do twojego taty, który w garażu ciosał kawał drewna na swoim stole roboczym, i powiedziałem:

– Dziękuję za zaproszenie.

– Powinieneś podziękować mojej żonie. Gdyby to ode mnie zależało, wyrzuciłbym cię przez tamto okno. – Popatrzył na mały, spłowiały kwadrat szkła. – Nie mogłeś trzymać swojego pieprzonego fiuta w spodniach?

Nigdy mi nie wybaczy, nie możesz go za to winić, ja nigdy sobie tego nie wybaczę. Nie żeby twój tata miał o wszystkim pojęcie. Nikt nie ma.

Strugał drewno, wióry spadały na podłogę i układały się na jego butach.

– Dwadzieścia pięć – powiedział. – Co to w ogóle jest za wiek? Odpowiedz mi, ty głupi draniu. – Uniósł pięść i pomyślałem sobie: uderz mnie, uderz mnie jak ten facet w pubie. Może obu nam wyszłoby to na dobre. Ale jego ramię opadło, a on wydał z siebie odgłos zranionego zwierzęcia.

– Jak mogłeś to zrobić mojemu dziecku?

Nie mogę uwierzyć, że chcieliby, żebym był na twoim pogrzebie, nie byliśmy przecież spokrewnieni, nie byliśmy małżeństwem. Kolejna rzecz, o której nie wiedziałaś, Al. Miałem zamiar oświadczyć ci się po raz drugi. Tego ranka, kiedy pojechałaś do Southampton. Nie byliśmy razem już przez prawie dwa miesiące, na co tak nalegałaś. Żadnego kontaktu, takie były zasady, twoje zasady, ale miałem zamiar zrobić ci niespodziankę. Przeprosić, wyjaśnić, sprawić, żebyś wszystko zrozumiała. Byłabyś zaskoczona, ale myślę, że pozytywnie. Przez te dwa miesiące zdałem sobie sprawę, że każdemu przeznaczona jest jedna wyjątkowa osoba, i że ty jesteś tą moją, Alice Louise Salmon. Co tam wycieczka do Rzymu, miałem zamiar zrobić to od razu, stojąc w progu. Ale drzwi otworzyła Soph i powiedziała, że nie ma cię w domu.

– Dokąd?

– Southampton.

Wypełniła mnie rozpacz – myśl, że mielibyśmy spędzić całe życie, nie wiedząc, gdzie znajduje się to drugie. Pomyślałem, że muszę cię odnaleźć.

Muszę znaleźć moją Alice i się oświadczyć. Soph zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem. Nie byłem pewien, ile jej powiedziałaś, więc nie dałem po sobie poznać, że coś jest nie tak.

– Mogę pójść do jej pokoju?

– Nie.

– Ona tam jest, prawda? – powiedziałem, czując, jak obezwładnia mnie myśl, że siedzisz tam z innym facetem. – Kogo tam ma?

Kiedy po raz ostatni byliśmy razem w twoim pokoju, stanowczo twierdziłaś, że z nikim się nie widzisz. Ty płakałaś, na małej choince mrugały światełka, a ja tobą szarpałem – przepraszam, nie mogłem nic na to poradzić, straciłem panowanie nad sobą, tak strasznie cię kochałem – przysięgłaś, że nikogo nie masz, ale skąd miałem wiedzieć, w co wierzyć, a w co nie?

– Mówię poważnie, Soph. Z kim ona jest?

– Sam ją zapytaj, desperacie. Och nie, przecież ona z tobą nie rozmawia, co?

– Przepraszam – odparłem, próbując innej taktyki. – Tęsknię za nią. Musisz mi pomóc. Proszę.

– Minęliście się – odparła Soph, zamykając drzwi.

Nagle do głowy wpadł mi pomysł: jedź do Southampton. Wyciągnąłem telefon. Początkowo byłaś w nim wpisana jako Alice S., bo miałem już Alice Kemp, ale kiedy oficjalnie zostaliśmy parą, zmieniłem cię na Alice, a ją na Alice K., później zaś stałaś się Al. Napisałem do ciebie wiadomość: „Dwa miesiące prawie dobiegły końca. To, że nie mogę się z tobą zobaczyć, zabija mnie. Mam ci coś ważnego do powiedzenia”.

W domu twoich rodziców zostałem przez godzinę, co wydawało mi się minimalnym akceptowalnym czasem wizyty, ale musiałem do tego wrócić: tego stołu, tego piwa. Twój obraz ciągle pojawia mi się przed oczami: ty na

London Eye, popijająca szampana o dziesiątej rano, kiedy Kate i William się pobrali, wrzeszcząca na grubasa w metrze, żeby zabrał tłuste dupsko i ustąpił miejsca kobiecie w ciąży, tańcząca w kuchni na imprezie w Peckham, ty niczym przestraszona łania, kiedy zobaczyłaś mnie nad rzeką w tamtą sobotę. Twój głos, twój zapach, ty, którą wraz ze wszystkimi naszymi sekretami zabrała zimna rzeka.

Teraz czuję tylko, że jestem wstawiony i upalony, a kiedy skończę piwo i jointy, na pewno nie będę widzieć ani tej czarnej wody, ani twojej twarzy, zranionej i przerażonej, spoglądającej na mnie ze skraju łóżka, zza stolika na Campo de' Fiori, przy którym nigdy nie usiądziemy. Będę tkwił w swojej kuchni i nawet złość przeminie, zostanie jedynie szum telewizora i tępe pulsowanie ran na twarzy, a czasem przerywany szloch.

Całe wieki stałem pod twoim mieszkaniem. Soph co chwilę wyglądała na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy sobie poszedłem. Nie odpowiedziałaś na moją wiadomość. Ruszyłem w stronę stacji kolejowej. Lubisz niespodzianki, pomyślałem, to zrobię ci pieprzoną niespodziankę.

*

Post na blogu Megan Parker 20 marca 2012, 18.35

Rozmawiałam o tobie z jednym z wykładowców z Southampton, Alicjo-Policjo.

Nie pamiętam go z czasów, kiedy tam studiowałyśmy, nazywa się profesor Cooke, ale wygląda, jakby pracował tam od 1820 roku. Wpadł na kapitalny pomysł, żeby zrobić o tobie taki jakby kolaż. Często po prostu

sobie rozmawiamy, a niekiedy to prawdziwa praca badawcza, kontaktowanie się z ludźmi, weryfikowanie dat, doprecyzowywanie rzeczy, które powiedziałaś albo zrobiłaś. Mama twierdzi, że daję upust swojej rozpaczy w pozytywny sposób, choć ty pewnie powiedziałaabyś, że to jakiś nonsens w typie yin-yang.

Na początku czułam się trochę jak zdrajczynie, ale trzeba coś zrobić, żeby zdusić te wszystkie błędne, złośliwe i głupie rzeczy, które powiedziano na twój temat.

„Jesteśmy strażnikami pamięci Alice, skoro teraz sama nie może się bronić” – powiedział nie bez racji. Zawsze mówiłaś, że chciałaś być bohaterką książki, prawda? A to przedsięwzięcie może właśnie do tego doprowadzić: do powstania książki o tobie.

Profesor mówi, że nie powinnam zbyt wiele pisać o sobie albo o nim na blogu, bo tu chodzi o ciebie, nie o nas, i żeby wszystko miało sens, musimy pozostać obserwatorami – bardziej obiektywnymi niż subiektywnymi – ale za każdym razem (a odwiedziłam go już około dziesięciu razy) pytam, jak mam być obiektywna, skoro byłaś moją najlepszą przyjaciółką.

Nie mogę uwierzyć, że opowiedziałam mu aż tyle rzeczy, ale obcej osobie można czasem wyjawić to, czego nie da się powiedzieć komuś bliskiemu.

Przypomina mi jakąś postać z telewizyjnego sitcomu – kogoś w typie społecznie nieprzystosowanego wujka. Jego studenci pewnie go nienawidzą, ale uważam, że byłby wprost idealny w Radio 4. Spodobałby ci się jego gabinet, Alice, każdy centymetr kwadratowy ściany zastawiony jest książkami, są ich tysiące. Właściwie to bardzo polubiłabyś Jeremy’ego, bo jest jednym z tych megamądrych ludzi, którzy byli w tylu niesamowitych miejscach. Rany, plotę jak zadurzona uczennica, co?

Jeremy, jeśli to czytasz, co jest dość prawdopodobne, bo pogratulowałeś

mi mojego bloga (a przy okazji, witaj w bardzo ekskluzywnym gronie – jesteś jedną z sześciu chyba osób, które to robią), nie możesz mieć mi za złe tego, co piszę, bo twoja „hipoteza” głosi, że prawda jest naszym atutem J.

Słyszysz mnie, Alicjo-Policjo? Już żartuję, choć od twojej śmierci minęły ledwie dwa miesiące. Zapytałam Jeremy’ego, czy jestem przez to złym człowiekiem, na co on odpowiedział, że jeśli moim najgorszym przewinieniem jest uśmiech wywołany miłym wspomnieniem, to nie jest ze mną najgorzej.

Spodobałoby ci się to, jak wszystko umieszcza w kontekście historycznym, Lisso.

„Jak historia ma zamiar zmienić fakt, że moja najlepsza przyjaciółka nie żyje?” – zapytałam go kiedyś i porządnie się rozplakałam, więc mnie przytulił. Nie jest postawnym człowiekiem, ale sprawia takie wrażenie – może na tym właśnie polega prezencja – i powiedział, że powinnam być dumna z tego, że byłaś moją BFF^[6]. To ja nauczyłam go tego określenia, nawet kazałam mu kiedyś powiedzieć „szciliuj” – uśmiełabyś się do łez. Powiedział, że przetestuje to na swoich studentach lub lekarzach. Ale wracając do tematu, miał rację. Byłam – jestem – twoją BFF i zawsze będę.

Jest bardzo zainteresowany groźbami, które otrzymywałaś, i mówi, że to jedyna rzecz, którą zdecydowanie należało umieścić na blogu. To nieuniknione, że pojawią się rozgoryczeni ludzie, którzy mieli z tobą na pieńku, biorąc pod uwagę, jaką wykonywałaś pracę. Mówi, że mimo to powinnam zachować ostrożność w rozmowach z mediami, bo one mają własne plany i cele, a to, jakie ja sprawię wrażenie, nie ma znaczenia. Jedyne, co się liczy, to żeby fakty wyszły na jaw.

Lubię się z nim spotykać głównie dlatego, że to kolejny pretekst, by o tobie myśleć. Kochana, robię to cały czas, ale mamy pewne wyznaczone przedziały – czas najwyższej próby, jak mówi Jeremy – kiedy skupiamy się

wyłącznie na tobie. Muszę ci się jednak do czegoś przyznać. Niektóre z naszych spotkań przerodziły się właściwie w konsultacje na temat mojego życia zawodowego. Powtarzałaś mi, że powinnam zostawić PR i wrócić na studia magisterskie, prawda? A te spotkania – wczorajsze trwało prawie do północy – przypominają mi, jak wspaniale jest się uczyć, nawet jeśli większość rzeczy, które tu robimy, ma więcej wspólnego z pamiętaniem niż nauką.

Jestem też świadoma, że nie powinnam pisać zbyt wiele, bo teraz wszystko, co jest w internecie, staje się częścią twojego menu, nawet jeśli przyciśniesz „delete”, nie da się wszystkiego trwale usunąć: dane nadal znajdują się w feedach i cache’ach innych ludzi, a Google wciąż jest w stanie je namierzyć, nawet jeśli już fizycznie nie istnieją – tak jak zdarza się ludziom, którym amputowano nogi: nadal czują swędzenie palców u nieistniejących stóp.

Jeremy zadaje mi dużo pytań o twój pogrzeb, Alice... sorry, że psuję ci lekturę... Kiedy przytuliłam się do twojej mamy, zapytała: „Meg, jak ja przez to przejdę?”, na co odpowiedziałam, że musi, bo chce, żeby ta ceremonia była na twoją cześć. Odparła na to, że nie chodzi o dzisiaj, tylko o resztę życia.

Jeremy powiedział, że widział podjeżdżający karawan, ale nie wszedł do środka, tylko po cichu się z tobą pożegnał, na co ja wspomniałam, jak często mówiłaś, że od chodzenia do kościoła dostajesz wysypki, on zaś, że zawsze tego unika, ale potem stracił wątek i zaczął opowiadać o niesamowitych pogrzebach powietrznych w Tybecie, gdzie ciało zmarłego kroi się na kawałki – robi to ktoś określany mianem *rogyapa* albo łamacz ciała – i rzuca szczątki na żer sępom. Nazywa się to *jhator*, czyli jałmużna dla ptaków.

Na twoim pogrzebie nie zamieniłam z Lukiem ani słowa, zniknął zaraz po ceremonii, a jego pojawienie się było bardzo nie na miejscu, bo jechało od

niego wódą... nie obchodzi mnie, czy to czytasz, Luke, Alice nie chciałyby, żebym kłamała, a prawda, jak mówi Jeremy, liczy się teraz najbardziej. Powiedział, że to nieważne, jak cię będę pamiętał, dopóki w ogóle pamiętam. Powtarza też bez przerwy, że jego nikt nie będzie pamiętał, i każe mi przyrzekać – bezwzględnie przyrzekać – że nie dożyję jego wieku i nie będę niczego żałować, a kiedy mówię mu, ilu naszych znajomych obiecało żyć lepszym, pełniejszym, wspanialszym życiem z powodu tego, co tobie się przydarzyło, odpowiada, że to piękne, że tak trzeba – „iść i chwycić życie, młoda damo”.

Carpe diem – powiedziałam kiedyś, używając jednego z twoich ulubionych powiedzeń, jak gdyby to miało na nim zrobić wrażenie, po czym opowiedziałam mu więcej naszych historii. A kiedy już zacznę, to tyle ze mnie uchodzi, że Jeremy ledwie jest w stanie nadążyć z notatkami, a czerwone światełko na jego dyktafonie ciągle mruga.

– Córki – mówi jedynie. – Córki!

Komentarze pod wpisem:

Rzeczywiście to czytam, młoda damo. Bohater sitcomu, tak? Mam nadzieję, że bardziej Geoffrey Palmer niż Victor Meldrew[7].

Jeremy „Srebrny Surfer” Cooke

Nie możesz rzucać wobec ludzi takich oskarżeń, Meg. Przegięłaś. Jeśli chcesz wiedzieć, nie byłem pijany na pogrzebie, wypilem jedno piwo. Tak jak wszyscy pozostali, staram się jakoś trzymać. A poza tym było ci chyba na rękę nie wspomnieć, że to Alice ze mną zerwała, a nie na odwrót, i z nikim innym się nie widywałem!

Luke

Nikogo nie interesuje ten twój pierdolony scrapbooking i głupie teorie o dziewczynie, która utonęła, bo była zalana w trzy dupy. Musicie być ostrożni – ty i ten stary profesor-fagas.

WOLNY CZŁOWIEK

*

**SMS-y wymieniane przez Gavina Mocklera i Alice
Salmon
16 marca 2006**

G.M.: Hej, Alice, co robisz? LOL

A.S.: Kto to?

G.M.: Twój ulubiony współlokator.

A.S.: Dzięk, wszyscy jesteśmy w Corrigan's.

G.M.: To zaproszenie?

A.S.: Właśnie wychodzimy. Co robisz?

G.M.: Nic specjalnego, gram w Warcrafta.

A.S.: Corrigan's jest do dupy i prowadzą go faszyci.

G.M.: Fajnie mi się z tobą rozmawiało, to mnie uspokoiło. Jesteś od nich wszystkich lepsza.

A.S.: Spox, tak tylko gadaliśmy, ale ok... BTW Spam Sam mówi, żebyś posprzątał chatę, jak nie wychodzisz.

A.S.: Przestań walić konia!

A.S.: Sorki, Ben wyrwał mi telefon, on to napisał.

G.M.: Buahaha. Żartowałem – nieśmieszne!!! Stać cię na kogoś lepszego niż Ben Finch.

G.M.: Sowy lubią nocne stwory.

*

**E-mail od Elizabeth Salmon
3 kwietnia 2012**

OD: Elizabeth_salmon101@hotmail.com

DO: jfhcooke@gmail.com

TEMAT: Odczep się

Jak się miała Alice w swoich ostatnich dniach i godzinach? Gdybym mogła to wiedzieć. Jej stan umysłu, miejsce przebywania, rozmowy... cały czas przerabiam je w głowie. Mój mąż mówi, że kręcę się w kółko, ale przecież nie mogę już bardziej cierpieć. Dlaczego była nad rzeką? Czy była aż tak pijana? Czy była aż tak nieszczęśliwa? Z kim przebywała? Ten brakujący segment, to, co działo się z nią między chwilą odłączenia się od przyjaciółek a znalezieniem się w rzece, jest dla mnie torturą. Ale bez względu na to, jaka sfrustrowana i wściekła się czuję, czytając te wszystkie bzdury, cały czas do nich sięgam, bo mobilizują mnie, by dalej szukać informacji.

Kiedyś wierzyłam w przeznaczenie, teraz wierzę w ZIP, pomijając pocieszające możliwości przebiegu zdarzeń. Gromadzę pliki, bo boję się, że ją zapomnę, Jem, obudzę się pewnego dnia i nie będę w stanie przypomnieć sobie szczegółowych cech mojej córki. Obudzę się kiedyś, a ona odejdzie jakby od nowa.

Pomóż mi odpowiedzieć na moje pytania. Pomóż mi znaleźć Alice. Jesteś mi to winny. Jem, co Ty sobie myślałeś, wysyłając mi te maile? Alice

zobaczyła mail od Ciebie w mojej skrzynce – zobaczyła go w dniu swojej śmierci! To by każdemu namieszało w głowie.

Czasem gardzę Dave'em, bo pozwolił, żeby to się stało, ale to ja tego nie powstrzymałam. W jaki sposób jej pomogłam? Czy dałam jej lekcje, jakich udzielają ze słodką prostotą amerykańskie seriale typu *Życie na fali* albo *Jezioro marzeń*, które połykała z taką łatwością? Czy udzieliłam rad, które pomogłyby jej emocjonalnie poradzić sobie z gównem, którym rzuca w ciebie życie? Nie przekazałam jej nic, może oprócz miłości do Sylvii Plath. Nie mogę uwierzyć, że podsunęłam córce jej twórczość, chociaż nazbyt dobrze wiedziałam, że potrafi wbić się w skórę jak haczyk. Miłość do Plath, włosy, które niegdyś pretensjonalnie określiłam w wierszu jako krucze skrzydło (z pewnością gdzieś to przeczytałam), plus oczywiście chęć, by od czasu do czasu powiedzieć światu, żeby się pierdolił – to wszystko, a także nasza intonacja, nasza kadencja, nawet sposób, w jaki obie pisałyśmy, to ja byłam w niej i ona we mnie.

Dlaczego nigdy z nią o tym nie rozmawiałam, Jem? Przecież nie byłam nieświadoma tego, co ciągnęło się ciemną smugą wśród kobiet z rodu Mullens, tego, co odwiedzało ją nocą i sprawiało, że rozmawiała z lisami, tego, na co nigdy nie miała nazwy, ale określała jako TO, wielkimi literami. TO – bo małe były niewystarczające. Kiedyś uważałam, że Plath miała rację, a tymczasem ona tak groteskowo się myliła, że powinno się ją zdjąć z sylabusa: nie dlatego że trzeba kontrolować to, co ludzie czytają, jak w *Roku 1984*, ale dlatego że w śmierci nie ma niczego pięknego i nie wolno przekonywać nastoletnich dziewczyn, że jest odwrotnie.

Alice nie popełniła samobójstwa. Nie mogłaby, nie odważyłaby się.

Byłam w Tobie zakochana, a przynajmniej w jakiejś wersji Ciebie – można dyskutować, czy tej istniejącej, czy tej, którą sama sobie wymyśliłam. Byłabym nieuczciwa, twierdząc, że nie było między nami takich chwil, które

w innych okolicznościach przekształciłyby się w piękne wspomnienia. Teraz jednak w większości przepadły, zdrewniały w splątanym węzle tego, co stało się po naszym rozstaniu. Właśnie to głównie po nas zostało: dręczące zagubienie, gdy było po wszystkim (uwierz mi, nie masz pojęcia). Jedną z naszych kłótni przypominam sobie szczególnie dokładnie.

– Fliss! – krzyczałam, bo Twoja niezdolność, by wypowiedzieć jej imię, doprowadzała mnie do szału. – Skoro możesz się ze mną przespać, to możesz przynajmniej wypowiedzieć jej imię!

– Małżeństwo nie jest takie proste. Nie zrozumiesz tego.

– Nie traktuj mnie z góry – wycedziłam. – Nie jestem jakąś zabujaną nastolatką.

Ale tak się właśnie zachowywałam. Czekałam przez godzinę pod Twoim gabinetem, a kiedy w końcu się pojawiłeś, rzucając wymówkę o przedłużającym się spotkaniu, wybuchłam.

– Nie stanę się jedną z tych kobiet, Jem, które są bez przerwy wdzięczne. Wdzięczne za telefon, za wspólny wieczór, za poranek, kiedy się budzę, a ty nadal jesteś w łóżku. Nie muszę tego robić. Jestem młoda i nie taka znów brzydka.

Twoja odpowiedź?

– Może wyjaśnimy to sobie przy drinku?

Pomijając prawienie komplementów, taki był właśnie Twój *modus operandi*: upoić mnie dżinem, napełnić jego rozgrzewającą magią, aż zapomnę albo przestanę się przejmować, nie będę robić zamieszania, nie będę krzyzczeć – bo nie mogliśmy sobie na to pozwolić, prawda? Na robienie scen. Świetnie się ze mną bawiłeś, a gdy miałeś już dość, biegłeś do żony. Nie znosiłam Cię za to, że zrobiłeś ze mnie typ osoby, jakiego nienawidzę (musisz wiedzieć, że nigdy wcześniej nie byłam z żonatym mężczyzną,

później też nie), ale siebie nie znosiłam bardziej. Za to, że w ogóle do tego dopuściłam. Zaczęłam płakać.

– To jakiś żart – rzuciłam.

Przysunąłeś się do mnie, ciemnoczerwonej ze złości.

– Jeśli to takie zabawne, to czemu się nie śmiejesz?

Wtedy bez przerwy nosiłam w sobie niepokój, ale w tamtej chwili poczułam w trzewiach fizyczny strach. Czułam Twój oddech: nieświeżą kawę i cebulę.

– No, dalej – powiedziałaś, ściskając mój nadgarstek. – Śmiej się.

– Nigdy mnie nie bawiłeś – odparłam. – Stawiasz mi posiłki, zabierasz do podrzędnych hoteli, kupujesz mi ubrania, których nie potrzebuję, i biżuterię, która zupełnie nie jest w moim guście, a potem idziesz do domu i pewnie pieprzysz się z Fliss, bo taki jesteś zakompleksiony.

Podniosłeś dłoń – owszem, piłam i trudno mi było zebrać myśli – ale zobaczyłam zbliżający się do mnie szpon, naprawdę, była jak zwierzęcy szpon.

– To koniec! – krzyknęłam.

Ale proszę, minęło tyle lat, a my nadal jesteśmy w kontakcie. Nie mogę uwierzyć, że tyle napisałam. To chyba forma *katharsis*. Jesteś już przeszłością, ale ciąży na Tobie pewna odpowiedzialność. Posiadasz moc, używaj jej mądrze. Powiedziałam Ci coś w tajemnicy, Jem, więc mnie nie zawieź.

Załączam kilka wpisów z jej pamiętnika do Twoich „akt” oraz jedno z moich ulubionych zdjęć. Przedstawia Alice i Roba na plaży na wakacjach za granicą, czyli pewnie w czasach, zanim interes Dave’a poszedł na dno. Spójrz tylko na nią: spogląda w morze, jak gdyby mogła przepłynąć ten błękit kilkoma energicznymi ruchami, brodzić w nim, chodzić po wodzie. Na niebie nie ma ani jednej chmurki. To jeden z tych dni, które pamięta się

z dzieciństwa, ale nigdy nie wiadomo, czy on naprawdę się wydarzył, czy to może sztuczka naszej pamięci: lody i zamki z piasku, drzemki w samochodzie i to, jak ktoś zanoszą Cię do łóżka. Dzień łatwy do zapamiętania, ale większość dzieci nigdy nie jest w stanie go sobie przypomnieć. Bardzo staraliśmy się dać coś takiego naszym dzieciom – dni, podczas których są tylko morze i niebo.

Masz rację, często słowa to za mało. Przykro mi słyszeć, że jesteś chory. Nie mogę powiedzieć, że się za Ciebie modlę, ale życzę Ci jak najlepiej.

Wyobrażam sobie Ciebie w gabinecie w kolorze kości słoniowej, jak pijesz earl grey, słuchając świerszczy. Tak to wygląda?

Masz rację – jeśli chodzi o nasze sekrety, to dobrana z nas para.

Chciałabym Cię znów zobaczyć.

Z pozdrowieniami

Liz

*

**Transkrypcja wiadomości pozostawionej na poczcie
głosowej profesora Jeremy'ego Cooke'a
24 maja 2012, 01.22**

Wiem, gdzie mieszkasz, profesorku... łatwiej Cię wysledzić, niż zamówić pizzę na telefon... lepiej zostaw ją w spokoju... to nie twoja sprawa... nie rwałbym się tak do grzebania w przeszłości, panie Antropologiku [sic]... Ona umarła [niezrozumiałe słowa]... nie żyje... odeszła... którego fragmentu nie rozumiesz? Ona [niezrozumiałe słowa] z mostu. [Niezrozumiałe słowa]. Powinieneś się wstydzić, wstydzić... koniec rozdrapywania ran, koniec...

[niezrozumiałe słowa] kochać Alice. Uważaj na siebie, staruchu, bo wypadki chodzą po ludziach.

[4] Wycieczki takie organizowane są w ramach programu „The Duke of Edinburgh’s Award” promującego wśród młodzieży zdobywanie nowych umiejętności i samodoskonalenie.

[5] Fragment wiersza Dylana Thomasa *Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy* w przekładzie Stanisława Barańczaka. Zob. D. Thomas, *Wiersze wybrane*, tłum. S. Barańczak, Kraków 1974, s. 183.

[6] BFF – popularny slangowy skrót od *best friend forever* (najlepsza przyjaciółka na zawsze).

[7] Geoffrey Palmer grał w serialu *As Time Goes By* rolę sympatycznego Lionela Hardsastle’a, który w podeszłym wieku spotyka ponownie miłość sprzed lat, Victor Meldrew zaś to bohater sitcomu *One Foot in the Grave*, stereotypowy gburowaty staruszek.

III

ŻYCIE JEST JAK SCRABBLE

SMS-y z piątku, 13 maja 2010

Pomiędzy Lukiem Addisonem i Alice Salmon:

10.46

L.: Dzięki za świetny wieczór, ale czuję się strasznie! A ty?

A.: Kto to???

L.: Bardzo śmieszne. Facet, którego upiłaś.

A.: To chyba ty upiłeś MNIE, i to w środku tygodnia. Zły z pana chłopiec, panie Addison.

L.: Zwykle nie piję. Zrobiłem dla ciebie wyjątek.

A.: Mój bohater!

L.: Tak, to ja J Sorry za The Crown. BTW nie wiedziałem, że to teraz najgorszy pub w Balham.

A.: Czyli to jednak była randka?

L.: Bez komentarza J

15.24

A.: Jak tam twój kac?

L.: Trzyma się. A twój?

A.: Wlewam w siebie wiadra herbaty. Jak ci mija dzień?

L.: Siedziałem na najnudniejszym spotkaniu świata. Myślałaś o sobocie?

A.: Kino?

L.: Trwa retrospektywa filmów szwedzkich.

A.: Chyba jednak będę myć włosy...

L.: *Droga?*

A.: Kiedy o tym wspomniałam, chciałam zrobić na tobie wrażenie.

Wolałabym *Shreka Forever*.

L.: Ja też. Może zjemy w nowej knajpce z tapas na Clapham High Street? Tequila nie liczy się za alkohol, jeśli zamawiasz z tapas.

A.: Lubię tanie randki z tequilą J

L.: Zapamiętam J

20.02

A.: Współlokator otworzył wino, więc piję jeden kieliszek. Gdzie jesteś?

L.: Poszedłem wcześniej na siłownię, żeby pozbyć się resztek kaca, a teraz znów w pubie.

A.: Jest czwartek!

L.: Czwartek to nowy piątek!

A.: Kumple się na ciebie nie złością, że ich olewasz?

L.: Palę szluga na zewnątrz. Zresztą to nie tacy znowu kumple. Wolę z tobą pisać.

23.41

L.: Śpisz?

A.: Czytam w łóżku. Gdzie jesteś?

L.: Idę do domu. Super się z tobą wczoraj bawiłem, Alice.

A.: Już mówiłeś.

L.: Chciałem powiedzieć jeszcze raz.

A.: Ja też. Dawno się tyle nie śmiałam.

L.: Mam nadzieję, że nie ze mnie.

A.: Też! Wyłączam telefon, muszę się wyspać. Napisz do mnie jutro, czeka mnie długi dzień, więc trochę mnie rozerwij.

L.: Mogę to robić cały dzień!

A.: Dzięki x

Pomiędzy Charliem Moore'em a Lukiem Addisonem:

18.20

C.: Jak było wczoraj?

L.: Miazga.

C.: Kiepska randka?

L.: Nie. Dziewczyna super.

C.: Było bzykanko?

L.: Poszła do domu.

C.: Żartujesz?

L.: Nie. Nie chcę tego schrzanić.

C.: Porzygam się.

L.: Fiut.

C.: Co to za jedna?

L.: Poznałem ją w zeszły weekend w Porterhouse, wysoka, ciemne włosy, piegi, trochę dziwna, ale śliczna.

C.: Znów się porzygam.

L.: Megafiut.

C.: Laski zawsze mi to mówią. Umówisz się z nią jeszcze?

L.: W sobotę. Kolacja i kino.

C.: Nieźle.

L.: Raczej nieźle napalony J

C.: Bez znaczenia. Nie daj po sobie poznać! Musimy się umówić na piwo i zaplanować Pragę – wyślę ci maila. Będzie szła.

L.: Co się dzieje w trasie...

*

Fragment pamiętnika Alice Salmon, lat 22 19 lutego 2009

Jest czwarta osiemnaście, a ja nie mogę spać.

Nowe miasto, nowa praca, nowi współlokatorzy. Jakbym po raz drugi przeżywała pierwszy tydzień studiów. Doszłam do wniosku, że życie to jedna wielka gra w drabiny i węże: wspinasz się po jednej drabinie i bach, ześlizgujesz po wężu^[8].

Noce najbardziej przypominają węże. Powinnam ustanowić zasadę: żadnego pisania po dwudziestej trzeciej.

Na zewnątrz jest lis. Zawsze gdzieś się czai. To pewnie samiec, wielki, ale potargany jak szmaciana lalka. Pewnie jest mu smutno samemu pomiędzy koszami na śmieci i autobusami; pewnie chciałby chociaż raz poczuć pod łapami trawę. Mam nadzieję, że znajdzie jakąś dziewczynę. A właściwie to zdaje się, że znalazł więcej niż jedną, podrywacz.

Jak to możliwe, że czuję się taka samotna, skoro w Londynie mieszka siedem milionów ludzi? Obserwuję ich w pociągach – ich dzinsy rurki i wielkie okulary, jak czytają „Metro” i piszą SMS-y, a z ich słuchawek cichutko uchodzi Dizzee Rascal albo Franz Ferdinand – i wyobrażam sobie, jak ich życia toczą się obok mojego. Nasłuchuję, staram się odtworzyć ich codzienną egzystencję z podsłuchanych fragmentów.

– Za dużo analizujesz – powiedziała kiedyś Meg i chyba to właśnie miała na myśli.

Patrzenie na lisa w ogrodzie, a raczej na betonowym placu wielkości znaczka pocztowego, dzielonym z kobietą z dołu, która najprawdopodobniej jest w ciąży i mówimy na nią Mejbi-Bejbi, i mieszkającą nad nami polską rodziną, którą nazywamy Gdzie śmieciów?, bo jak na razie tylko do tego ograniczyła się nasza rozmowa.

Czy nie jestem za stara, żeby czuć się w taki sposób, żeby znów siebie zaskakiwać? Przyłapywać się w lustrze i myśleć: Alice, co do cholery? Wszystkie te obietnice, jakie sobie złożyłam, gdy byłam rozmarzoną nastolatką – by nigdy nie tknąć narkotyków, by się nie zadłużyć, nigdy nikogo nie zawieść. Życie cię przerasta. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że zrobię sobie tatuaż i okej, jest subtelny, ale to nadal tatuaż, a moi rodzice wpadliby w szal, gdyby go zobaczyli. Obiecałam sobie, że nigdy nie dam facetowi sobą pomiatać, a mimo to nadal esemesuję z Benem. Wbił się nawet na rodzinny lunch w Corby z okazji moich dwudziestych pierwszych urodzin.

– Spotykasz się z kimś ostatnio? – zapytał niezainteresowanym tonem, po tym jak nieproszony wszedł do środka.

– Nie. A ty?

– Nic poważnego. – To wszystko było jakoś krzepiąco znajome. – Pamiętasz, jak staliśmy na Pont des Arts? – Wypowiedział to z bardzo francuskim akcentem. – To było wyjątkowe.

– Nie mam zamiaru się z tobą przespać.

– Jeszcze zobaczymy.

– Mówię poważnie.

– Ale bardzo szybko dałaś sobie postawić drinka.

– Nie psuj tego, Ben. Skończmy ten wieczór po przyjacielsku. Udowodnijmy sobie, że potrafimy.

Położył mi dłoń na kolanie.

– Nadal za tobą szaleję.

– Nieprawda. Szalejesz za wyobrażeniem mnie. W praktyce nie dałbyś sobie rady w związku i mówię ci, weź tę rękę.

Jakbyśmy grali w pokera, a on bez przerwy się wiercił: cały on, szamotał się, chociaż wiedział, że to go zdradzi, bo zawsze tak robił. Jakaś część mnie czuła wstyd, że dałam się mu omotać, Meg zawsze mówiła, że to palant.

Przesunął dłoń po moim udzie.

– Co my tu mamy? Lubisz to, co?

– Zabieraj łapy.

– Niezła z ciebie cipa, Lisso, w dodatku prowokatorka.

Uderzyłam go w twarz. Raz, mocno i prosto w policzek. Nigdy przedtem czegoś takiego nie zrobiłam i natychmiast poczułam się w obowiązku zapytać, czy nic mu nie jest. Na jego twarzy zaczął wykwitać czerwony ślad.

– Tak naprawdę mnie kocha – zaśmiał się do mężczyzny, który siedział przy stoliku obok. – Jeszcze się z tobą prześpię – powiedział do mnie. – Jeśli nie dziś, to kiedyś.

Zostawiłam go w barze.

Miałam dobre przeczucie co do tego miejsca, kiedy tylko zobaczyłam je na Gumtree. „Do pokoju wpadają promienie słońca i późnym popołudniem wypełniają całe pomieszczenie” – przeczytałam w ogłoszeniu i trzy godziny później piłam kawę z Alexem i Soph.

– Chcielibyśmy, by zamieszkał tu ktoś, z kim będziemy mogli się dogadać – powiedział Alex.

– Ale jeśli na to nie ma szans, to wystarczy, żeby to nie był seryjny morderca – dodała Soph.

Pokazują mi pokój, który oświetla słońce. Pytam, kiedy mogę się wprowadzić.

Teraz słońce nie świeci.

Ten lis nadal tam jest. Nazwę go Rydz. Rudy Rydz. Będzie słowem tego wpisu. Wyłożyłabym mu jakieś jedzenie, ale Soph uważa, że ma pchły i może gryźć, więc wybacz, koleżko, musisz sobie radzić sam; na razie będziemy sobie tylko rozmawiać.

Mierzę się wzrokiem w lustrze od stóp do głów. Nadal tak obca sobie, jak

kiedy byłam nastolatką: to, co w sobie noszę, to, co mnie nosi, to ciało. Dotykam włosów, twarzy, bioder. Śledzę cienką linię blizny na przegubie. Przeraza mnie to, do czego jest zdolna kobieta, na którą patrzę.

Chodzi o to, że zaskakuję siebie nie tylko negatywnie. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że stać mnie na to, by siedzieć na sali sądowej w Southampton i patrzeć, jak to zwierzę, które pomogłam postawić w stan oskarżenia za napaść na starszą kobietę, dostaje karę więzienia, a ja nawet się nie wzdrygnęłam, kiedy posłał mi buziaka. Podczas szkolenia zaraz po rozpoczęciu pracy musiałam przeprowadzić prezentację przed wszystkimi szefami i nie przekreśliłam ani jednego słowa („najpierw uruchom mózg, a potem język, moja rybko”, zwykł mówić mi tata), nie potrzebowałam nawet fiszek. A kiedy skończyłam, wszyscy zaczęli klaskać, serio, wszyscy klaskali – wcale nie ściemniam.

Pewnie robię z siebie królową dramatu. Tata czasem mnie tak nazywał, a potem, kiedy okazało się, że uwielbiam tańczyć, tata mówił, że jestem bardziej królową parkietu niż dramatu. Jak ja lubiałam dla niego tańczyć, nadal to uwielbiam – uwielbiam, uwielbiam, uwielbiam!

Nic wielkiego. Wielu ludzi nie śpi po nocach – w tym mama. Wiem, bo kiedyś mi się z tego zwierzyła. Powiedziała, że kiedy była młoda, miała takie okresy, gdy wszystko wydawało się jej bez sensu, za małe albo za wielkie, zbyt przytłaczające.

– Powiesz mi, jeśli kiedykolwiek będziesz się tak czuć? – zapytała. – Obiecuj, że mi powiesz, Alice.

Musisz zmierzyć się ze swoimi demonami, mówiła mi.

Jestem szczęściarą. Nie mam zbyt wielu demonów. Może jednego, któremu nigdy nie miałam odwagi spojrzeć prosto w twarz. Profesorek.

– Poznałam twojego starego znajomego – powiedziałam, próbując się czegoś dowiedzieć, kiedy zadzwoniłam do mamy po przyjęciu na wydziale

antropologii. – Jakiegoś profesora Cooke’a. Jaki on jest?

– Ten facet to same kłopoty, Alice, koniec, kropka – odparła.

Przez kolejne trzy lata unikałam go jak ognia, pomimo że od czasu do czasu niezdarnie starał się mi przypochlebić.

Kiedyś przechodziłam koło jego gabinetu i dopadła mnie ciekawość. Chęć, by dowiedzieć się, co tak naprawdę zaszło, stopniowo stawała się we mnie silniejsza niż rozpaczliwa chęć wyparcia tego zdarzenia. Siedział za swoim biurkiem, nieobecny wzrokiem patrząc w okno, tak jak Pan Hau zwykł gapić się na tylne drzwi, kiedy czekał, aż ktoś go wyprowadzi. Omal nie zapukałam w szybę, aby się upewnić, że nie umarł. Po chwili jednak przypomniałam sobie jego dłonie i znów uciekłam...

Za dwadzieścia szósta. Odgłos spuszczonej wody. Alex wyjdzie do pracy za dziesięć siódma, a Soph pójdzie na siłownię. Dziwne, jak dobrze znam ich codzienną rutynę: obcych ludzi, których połączył dziesięciominutowy spacer na przystanek. Wiedzą, że zastawiam korytarz moim rowerem i że lubię późno jeść, nie wiedzą jednak, że kiedy świat śpi, ja przyjaźnię się z Rydzem. Alex zje grzanekę, Soph wypije czarną kawę, nasze życia skrzyżują się na moment w kuchni. „Miłego dnia”, powiemy. „Do zobaczenia wieczorem”. Nie wspomnę o tym, że nie spałam pół nocy, Soph nie wspomni, że minął kolejny dzień, podczas którego ledwie co zjadła, Alex nie wspomni, że nadal szaleje za swoją byłą. Ale ja wiem, bo nakładają się tu nasze diagramy Venna: mieszkanie numer 8, Bedlington Road 25, Balham SW 12. Na myśl o tym, że kiedyś stracimy kontakt, ogarnia mnie przerażenie.

Ale dziś wieczorem czeka nas wspólna kolacja i picie. W jakiejś ciepłej restauracyjce na South Bank, stukanie pałeczek, przyływ i odpływ rozmów o rowerach miejskich i Heacie Ledgerze, żarty o Wayne Rooneyu i jego żonie Coleen, o Russellu Brandzie i Jonathanie Rossie. W wybuchach naszego śmiechu ta noc będzie jedynie wspomnieniem.

Szybka kąpiel, filiżanka herbaty, przejrzanie nagłówków w telefonie – ostatnie opady śniegu najgorsze od dwudziestu lat – i zjawi się ona, ta „ja”, która za dwanaście godzin znajdzie się na South Bank, roześmiana, towarzyska, ja w masce.

Bycie singlem jest super, ale nigdy nikogo nie mieć nie będzie już takie fajne, a ja bez dwóch zdań mam talent do mówienia facetom, którzy nie chcą niczego poważnego, że potrzebuję więcej, a facetom, którzy chcą poważnego związku, żeby trochę zwolnili (nie żeby było ich zbyt wielu: właściwie to tylko Josh i byliśmy wtedy w liceum). Wygląda właściwie na to, że w relacjach zawsze idę wstak, jakbym oglądała świat w lustrze.

Nie spałaś między dziesiątą wieczorem a czwartą w nocy? Wyjrzałaś na ogród i zakręciło ci się w głowie? Szeptowałaś do Rydza?

Powiedz mi o tych chwilach, ty i tylko ty.

Kim jesteś?

Kim jestem ja?

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 20 czerwca 2012

Mój drogi Larry,

nigdy nie zgadniesz, gdzie się wczoraj znalazłem. W komisariacie policji! Gość przy biurku, który miał najwyżej czternaście lat, szybko uznał, że wiadomości na poczcie głosowej to jakiś psikus. Cała sytuacja była dla niego najwyraźniej źródłem wspaniałej rozrywki.

– Czego pan oczekuje, całodobowej ochrony?

– To może mieć związek ze sprawą Alice Salmon – powiedziałem.

– No tak, to. Czy chodzi o te pana „badania”?

W lokalnej gazecie ukazał się kolejny artykuł. Zaczął się obiecująco, nazywając mój projekt „interesującym wglądem we współczesną zbiorową pamięć”, ale potem autor porzucił ten wątek i zaczął sugerować, że to ja odkryłem ciało. Wyciągnąłem z portfela zdjęcie Alice, i zacząłem wymachiwać nim policjantowi przed oczami.

– A jeśli Alice naprawdę stało się coś złego? Proszę zadawać więcej pytań, stawiać inne. Musicie odtworzyć zdarzenia tuż sprzed jej śmierci.

– Jak już tłumaczyłem, zajął się tym zespół śledczych.

– A jeśli coś przeoczyli? Oni jej nie znali.

– Niech pan nie da się ponieść emocjom, panie Cooke.

– Profesorze Cooke.

– Nie mamy zwyczaju powracać do oczywistych spraw z powodu dwóch niegrzecznych wiadomości pozostawionych na czyjejs poczcie.

– Nie były dwie, tylko trzy, i nie były niegrzeczne, panie Kidson, to były groźby.

– Inspektorze Kidson – poprawił mnie. – Gdybym dostawał funta za każdym razem, kiedy tak jak pan przychodzi tu ktoś i twierdzi, że policja popełniła błąd, to już dawno przeszedłbym na emeryturę.

– Nie byłoby tu pana, gdyby złe rzeczy nigdy się nie zdarzały.

Spojrzał na zegarek.

– Dzięki nim zarabiam na życie, kolego, ale mogę zapewnić, że akurat to zdarzenie zostało bardzo dokładnie zbadane.

Po zdegradowaniu mnie z „pana” do „kolegi” poznałem, że kończy mu się cierpliwość. Dwóch policjantów wlokło pijanego nastolatka, zamiatając jego stopami główny korytarz. Kiedyś mnie to oburzało, że nieletni upijają

się do nieprzytomności, teraz jednak widzę w tym coś podnoszącego na duchu. Biedacy, sądzą, że to wymyślili, chociaż starożytni Macedończycy robili to już w szóstym wieku przed Chrystusem. Jakież surowy i instynktowny jest ten przejaw życia, to bezwstydnie poszukiwanie gratyfikacji. Sam nigdy nie wylewałem za kołnierz, ale Elizabeth wprost uwielbiała alkohol. Brała się do niego z wrodzonej potrzeby, a alkohol wsiąkał w nią, sprawiał, że robiła się szorstka, przerażająca, pozbawiona zahamowań. Próbowałem osadzić jej to w kontekście: opowiadałem o starożytnych Egipcjanach i ich bogu wina, o Ozyrysie, i o rdzennych Amerykanach, którzy walczyli o ognistą wodę na równinach Dakoty, ale ona tylko piła, śmiała się i mówiła mi, żebym się, kurwa, zamknął – uwielbiałem ten nieokrzesany śmiech – i piła jeszcze więcej. Mówiła mi, że z tym skończyła, co nie jest żadną niespodzianką. To się mogło rozegrać tylko na dwa sposoby. „To mi dodaje animuszu – powiedziała kiedyś. – Przystaję się wtedy bać”. „Wszyscy musimy się trochę bać” – odpowiedziałem. Typowy ja: chwałę bezwład.

Chciałbym móc przestać się bać, Larry.

Czternastoletni policjant porozmawiał szeptem z kolegą i powiedział:

– Może pójdzie pan do domu i trochę odpocznie.

– Nie jestem chory – odparłem i od razu uderzyła mnie ironia tego stwierdzenia.

– Czy panna Salmon nie była pijana? – zapytał Kidson.

Okazuje się, że siedziała z jakimś facetem w barze. Jeden chłopak, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że widział, jak się kłócili, i to była piekielna awantura. Inny twierdził, że się całowali. Obaliła kilka drinków, a w pewnym momencie nawet się przewróciła. Przytulała się do wszystkich, płakała.

– Tak, była pijana, ale to chyba nie jest przestępstwem.

– Jest, jeśli jesteś w takim stanie jak on – powiedział policjant, skinąwszy głową w stronę przedstawienia, które rozgrywało się na naszych oczach.

Taki scenariusz był całkiem możliwy. Luke Addison powiedział mi kiedyś, że kilka razy widział, jak Alice upija się do nieprzytomności. Bardzo go zaszokowało, kiedy przyszedł do domu po pracy i zastał mnie przed drzwiami.

– Szukam Alice Salmon – powiedziałem.

– Ona nie żyje – warknął.

– Jestem tego w pełni świadomy, ale nadal jestem jej ciekaw. Ciebie też.

– Gdybym tylko tam był, mógłbym ją ochronić – powiedział mi.

– Wygląda na to, że twoje życie wróciło do normy w bardzo szybkim tempie – zauważyłem.

Spojrzał na mnie przeciągle. Złość, pomyślałem.

Plotki głosiły, że poza pubem grupka, z którą bawiła się Alice, weszła do baru po rybę z frytkami na wynos, zakładając, że Alice się nie ruszy oparta o ścianę przed wejściem, ale musiała chyba złapać drugi oddech i oddaliła się niezauważona, z prędkością i celowością, jaką potrafią wykrzesać z siebie pijacy, poruszając się zygzakiem, i skierowała się w stronę rzeki. Trzy dziewczyny, z którymi ponoć spędzała ten wieczór, milczą jak zakłęte.

– Nie pora już dać sobie spokój, profesorze? – zapytał policjant. Na jego twarzy pojawił się wyraz politowania i zdałem sobie sprawę, że od jakiegoś czasu coraz częściej widziałem je na twarzach ludzi.

– Po pijaku można zginąć na wiele sposobów – pouczyłem go. – Nic dziwnego, że Alice odnosiła więcej sukcesów w przyskrzynianiu przestępców niż wy! – Czytałem o jej działaniach doprowadzających do skazywania przestępców. To dopiero kobieta z misją. W jednym ze swoich artykułów wstępnych postawiła tezę, że jeśli Wielkie Społeczeństwo Camerona^[9] coś oznacza, to właśnie to, że „wymierzanie sprawiedliwości nie

jest już wyłącznie domeną policji”. – Zgaduję, że wie pan, ilu ludzi jej nienawidziło? – zapytałem Kidsona.

– W gazecie stwierdził pan, że wszyscy ją kochali – odparł sarkastycznie.

– Powiedziałem reporterom mnóstwo rzeczy, ale postanowili ich nie publikować. – Z głębi korytarza rozległ się długi jęk, wydany pewnie przez pijanego nastolatka. – Chodziło mi o to, że kochali ją wszyscy, którzy ją znali, ale przez swoją pracę zetknęła się z ludźmi, w których budziła przeciwne uczucia.

– Znam to – powiedział, zerkając na zegarek.

– To nie wszystko – wypaliłem pospiesznie. – Kiedy wczoraj wróciłem do domu, okazało się, że ktoś się do niego włamał.

– Coś zostało skradzione?

– Nie, ale moje rzeczy porzucano z miejsca na miejsce i ktoś włączył mój komputer.

– Czy zabrano ten komputer?

– Nie, ale ktoś z niego korzystał. Prawie czułem jego obecność.

Trudno mi było stwierdzić, czy jego mina wyrażała teraz współczucie, czy też był bliski śmiechu.

– Rozumiem – powiedział. – Ale czy coś zginęło?

– Nie, ale w domu bez wątpienia był ktoś obcy. Jestem bardzo precyzyjny, rzeczy nie leżały tam, gdzie je zostawiłem. Cały czas mam też wrażenie, że ktoś mnie śledzi. – Powstrzymałem się przed wyjawieniem wszystkiego, nie przyznałem się, że na pewno widziałem, jak chłopak z tatuażami kręci się po kampusie, a wczoraj był nawet na parkingu przed szpitalem. Przychodzi też do mojego gabinetu, przynosząc przedmioty ze swojej „Kolekcji Alice”, jak kot z zabitą zdobyczą. Ostatnie, czego mi trzeba, to żeby zatrzymała go policja i pozwoliła mu paplać o moim liście (Boże, a co jeśli wie też o innych rzeczach?), ale pragnąłem tchnąć w śledztwo

trochę nowego zapachu. Alice może i była pożywką dla pismaków, ale policja najwyraźniej ograniczała się w swojej pracy do niezbędnego minimum.

– Ten Ben Finch był niezłym chujem – ogłosił dziś ten mały, wytatuowany prymityw. – Wydawało mu się, że jest od nas wszystkich lepszy. Bez przerwy pieprzył o swojej starej szkole i tutorach. Nie mógł mieć „nauczycieli” tak jak normalni ludzie?

– To jeden z jej byłych chłopaków, prawda?

– Poniekąd. Niezły pojeb, kiedyś porządnie mi przyłożył. Nie przestał mnie kopać nawet wtedy, kiedy leżałem już na podłodze twarzą do ziemi i trzymałem się nogi biurka.

– Dlaczego?

– Bo jest okrutną świnią. Bo te ekskluzywne szkoły wpajają ci skłonność do przemocy. W takich miejscach przetrwają tylko najsilniejsi, zabij albo zgiń.

– Rzeczywiście, mogą wpoić pewne niepożądane cechy, ale z pewnością nikt nie zachowuje się tak bez powodu.

– Zapytaj Alice. A nie... już się nie da! Następnego ranka ten porąbaniec uśmiechnął się szeroko na widok mojej zmasakrowanej twarzy i powiedział: „Musisz z tym pójść do lekarza, stary. Wygląda poważnie”. A kiedy przyszły dziewczyny, zaczął jeszcze bardziej się ze mnie nabijać, mówiąc, że pewnie pokłóciłem się z kumplami o gry komputerowe!

Najwyraźniej wciąż wściekły na całe zdarzenie, chłopak gwałtownie uderzył w blat biurka i oświadczył:

– Widziałem twoją żonę w Waitrose.

– Trzymaj się od niej z daleka – ostrzegłem go.

– Pięćset funtów – powiedział jedynie.

Może wyobraźnia płata mi figle, Larry. Ostatnio nie mogę spać. Fliss próbuje mnie namówić, żebym trochę zwolnił z pracą. Z pewnością byłaby

mniej wspierająca, gdyby zdawała sobie sprawę, że matka mojej muzy, Elizabeth Salmon, to Elizabeth Mullens z dawnych czasów. „Czy nie lepiej pozostawić pewne rzeczy niedopowiedziane? – zapytała. – Może niektóre sekrety powinno się zabrać ze sobą do grobu, Jeremy”.

Nie wdałem się w dyskusję, ale się nie zgadzam. Nie chcę, żeby w grobie leżały ze mną jakieś sekrety. Nie chcę zostawić niedopowiedzeń. Jeśli chodzi o Alice – Fliss też – chcę odtworzyć nasz związek, Twój i mój: jego prostotę, uspokajającą klarowność. Pamiętasz, jak sprawdzaliśmy nasz pakt szczerości, Larry? Przesuwaliśmy granice w tych listach. Moje wypryski, Twoja egzema. Moja nienawiść do ojca, bieda Twoich rodziców. Moje fantazje podczas masturbacji, Twoja utrata dziewictwa. Jak gra w karty: uwalniająca, ożywcza. Tylko nie posługiwaliśmy się talią, a samymi sobą (czasem w dosłownym sensie, takie z nas były małe dzikusy!). Wyczekiwałem tych listów z wielką niecierpliwością: zarówno czytania, jak i pisania. Zacząłem postrzegać ważne momenty w moim życiu – wyniki egzaminów, nowe wykopaliska, moje małżeństwo – nie takimi, jakie były, ale wymyślać, jak Ci o nich opowiem. Nigdy nie mówiłeś na mnie Jeremy Fiut, jak inni chłopcy, nigdy nie przezwałeś mnie wielkim kinolem ani okularnikiem. Wszystkie nasze bliźniacze zainteresowania; wyglądało, jakbyśmy zostali rozdzieleni po porodzie. Filatelistyka i zbieranie autografów (ostatnimi czasy podpisy są *passé*; młodzi kolekcjonują teraz zdjęcia gwiazd w telefonach) oraz wiedzy o mało znanych historycznych wydarzeniach, na przykład jak Holendrzy popłynęli na Medway i potopili nasze statki w Chatham w 1667 roku. W końcu ktoś taki jak ja. Po raz pierwszy w życiu nie czułem się kosmitą.

Kamera monitoringu pokazała, jak Alice przechodzi kilka metrów, potem przystaje. Idzie i przystaje, idzie i przystaje. Szła chwiejnie niczym zranione zwierzę. Potem, jak powiedział mediom właściciel jednego z ostatnich

pubów, jakie odwiedziła, „zniknęła z radaru” (szybko dodał też, że dawno przekroczyła wiek, od którego spożywanie alkoholu jest legalne). Miała siniaki i zadrapania na łokciach i kolanach – w opinii koronera wskazujące na „wielokrotne upadki na ziemię w stanie głębokiego upojenia alkoholem”. NPU – według jednego ze studentów tak się je teraz nazywa: niezidentyfikowane pijackie urazy.

– Płacę podatki w tym kraju, wykonujcie swoją cholerną robotę – naskoczyłem na Kidsona.

– Próbowałem wykazać się cierpliwością, ale ta rozmowa dobiegła końca. Jeśli uważa pan, że nie traktujemy pana poważnie, to ma pan pełne prawo złożyć skargę.

– Żądam, żeby spisał pan to, co powiedziałem – odparłem i usłyszałem siebie samego tak, jak pewnie słyszą mnie inni: pompatycznego, protekcyjnego, mówiącego z wyższością. Profesorek. – Proszę przynajmniej to odnotować. – Nachyliłem się w jego stronę, chwyciłem go za rękę, w której trzymał długopis, i dociągnąłem ją do podkładki. Usłyszałem mały chrzęst i policjant wyrwał rękę.

– Gdybyś nie był żalonym starym głupkiem, przymknąłbym cię za napaść na policjanta. A teraz spieprzaj pod kamień, spod którego wylazłeś, dziadku.

Jedyne, czego teraz chcę, to uporządkować swój dom, a skoro już przy tym jestem, to muszę Ci coś wyznać: w pewnym aspekcie tej sprawy nie byłem z Tobą w pełni szczerzy. Mówiłem Ci o mojej skłonności do późnych spacerów, prawda? Wspominałem, jaka to dla mnie rozrywka i fizyczny wysiłek zalecany przez lekarza? Cóż, przechadzałem się po centrum Southampton 4 lutego. Powiedzmy, że dowiedziałem się w pewien sposób, iż tamtego wieczoru Alice będzie w mieście.

Tak jak Kidson i jego kohorta nie wykonali swojej pracy najlepiej, tak i ja

mam się z czego tłumaczyć.

Kiedy w końcu dotarłem do domu, Fliss – było późno, ale nie spała, bo wychodziła z siebie ze zmartwienia – zaczęła mnie wypytywać o moją zarumienioną, wystraszoną minę, bała się, że to jakiś objaw choroby, który do tej pory pozostawał w ukryciu.

– Jeśli ci to dam, przestaniesz śledzić moją żonę? – zapytałem dziś rano, wręczając chłopakowi z tatuażami kolejną kopertę. Nie chodzi o pieniądze, Larry, one się nie liczą, ale muszę chronić Fliss.

– Czyż to nie ironia, Człowieku Lodu, że tak bardzo się starasz nią opiekować, choć zrobiłeś rzeczy, które mogłyby ją zniszczyć? Alice mieszkała ze mną tylko przez rok, ale twoja stara musi to z tobą robić od siedemdziesiątego szóstego.

Zaskoczył mnie, podając tę datę.

– Tak jest napisane na odwrocie – powiedział, puszczając do mnie oko. – Odwrocie ślubnej fotografii na twoim nocnym stoliku.

Najwyraźniej władowałem się w niezłe bagno, Larry.

Twój jak zawsze

Jeremy

*

**Wiadomość napisana przez Alice Salmon, nigdy
niewysłana
10 grudnia 2004**

Tym razem naprawdę to zrobiłam, mamó. Słyszałam o takich rzeczach

i szczyliam się tym, że nie dopuściłam, by coś takiego zdarzyło się mnie, aż do teraz. Jak mogłam być taka głupia?

– Jak ci się podoba to nasze małe spotkanko? – zapytał, gdy staliśmy stłoczeni w grupkach, siląc się na rozmowę. – Urządzamy takie wieczorki tego samego dnia co roku, to taka nasza tradycja.

– Pewnie przykro na was patrzeć, kiedy nie imprezujecie – rzuciłam, kołysana lekkomyślnością wina.

– Znałem twoją matkę – powiedział.

– Szczęściarz – odparłam. Uświadomiłam sobie nagle, że piję już czwarty kieliszek.

– Jak ona się miewa?

Co ja zrobię? Mam tylko strzępy wspomnień... segregatory z dokumentami, lampa obszyta frędzlami, jego nalegania, żebym zwracała się do niego Jeremy, a nie profesorze Cooke, muzyka klasyczna.

– Cin-cin – powiedział. – Do dna.

Nie wiem nawet, co imputuję. Wszyscy powiedzą, że się w nim podkochiwałam jak kilka innych studentek. Jest sławny. Czy nie powinnam się zwierzać innemu wykładowcy? Albo Megan? Opiekowałam się nią, stwierdziłby pewnie. Przesadziła z alkoholem. Kolejny pierwszoroczniak, który przesadził z procentami. Niemądra dziewczyna.

Dlaczego w ogóle się o to obwiniam? To on nie powinien był pozwolić, by doszło do tej sytuacji. Ale jeśli powiem o tym głośno, to jak to się skończy? Co jeśli będę musiała odejść z uczelni? Będą zadawać mi pytania, na które nie znam odpowiedzi. Głupia zdzira, nie umie pić i nigdy się nie nauczy. Jedyne, co pozostaje, to jego cebulowy oddech, chrapliwy śmiech, wykrochmalona koszula, opalona skóra jak u gada.

– Spójrz na mnie – powiedział. – Skup się.

Opierałam się o niego, podczas gdy świat wokół mnie odpływał. Boję się,

mamo.

Nie powinno mnie tam nawet być. Niech stary cymbał ma się z czego cieszyć, pomyślałam, kiedy zaproponował, żebym dołączyła do nich na kilka drinków, bo paru jego byłych studentów skończyło na państwowych stanowiskach, a takie kontakty są bardzo cenne. Zaprezentował mnie grupce zgredów.

– Zapamiętajcie jej nazwisko – powiedział. – Pewnego dnia zrobi się o niej głośno.

Modliłam się, żeby ziemia się pode mną rozstała i pochłonięła mnie na miejscu.

– Planuje karierę w mediach.

– Jeszcze do końca się nie zdecydowałam.

– Klasyczny przykład – tu zrobił pretensjonalną pauzę – „nie wiemy, kim się staniemy, lecz wiemy, kim jesteśmy”. Szekspir – dodał, zadzierając nosa.

– Ale ja przecież wiem! To *Hamlet*. I pomyliłeś się. Cytat brzmi: „Wiemy, czym jesteśmy, ale nie wiemy, czym się możemy stać”^[10].

– Szach-mat – powiedział. – Nieodrodne dziecko swoich rodziców.

Kelnerka ciągle przynosiła mi nowe drinki i przenikający mnie zwykle w takich sytuacjach niepokój wyparował. Czułam się, jakbym zrzuciła szpilki po długim wieczorze.

– Jak to się mówi? – prychnął jeden z jego kolegów. – Dziewczynka przyszła na zaliczenie.

Czemu nie poszłam na spotkanie ze znajomymi, mamo? Tam byłabym bezpieczna. Napiłabym się piwa, pograła w bilard, posiedziała z Meg, Holly i Jamie T. Wróciłybyśmy do akademika, napiły się kawy, podczas gdy chłopcy beztrąsko rzucaliby piłką do rugby, a z pokoju Willa z Doncaster dobiegałyby Usher albo Kanye West.

Jego gabinet był połączeniem biura i sypialni.

– Świat na zewnątrz staje się bardzo niebezpieczny, kiedy się tak upijesz – powiedział. – Ale tu nic ci się nie stanie.

Pomógł mi ściągnąć spódnicę.

– Masz włosy jak matka.

Pokój wirował, czułam się niedobrze.

– Teraz odpocznij, maleńka – powiedział.

Koc, ściągnij go, za gorąco, nie mogę oddychać, duszę się, ściągnij go ze mnie... Tak mi wstyd, ale to on powinien się wstydzić, ON.

– Słodkich snów – powiedział. – Karaluchy pod poduchy.

Obudziłam się na kanapie, nasze dłonie splecione.

– Miałaś koszmary – wyszeptał. – Krzyczałaś przez sen.

– Puszczaj! – wrzasnęłam, zrywając się na równe nogi.

Na zewnątrz normalne dźwięki – pikanie cofającej ciężarówki dostawczej, dwaj chłopcy markują bójkę na trawniku przy akompaniamencie chichotów kilku dziewczyn. Minione godziny... cienie, kształty, niespokojny sen, to, jak pomaga mi upić łyk wody, tak jak ty pomagałaś mi popić lekarstwa, kiedy byłam mała, i jak mówi mi, że na przyjęciu wywołałam niezłe zamieszanie, ale nie ma mi tego za złe, choć powinnam być ostrożna, nie wszyscy są tacy jak on. Dziewczyny w takim stanie „kończą w najróżniejszych tarapatach”.

Nie miałam na sobie bluzki, moja spódnica leżała zmięta w kulkę na podłodze. Zrobiło mi się niedobrze, odepchnęłam go, włożyłam ubrania i wybiegłam. Zawsze mówiłaś, że mogę ci się zwierzyć, mamo, ale nie potrafię tego wysłać...

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a

25 czerwca 2012

Larry,

nie mogę wybić sobie z głowy Alice i Liz. Śniły mi się nawet wczoraj w nocy. Zbudziłem się i Fliss zapytała, czy nic mi nie jest. Mamrotałem przez sen. Nie powiedziałem jej, że pochłonęła mnie wizja włosów Liz, ich przeciągły, zmysłowy ruch.

– Są jak grzywa – pewnego popołudnia rzekłem do niej dokładnie te słowa.

– Wielkie dzięki – zaśmiała się. – Za porównanie mnie do konia.

Byliśmy w tanim motelu przy autostradzie A36. Mimo że leżeliśmy nadzy, nie było w nas zażenowania ani wstydu, to zwykle przychodziło później. Z małego czarno-białego telewizora w rogu pokoju dobiegał głos Margaret Thatcher. Falklandy. 1982 rok. W moje myśli wdarła się Fliss, ale odepchnąłem ją i pogładziłem Liz po twarzy.

– Niesamowicie się przy tobie czuję – powiedziałem do kobiety, nie tej poślubionej sześć lat wcześniej, tylko nowej członkini kadry wykładowców, którą zobaczyłem po raz pierwszy kilka miesięcy wcześniej, kiedy szła tanecznym krokiem przez dziedziniec. Ona nie chodziła tak po prostu, ona poruszała się w rytm muzyki. Uśmiechnęła się, zęby miała zabarwione nie najlepszej jakości czerwonym winem. Zdałem sobie sprawę, że to wersja mnie, jaką mogłem być: mężczyzna, który płaci gotówką za hotelowe pokoje wynajmowane tylko na popołudnia. Jestem tym człowiekiem, pomyślałem.

– Nigdy wcześniej się tak nie czułem – dodałem.

– Ja też – odparła.

Larry, dzieląc się tym z Tobą raz jeszcze po tylu latach, czuję się jak przy konfesjonale. Widziałem siebie na nowo: nie dekonstruowałem

zachowania kogoś innego ani nie grzebałem w cudzym istnieniu, żyłem chwilą, w teraźniejszości, a nie w jakiejś erze tysiące lat temu. Dotknąłem jej czarnych włosów, każdy kosmyk zawierał DNA. Zapomnij o DNA, pomyślałem, wciąż je gładząc, to ona, to jest Liz. Miałem wrażenie, że wszystko się zmienia: polityka, zasady, społeczeństwo. Może ta piskliwa córka sklepiarza miała rację: naprawdę wszystko jest możliwe.

– Czy nie dziwna z nas para? – zapytała filuternie. – Jak myślisz, moja droga skamielino? – Nigdy nie znudziła się żartami o tym, że jestem od niej jedenaście lat starszy.

Dotknąłem jej, na co ona wydała z siebie cichy jęk, który przypomniał mi odgłosy Fliss.

Przestań myśleć, pomyślałem, po prostu przestań myśleć.

– Boisz się czasami? – zapytała mnie po wszystkim. Mówię o Liz.

– Rzadko kiedy czuję co innego – odpowiedziałem.

Między nami padło wiele głupich pytań i enigmatycznych odpowiedzi, ale to konkretne zadała mi już po raz drugi. Wypowiedziała je również poprzedniego wieczoru, kiedy ubieraliśmy się, by wyjść na kolację.

Zapaliła papierosa, zapytała, czy też chcę, wtedy poczułem nagłe przygnębienie – że nie wiedziała, czy palę, czy nie. Może próbowała być ironiczna.

– Próbuję rzucić – stwierdziła, wydechając cienką smużkę dymu.

Po prostu nie masz zielonego pojęcia, że nie palę, pomyślałem. Nie wiesz o tym, tak samo jak nie wiesz, że chciałbym hodować w szklarni orchidee, że nie znoszę gorącego klimatu (dwa tygodnie, które spędziliśmy w Leukaspis, były piekłem) albo że jestem lekko uczulony na owoce morza. Leżeliśmy na łóżku i zerknąłem na zegarek: tego wieczoru mieliśmy z Fliss pojawić się na jakiejś uroczystości wydziałowej.

– Mówię poważnie – naciskała. – Czy kiedykolwiek czujesz się

przerażony?

– Przerażony czym?

– Tym, jak możesz skończyć?

Przez zasunięte zasłony sączyło się blade światło dnia.

– Skończę pewnie w tym samym gabinecie, w którym jestem teraz, tylko będę artretykiem i zrzędą.

„Mężczyźni osiągają w życiu taki punkt – powiedział mi jeden z moich wykładowców na studiach doktoranckich, a ja w tamtych czasach uważałem to za miażdżący pesymizm – kiedy jedyne, co są w stanie zrobić, by się z niego wydostać, to rznąć co popadnie. To nie pomoże – pouczył mnie – ale i tak będziesz próbował”. To właśnie robiłem z Liz? Nie wiedziałem, czy odejdę od Fliss, czy mógłbym ją zostawić. Trudno uwierzyć, by mężczyzna z taką jak moja skłonnością do przemyśliwania wszystkiego nie miał planu. Czułem tylko lęk: lęk, że to może być moja ostatnia szansa, by osiągnąć coś, czego nawet nie byłem w stanie sobie wyobrazić. Przemknąłem przez osiemnastkę, dwudzieste pierwsze i trzydzieste urodziny, nie zwracając uwagi na te kamienie milowe, zajęty swoimi naukowymi ambicjami, aż nagle zacząłem się zbliżać do trzydziestki piątki i ten punkt zaczął drażnić moją świadomość. Półmetek.

Był też lęk innego rodzaju: a jeśli to był dopiero początek i pojawi się więcej kobiet takich jak Elizabeth?

Miałem nadzieję, że zadrwi z mojej odpowiedzi i powie, że przecież już jestem zrzędą. Bo wtedy byśmy się roześmiali i zakończyli ten zgubny konwersacyjny wątek. Zamiast tego przyglądała się chłodnej łunie telewizora i obrazom martwych Argentyńczyków, którzy leżeli jeden obok drugiego w wykopanej w ziemi dziurze.

– Myślisz, że naszym przeznaczeniem jest być razem? – zapytała. – Że jesteśmy skazani na to, by do siebie wracać, nieważne z kim ostatecznie

wylądujemy? To się czasem zdarza. – Kiedy nie odpowiedziałem, dodała: – Przynajmniej ja wiem, że nie znam swojego umysłu. Jesteś jednym z najmądrzejszych mężczyzn, jakich spotkałam, ale spośród nich jesteś najbardziej... beznadziejny.

– Nie wydaje mi się, abym się nadawał do poligamii – odpowiedziałem niezbyt zręcznie.

– Istnieje też poliandria.

To mi się zdało bezpieczniejszym gruntem.

– W rzeczy samej – odparłem. – To praktyka Masajek, ale nie tylko. Bardzo logiczna adaptacja wobec wysokiej śmiertelności noworodków i wojowników.

– Nie możesz winić kobiet, że chcą mieć różne opcje – powiedziała, a lekki uśmiech znikł z jej twarzy – skoro ich mężczyźni są tak beznadziejni jak nasi.

Zdałem sobie sprawę, że ta rozmowa wcale nie była teoretyczna: dotyczyła nas.

Zastanawiałem się, czy pomogłoby, gdybyśmy jeszcze raz się kochali. Uświadomiłem sobie wcześniej, że to wszystko przypomina trochę prawo malejących przychodów krańcowych: przespanie się z kobietą, która nie jest twoją żoną, nie było aż tak złe, skoro raz już to zrobiłeś. Nawet teraz, pomyślałem, leżąc nago w hotelowym łóżku z niemal obcą mi osobą, nie mogę nie być sobą: pedantycznym, akademickim nudziarzem.

W pokoju za ścianą zaczęło płakać dziecko. Usiedliśmy na łóżku. Już wtedy wiedziałem, że w nadchodzących miesiącach i latach będę sobie powtarzał, że byliśmy dorośli, że nikt jej do tego nie zmuszał, nie zmuszał jej do niczego, i że do tanga trzeba dwojga. Było to główne założenie jednego z moich pierwszych wykładów: odpowiedzialność indywidualna. Płacz dziecka osiągnął *crescendo*, po czym umilkł.

– Ciekawe, czy to chłopiec, czy dziewczynka. – Ale ona nie słuchała. Zmieniłem cię, pomyślałem. Kimkolwiek byłaś, kiedy po raz pierwszy tanecznym krokiem przeszłaś przez dziedziniec, teraz jesteś kobietą, która pieprzy się z żonatym mężczyzną, po czym wkłada na siebie tę samą bieliznę i wychodzi. Moją żonę zaś zmieniłem w kobietę, która zostawiała mi jedzenie w ciepłym piekarniku i nie wypytywała zbytnio o nic, gdy „zatrzymywała mnie praca”, choć zdawało jej się, że tego lata zdarza się to częściej niż zwykle.

Liz wyciągnęła się przede mną i sięgnęła po kieliszek wina na stoliku nocnym, wypłała go do dna, po czym włożyła do ust niedopalony papieros i zaciągnęła się. Na moją nogę spadło piórko popiołu.

– Na miłość boską, Elizabeth, uważaj.

– No tak, bardzo byśmy nie chcieli, żeby coś tu kogoś zabolalo, prawda? – Zaśmiała się. Ból, pustka, geneza nienawiści. – Nie chcesz mieć kiedyś dzieci?

– No tak, dzieci. – Na tamtym etapie Fliss i ja właściwie poddaliśmy się w kwestii założenia rodziny, mimo że regularnie badała nas i kłuła mała armia lekarzy i pielęgniarek. Wezbrało we mnie nieco dawnego rozgoryczenia, sprawiało, że zapragnąłem powiedzieć Liz, jakie to było poniżające, jak to osłabiało moją męskość, i że ludzkość wyginęłaby, gdyby jej przetrwanie zależało od par takich jak ja i Fliss.

– Może posiadanie dziecka nie jest nam pisane – powiedziała Fliss. – Może będziemy tylko ty i ja.

Opierałem się tej perspektywie.

– Nie mów tak. Będziemy próbować, aż nam się uda.

– Może Bóg ma dla nas inne plany. A poza tym to nie byłoby chyba takie złe, gdybyśmy zostali tylko we dwójkę, prawda?

– Bo ja chcę mieć dzieci – powiedziała Liz. – Najlepiej po jednym każdej

płci, ale przede wszystkim dziewczynkę. Nietypowe, prawda? Kobiety powinny ponoć pragnąć chłopców. – Znów się zamyśliła. Bywała taka, przechodząc od optymizmu do rozpacz w czasie, jaki zajmowało jej wypalenie papierosa.

Wiadomości przeniosły się z Falklandów do Waszyngtonu i tego krzykliwego, gloryfikowanego aktorki, Reagana, oraz jego ulubionego tematu, czyli środków nuklearnego odstraszania.

– Niektórzy powiedzieliby, że świat jest na tyle niebezpieczny, że robisz następnemu pokoleniu przysługę, nie sprowadzając go tu – powiedziałem.

– A jeśli moja córka odziedziczy po mnie tylko złe cechy? – zapytała.

– Ty nie masz złych cech.

Omam nie prychnęła na te słowa.

– Jeśli będę mieć córeczkę... Kiedy będę mieć córeczkę, to chyba umrę z obawy, że za bardzo będzie mnie przypominać, biedulka.

Dotknąłem jej skóry, jej miękkiej, cienkiej skóry i zdałem sobie sprawę, że może z tą kobietą mógłbym mieć syna, o którym zawsze marzyłem.

– A więc? – powiedziała. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Nigdy się nie boisz?

– Powinnaś rzucić karierę naukową i zostać dziennikarką – powiedziałem, po raz kolejny dotykając jej włosów.

– Jesteś zachłanny – powiedziała.

– Nie bardzo.

– To jaki właściwie jesteś? – zapytała. – I czym my jesteśmy?

Powinienem był wiedzieć, że to początek końca.

*

Lista „Przeczytać w 2012” na Kindle’u Alice Salmon

Trespass – Rose Tremain
Jak być kobietą – Caitlin Moran
Panie z Cranford – Elizabeth Gaskell
Zakłęci w czasie – Audrey Niffenegger
Najjaśniejsza gwiazda na niebie – Marian Keyes
Pierwszy śnieg – Jo Nesbø
Przeminęło z wiatrem – Margaret Mitchell
Cold Comfort Farm – Stella Gibbons
Pięćdziesiąt twarzy Greya – E L James
Jedź, módl się, kochaj – Elizabeth Gilbert
Jamie's Great Britain – Jamie Oliver
Świat zabawy – Edith Wharton

*

Artykuł na portalu „Southampton Star” 15 marca 2012

Najlepsza przyjaciółka Alice ujawnia groźby pod adresem zmarłej

Najlepsza przyjaciółka Alice Salmon, dziewczyny, której ciało wyłowiono z rzeki, wywołała nowe kontrowersje w sprawie, ujawniając, że Salmon na krótko przed śmiercią w lutym tego roku zaczęła „otrzymywać pogróżki”.

W wywiadzie udzielonym wyłącznie naszej gazecie Megan Parker oświadczyła, że wcześniej zgłaszane pogróżki były jedynie „wierzchołkiem góry lodowej” i że dwudziestopięcioletka „obawiała się o swoje życie”, po

tym jak na jej progu pozostawiono bukiet kwiatów ze „złowieszczą” notką.

Ujawnione ostatnio szokujące informacje wywołają kolejne pytania dotyczące śmierci dziennikarki, której ciało odnaleziono w rzece w centrum miasta, pozostawiając służby porządkowe w konsternacji co do dokładnych okoliczności zdarzenia.

Parker powiedziała: „Alice wyznała mi w zaufaniu, jak pewnego wieczoru, wracając do domu, znalazła bukiet zwiędłych kwiatów z przyczepionym do niego bilecikiem o treści »Ty będziesz następna«”.

Istnieją przesłanki, że groźba ma związek z dziennikarską działalnością Salmon dotyczącą walki z przestępczością, dzięki której przed wymiar sprawiedliwości doprowadzono niejednego poszukiwanego przestępcę.

„Od lat otrzymywała pogróżki – dodała pochodząca z Cheltenham Parker. – Kiedyś odbywała bardzo długie nocne spacerunki po parku Clapham Common, mimo że ciągle mówiłam jej, jakie to niebezpieczne, ale nawet i tego zaprzestała, bo bała się, że ktoś ją śledzi. Namawiałam ją, aby zgłosiła to policji, ale kazała mi obiecać, że dotrzymam tajemnicy. Uważała, że nawet podzielenie się tą informacją może się dla mnie okazać niebezpieczne. Była najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałam”.

Parker, która rozważa usunięcie swoich profili z portali społecznościowych, obawiając się oskarżeń wynikających z jej relacji z pogromczynią przestępców, powiedziała, że postanowiła przemówić z szacunku dla swojej przyjaciółki.

Wyznała, że tragiczna śmierć Salmon „zwała ją z nóg”, i ukróciła plotki o sporze pomiędzy przyjaciółmi Salmon. „W pewien sposób wszyscy czujemy się odpowiedzialni. Byłam w pełni świadoma, że od kilku miesięcy Alice nie była szczęśliwa, i przyglądałam się, jak pograża się coraz bardziej. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Istnieje wiele nedorzecznych pomówień w tej sprawie, ale koniec końców mógł to być jedynie straszny wypadek. Narobiła

sobie wielu wrogów, ale rozważanie ich udziału to jedynie spekulacja. Musimy pogodzić się z tym, że prawdopodobnie nigdy nie poskładamy łańcucha zdarzeń, które doprowadziły do śmierci Alice”.

Ledwie w październiku w artykule dla czołowego magazynu dla kobiet „Azure” Salmon wyznała, że czuje się, jakby „obserwowała życie przez tafłę grubego szkła”, i szczegółowo opisała, dlaczego „zwyczajnie nie jest do tego stworzona”.

Dzisiejszego ranka policja w Hampshire potwierdziła, że ma „otwarte podejście” do prowadzonego śledztwa. „To wciąż niezamknięte dochodzenie, w którym istnieje wiele niejasnych wątków – powiedział rzecznik prasowy komendy. – Jednocześnie wyznaczaliśmy rodzinie Salmonów funkcjonariusza pośredniczącego i raz jeszcze przekazujemy wyrazy współczucia rodzinie i przyjaciołom zmarłej”.

Sprawa wciąż ciekawi opinię publiczną i oddziałuje na wyobraźnię, a te najnowsze szczegóły, które ujawniono po obszernych relacjach medialnych, spowodują, że znów trafi na czołówki gazet.

„Nie zdziwiłoby mnie, gdyby poszedł za nią jeden z drani, których wsadziła do więzienia, i postanowił się zemścić”, skomentował jeden z czytelników na facebookowym profilu „Star Magazine”. „We wszystkich naszych miastach przestępczość jest powszechna... Salmon przyskrzyniła kilku przestępców, ale złoczyńcy zdają się nie popuszczać dziennikarzom”.

- Zdjęcie, którym opatrzony był ten artykuł, zostało zamienione z dniem 16 marca. Pierwotna fotografia przedstawiała Megan Parker, Alice Salmon oraz trzecią kobietę, którą w dopisku określono jako „Kristy Blake, przyjaciółkę zmarłej”. Panna Blake poinformowała nas, że nie jest osobą na zdjęciu, jednocześnie prosząc o sprostowanie i usunięcie fotografii, co z chęcią uczyniliśmy.

*

**E-mail otrzymany przez Alice Salmon od redaktorki
magazynu „Azure”
2 listopada 2010**

Cześć, Alice,

dziękuję Ci za pomysł. Zapoznałam się z nim z zainteresowaniem. Dziś rano tłukł mi się po głowie całą drogę do pracy, a to zazwyczaj dobry wskaźnik potencjalnej siły materiału! Chciałabym, żebyś skupiła się na czynniku osobistym – jak prowadzenie dziennika pomogło Ci się zmierzyć z nastoletnimi problemami, ale wykorzystaj sugerowane Państwowe Archiwum Pamiętnikarskie jako ciekawy haczyk tematyczny. Powinniśmy omówić przez telefon konkrety szczegółowego szkicu.

Zadzwoń!

Olivia x

PS „Antidotum na życie” – przepiękne sformułowanie. Sama to wymyśliłaś czy to może cytat?

*

**Post na blogu Megan Parker
27 marca 2012, 19.13**

„Megan Parker, najlepsza przyjaciółka”.

Przynajmniej prawidłowo mnie przedstawili, Alice, choć potem było już tylko gorzej. Może byłam naiwna, jak idioci, którzy idą do *Big Brothera* przekonani, że wypadną korzystnie.

„Najlepsze przyjaciółki łączy taka szczególna więź” – wyraziła się dziennikarka, gdy skontaktowała się ze mną przez LinkedIn. – Udzielając wywiadu, miałabyś okazję powiedzieć, dlaczego Alice była dla ciebie taka ważna”.

By uniknąć wszelkich zagrywek, zapytałam, jakie będzie jej pierwsze pytanie, zanim kamery zostały włączone.

– To proste. Poproszę cię, żebyś powiedziała nam, jaka była Alice.

W tym przypadku dotzymała słowa.

– Życzliwa – powiedziałam. – Piękna. Utalentowana.

Dziennikarka, Arabella, zachęcająco pokiwała głową i kątem oka zauważyłam ruch kamery. Nalegała, żebyśmy spotkały się nad rzeką. „Pomoże to osadzić twoje wypowiedzi w kontekście – wyjaśniła. – Dzięki temu widzom całe zdarzenie wyda się bardziej rzeczywiste”.

– Możesz podać jakieś przykłady, Megan?

Bardzo często używała mojego imienia, by upewnić mnie w tym, że jesteśmy przyjaciółkami, że jesteśmy po tej samej stronie – „drużyna Alice”. Jestem *au fait* ze wszystkimi fortelami i sztuczkami, jakie stosują pismaki. To właśnie daje praca w *public relations*.

Opowiedziałam, jak kiedyś w akcie miłosierdzia przejechałaś przez pół Southampton, kiedy rozłożyła mnie grypa, potem wspomniałam, że przy tobie nie można się było nudzić, byłaś jak żywe srebro. Entuzjastyczne potakiwania poświadczyły jedynie, że świetnie wykonywałam swoją część zadania.

– Megan, co poczułaś, gdy dowiedziałaś się, że twoja najlepsza przyjaciółka nie żyje?

Parsknęłybyś na to śmiechem. Co za banał.

– Byłam zdruzgotana – odpowiedziałam. – Oszołomiona. Nadal tak się czuję. Nie znam życia bez niej. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami od najmłodszych lat.

Stałyśmy w miejscu, w którym – jak niektórzy twierdzą – wpadłaś do wody.

– Proszę nam opowiedzieć o tamtych czasach, gdy byłyście dziećmi.

Tu zaczęłam się trochę plątać, przez co najpierw powiedziałam, że poznałyśmy się, gdy miałyśmy pięć, a potem sześć lat. Głupie z mojej strony, że się nie przygotowałam, ale chciałam mówić prosto z serca.

– Masz jakieś szczególne wspomnienia z tamtego okresu, którymi chciałabyś się podzielić z widzami?

Podalam jej wiele, ale tylko jedno znalazło się w wyemitowanej wersji. Reszta została wycięta – pewnie przez stażystę albo studenta medioznawstwa, specja od programu do montażu Final Cut Pro, rozpaczliwie próbującego stworzyć mocny materiał do swojego portfolio. Nie było miejsca na tego typu koloryt, producenci mieli w głowach bardzo konkretną wizję.

Dziennikarka uśmiechnęła się i przystąpiła do wyświechtanego manewru.

– Jak myślisz, co się stało tamtego wieczoru?

Powinam była powiedzieć, że nie mnie spekulować i że będę mogła udzielić lepszej odpowiedzi, kiedy na światło dzienne wyjdą wszystkie fakty, a chwilowo, ze względu na szacunek wobec rodziny, należy się powstrzymać od wszelkich pomówień. Ale moja odpowiedź – i to było głupie, wiem o tym, ale przebywanie nad rzeką mnie rozstroiło, a dziennikarka wzięła mnie z zaskoczenia – brzmiała:

– Nie powinna była tyle pić.

– Była bardzo pijana?

– Nie było mnie przy niej.

– Czy tkwi w tym jakaś nauka dla młodych kobiet pijących podczas wyjść z przyjaciółmi? Może dla nas wszystkich?

Rozplakałam się i poczułam na sobie krytyczne oko kamery. Zostawili ten fragment, oczywiście, że go zostawili. Nie ma to jak kilka łąz do posiłku z mikrofali i filiżanki herbaty, pod warunkiem że to łązy kogoś innego.

– Czy Alice cieszyła się sympatią?

– Ogromną – powiedziałam. – Wszyscy ją uwielbiali. Ale ja najbardziej.

– Mówiłaś o pogroźkach, które otrzymywała.

– Bardzo ją kochałam.

– To musiała być straszna wiadomość dla jej przyjaciół. A w szczególności dla jej chłopaka. Miała chłopaka, tak?

Zawahałam się, modląc, by rzuciła mi jakieś koło ratunkowe. Mogła powiedzieć: „Słyszałam, że była wielką fanką *Mojego wielkiego cygańskiego wesela*” albo: „Czy to prawda, że planowała wziąć udział w półmaratonie?”, ale złapała trop.

– Miała chłopaka, tak?

Jakby o tym nie wiedziała. Przeszukała informacje, obejrzała inne nagrania, czytała o dzisiejszym temacie: Alice Salmon.

– Tak, tak jakby. – Powinnam była przekląć. Na jednym z kursów nauczono nas, że jeśli wywiad z mediami idzie źle, to należy przekląć, bo wtedy będą zmuszeni go przerwać.

– Słyszałam, że ponoć miała wyjść za mąż.

– Tak? – zapytałam, zgrywając głupią.

Powinnam była udzielić tego wywiadu zaraz po twojej śmierci, a nie siedem tygodni później. Okazaliby więcej taktu. Wtedy to była tragedia, nic więcej. Teraz byli mniej wrażliwi. Szukali nowego haczyka, podczas spotkań redakcyjnych rozmawiali o tym, w jaki sposób mogliby „pociągnąć tę

historię”, i jakiś geniusz wspomniał, że w internecie dużo się mówi o groźbach pod adresem Salmon, o tym, jaka była pijana i o problemach z chłopakiem. Jak to się mówi? „Im więcej krwi, tym lepiej”. Ty nie byłaś dziennikarką tego typu.

„Nie słyszeliśmy zbyt wielu wypowiedzi od jej przyjaciół, a musiała mieć najlepszą przyjaciółkę. Trzeba ją odnaleźć” – powiedział pewnie redaktor działu wiadomości.

I mnie znaleźli.

– Słyszałam, że była niełatwą osobą – zagaiła dziennikarka.

Jeden oddech dzielił mnie od tego, by wrzasnąć: „Co to ma, do cholery, znaczyć!?”. Ale rozpaczliwie chciałam świetnie się spisać, tak żeby wszyscy mieli o tobie dobre zdanie, żebyś była ze mnie dumna, że stanęłam przed kamerami, mimo że nienawidzę być w centrum uwagi. A więc powiedziałam, że byłaś kobietą o wielu obliczach, ukrytych głębiach, niepozbawioną sprzeczności, i z każdą odpowiedzią odrobinę się ode mnie oddalałaś.

– Ciekawi mnie, jaki jest jej chłopak, Luke – zagadnęła dziennikarka.

– To bardzo dobry aktor – odparłam i od razu tego pożałowałam.

– Naprawdę?

– Bez komentarza – powiedziałam.

Kamery zostały wyłączone, odpięto mi mikrofon.

– Dzięki, kochana – powiedziała Arabella. – Idealnie wypadłaś.

– To koniec? Mam jeszcze wiele do powiedzenia.

– Innym razem.

Wiedziałam, jak to działa. Spakowali sprzęt, po drodze wrzucili coś na ząb i wrócili do studia. Ona robi sobie notatkę w kalendarzu, by wrócić do tematu, kiedy następnym razem trafi się materiał o nadużywaniu alkoholu albo jeśli latem, podczas fali upałów, będą robili blok o niebezpieczeństwach

wiążących się z pływaniem. Może materiał rocznicowy? Tak, to zawsze był łatwy temat, reportaż rok po.

– Jest pani dumna z tego, co robi? – zapytałam, gdy zmontowali reportaż. Jakiegokolwiek współczucie, jeśli w ogóle je wobec mnie odczuwała, zniknęło.

Jej koleżanka z zespołu poinformowała mnie, że materiał „prawdopodobnie” zostanie wyemitowany w wiadomościach o osiemnastej, ale to zależało od tego, czy w międzyczasie nie trafi się coś „większego”.

– Przy odrobinie szczęścia o dziewiątej też – powiedziała.

Zadzwoiłam do twoich rodziców i wyjaśniłam, że coś się pojawi w dzisiejszych wiadomościach, i przeprosiłam. Jak było do przewidzenia, materiał kończył się ujęciem, w którym tęsknym wzrokiem wpatruję się w wodę. Koniec końców, pokazali to o osiemnastej, dwudziestej pierwszej, a potem jeszcze o dziesiątej. Oczywiście wyplakałam sobie oczy.

*

Fragment pamiętnika Alice Salmon, lat 23 20 maja 2010

– Jaki on jest?

– Miły.

– Tylko na tyle cię stać? No pięknie. Kobieto, przecież jesteś dziennikarką!

– Okej. Ogromnie miły.

Meg przyjechała do miasta na spotkanie, więc skoczyłyśmy na pizzę. Naczelny temat: Luke.

Prowadziłyśmy takie rozmowy, odkąd zaczęłyśmy się interesować

chłopcami. Czasem ona zadawała pytania, czasem ja. Pokazałam jej jego awatar na Facebooku.

– Wygląda trochę jak ten aktor David Tennant, prawda? Ale oczywiście bez TARDIS-u^[11].

– Wydaje się zainteresowany? Jak często wysyła ci SMS-y? Raz dziennie, więcej niż raz?

– Więcej. Pięć, sześć razy... czasem jeszcze więcej.

– O Boże, to psychopata.

Jak na komendę, dostałam SMS-a. Obie się zaśmiałyśmy. Opowiedziałam jej, że zajmuje się oprogramowaniem – ale nie od tej kujonowatej strony, tylko zarządza projektem i zespołem – i że z początku robił wrażenie mięśniaka: na drugą randkę przyszedł z podbitym okiem po meczu rugby, ale to tylko pozory.

– Potrafi też świetnie słuchać.

– Przypomnij mi, ile dokładnie razy już się z nim widziałaś? – zapytała Meg. – Mówisz, jakbyś znała go od zawsze.

– Dwa razy. Trzy, jeśli liczyć to, kiedy się poznaliśmy.

Luke twierdzi, że to ja zaczęłam do niego zagadywać w Porterhouse, ale było zupełnie odwrotnie.

– Mam nadzieję, że dasz mi swój numer – powiedział i musiałam mu go podyktować aż trzy razy, bo było tak głośno. Wpisał go do swojego telefonu, wcisnął zieloną słuchawkę i zauważyłam, że mój telefon na chwilę zaświecił się w torebce. – No – powiedział. – Teraz cię mam.

Na pierwszą randkę poszliśmy się czegoś napić w Clapham Junction i Balham, a w zeszły weekend wybraliśmy się do kina, bo taka jest zasada przy drugiej randce. W pewnym momencie, opowiadając o wyjeździe na narty, użył słowa „my”, ale nie musiało chodzić o kobietę, mogło chodzić o przyjaciół. A potem po prostu się przyznał, że spotykał się w zeszłym roku

z jakąś Amy, i zapytał, kiedy ja ostatnio byłam w związku.

– Jestem praktycznie zakonnica – odparłam.

– Nie mogę powiedzieć, aby ta ostatnia znajomość miło się zakończyła – powiedział.

– Nigdy nie kończą się miło – skwitowałam, przypominając sobie nie bez palącego wstydu to, jak rzuciłam Bena. Ale wszystko, co zdarzyło się wcześniej, nie ma teraz znaczenia, to przeszłość. Owszem, w zeszłym roku było raczej słabo – skończyło się na tym, że musiałam pójść do lekarza i dostałam antydepresanty. A że już wcześniej je brałam, doktor zadał mi obowiązkowe pytanie: „Jak się czujesz?”, ale równie dobrze mógłby nic nie mówić. Dziennikarze i prezenterzy telewizyjni ciągle je zadają. To pytanie ludzi, którzy się nie starają. Kiedy odpowiedziałam, że „zazwyczaj dobrze”, zasugerował, żebyśmy umówili się na kolejną wizytę. Gdy wychodziłam przez poczekalnię, zobaczyłam młode matki i pomyślałam, że może to nigdy nie będę ja, a potem stare babcie i przyszło mi na myśl, że pewnie też to nigdy nie będę ja. Był tam telewizor, w którym wyjaśniano, że obecnie wydaje się mniej antybiotyków, bo przepisywano je tak lekką ręką, że teraz wszyscy umrzemy przez brak odporności, i przyszło mi do głowy, żeby wrócić do tego lekarza i powiedzieć mu, że tak się właśnie czuję – czasem jest mi tak, jakbym była nieodporną na cały świat. Ale wymazanie przeszłości jest tak proste jak przesunięcie palcem po rolce myszki, zaznaczenie naraz całej grupy maili i wciśnięcie przycisku „usuń”. I po wszystkim. Siedząc w kinie z Lukiem – ostatecznie wybraliśmy się na *Robin Hooda* – zdałam sobie sprawę, że to może być nowy początek. Jutro też się z nim widzę. Idziemy do teatru. To cudowne – to oczekiwanie, ten optymizm. Jestem szczęśliwa. I z radością zawiadamiam: przy sporządzaniu tego wpisu nie użyto żadnych sztucznych substancji!

Wracając do domu z Porterhouse, popatrzyłam na numer Luke’a,

zastanawiając się, jak długo będzie w moim telefonie: czy pozostanie w grupie „ostatnich połączeń” i będzie się przesuwać w dół listy, aż w końcu zniknie, czy może zostanie zapisany w kontaktach. Zastanawiałam się, czy kiedyś nauczę się go na pamięć. Przestań, Alice, zganiłam samą siebie. Nie daj się ponieść wyobraźni. W ten sposób czeka cię jedynie rozczarowanie.

Bo do tego momentu właściwie jedyną rzeczą, co do której miałam stuprocentową pewność, było to, że bycie sobą nie wystarczy. Na przykład zawsze chciałam przebiec maraton, ale w zeszłym tygodniu, stojąc przed Balham Bowls Club, pomyślałam: oto ja, którą chcę być, ta, której właśnie polano trzeci kieliszek wina i która paliła marlboro lighty. Pieprzyć treningi do maratonu, młodym jest się tylko raz, życie jest jak scrabble, nie powinno się oszczędzać dobrych liter na później, trzeba je wykorzystać od razu, kiedy się je dostanie. Ale w metrze jadącym w stronę domu z Covent Garden miałam wrażenie, że to mi wystarczy.

Może pojawiłeś się w samą porę, Luke.

Wszystko się zmienia. Dostanę awans w pracy. Będę starszą reporterką. Lubię to, co robię. Lubię osobę, którą jestem, i owszem, czasem muszę prowadzić rozmowy z wariatami i wysłuchiwać, jak psychole wyklócają się o swoją niewinność, ale mam też okazję poznać wspaniałe dzieciaki z porażeniem mózgowym, które mimo wszystko są zdeterminowane, żeby pójść na studia, albo przemiłe starsze panie, którym udaje się odnaleźć dawno utraconych krewnych po pięćdziesięciu latach rozłąki. Rozumiem tę pracę, tak samo jak rozumiałam bycie studentką, subtelności i niuanse zawodu, wprowadzenia, paragrafy i wzmianki o autorze, skróty wiadomości, briefy, kolumny i płachty. Nasz język.

Wszyscy się zmieniają. Meg pragnie rzucić PR i pójść na kolejne dzienne studia. Alex ma nową dziewczynę, Soph ma nowego chłopaka, Robbie został partnerem w kancelarii. Nawet Rydz zniknął. Może gdzieś zwiął, ale

najpewniej nie żyje. Bawił się, dopóki mógł. Rwał pąki swych róż. Gdzie ja to wcześniej słyszałam? Będzie mnie to teraz dręczyć, jak słowo na końcu języka.

Kończę pić rumiankową herbatę. Ciekawe, czy Luke spotykał się z tą dziewczyną w zeszłym roku, czy może dłużej, a w zeszłym roku to się jedynie zakończyło. Mam nadzieję, że to pierwsze.

Randki. To może być słowo tego wpisu. Tak, to dobry pomysł. Randki.

W tym, co powiedziała Meg, jest coś prawdziwego. Rzeczywiście czuję się tak, jakbym znała Luke'a od zawsze.

*

Zapiski Luke'a Addisona sporządzone na jego laptopie 26 lutego 2012

Nie zamierzałem kłócić się z tobą nad rzeką.

Próbowałem złapać cię samą przez cały wieczór, obserwowałem cię w każdym pubie, do którego weszłaś, ale ciągle ktoś z tobą był. Prawie nadarzyła się okazja, kiedy poszłaś do toalety, ale zaczęłaś gadać z jakimś wapniakiem. Cholera wie, kto to był. Stał sam jak palec ubrany w tweedową marynarkę, może był właścicielem.

Na początku wszędzie cię szukałem, ale potem coś mi zaświtało. Facebook i Twitter.

„Zaczęłam pracować nad jutrzejszym kacem”, napisałaś o 16.12. „No to do Nando”, o 17.20. „Soton wymiata”, o 18.12. Przewinałem wcześniejsze tweety: 13.41: „Czy w ogóle da się kogoś dobrze poznać?”, 13.51: „Ale się nawalę”.

Odwróciłaś się dwa razy, kiedy w końcu mnie zauważyłaś. Jakbyś nie wierzyła własnym oczom.

– Luke – powiedziałaś. – Luke.

– Hej, Al. Niespodzianka! Przyjechałem cię zobaczyć.

– Ale ja nie chcę, żeby ktoś mnie widział.

Byliśmy nad rzeką, a ty siedziałaś na ławce.

– Jesteś jak autobus – powiedziałaś i zaśmiałaś się, ale to nie był radosny śmiech.

– Upiłaś się.

– A kim ty jesteś? Moim ojcem?

Było ciemno, a z nieba zaczęły lecieć płatki śniegu.

– Patrz, śnieg – powiedziałaś, tylko że brzmiało to raczej jak „paszsznieg”. – Długa droga, kiedy leci się w dół, prawda? – powiedziałaś, upijając z puszki dzin z tonikiem. Zaczęłaś płakać i pomyślałem, że może ktoś dosypał ci coś do drinka. Myśl o tobie, mojej pięknej Al, która pije z facetami gotowymi zrobić coś takiego, wprawiła mnie we wściekłość. Wystarczyło jedynie, żebyś stanęła kilka centymetrów dalej przy barze w Porterhouse, trzydzieści sekund opóźnienia na linii metra Victoria, przedłużenie się mojego spotkania z szesnastą trzydzieści jedynie o kilka minut, pytanie od kolegi w sprawie budżetu. Gdyby to się zdarzyło, nie spotkałbym cię.

– Cały wieczór próbowałem się do ciebie dodzwonić – powiedziałem.

Zaczęłaś gorączkowo macać kieszenie dzinsów.

– Zgubiłam telefon.

– Nieprawda, skarbie, jest tu. – Podniosłem go z ziemi i podałem ci go. Musiał się włączyć, kiedy upadł na ziemię, bo grała z niego muzyka, jeden z twoich ulubionych zespołów, The xx. – Wyglądasz na zmarzniętą –

powiedziałem.

– Zimne dłonie, gorące serce.

Miałaś czerwoną buzię, włosy w nieładzie, przypominało to nieco twój wygląd po seksie. Może udałoby się to naprawić, gdybym się z tobą przespał – gdybyśmy rozłożyli się na części – a potem, po ich ponownym złożeniu moglibyśmy okazać się inni, a ja może nie byłbym takim fiutem. Chciałem wziąć cię za rękę, ale odepchnęłaś moją dłoń.

– Kto by pomyślał, co? Moja mama!

– O czym ty mówisz, Al?

Jej obraz, kiedy nalewa kawę i dopytuje o moją pracę.

– Założę się, że kilka lat temu była piękna – powiedziałem, gdy nas ze sobą poznałaś. – Zdecydowanie MILF^[12].

– Ej, przestań – oburzyłaś się, a potem powiedziałaś, że nadal jest piękna, że nie jest MILF-em!

– A co z lemingami? – zapytałaś. – Nie odpowiedziałeś na mój mail z lemingami.

Oczywiście, że nie odpowiedziałem, wtedy nie miałem o nim pojęcia. Plotłaś kompletne bzdury, a ja robiłem się coraz bardziej sfrustrowany.

– Ja i ty, Al – powiedziałem. – Mieliśmy być razem.

– Ja, ty i dziewczyna z Pragi!

Wspomnienie tamtego miejsca było jak podmuch lodowatego powietrza.

– Czemu nie mogę przestać się tak czuć? – zapytałaś.

– Jak?

– Jak ja. – Choć brzmiało to bardziej jak „jachyya”.

Na twoich ramionach pojawiły się mokre ślady. Dałbym ci kurtkę, gdybym ją miał.

– Wszystko jest z tobą w porządku. Jesteś idealna.

– Idealni ludzie nie kończą w takim miejscu.

Zobaczyłem budkę z lodami, schody prowadzące nad wodę, most. Oboje widzimy te same rzeczy, ale to nie pomaga, pomyślałem.

– Bycie samemu jest do dupy – rzuciłem.

– Bycie z gnojkiem jest gorsze. Nie będziesz wybierał, co we mnie lubisz, a co nie. To tak nie działa. Nie jestem jakąś mieszanką cukierków. Powinieneś się o mnie troszczyć bez względu na wszystko, powiedziałaś, że będziesz.

– I troszczę się.

– Kiedy ci to pasuje, kiedy jest łatwo, a co z chwilami, kiedy jest ciężko? Bo to się właśnie liczy. Prosiłam cię, żebyś dał mi więcej czasu.

Zastanawiałem się, jak zapamiętamy tę rozmowę. Odtwarzanie wielkich wspólnych wyjść było rutynowym zajęciem każdego następnego poranka. Uwielbiałem chodzić z tobą po knajpach, ale ostatnio najbardziej cieszyły mnie te spokojne wieczory, kiedy byliśmy trzeźwi, tylko we dwoje. Przypomniałem sobie, jak niedługo po naszym poznaniu patrzyłem pewnego wieczoru, jak się rozbierasz, i doznałem nagłego olśnienia: nie muszę być beznadziejnym chłopakiem.

– Naprawdę cię kocham – powiedziałem.

– Nigdy nie przychodzi ci ochota, żeby od tego wszystkiego po prostu odpłynąć, Luke? Bo mnie tak. Nie wiem już, kim jestem.

– Jesteś Alice.

– Dobrze – prychnęłaś, jakbym powiedział jakiś żart. A potem: – Kto to jest? Kim jest Alice?

Przejechał koło nas radiowóz i miałem wrażenie, jakby wycie syreny wybiło dziurę w odgradzającej nas od świata powłoce, a ciebie uderzyła kolejna fala pijaństwa.

– Chcę do moich przyjaciół – powiedziałaś. – Chcę do domu. Gdzie ja

mieszkam?

– W Balham – odpowiedziałem. – Mieszkasz w Balham.

– Nie tam – powiedziałaś. Zaczęłaś drzeć i objęłaś się rękami, pocierając swoje ciało. Małe ramiona, kości pokryte cienką warstwą mięśni. – Nie śpij. Wiatr na śnieg.

– O czym ty mówisz, Al?

– Się myślę – powiedziałaś. – To diament na śniegu. Jak to było.

Koło nas przejechała karetka z włączonymi syrenami i kogutem.

– Czyjś wieczór kiepsko się skończył – stwierdziłaś.

To ci się często zdarzało – miałaś momenty całkowitej przytomności, choć byłaś zupełnie pijana, jak gdybyś wypływała na powierzchnię wody, by zaczerpnąć powietrza. Strzepnęłaś z kolan kilka płatków śniegu i uświadomiłem sobie, że kupiłaś te džinsy, kiedy się nie widywaliśmy. Co jeszcze robiłaś podczas tych ośmiu tygodni? To właśnie tak się dzieje, tak rozstają się ze sobą pary, po prostu pozwalają, by to się stało. Pieprzyć to, pomyślałem, czemu nie. Idealny – a raczej całkowicie nieodpowiedni moment – nigdy pewnie nie nadejdzie, więc uklęknałem.

– Jesteś tą jedyną, Alice – powiedziałem.

Ale ty chyba pomyślałaś, że się poślizgnąłem, bo zaczęłaś się śmiać.

– Wstań, gościu. Bądź facetem!

Wstałem, czując, jak przebija się przeze mnie nagły gniew. Starłem się kontrolować oddech, utkwilem wzrok w tabliczce na ławce, upamiętniającej jakąś zmarłą kobietę. „Często tu siadywała i patrzyła, jak świat przepływa obok”. Zapaliłaś papierosa, ściągnęłaś dwa machy i dmuchnęłaś mi dymem w twarz.

– Nie doprowadź do tego, że zacznę cię nienawidzić – powiedziałem, choć nie to miałem na myśli.

Upiłaś kolejny łyk, znów się zaciągnęłaś.

– Nie pierdol się ze mną – dodałem.

– To ty się pierdolisz na prawo i lewo.

– Tylko raz. Alice, tylko raz. Odkąd jeden raz kwalifikuje się jako pieprzenie na prawo i lewo?

– To o jeden raz więcej, niż ja cię zdradziłam. Nie robię nikomu krzywdy, a ludzie i tak na mnie srają – oznajmiłaś, śmiejąc się. – Jasne?

Z oddali słychać było grupkę wyśpiewujących coś mężczyzn.

– Dlaczego nie możecie wszyscy przestać mnie śledzić?

Zastanawiałem się, czy chodziło ci o faceta, z którym flirtowałaś w All Bar One. Niemal siedziałaś mu na kolanach. Gapiłem się na was przez szybę, tak jak kiedyś my na rekiny w oceanarium, i musiałem się powstrzymać przed wtargnięciem do środka. Może coś was kiedyś łączyło – odgrzewałaś starą miłość, odgrywałaś się na mnie za Pragę. Zasłużyłem na to. Zazdrość jest jak żałoba: narasta, roznosząc nienawiść i cierpienie, ale ja chciałem jedynie wrócić do tego, jak było wcześniej. Jak zaczęłaś się przekonywać do *Live at the Apollo*. Pozwolę ci nawet oglądać *Wallandera*. Jak narzekałaś na sterty naczyń w zlewie i trzydniowe pudełka po pizzy, jak przybiegłaś do mojego pokoju spod prysznic, trzęsąc się z zimna, gdy nadal skapywała z ciebie woda, i mówiłaś, że nie musimy mieszkać w żadnym wypasionym miejscu, może być Tooting, Brixton albo Elephant, ale stać nas na samodzielne mieszkanie, gdybyśmy tylko trochę się wysilili.

– Byłam szczerą w tym, co czuję – powiedziałaś. – Miłość to nie kran, nie możesz jej tak po prostu zakręcić. Nie wystarczyło ci, że obnażyłam przed tobą w mailu serce i duszę? Nie mogę uwierzyć, że go zignorowałaś.

– Wyglądasz, jakbyś chciała się przytulić.

– Tak, ale nie teraz i nie do ciebie.

Powstał we mnie zarodek odrazy. Powtarzałem się, byłem na to skazany:

nawalać za każdym razem, jak w jakiejś okropnej parodii *Dnia świstaka*. Mam dwadzieścia siedem lat, pomyślałem. Jestem na to za stary.

– Pamiętasz, jak kiedyś poszliśmy pływać nago? – zapytałaś. – Zróbmy to teraz.

– Nie bądź niemądra. Pada śnieg.

– To ty jesteś niemądry, że się ze wszystkimi bzykasz.

Zarodek odrazy stężał, więc postanowiłem najpierw policzyć do dziesięciu, zanim się odezwę, wsłuchując się w szum wody nad jazem w oddali, ale już przy szóstce usłyszałem, jak mówię:

– Popatrz, w jakim jesteś stanie. To żenujące.

– Nie jesteś wcale lepszy. Jesteśmy równie źli. Ja, ty, nawet moja mama.

Poczułem nagłą chęć, by się upić. Wypiłem sześć czy siedem piw, ale czułem się pół na pół – w połowie trzeźwy, w połowie pijany, w połowie pusty, w połowie pełny, połową tego, czym kiedyś byliśmy. Czułem potrzebę tak się zalać, że przestałbym nawet wiedzieć, jak bardzo wszystko chrzańię.

– Mogę się trochę napić? – zapytałem, skinąwszy głową w stronę puszki.

– Nie ma – stwierdziłaś. – Skończyło się.

To nie tak miało być. Miałem zamiar się oświadczyć i nie robić ci krzywdy, wystarczająco cię już skrzywdziłem, ale nie mogłem nic poradzić na kiełkującą we mnie złość, zbutwiałą, kwaśną i wredną. Nowe uczucie, które nie było miłością, kąśliwe i nie do opanowania.

– Wróc ze mną do hotelu.

– Wolałabym raczej spać na tej ławce. – Osowiałym wzrokiem wpatrywałaś się w tabliczkę ku czci zmarłej kobiety, po czym przerzuciłaś spojrzenie na moje spodnie.

– To klucze, czy cieszysz się, że mnie widzisz? – zapytałaś, chichocząc.

Zerknąłem na zarys małego jubilerskiego pudełeczka. Nie umiałem się

nawet oświadczyć. Przez ciebie zrobiłem to nie tak, jak trzeba. Wyobraziłem sobie, jak opowiadam o tym Charliemu, próbując robić dobrą minę do złej gry. Jak piszę do niego z hotelowego baru albo z pociągu, wracając jutro do domu. Trzeba z powrotem wsiąść na konia, stary. Masz swojego skrzydłowego. Piwo w piątek? Nie potrafiłem powiedzieć, czy to, co czuję, to uniesienie czy rozpacz. Wyciągnąłem pudełko z kieszeni i wrzuciłem je do rzeki. Wpadło do niej z pluskiem.

– Co to było? – zapytałaś obojętnym tonem.

– Przeszłość, tylko tyle. – Ty też niedługo nią będziesz.

– Bardzo głębokie – powiedziałaś i może gdybyś się nie roześmiała, nie zrobiłbym tego, co stało się dalej, ale dokładnie w tamtej chwili, gdy wiatr zawiął ci włosy na twarz, a wypalony do połowy papieros leżał przy twoich stopach, byłaś jedyną osobą, której nienawidziłem bardziej niż siebie samego. Musiałem to skończyć – musiałem skończyć to, co było między nami – tak całkowicie, żebyśmy nie mogli się już nawzajem krzywdzić.

– Ta dziewczyna w Pradze była przepiękna – powiedziałem, przypominając sobie z nagłą wyrazistością, jaki byłem, zanim się pojawiłaś: sam, niemający nic do stracenia, bez ani jednej osoby, o którą musiałbym się martwić, ani jednej osoby, którą mógłbym zawieść, ani jednej osoby, która mogłaby zawieść mnie. – Seks był jak dynamit. Przy tobie w łóżku równie dobrze mógłbym być trupem. Ty też.

– Ciekawe, że tak to ująłeś.

Bezskutecznie próbowałaś pociągnąć łyk z pustej puszkii. Chwyciłem cię i usłyszałem odgłos rwanego materiału. Zobaczyłem twój czarny stanik, ten, który kupiłem ci na walentynki. Chciałem cię przytulić, aż wszystko odpłynie, albo odepchnąć tak daleko, żebym już nigdy więcej cię nie zobaczył. Tak, to był koniec, nie będzie kogo krzywdzić, nie będzie kto miał krzywdzić mnie. Mógłbym tak żyć. Mógłbym przetrwać. Musiałem tak żyć,

aby przeżyć – w niedzielne poranki odprowadzając do drzwi dziewczyny, które poznawałem w sobotnie wieczory, całując je w szyję i mówiąc „jasne”, kiedy pytały przelotnie, czy do nich zadzwonię, a potem pisząc do Charliego, Pana Singla: „Stary, wyrwałem wczoraj megagorącą laskę!”. Tamtego wieczoru odważyłem się z tobą porozmawiać tylko dlatego, że nie miałem nic do stracenia. Byłem taki szczęśliwy, że zostawiłem tamtego mnie za sobą, ale teraz wróciłbym do niego i dałbym sobie radę, bo nie mogło być już gorzej niż teraz, ale najpierw musiałem się pozbyć ciebie, unicestwić cię. W tamtej chwili nienawidziłem cię, Al, za to, że przez ciebie pomyślałem, że jest jakiś inny sposób. Zobaczyłem most z jego dźwigarami i podporami, i przypomniałem sobie, że kiedyś chciałem być architektem. Kolejny porzucony sen.

– Wróc ze mną, proszę – powiedziałem. Ostatnia żalosna próba.

Uniosłaś brodę w górę.

– Przynajmniej Ben jest szczery w tym, jaki z niego dupek.

Zignorowałem to i przez chwilę wiedziałem, jaki będę po tobie. Nieważne, kim był ten pieprzony Ben. Jak to wszystko stanie się wspomnieniem, tak jak stała się nim Amy, Alex czy Pippa. Ulotne, mgliste wrażenie mnie, spoglądającego na ciebie po roku, dwóch, może pięciu. Tak, z ukłuciem żalu, ale jak na wspomnienie. Patrzyłbym na ciebie jak na kolejny krok do niej – kimkolwiek będzie moja kolejna dziewczyna. Może dzisiejszy wieczór stanie się naszym prywatnym żartem, moim i jej, o tym, jak kiedyś kłóciłem się z kobietą na ławce przy rzece, kiedy padał śnieg. Jak kiedyś pojechałem za dziewczyną do Southampton niczym zadurzony nastolatek. Spotykałem się z dziennikarką. Będziemy się z tego śmiać, na początku niezręcznie, ale z każdym kolejnym razem coraz mniej, z ciebie, z nas, tak jak teraz ty i ja śmiejemy się – śmialiśmy się – z mojego zerwania z Amy nad jagnięcą golonką albo jak Alex powiedziała mi na przystanku autobusowym

w Neasden, że jestem emocjonalnie opóźniony w rozwoju. Bolała utrata Amy, bolała utrata Alex, bolała utrata ciebie. Kiedy to się miało skończyć?

– Kocham cię, Al – powtórzyłem i nie byłaś jedyną osobą, która płakała. – Nie pozwolę ci ode mnie odejść.

Ale ty zerwałaś się z ławki i kiedy cię chwyciłem, byłaś mokra od śniegu i mała. Zawsze twierdziłaś, że jesteś duża – jak Shrek – ale czułem się dwa razy większy od ciebie, trzy razy, dziesięć, i wściekałem się na siebie, że nie potrafię chronić czegoś tak kruchego, tak pięknego.

– Dlaczego wszyscy chcą na mnie położyć swoje łapska? Nie mogę tego ścierpieć.

Kiedy zaczęłaś krzyczeć, zasłoniłem ci usta dłonią, bo gdyby ktoś to usłyszał, byłby przekonany, że na ciebie napadłem. Czułem twój oddech, twoje usta, zęby, nozdrza, kark. Za twoimi plecami, w oddali, po drugiej stronie rzeki zauważyłem delikatnie żarzącego się papierosa.

– Nie mogę oddychać – zakwiczałaś.

– To przestań się wydzierać.

– Pomocy, niech mi ktoś pomoże.

– Cii... ja właśnie próbuję ci pomóc.

– Robisz mi krzywdę.

– Jeśli o mnie chodzi, to możesz się rzucić z tego mostu – powiedziałem, zacieśniając uścisk.

Obróciłaś głowę na bok, tak że miałaś go w zasięgu wzroku, ale ja nie puściłem. Widziałem twój dekolt i miałem wizję, jak leżysz naga na łóżku. Szarpnęło mną nagłe pożądanie, jakbym był rybą na haczyku. Objąłem cię drugą ręką, ale ją odepchnęłaś, więc cię nią chwyciłem. Musiałem poczekać, musiałem cię przytrzymać, żeby móc wyjaśnić, nagle zdając sobie sprawę, że trzymam w dłoni garść twoich włosów.

– Odwal się ode mnie! – wrzasnęłaś.

*

**Życzenia na kartce dla Alice Salmon z okazji jej odejścia
z „Southampton Messenger”
20 listopada 2009**

Będziemy tęsknić za Tobą i Twoim śmiechem, ale nie za Twoimi brudnymi trampkami na kaloryferze!

Amanda

To, że ktoś wyłowi* tak utalentowaną osobę jak Ty, było kwestią czasu. To wspaniała szansa, której nie mogłaś odrzucić. Nasza strata, zysk Londynu. Dziękuję za Twoją ciężką pracę i entuzjazm. Może kiedyś zdołamy ściągnąć Cię tu z powrotem? Mark

* Wyłowić Łososia, czaisz!?

Musieliśmy wezwać sanepid, żeby rozbroił Twoje biurko. Ostrzegliśmy ich przed szczurami!

Barbara S.

Pamiętasz sukcesy takie jak kampania „Złap nocnego bandytę”? Posłałaś za kratki jednego z najniebezpieczniejszych przestępców w Southampton i powinnaś być z tego dumna. Wszystkiego dobrego.

Bev

Następny przystanek: „The New York Times”, z krótkim postojem w Balham!

Gavin

PS Jeśli Cazza powie Ci, że ten prezent pożegnalny to jej pomysł, to kłamie – ja na to wpadłem.

Do boju, Rybi Pyszczku, do boju. Jeśli zapomnisz swojego iPoda, to nie martw się, nikt go sobie nie przywłaszczy. Na szczęście Twój gust książkowy jest lepszy niż muzyczny. Dzięki za świetne rekomendacje lektur i za wspomnienia.

Bella

Buu! Byłaś dla mnie jak starsza siostra, ale nie chcę przez to powiedzieć, że jesteś stara. Tyle się od Ciebie nauczyłam i świetnie mi się wypłakiwało żale na Twoim ramieniu. Cieszyła mnie każda minuta pracy z Tobą. Tweetnij, Panno S!

Ali xxx

To już przeszło do legendy – dzień, w którym nowicjuszka sprzeciwiła się Seksownemu Sextonowi i odmówiła „pukania śmierci”.

Gavin

Mam nadzieję, że podoba Ci się Kindle. To najnowszy DX z wielkim ekranem! Teraz nie masz już absolutnie żadnej wymówki, żeby nie czytać Kafki!

Cazza

PS Gav bredzi!

Kto będzie teraz robił herbatę, nawet jeśli Twoja była tak mocna, że łyżeczka stała w niej na sztorc? Baw się dobrze w stolicy! B. zazdrosna! Kiedy możemy przyjechać Cię odwiedzić? Dwie łyżeczki cukru, proszę.

Phil

Piątkowe wieczory we Flames nie będą już takie same. Koniecznie przyjedź nas odwiedzić. Mnie nalej podwójną J

Juliet

Powodzenia!

Anthony Stanhope

Bardzo się starałaś zgrywać obojętną, Panno Salmon, ale wiem z pewnych źródeł, że za mną szalejesz, więc daj znać, kiedy będziesz gotowa na pierwszą randkę!

Facet taki jak ja długo nie będzie singlem!

Wielki Tom

Osobowość dziennikarska, królowa wypieków, biegaczka, działaczka charytatywna, obrończyni pokrzywdzonych, entuzjastka tequili, cudowna przyjaciółka. Czy istnieje coś, czego nie potrafisz? Londyńscy faceci – szykujcie się.

Wyrazy miłości i uściski, Michelle X

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 29 czerwca 2012

Mój drogi Larry,

po wyjściu z komisariatu poszedłem nad rzekę. W miejsce, gdzie niedawno stały tłumy telewizyjnych prezenterów, jakby geograficzna bliskość miejsca wypadku umożliwiła im jakieś wyjątkowe spostrzeżenia.

„To właśnie tutaj – mówili przyciszonymi, autorytatywnymi głosami – zakończyło się to pełne obietnic młode życie. Tu, w tym zazwyczaj spokojnym, cichym miejscu zmarła tragicznie ta młoda kobieta. Tu z pozoru zupełnie normalne sobotnie wyjście znalazło swój straszny finał”. Koncentrowali się niemal wyłącznie na tym kawałku, mamili widzów niepotwierdzonymi informacjami o sile prądu wody 5 lutego (od średniego do szybkiego), wadze ofiary (między 59 a 65 kilogramów) i tym, co miała na sobie (dżinsy, fioletowa bluzka z przypominającej jedwab tkaniny i botki do kolan czarne, z Topshopu – jeden prezenter dał się ponieść tej konkretnej informacji).

Początkowo miejsce to pokrywały kwiaty: eksplozja czerwieni, różów i żółci w środku zimy – idealne tło dla operatora. Teraz pozostały jedynie resztki jednego zwiędłego bukietu. Wokół nie było żywej duszy, minęła już pierwsza w nocy. Ukląkłem nad wodą, włożyłem w nią dłoń, poczułem nagły chłód. Początkowe raporty donosiły, że ciało zauważył biegacz, później zrobiono z niego osobę spacerującą z psem. Był zaszokowany, kiedy skontaktowałem się z nim, i zapytał, czy jestem z policji. Zapewniłem go, że nie. Zadawałem mu pytania, jakbym zupełnie nie znał sprawy, bo to ważne, by wypełnić wszystkie luki. Myślał na początku, że to pień drzewa, ale po chwili zauważył ubrania. „Nie mogłem tego pojąć – powiedział mężczyzna, z którym spotkałem się w restauracji Debenhams. – Jakby mój mózg nie chciał tego przyjąć: martwa kobieta w wodzie”. Nie użył tego sformułowania – właściwie to dopiero niedawno się z nim zapoznałem – ale to, co ujrzał, to były „skutki zanurzenia” pierwszego stopnia. Skóra Alice była pokryta krostkami jak przy silnej gęsiej skórcie (reakcja pilomotoryczna, jak to się fachowo nazywa), gładka i miękka skóra zrobiła się pomarszczona jak dłonie praczki. Kiedy odstawiał kawę, powiedział, że miała w dłoni patyk. Najwyraźniej nie jest czymś nietypowym, by w garści denata

pozostawały różne przedmioty, trzymane w pośmiertnym skurczu. Gdyby Alice pozostała w wodzie dłużej, ryby i inne żyjątka pożywiłyby się jej ciałem, ustami i powiekami. Nazwa tego zjawiska była dla mnie nowa: antropofagia. Gdyby została jeszcze dłużej, zatonąłaby, a potem ponownie wypłynęła na powierzchnię, wzdęta gazem wyprodukowanym przez bakterie w jej ciele. „Ludzka boja” napisał o tym ktoś na jednym z internetowych czatów.

Mężczyzna w Debenhams panicznie się bał, że aresztuje go policja, dodał dwa do dwóch i wyszło mu pięć.

– Rada miasta wymieniła sporą część ogrodzenia blisko mostu – powiedział.

Opowiedziałem mu o prasowych inicjatywach Alice z czasów, kiedy tu mieszkała. Jaka była w nie zaangażowana, jak jej determinacja i nieustępliwość przyniosły konkretne rezultaty.

– Ogrodzenie nieco zniszczyli wandalę, ale trzeba przez nie przeskoczyć, żeby dostać się na drugą stronę – powiedział.

Na początku też miałem takie podejrzenia, ale po prostu tego nie widzę, nie widzę, jak odbiera sobie życie. Nie Alice. Na każdą stronę w jej dzienniku, poświęconą temu, jak jej źle, przypadały dwie o tym, jakie fantastyczne jest życie. Już wcześniej udawało jej się przetrzymać ciężkie okresy. Liz, niech ją Bóg ma w opiece, skacze z jednej hipotezy na drugą. Podejrzewam, że podchodziła do teorii o samobójstwie ostrożnie, jakby to była krawędź klifu, ale z uporem odmawia jej przyjęcia, a nawet dopuszczenia takiej możliwości. Jak na razie moje wnioski to potwierdzają: ta dziewczyna wiele razy dzielnie szła przed siebie, pokonała ciemność, wytrzymała, przeżyła.

Nad rzeką znów włożyłem dłoń do wody i wróciło do mnie niewyraźne wspomnienie, jak kiedyś wyciągnąłem się wygodnie w pontonie, ręką

muszkając mokrą taflę. Padłem na czworaka.

– Gdzie jesteś, skarbie? – zacząłem wołać i zobaczyłem swoje odbicie. Oprawki w kształcie półksiężyców, brwi, zmarszczki, kępki włosów. Po chwili wszystko się rozmyło. Zastanawiałem się, jak by to było, gdybym się wtrącił, poszedł za nią, dogonił ją. Nie przeraża mnie ból choroby, Larry, to da się znieść. To z moim nadchodzącym regresem nie mogę się pogodzić. Z myślą, że Fliss będzie musiała na to wszystko patrzeć. Jak gdybym niewystarczająco długo ją ranił.

– Nie wywiniesz się tak szybko – powiedziała, kiedy zacząłem sobie żartować o wyjeździe do Szwajcarii na nasze ostatnie wspólne wakacje. Zmarszczyła czoło i powiedziała, że życie jest cenne i że nie nam je odbierać, a poza tym ceniła sobie każdą spędzoną ze mną sekundę.

Kiedy chłopak z tatuażami wspomniał o „harakiri”, bardzo namieszałem gnojkwowi w głowie, tłumacząc mu dosłowne znaczenie wyrazu. Wyjaśniłem, jak pokonani samuraje mogli odzyskać honor, wypruwając swoje wnętrze, i to przemieszczenie było bliskie udzielaniu wykładu. Jeśli skupisz się intensywnie na szczegółach, nie widzisz tego, na co naprawdę patrzysz, niczego nie czujesz, jest tylko nagromadzenie detali i faktów, znajoma architektura wiedzy.

– Wyobraź sobie wstyd tak ogromny, że zmusza człowieka, by sam odebrał sobie życie – powiedziałem, a on zrobił to, co zdarzało mu się wcześniej: zapytał mnie, dlaczego mówię o ludziach, jakby to był jakiś obcy mi gatunek, jakbym nie był jednym z nich. Zażądał kolejnych pieniędzy, na co ja wyjaśniłem mu, że im mniej odgłosów wydawał samuraj, kiedy już rozplątał sobie brzuch mieczem wakizashi, tym był uznawany za odważniejszego.

Wpatrując się w most, zdałem sobie z czegoś sprawę, Larry. Jaka absolutnie bezużyteczna jest ta wiedza. Gdybym to ja miał wziąć nóż i wbić

go sobie w lewy bok, po czym przejechać ostrzem na prawą stronę, a potem do góry, to czy ta wiedza powstrzymałaby krew od zebrania się w kałużę wokół moich stóp? Moja wiedza nic nie znaczy, tak jak znajomość słów brachyterapia i kwas zoledronowy nie sprawi, że moja choroba wyparuje.

– Nie ma to jak rak, żeby poszerzyć sobie słownictwo – powiedziałem do Fliss po jednej z wizyt w szpitalu.

– Kocham cię, odpowiedziała – a ja postanowiłem: powiem ci. Kiedy to się skończy, kiedy zbiorę wszystkie informacje o Alice, jakie tylko zdołam, powiem ci, co dla mnie znaczyły ona i jej matka. Powiem tobie i całemu światu, bo jak inaczej masz uwierzyć, że byłem szczery w którejkolwiek kwestii? Jak uwierzysz w to, jak bardzo cię kocham, jeśli nie mogę być szczery na temat tego, jakie miejsca zajmowały te kobiety w otchłaniach mojego serca?

– To miłe, jak składasz z powrotem tę dziewczynę – zauważyła kiedyś, kiedy przeglądaliśmy jej zdjęcia na moim laptopie.

– Mówisz, jakby była jajem Humpty Dumpty – zażartowałem, przypominając sobie, jak wszyscy konni i dworzanie nie potrafili złożyć biedaka do kupy.

– Domyślam się jednak, że nie masz zamiaru tego publikować, prawda? – zapytała.

Kochana Fliss o niczym nie miała pojęcia.

Domyśliłem się, czym jest to nowe uczucie, które skłania mnie, by powiedzieć dyrektorowi, że zrobię to z jego błogosławieństwem albo i bez niego, dziekanowi, że nic mnie nie obchodzi, co o tym myśli, a naszemu najnowszemu wydziałowemu rekrutowi, brutalowi o kwadratowej szczęce i napompowanym torsie, że w sypialni jest pewnie równie nudny co w laboratorium. Poczulem to, zanim jeszcze tknęło mnie, dlaczego biegam do toalety po cztery razy na noc. A potem raz jeszcze, kiedy zauważyłem

chwilowy błysk świadomości w oczach mojego lekarza. I jeszcze później, kiedy konsultant użył słowa „nieuleczalny”. Powiem ci, co to jest, Larry. To brak strachu. W końcu – kompletny i całkowity brak strachu.

– Nie mam zamiaru dawać ci więcej pieniędzy – powiedziałem wytatuowanemu chłopakowi. Dobiał mnie delikatny odgłos muzyki z jego słuchawek. Może tak to będzie wyglądało, kiedy już umrę: echa świata. Sięgnął do plecaka. Spodziewałem się, że wydobędzie z niego kolejny przedmiot związany z Alice, ale w jego dłoni znajdowała się szklana figurka, która powinna stać na komodzie w naszej sypialni. Kupiłem ją Fliss na rocznicę ślubu, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w naszym starym domu.

– Pierdol się – usłyszałem własne słowa.

Chłopak na chwilę oniemiał. Czemu nigdy nie stawiałem czoła łobuzom, którzy prześladowali mnie w szkole, Larry?

– Nie obchodzi mnie, co zrobisz z tym listem – powiedziałem. – Niedługo umrę. Ty masz przed sobą kolejne pięćdziesiąt lat. Kolejne pięćdziesiąt lat bycia tobą. To będzie dopiero tortura. Masz więcej do ukrycia niż ja, więcej do stracenia. Nie wydusisz już ze mnie ani grosza.

Zawsze zamykał za sobą drzwi, ale przeszło mi przez myśl, jak byśmy wyglądali, gdyby ktoś wszedł do środka. Wykładowca i jeden z jego uczniów? Naukowiec i asystent? Ojciec i syn – trzeba przyznać, dość młody, może z drugiego małżeństwa – który wpadł się przywitać albo wyciągnąć od swojego staruszka trochę gotówki?

– Nienawidzisz mnie tylko dlatego, że jesteśmy tacy sami – powiedział. – Możesz to ubrać w piękne słówka, ale jesteś tym, co ja sobą prezentuję, masz tylko bardziej szanowaną gębę. Jesteś mną w tweedowej marynarce.

Na te słowa głośno się roześmiałem.

– Pieprz się, Człowieku Lodu – powiedział.

Zastanawiałem się, czy gdybym miał syna, to rozmawialibyśmy ze sobą

w taki sposób – czy byśmy się kłócili, godzili, podziwiali, ufali sobie, kochali się nawzajem. Chwyciłem figurkę i rzuciłem nią o podłogę, gdzie roztrzaskała się na kawałki.

– Wyprzedzę cię w ujawnieniu prawdy – powiedziałem. – Wszystko opiszę w książce, a ty, gnojku, może się nawet w niej znajdziesz.

– W takim razie zapowiada się, że państwo Salmonowie dostaną coś do przeczytania! – odpowiedział.

Jeśli mi się uda, wszyscy dostaniemy, pomyślałem.

Werdykt koronera był równoznaczny z tym, że niczego nie wiemy. Biała piana w jej ustach i nosie, płyn topliwny w płucach, osady w żołądku – takie wnioski sugerowały, że Alice zginęła w wyniku utonięcia, że żyła, kiedy znalazła się w wodzie. Nie tłumaczyło to jednak, co zdarzyło się wcześniej. Czy nie uważasz, że to ironiczne, że w świecie, gdzie każdy nasz krok jest obserwowany, monitorowany i filmowany, ona wykonała swoje ostatnie zupełnie niezauważona? A przynajmniej nie przez świat w szerszym pojęciu. Czy ktoś powinien znaleźć się za to za kratkami? Są tacy, którzy powiedzieliby, że ja powinienem się tam znaleźć za to, co zrobiłem w pewien grudniowy wieczór w 2004 roku, choć to kompletnie inna historia.

Kiedy poszedłem nad rzekę po wizycie na komendzie, siedziałem tam, aż zrobiło się jasno, obserwując płynącą wartko, czarną jak atrament wodę, która przemija obok mnie. I obserwowałem Alice Salmon. Przypomniałem sobie moją książkę o jajku Humpty-Dumpty, jej żółtą, popękaną okładkę, dotyk grzbietu, czując tę historię, czując to małe jajko.

– Jest antropomorficzna – powiedział do mnie ojciec. – Pamiętasz, co to znaczy, Jeremy?

Za nic nie pamiętałem, chciałem jedynie wyrecytować wierszyk na głos, choć raz usłyszeć, jak on mówi go na głos razem ze mną, usłyszeć znajomy, krzepiący kształt rymów.

– Mówiliśmy o tym – powiedział lakonicznie. – Może to pomoże ci zapamiętać – powiedział, rozpinając pas.

Czterowersowa strofa. Ale świadomość formy wiersza nic nie oznacza. Co z tego, że wiem, że to kruche, obłe jajo pojawia się w *Po drugiej stronie lustra* i rozmawia z protagonistką powieści, Alicją, o semantyce. Ciekawe, czy nasza Alice kiedyś czytała tę książkę. Pokochałaby tytułową bohaterkę. Poskładałam cię w całość, kochana, słodka Alice, a kiedy odtworzę cię w mojej książce, kiedy będziemy w niej razem, może nadejdzie pora na moje wielkie odejście.

Chodzi o to, mój stary przyjacielu, że widziałem ją tego wieczoru, kiedy umarła. Nie wspomniałem o tym policji, opacznie by to zrozumieli. Nikt nas nie widział, kiedy rozmawialiśmy, kiedy się kłóciliśmy, ale to by jedynie wzbudziło dalsze spekulacje. Odtworzyłem jej trasę na podstawie Twittera: listę pubów i nazwy barów, pinezki. Dogoniłem ją w końcu dopiero na Above Bar Street i usłyszałem jej śmiech, dźwięczący pośród grupki palaczy przy drzwiach knajpy. Znam ten śmiech, pomyślałem. Jego ton i tembr. Odwróciłem się i wyteżyłem wzrok. Znam te włosy, pomyślałem. Alice.

– Ty – powiedziała na mój widok, zaszokowana i przerażona. Kilka minut później dostałem od niej w twarz.

Dlaczego nie mogła mieć na sobie zwykłych butów, tylko botki? Mniej by jej ciążyły. Na jej twarzy były ślady, powiedział mi mężczyzna w Debenhams. Pewnie uderzyła o coś twardego, pchana silnym prądem wody. To pewnie były schodki, pomyślałem. Strumień wody pchnął ją na nie wiele razy.

Odtworzyłem w głowie scenariusz, jak spływa w dół strumienia. W głębi duszy wiedziałem jednak, że nie przypominałaby Ofelii, z powodu kolejnej rzeczy, której się dowiedziałem. Ciała w wodzie zawsze unoszą się twarzą do dołu.

Twój jak zawsze
Jeremy.

*

**SMS od Elizabeth Salmon
4 lutego 2012, 13.27**

Alice, wyświadczyć mi przysługę, skarbie: nie mogę otworzyć mojej poczty. Możesz się na niej zalogować ze swojego telefonu...? Jestem w centrum ogrodniczym i potrzebuję kodu z vouchera. Będzie w mailu, który dostałam wczoraj. Mam nadzieję, że spędzasz udany weekend w Southampton. Ojciec mówi, żebyś nie przesadzała z alkoholem. Kocham cię x

*

**List profesora Jeremy'ego Cooke'a
3 lipca 2012**

Szczerze mówiąc, było to zwyczajowe, koszmarnie spotkanie, Larry. Płytkie, do niczego nieprowadzące rozmowy. Podlizywanie się komu potrzeba. Antropologiczne wywyższanie się. Przynajmniej z mnóstwem alkoholu, żeby uśmierzyć ból.

Byliśmy na pokonferencyjnej imprezie dla naukowców. Nie zakradaliśmy się do tandetnego hotelu, nie zrobiliśmy sobie półgodzinnej schadzki w moim

gabinecie, przy opuszczonych żaluzjach, nie w moim samochodzie na poboczu w New Forest. Liz i ja byliśmy na przyjęciu. Tego chciała. Żebyśmy pokazali się gdzieś publicznie.

Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, nie mogłem się powstrzymać, by nie spojrzeć.

– Przestań się denerwować – uspokajała mnie. – Jesteś wiele mil od domu. Nikogo tu nie znamy. A poza tym każdy zajęty jest sobą, sam tak mówiłeś. Taka jest ludzka natura.

Staliśmy w kuchni. Kilka osób w salonie tańczyło do piosenki ABB-y. Nie było tam moich rówieśników, mieli albo po dwadzieścia kilka lat, albo byli w średnim wieku. Liz miała na sobie czarną sukienkę i naszyjnik, który jej kupiłem. Wyglądała olśniewająco. Byłem urzeczony linią jej karku: jego długą, białą krzywizną jak u łabędzia, przypominającą gałąź orchidei albo ozdobę z dmuchanego szkła. Czułem się jak bohater filmu – Charlton Heston albo Gregory Peck.

Otoczył ją wianuszek mężczyzn.

– Jesteście razem? – zapytał bezczelnie jeden z nich.

– Z pewnością nie jestem jej ojcem – warknąłem, czując, jak trafia mnie zazdrość. Objąłem ją ramieniem, poczułem pod nim jej drobne ciało. – Wyglądasz pięknie – szepnąłem.

Czułem napięcie w jej ciele. Powinienem był się tego spodziewać: milczeliśmy przy lunchu, podczas gdy ona skubała widelcem makrelę. Kiedy zapytałem, czy smakuje jej ryba, odpowiedziała jedynie, że jest „sucha”. Nawet próby sprowadzenia rozmowy na bardziej satysfakcjonujący temat, który jak wiedziałem – albo podejrzewałem – ją zafascynuje – wydobyć Mary Rose z jej oceanicznego grobu po czterystu trzydziestu siedmiu latach, zakończyły się niepowodzeniem.

– Ja już nie mogę – powiedziała.

– Masz rację, to wino nie jest najlepsze.

– Muszę czuć, że dokądś zmierzam, że jestem na jakimś torze.

Czekałem, aż ta chwila przeminie. Kiedy tak się nie stało, powiedziałem:

– Łatwo zgadnąć, że jesteś z wydziału literatury. Za chwilę będziesz mówić o krzywiźnie naszego związku.

– Nie rób sobie ze mnie żartów – powiedziała. – To nie jest nic nierozsądnego. To, co robimy, jest podłe i nie fair wobec wszystkich nas, a w szczególności Fliss.

Imię mojej żony przemknęło przez restaurację niczym cień. Dzieciaki gospodarza imprezy – choć nie wiem, kim on był – które terroryzowały gości cały wieczór, wpadły do kuchni. Biedni mali nieszczęśnicy. Rodzice kazali im się wystroić: krawaty i podkoszulki. Akademicy – nie potrafili nawet trzymać własnych dzieci z dala od swoich obsesji.

– Dlaczego mężczyznom zawsze się wydaje, że obowiązują ich inne zasady? – zapytała Liz.

Czekałem w milczeniu, mając nadzieję, że to pytanie retoryczne.

– Nie rozumiesz? Jeśli mamy być razem, to chcę być częścią czegoś, z czego mogę być dumna.

Jedno z dzieci, uroczy chłopczyk – zupełnie jak ja w tym wieku – podszedł do nas i przedstawił się. Nosił jedno z imion, które rozważaliśmy z Fliss, chociaż już dawno przestaliśmy rozmawiać o dziecięcych imionach. Wiedziałem, że pewnie ogląda w domu *The Two Ronnies* i śmieje się, kiedy udają, że są prezenterami telewizyjnymi, a w trakcie sceny, gdy Ronnie Corbett opowiada historię o kudłatym psie, robi sobie kawę.

– Nigdy nie zostawisz żony, prawda? – powiedziała Liz, kiedy dziecko sobie poszło.

– Spokojnie – powiedziałem. – Znamy się dopiero od kilku miesięcy.

– Kilka miesięcy, kilka lat, to bez różnicy. Nigdy od niej nie odejdziesz.

– Czyż lojalność nie jest zaletą?

– To nie jest pora na żarty, Jem. Wszyscy musimy mieć kontrolę nad własnym przeznaczeniem, a ja jestem w twoim życiu tylko pasażerem.

Spojrzałem na zegarek. Liz upiła duży łyk dżinu.

– Kochasz mnie? – zapytała.

– Hola, to ci dopiero pytanie!

– Tak, to wielkie pytanie. I chcę usłyszeć na nie odpowiedź.

– My, antropolodzy, często zmagamy się z tym konceptem – odpowiedziałem. – Ogólnie przyjmuje się, że miłość, zwłaszcza miłość romantyczna, wykształciła się, by skierować energię kopulacyjną osobnika na jego partnerkę, jako że takie przywiązanie umożliwia wychowanie potomstwa zespołowo. Pewien Amerykanin wykonuje od jakiegoś czasu szereg świetnych badań na tym polu. Całe zagadnienie „po co jest miłość” jest bardzo intrygujące.

– Nie obchodzi mnie to. Bóg raczy wiedzieć dlaczego, ale obchodzisz mnie ty. Myślałam, że ja ciebie też. – Liz odpaliła kolejnego papierosa. Wyglądało na to, że nie paliła tylko wtedy, kiedy się kochaliśmy albo kiedy jadła. Przypomniałem sobie, jak moja żona i ja razem rzuciliśmy palenie tuż po naszym poznaniu się.

– Może jeśli chodzi o mężczyzn, nie dokonywałam najlepszych wyborów, ale nie jestem głupia – powiedziała.

– Nie powiedziałem, że jesteś.

– Czemu więc traktujesz mnie, jakbym była? – Utkwiła we mnie ten sam wzrok, który widziałem nad makrelą. Odwróciłem głowę, ruchomy barek, sofa w karmelowym kolorze, zestaw hi-fi, a obok niego stos płyt. – To cały ty, Jem: o wszystkim masz jakieś zdanie, ale zadaję ci jedno, cholernie proste pytanie na twój własny temat, a ty zaczynasz się wykręcać. Nie potrafię stwierdzić, czy bardziej cię kocham, czy nienawidzę. Ale ja łatwiej dokonuję

wyborów: to nienawiść, bez dwóch zdań nienawidzę cię bardziej.

– Na miłość boską, przestań mnie nienawidzić – powiedziałem. – I przestań nienawidzić siebie.

– Powiem ci, po co jest miłość: istnieje dlatego, że bez niej jesteśmy tylko ciałami, które się o siebie obijają. Mieć romans jest już wystarczająco źle, ale jeśli to tylko seks, to w jakiś sposób jest to jeszcze gorsze. Jeszcze bardziej niehonorowe.

– Niehonorowe wobec kogo?

– Nie zgrywaj niewiniątka. Zacznijmy od twojej żony, czy może znowu o niej zapomniałeś? – Odłożyła papierosa. – Mogłabym żyć z tym, co zrobilibyśmy Fliss, gdybyśmy mieli żyć razem długo i szczęśliwie. Ale skoro tak nie będzie, to zwyczajnie traktujesz mnie jak... jak kawał mięsa. Skoro tak nie będzie, to ja tak się właśnie zachowuję.

– Czytałem dzisiaj ciekawą pracę o mitochondrialnym DNA – powiedziałem.

Zacząła płakać, i uświadomiłem sobie, jak bardzo Fliss się od niej różni, kiedy płacze: była cichsza, dojrzała, bardziej opanowana. W tamtej chwili – kiedy porównywałem ból tych kobiet – po raz pierwszy przekonałem się, jak to jest naprawdę siebie nienawidzić. Wyciągnąłem rękę, prześledziłem palcem ślad jej kręgosłupa.

– Liz, kochanie, nie bądź taka, nie płacz.

– Nie traktujesz mnie, jakbym była dla ciebie czymś cennym. Bardziej obchodzą cię ludzie, którzy żyli tysiące lat temu. Czy ja się nie liczę?

– Oczywiście, że się licysz. Przecież wiesz.

– Nie, skąd niby miałabym wiedzieć? Nigdy mi tego nie mówisz. Czuję się taka okropnie zagubiona.

Dlaczego wszyscy musimy być tacy cholernie delikatni, pomyślałem, ale najwyraźniej powiedziałem to na głos, bo usłyszałem, jak słaby głos

odpowiada mi:

– Delikatni? Delikatni? Ostatnimi czasy bardzo okrzeplam.

Liz szybko się upiła. Flirtowała z innymi mężczyznami, przewróciła kilka kieliszków. Kiedy próbowałem jej dotknąć, powiedziała, że nie może być w połowicznym związku.

Liz i ja staliśmy kiedyś przed obrazami Tycjana i Caravaggia w National Gallery, powiedziała, że nie obchodzi jej, kto nas zobaczy, ma to w nosie, życie jest zbyt krótkie. Spędziliśmy weekend w Dorset, chodziliśmy po kamieniach na plaży Chesil i słuchaliśmy szumu fal. Pojechaliśmy nad brzeg morza w Beachy Head moim TR7, samochodem, który, jak żartowała Fliss, zwiastował mój kryzys wieku średniego, i piliśmy szampana przy opuszczonym dachu, czując słoną bryzę. Część mnie chciała pognać do domu i opowiedzieć o tym Fliss, powiedzieć jej, jak w oddali było widać małą latarnię morską, i opisać jej wspaniałość tej przyprawiającej o zawrót głowy białej kropki. Wybudzić ją ze snu, bo była już w łóżku, kiedy wróciłem z tego konkretnego „weekendowego sympozjum”, i powiedzieć: „Fliss, Fliss, nigdy nie zgadniesz, gdzie byłem”. To był taki wyjątkowy dzień, że podzielenie się nim z żoną wydało mi się rzeczą naturalną. Jakaś część mnie chciała zabrać ją w to samo miejsce, by ona, Fliss, mogła doznać tej samej radości co Liz, żebym mógł zobaczyć na jej twarzy ten sam uśmiech – ostatnimi czasy tak rzadko się uśmiechała – który zakwitł na twarzy mojej kochanki. Jedno życie to za mało, pomyślałem, i przez chwilę niemożliwość tej sytuacji wzbudziła we mnie niepokój. Pozwoliłeś sobie kochać dwie kobiety, ty głupi samolubie. Słowa nauczyciela, nie pamiętam czy historii, czy kultury antycznej, raz po raz rozbrzmiewały w pokoju, jak gdyby wołał psa: „Głupiec z ciebie, Cooke, głupiec”.

– Proszę, proszę, Jeremy Cooke!

Odwróciłem się na pięcie. Martin Collings. Pracował z Fliss na Uniwersytecie Londyńskim. Pozostali w kontakcie.

– Martin, jak miło cię widzieć. – Zerknąłem mu przez ramię. Liz poszła do toalety. Wcześniej ona i ja staliśmy w kuchni, ledwie się do siebie odzywając, żadne z nas nie chciało zakończyć tego wieczoru, oboje baliśmy się dalszego ciągu.

– Tyle się u mnie dzieje – powiedział Martin. – Nie rozmawiałem z Fliss od wieków. Jest tutaj?

– Nie – odparłem. – Nie ma.

Rozejrzałem się po pokoju, szukając wzrokiem Liz. Była pijana i nie wracała już bardzo długo. Błagam, pomyślałem, błagam, niech się okaże, że zostawiłaś mnie tu samego.

– Jak twoja praca? Nadal zajmują cię umarli?

Liz wróciła i uwiesiła się na moim ramieniu. Nic między nami nie było, żadnego kontaktu, zażyłości, tylko ciężar.

– Kocham cię i nienawidzę, tak czy inaczej, spieprzyłeś sprawę, stary, prehistoryczny pierniku! – Pocałowała mnie w policzek. To był pożegnalny pocałunek: czuły, wilgotny, okrutny. Próbowałem pochwycić wzrok Martina. Byłem niemal w stanie śledzić jego ciąg myślowy, czułem, jak obwody w mózgu zaczynają mu się przegrzewać.

Liz wyszła z pomieszczenia, a ja wykonałem gest oznaczający, że jest wstawiona – jakbym próbował powiedzieć, że nie mam bladego pojęcia, o co chodziło. Zignoruj ją, jest pijana. Zaczął śpiewać Neil Diamond i Liz poszła chwiejnym krokiem do salonu, przyciągana przez muzykę, jak gdyby przypomniała sobie, że coś tam zostawiła.

– W co ty grasz, Jeremy? – zapytał.

– Gram?

Muzyka ustała, a po chwili rozpoczęła się kolejna piosenka. Tym razem

REO Speedwagon. Usłyszałem śmiech Liz i poczułem się dziwnie spokojny: jakbym miał to już z głowy. Martin powie Fliss i to będzie lepsze, niż nosić ze sobą ten ogromny, śliski sekret. Coś jednak kazało mi trzymać się kłamstwa, banału. To było jak rola do odegrania.

– Nie myślisz chyba... O rany, jakie to zabawne! To moja asystentka, najświeższy nabytek wydziału. Szczerze mówiąc, chyba za dużo zagląda do kieliszka.

Wyobraziłem sobie, jak Fliss daje jedzenie psu, zasuwa zasuwkę w tylnych drzwiach i idzie po schodach do łóżka. „Te piekielne imprezy... Wiesz, jakie one są. Tak strasznie się ciągną, że pewnie zostanę na noc” – powiedziałem jej.

– Przestań wciskać mi gówno – powiedział Martin. – Znam twoją żonę od dawna. Zasługuje na coś lepszego.

Liz tańczyła z mężczyzną, któremu powiedziałem, że nie jestem jej ojcem. No to koniec, pomyślałem sobie. Tak to było mieć romans.

– Jesteś skończonym gnojem, Jeremy – powiedział przyjaciel mojej żony.

Dużo później – w tamtych czasach nie istniało coś takiego jak prowadzenie po pijaku, był 1982 rok – zakradłem się do domu, pogłaskałem Milly i szepnąłem, że się za nią stęskniłem, kiedy wygramoliła się ze swojego kosza, żeby mnie powitać. Potem umyłem się i wślizgnąłem do łóżka, a moja żona mruknęła coś, czego nie zrozumiałem: może „w końcu wróciłeś” albo „czemu nie zadzwoniłeś” albo „znów mnie zostawiłeś”? Leżałem bezsenny obok kobiety na wiele sposobów bardzo niepodobnej do tej, z którą spędziłem wieczór, głównie z jednego powodu: byłem jej mężem. Nie spałem. Czekałem, aż zadzwoni telefon, czekałem, aż zadzwoni ten czołobitny płaz, Collings, by przypieczętować mój los. Telefon nie zadzwonił. Może mi się udało, pomyślałem, nasłuchując delikatnego, wpadającego w ucho oddechu żony.

Skąd miałem wiedzieć, co zrobi Liz dziewięć dni później, Larry? Powinienem był to przewidzieć? Powstrzymać to? Nic nas już nie łączyło. Kiedy dotarły do mnie te wiadomości, byłem w takim szoku, jak kiedy usłyszałem, że Alice nie żyje. Nieśmiałe pukanie do drzwi mojego gabinetu. Kolega, jeden z niewielu, który wiedział o tym, co się działo między mną a nią, z miną wyrażającą coś pomiędzy współczuciem a pogardą: „Jeremy, słyszałeś?”.

Twój jak zawsze
Jeremy

*

**Pocztówka wysłana przez Alice Salmon
17 sierpnia 2009**

Kochani M. i T.!

Pogoda upalna, hotel zadowolający, jedzenie paskudne. Przesiadujemy na basenie i pijemy mnóstwo koktajli z parasolkami. Niewiele śpimy. Wyspa piękna (uparłam się, żebyśmy codziennie robili coś „kulturalnego”!). Wyglądam raczej jak homar niż łosoś! Mnóstwo Niemców, ale będziesz ze mnie dumny, tato, bo jeszcze ani razu nie wspomniałam o wojnie. Czy to na Fuerteventurę polecieliśmy, kiedy byłam mała? Dziewczyny pozdrawiają.

Kocham Was bardzo
A x

PS I kto powiedział, że w tych czasach nikt nie wysyła już pocztówek?

*

E-mail od Elizabeth Salmon 22 lipca 2012

OD: Elizabeth_salmon101@hotmail.com

DO: jfhcooke@gmail.com

TEMAT: Powiedz mi

Jem,

w załączniku przesyłam Ci skan listu, który dostałam dziś rano wraz z jakimiś kserówkami Twojego pisma i instrukcją, by „je porównać”. Musisz mnie zapewnić, że nie Ty napisałeś ten list, bo pismo wygląda bardzo podobnie. Miała osiemnaście lat, była pierwszorocznikiem i nigdy wcześniej nie mieszkała poza domem – taki liścik przeraziłby każdą dziewczynę w jej wieku. Strzeliste, ozdobne litery wystarczająco by ją wystraszyły. Gdyby nie ja, Dave by Cię pogrążył. Nie mogę uwierzyć, że dałam Ci się znowu podejść i zaskarbić swoje uczucia – Boże, wysłałam Ci nawet fotografię Alice z dzieciństwa! Powiedz mi, że nie dałam się nabrać, Jem. Powiedz mi, że to nie Ty to napisałeś. Ktokolwiek mi to przysłał, powiedział, że rozmawiał z Tobą na ten temat i „pociłeś się jak pedofil w kostiumie Świętego Mikołaja”. Odkąd postanowiłam rzucić alkohol, byłam dziś najbardziej bliska sięgnięcia po kieliszek. Kupiłam butelkę dżinu w Tesco i usiadłam na parkingu, trzymając ją na kolanach. Chciałam tylko zasnąć i obudzić się, kiedy będzie po wszystkim. Dziewięć dni po naszym rozstaniu wypiałam całą butelkę dżinu. Nic dziwnego, że nazywa się go „ruiną matek”. To pragnienie nigdy nie odchodzi. Jest jak tępy ucisk z tyłu głowy.

Zapewniłeś mnie, że policja wkrótce ustali, co stało się mojemu dziecku. Tak powiedziałeś, Jem, ale to się nie sprawdziło... jedyne co zrobili, to wielokrotnie mnie spławili i utknęli w ślepych uliczkach, a w niektóre tropy, jakie podchwycili, szczerze wątpię... Mówiłeś kiedyś o ścieżce, którą wszyscy zostawiamy, o śladzie. Ze względu na nas oboje mam nadzieję, że nie Ty to napisałeś. Boże, kim jestem, żeby prawić Ci morały?

Elizabeth

*

**Esej autorstwa Ali Manning opublikowany na stronie
internetowej „Daily Digest”
16 marca 2012**

Mój telefon zadzwonił wczoraj późno wieczorem. Kiedy rozmówczyni przedstawiła się jako Holly Dickens, minęła chwila, zanim zaskoczyło mi w głowie. To jedna z dziewczyn, z którymi przebywała Alice Salmon tego wieczora, gdy zginęła.

Czytelnicy są pewnie dobrze zaznajomieni z historią Alice. Odkąd utonęła w zeszłym miesiącu w Southampton, prawie nie znika z nagłówek gazet. Upiła się i oddzieliła od swoich przyjaciółek, a potem, na co wszystko wskazuje, wpadła do rzeki. Ze względu na charakter wypadku, który potencjalnie mógł przydarzyć się każdemu, stał się on tematem dyskusji w całym kraju.

Holly skontaktowała się ze mną, ponieważ wiedziała, że kiedyś pracowałam z Alice. Zapytała, czy zachowam dyskrecję, na co przystałam. Rozmowa, której lwią część Holly przepłakała, trwała ponad godzinę.

Mówiła o swojej niewybaczalnej winie.

Obwinianie tej młodej kobiety i jej dwóch koleżanek – Sarah Hoskings i Lauren Nugent – stało się dla niektórych ulubioną rozrywką. Jak gdyby pozwolenie na to, by na chwilę zniknęła im z oczu, było przestępstwem. Jakby żadne z nas nigdy nie znalazło się w podobnej sytuacji.

– Jak to możliwe, że jednego wieczoru szykujesz się na wyjście z przyjaciółmi, a następnego na pogrzeb? – zapytała.

Nie znałam odpowiedzi.

– Alice siedziała na murku przed barem, gdzie sprzedają rybę z frytkami – powiedziała. – W jednej chwili tam była, w kolejnej już nie. Odwróciłyśmy się tylko na kilka minut. Nie mogę uwierzyć, że się nam zgubiła.

Następnie dzwoniły do Alice około ośmiu razy, aż w końcu doszły do wniosku, który nie był znów taki niedorzeczny, że na własną rękę wróciła do hotelu.

– Alice była zaradna, nie przeszło mi nawet przez myśl, że może być w niebezpieczeństwie, ale kiedy myślę o tym z perspektywy czasu, to cały dzień była zamyślona, i dochodzę do wniosku, że powinnyśmy były jej pilnować, skoro się upiła. Żadna z nas nigdy sobie tego nie wybaczy.

Skończyłam rozmawiać z Holly i przypomniałam sobie, jak pracowałyśmy z Alice w „Southampton Messenger”. Stare, dobre czasy.

Kilka sekund później Holly zadzwoniła jeszcze raz.

– Nie miałabym nic przeciwko, gdybyś jednak zechciała wykorzystać moją wypowiedź. Ludzie muszą zrozumieć, że popełniłyśmy błąd, którego zawsze będziemy żałować, ale kochałyśmy Alice.

Te trzy dziewczyny nie zrobiły niczego złego. Jakby utrata przyjaciółki nie była czymś wystarczająco strasznym, dostały też po głowach za to, że odmówiły udziału w publicznych rozmowach na temat Alice i ze spokojem

trzymały się obietnicy niekomentowania sprawy ponad oficjalnie wydane oświadczenie. Ich decyzja była zrozumiała. Wynikała z chęci poszanowania rodziny Alice i nie zapominajmy, została im doradzona przez policję, która obawiała się, że może to zaszkodzić potencjalnemu procesowi sądowemu.

Przypomniałam Holly, że nie powinna się obwiniać i że to, co się jej przydarzyło, mogło się przydarzyć każdemu, że zawsze znajdą się tacy, którzy mają zdanie na każdy temat, że gdyby nie łaska boska, to każdy z nas mógłby się znaleźć na jej miejscu...

Zobacz także:

TEKSTY: Orgia piłkarza Premiership w czterogwiazdkowym hotelu

ZDJĘCIA: Koniec z obietnicami członka parlamentu, że „rzuci fajki”

WIDEO: Uliczny gang napada na starszego rowerzystę

*

Artykuł autorstwa Alice Salmon w magazynie „Azure” 20 października 2011

Pisały je dawniej wszystkie: od Anne Frank po Bridget Jones. Współczesne kobiety powracają do uprawiania pamiętnikarstwa. Pragnąc tchnąć w tę wspaniałą tradycję nowe życie, Alice Salmon tłumaczy, jak prowadzenie dziennika pomogło jej przetrwać kryzys okresu dojrzewania.

Wyciągnęłam z opakowania jedną z żyletek taty i upuściłam ją na podłogę.

Było gorąco i z ogrodu sąsiadów dochodziły odgłosy kosiarki. Koszenie trawy było bez sensu – przecież i tak odrośnie. Miałam trzynaście lat

i tamtego lata wszystko właśnie takie się wydawało: ciągnące się w nieskończoność, daremne, niezmiennie. Przyłożyłam prawą dłoń do lewego nadgarstka i przeciągnęłam żyłką, słysząc jej brzęk. Na kilka cudownych, pełnych magii chwil wszystko zniknęło – stres związany z egzaminami, trzydzieści cztery procent z testu z biologii (byłam najwyraźniej równie głupia, co brzydka), nawet sprzeczka z moją najlepszą przyjaciółką Meg, podczas której jak zwykle oskarżyłam ją o to, że mnie nienawidzi. Wszystko zasłonięte nagłą, jaskrawą nieuniknionością bólu. Zawładnęło mną zaskakujące objawienie – krew.

Pocięłaś się, Alice, pomyślałam. Patrz, co zrobiła Alice Salmon. Patrz, co zrobiła ta niemądra dziewczyna.

– Tato – zawołałam, ale nie było go w domu. Nikogo nie było.

Z radia Robbiego dobiegała piosenka *Baby One More Time*, a w tle słychać było kosiarkę. Tylko nie zemdlej, nauczyłam samą siebie. TYLKO. NIE. ZEMDLEJ. To była nowa, prosta szrama i nowe, proste uczucie. Usłyszałam szczekanie Pana Hau i dopadł mnie lęk: a jeśli zostanie blizna? Jako nieodrodna córka swojego ojca przywołałam w myślach praktyczne rozwiązania: upiorę ręcznik, zasłonię ślad bransoletkami, będę nosić długie rękawy. Nie mogłam pozwolić, żeby rodzice się dowiedzieli, bo nie chciałam przysparzać im zmartwień. Wypłynęło więcej krwi – więcej mojej krwi. Musiała być tuż pod skórą. Włożyłam nadgarstek pod kran i po jakimś czasie strumień wody zaczął w końcu spływać czysty. Potem przylepiłam dwa plastry w poprzek nadgarstka. Wypłukałam ręcznik w gorącej wodzie i wyczyściłam łazienkę, aż zniknęły z niej wszelkie moje ślady.

Kiedy mama zauważyła plaster i zapytała, co u nieba zrobiłam, skłamałam, że zadrapałam się gwoździem, gdy wracałam ze szkoły do domu.

– Boże, ktoś to powinien obejrzeć. Może będzie potrzebny zastrzyk przeciwężcowy.

– To nic wielkiego – zachnęłam się.

Tata uznał, że to dla mnie typowe zachowanie, bandażując mi rękę, jakby to była rana wojenna, a nie draśnięcie.

– Królowa dramatu z tego mojego Asa – powiedział tata. – I czy ty posprzątałaś w łazience, czy się przesłyszałem, Łososiątko? Co w ciebie wstąpiło?

– Gdzie był ten gwóźdź, Alice? – zapytała mama, kiedy wyszedł z pokoju.

– Po drodze ze szkoły.

– Gdzie po drodze ze szkoły? – Słyszałam ten ton już wcześniej. Ale kiedy było trzeba, potrafiłam kłamać jak z nut.

Napisałam datę na górze strony – 13 sierpnia 1999 – i wszystko się ze mnie wylało: na początku nieuporządkowane głupstwa o złożonych wzorach na pokrowcach siedzeń w autobusie, potem istotniejsze rzeczy. Kiedy pisałam, ciśnienie uszło.

Minął miesiąc, odkąd siedziałam na podłodze łazienki, i teraz to wróciło – wrażenie, jakbym obserwowała życie przez tafelę grubego szkła i jakbym nie była stworzona do tego, co się za nią znajduje.

Uczucie, którego doznałam, pisząc, było podobne do tego w łazience, tyle że na podłodze nie było krwi: były słowa na ekranie monitora. Cursor przesuwał się z lewej strony na prawą, ciągnąc za sobą ślad liter, zbierających się w zdania i akapity zupełnie ode mnie niezależne, choć mojego autorstwa. Sześćset osiemdziesiąt dwa słowa. Tysiąc trzysta dziewięćdziesiąt cztery. Dwa tysiące sześćset jedenaście. Był to mój pierwszy wpis do dziennika i wkrótce uzależniłam się od pisania. Pisałam podczas przerw między lekcjami, w pociągach i autobusach, oglądając *Idola* i kiedy nie mogłam spać. Później w aulach wykładowych uniwersytetu i pochylona nad biurkiem

w pracy, skrywając swoje wysiłki jak uczennica chowająca klasówkę. Pisałam na laptopie, w notatnikach, w telefonie, na skrawkach gazet, na pustych stronach na końcach książek. Pisałam wszędzie i skrupulatnie zachowywałam wszystkie moje wynurzenia: papierowe w pudełkach, a cyfrowe na pendrive'ach. Wyobrażałam sobie, jak w moim domu albo mieszkaniu wybucha pożar i seksowny strażak zaczyna mnie przytrzymywać, mówiąc:

– Nie, Alice, to zbyt niebezpieczne. – Ale ja wyrywam mu się i biegnę prosto w płomienie, aby uratować moje zapiski.

– Nie rozumiesz!?! – krzyczę do niego. – To mój pamiętnik, to ja!

Gdy opanowywała mnie chęć, by zamknąć się w łazience, kiedy coś, co później zaczęłam określać jako TO, zaczynało mnie uwierać, otwierałam laptopa. Często pisałam nocami albo w środku męczącego, ciężkiego kaca, ale taka potrzeba mogła mnie dopaść bez ostrzeżenia. Dopiero później poznałam psychologiczne pojęcie „przemieszczenia”. Dowiedziałam się też, że alkohol i narkotyki mają ten sam uśmierzający wpływ, ale wiążą się z konsekwencjami. Widziałam swoje odbicie w monitorze, odpuszczałam, trzymałam się, szukałam sensu w szaleństwie, antidotum na życie, stereo, a potem mój iPod, tryb „shuffle”, przeskakowanie z Ricky'ego Martina na Pink, z Robbiego na Red Hotów albo ze Steps na R. Kelly'ego.

Zdałam sobie sprawę, że nikt nie będzie tym zainteresowany, a jeśli ktoś to przeczyta, uzna, że mam urojenia, ale nie obchodziło mnie to. Mogłam oddychać.

Kiedy miałam szesnaście lat, straciłam brwi w pożarze.

Widzicie, musiałam spalić swoje pamiętniki, po prostu musiałam. Jak w likwidowanym sklepie, trzeba się pozbyć całego towaru.

Kiedyś wróciłam wcześniej ze szkoły i moja mama miała je rozłożone na

podłodze mojej sypialni.

– Co ty robisz? – zapytałam. – Dlaczego grzebiesz w moich rzeczach?

– Kochanie, nigdy mi nie powiedziałaś...

Od trzech lat rozpaczliwie próbowałam jej powiedzieć o jasnych bliznach na lewym nadgarstku, które nie powstały wcale w wyniku zadrapania gwoździem albo o ścianę, zepsutą okiennicę, albo wskutek bójkę ze szkłem, w której szkło wygrało. W tamtej chwili jednak mózg mi się zagotował.

– Wynoś się.

– Jestem twoją mamą.

– Jak śmiesz grzebać w moich rzeczach!?! – wrzasnęłam. – To jest tylko moje.

– Jest w tobie tyle ze mnie – powiedziała i chyba zerknęła na moje nadgarstki, ale o tym pisałam w oprawionym w skórę notatniku, który ciocia Anna dała mi na Gwiazdkę. Nigdzie nie mogłam go znaleźć. – Jestem twoją mamą – powtórzyła.

– Tak, niestety – warknęłam, czując, jak przeszywa mnie dawne pragnienie, aby zacząć biec bez zatrzymywania się, aż znajdę się tak daleko, że nikt mnie nie pozna i wtedy stanę się inną mną, niezepsutą i fajną. – Wolałabym, żebyś nie żyła. Sama wolałabym nie żyć.

Kiedy tylko się jej pozbyłam, otworzyłam laptopa i zaczęłam przyciskać klawisz „delete”. Później, kiedy rodzice wyszli z domu – mama niechętnie mnie zostawiała, ale obiecałam jej, że jeśli da mi godzinę spokoju, to porozmawiamy później – zebrałam moje papierowe zapiski i rzuciłam je do metalowego kubła, w którym tata palił śmieci w ogrodzie. Potem polałam wszystko solidną dawką paliwa z puszek, którą znalazłam w garażu, i buch! Wszystko eksplodowało ogromnym pomarańczowym płomieniem, który odebrał mi brwi nagłym podmuchem ciepła i strachu.

– Pal się! – krzyczałam, wyrywając kartki i karmiąc nimi płomienie. Nic

nie czułam wobec dziewczyny, która napisała te bzdury. Stałam się nową mną.

To były moje szesnaste urodziny.

Następnego dnia wróciłam do ogrodu. Wiatr rozrzucił zwęglone kawałki papieru po trawniku. Na krawędzi poidełka dla ptaków pojawił się rudzik. Zamachał skrzydłami, ochlapał się wodą. Świetnie się bawił. Uświadomiłam sobie, że miałabym na to ochotę – znaleźć się w wodzie. Popływać. Nigdy nie byłam w tym szczególnie dobra, ale uczucie byłoby cudowne: chłodne prądy, ja wypierana na powierzchnię, dryfująca, jak gdybym niemal nic nie ważyła.

– Nie wszystko spłonęło – wyznała mi mama później po południu. – Niczego nie przeczytałam, przysięgam, ale wzięłam twoje zapiski, bo może kiedyś będziesz chciała je mieć.

Mam dwadzieścia cztery lata i nadal nie powiedziałam mojej mamie o wpisie do pamiętnika, który sporządziłam jako trzynastolatka, pod tytułem „Dlaczego poszłam do łazienki upuścić sobie bólu”. Ten artykuł wymusi na nas rozmowę, której unikam od prawie dekady. Może dlatego tak chętnie zgodziłam się, by napisać o tym do gazety. Porozmawiam z mamą, zanim to przeczyta – a przeczyta na pewno, bo czyta wszystko, co piszę, nawet nudne artykuły o apelacjach sądowych i bójkach w barach. Przestała już wycinać fragmenty z gazet – nie mieszczą się w albumie – ale zawsze mówi mi, jakie są wspaniałe, a ja zawsze czuję wzrastające we mnie, budujące ciepło: moja mama jest ze mnie dumna.

Przede wszystkim powiem jej, że nie próbowałam się zabić; próbowałam jedynie pozbyć się tego, co było we mnie złe. Powiem jej też, że te uczucia nigdy nie znikają, ale można wyrobić w sobie mechanizmy obronne, a dla mnie pisanie dziennika było najlepszym z nich. Dziwna rzecz: wiecie, co

zrobiłam, kiedy dała mi reklamówkę pełną czarnych, zwęglonych skrawków mnie z czasów między trzynastym a szesnastym rokiem życia? Poszłam na górę, włączyłam komputer i zaczęłam pisać.

„Alice Salmon, lat szesnaście” . zaczęłam.

Pisałam o tym, jak zwęglony papier pozostawił sadzę na moich palcach i jak wachałam go niczym dziecko instynktownie odkrywające świat. Napisałam o rudziku, że jego ruda pierś nie była do końca ruda, a raczej brunatna. Jak zmierzwił piórka i otrząsnął się z wody: jego istnienie było dla niego najważniejszą rzeczą na świecie, jedyną rzeczą na świecie.

Czasem łatwiej jest zapomnieć, ale pamiętanie czyni z nas ludzi. Pamiętniki pozwalają nam ułożyć nasze warstwy według logicznego porządku. Rozumieli to Anne Frank i Oscar Wilde. Samuel Pepys. Sylvia Plath. Nawet fikcyjni bohaterowie, tacy jak Bridget Jones. Jednak większość dzienników prowadzą zwykli ludzie jak ty czy ja, i to nasze zapiski pragnie uczcić ten pionierski projekt. Narodowe Archiwum Pamiętnikarskie postanowiło zachować nasze codzienne obserwacje. Może podaruję im swoje.

To, co robiłam, nie było niczym wyjątkowym: statystyki sugerują, że więcej niż jedna dziewczyna na dziesięć poddaje się samookaleczeniu. Ja byłam jedną z tych, którym się udało: uszło mi to na sucho, mam małą bliznę, teraz niemal niezauważalną, widoczną jedynie pod pewnymi kątami i w konkretnym świetle, jeśli wiesz, gdzie patrzeć.

Nie czuję nienawiści do dziewczyny, która to zrobiła: tej, która gapiła się na skalpele na zajęciach plastycznych albo na żyłki taty w łazienkowej szafce za lustrem i myślała, że to byłoby takie łatwe, takie proste, przejechać sobie jedną z nich po wnętrzu przedramienia, po małym nadgarstku, białym niczym podbrzusze ryby – wystarczyłaby jedna prosta linia, jak gdyby zasuwała zamek albo odrywała kawałek chleba, żeby nakarmić kaczkę.

Zupełnie na odwrót. Ta dziewczyna jest moim sekretem.

– Gotowa, Alice? – zawołała moja mama, kiedy miałam szesnaście lat i jeden dzień.

– Dziwne, że restauracja Nareszcie Piątek jest otwarta w czwartek – powiedział tata w samochodzie. Jego restauracyjny żarcik.

Zaśmiałam się i postanowiłam wytrzymać, sprawdzić, jak długo dam radę i gdzie mnie to zaprowadzi, to życie. Następne były egzaminy końcowe w liceum. Potem uniwersytet, odległa intrygująca perspektywa: imprezy, intelektualne debaty, wolność – ja – moja własna Joey Potter z *Jeziora marzeń*.

Nawet to zapisałam, jakby miało znaczenie. Bo miało. Nadal ma. To był mój pamiętnik i póki go pisałam, wiedziałam, że w łazience na podłodze nie pojawi się krew.

- Więcej informacji na:

www.youngminds.org.uk

www.selfharm.co.uk

www.mind.org.uk

*

**Wiadomość pozostawiona przez Alice Salmon na poczcie
głosowej Megan Parker
4 lutego 2012, 13.44**

Kurwa, Meg, zadzwoń do mnie szybko... Wiesz, jakiego maila dziś widziałam?... Zadzwoń do mnie, muszę z tobą porozmawiać, zanim odezwę się do mamy... Weszłam na jej pocztę tylko po to, żeby znaleźć jakiś

voucher... Wygląda na to, że to prawda, ale to przecież niemożliwe. Nie chcę o tym nawet myśleć. Wiem, że jesteś teraz pierdyliardy kilometrów stąd, ale błagam, odbierz... Nadal jestem w pociągu. Kurwa pierdolona. Upiję się dziś. Jezu, nie poradzę sobie z tym. Kompletnie nie wiem, co robić. Zadzwoń...

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 6 lipca 2012

Najdroższy Larry,

zmarłeś w listopadzie, ale dowiedziałem się o tym dopiero w styczniu. Ponoć było kilka nekrologów, ale unikam czytania gazet: piszą tylko o zamieszkach zbuntowanej młodzieży, zakazach publikacji i drugiej fali recesji. Nazwali Cię „wielkim”, „sprawcą przełomu”, „człowiekiem, który na nowo zdefiniował swoją dziedzinę”. Wszystko, czego nigdy nie napiszą o mnie.

Znaliśmy się od ponad pięćdziesięciu lat.

– Ktoś wie, czym jest znajomość korespondencyjna? – zapytał mój nauczyciel. – Cooke, ty zostaniesz dobrany w parę z chłopcem z Kanady, a dokładnie z Nowego Brunswiku.

Nad pierwszą wiadomością spędziłem długie godziny, chcąc wyrzeć odpowiednie wrażenie. Przyznałem nawet – buta zdobna w humor, którą Ty wzięłeś za ironię – że rozczarowało mnie, iż nie przydzielono mi łowcy głów z Papui-Nowej Gwinei.

Twoja odpowiedź rozpoczynała się od „Hejka, Jeremy”. Powitanie, które zaskoczyło mnie nieformalnością. „Jestem Larry Gutenberg, mam jedenaście

lat i uczę się w szkole podstawowej”.

„Pragnę zostać wielkim naukowcem” – poinformowałem Cię. Czułem się dumny, że moje listy są równie wolne od błędów ortograficznych jak Twoje. Wyobrażałem sobie, jak je czytasz, jak z podziwem kiwasz głową, myśląc: „ten Cooke jest taki jak ja”.

– Zastanawiałem się, czy mógłbym odwiedzić mojego najlepszego kolegę Larry’ego – zagadnąłem ojca, kiedy Ty i ja pisaliśmy do siebie już od kilku miesięcy. – Byłbym niezmiernie wdzięczny.

– Jesteście jak para małych pedałów – odpowiedział pogardliwie. Dowiedziałem się później, że to moja matka, nie on, pragnęła dzieci. Pisaliśmy co kwartał aż po egzaminy końcowe w liceum. Jeśli o mnie chodzi, swingujące lata sześćdziesiąte mogły się nigdy nie wydarzyć.

„Jesienią idę do Warwick” – poinformowałem Cię, kiedy byłem w dwunastej czy trzynastej klasie, małpując uniwersytecki język Oxbridge, a Ty nigdy mnie o to nie wypytywałeś, mimo że pewnie zauważyłeś mój wybieg.

Były też Twoje pomysły. Już na tamym etapie dalekosiężne. Oddalałeś się ode mnie. Było to dla mnie jak moment olśnienia, eureka, chwila, kiedy poczułem, że dalej już nie sięgnę. Kiedy zbliżałem się do dwudziestych piątych urodzin, zdałem sobie sprawę, że nigdy nie będę naprawdę wybitnym naukowcem.

Podczas gdy moje badania utykały w martwych punktach i ślepych uliczkach, podczas gdy nieustannie wracałem do miejsc, w których zacząłem, niczym jakieś przekłete migrujące zwierzę, Twoje prace zyskiwały coraz większy aplauz. Obserwowałem Twój sukces, odczuwając coś dotąd mi nieznanego – prawie żadnej zazdrości. Chciałem tam z Tobą być, świętować i stać u Twego boku. Byłeś naukowcem, którym zawsze chciałem być: obdarzonym intuicją, błyskotliwym, odważnym, energicznym. Nawet

nazwano na Twoją cześć jedno z praw. Twierdzenie Gutenberga. Kiedy słyszałem tę nazwę, wypowiedaną z szacunkiem przez moich kolegów, miałem ochotę krzyknąć: „Był mój na długo przed tą eponimiczną teorią”.

Potem nadszedł rok 2004 i *Wydział genów*. Święty Graal: poważna naukowa publikacja, która zniknęła z półek. Kiedy przerzucałem kartki, niesiony oszalałymi prądami Twojej teorii, kiedy porywały mnie te rozbudowane, cudowne dygresje, poczułem narastającą wściekłość. A właściwie ślełą furję. Każda cholerna strona skąpana była w białym świetle. Jakbym trzymał w dłoni esencję nauki. Jasną, piękną i prostą, ale nową i niewiarygodną. Fragment po fragmencie. Oddałbym życie za choć jedną z tych stron, jeden z tych fragmentów. Zazdrość – dotąd tak wyraźnie nieobecna – zalała mnie ze zdwojoną siłą. Ty skończony draniu, myślałem sobie. Czuję się, jakbyś był mi niewierny. Jedyna rzecz, jaką chciałem zrobić w życiu, a Ty mnie w tym ubiegłeś. Dokładnie pamiętam, kiedy skończyłem czytać. Było popołudnie 9 grudnia 2004 roku. Wiem, bo był to dzień, w którym wypadało doroczne przyjęcie katedry antropologii, zawsze w pierwszy czwartek grudnia. Kiedy tam szedłem, z głową pełną jadu, wpadłem na Alice. Proszę, proszę, pomyślałem. Cóż za zbieg okoliczności. Ty.

Nigdy o tym nie wiedziałeś, Larry, ale za to, co zdarzyło się tamtego wieczoru, jesteś częściowo odpowiedzialny. W ostatnim rozdziale zacytowałeś pierwsze wersy wiersza Roberta Herricka: „Rwijcie róż pąki, póki młode”^[13]. Uznałem to, jak zawsze uznawałem wszystko, co mówiłeś, za radę, polecenie, ewangelię.

Jak Ci się podoba fakt, że pojawisz się w mojej książce o Alice, kolego? Jestem tym niezwykle podekscytowany. W głowie pojawiają mi się potencjalne tytuły. Obecnie moim ulubionym jest *Suma wszystkich rzeczy*. To dla mnie przyczyna ogromnego żalu, że nigdy jej nie przeczytasz.

W przeciwieństwie do gorączkotwórczego potraktowania tematu przez media, moim hasłem przewodnim będzie „równowaga”. Jezu, ta historia nadal nie schodzi z pierwszych stron gazet, podczas gdy opinia publiczna cwałuje od teorii o wypadku do samobójstwa i gorzej. Im więcej mówi się o tym w mediach, tym więcej mówi się o tym w mediach. Nasi dziennikarze robią tak: rzucają się na pojedyncze tragedie, traktują je jak emblemat wszystkich innych podobnych zdarzeń, o których pisać nie mają czasu albo nie pozwala im na to budżet. *Alice Salmon: zagrożenia imprezowania w wieku lat dwudziestu kilku.*

„Jestem żoną Larry’ego Gutenberga i mam dla Pana złe wieści” – tak zaczynał się list od Marlene. Skontaktowała się ze mną tylko dlatego, że natknęła się na naszą korespondencję, kiedy przeglądała Twoje rzeczy, co postanowiła odłożyć na czas po Bożym Narodzeniu. Potrafię zrozumieć, dlaczego nie dzieliłeś się tymi listami z żoną. Mężczyzna musi mieć swoje sekrety, poczucie, że jest czymś więcej niż to, co wyobrażają sobie otaczający go ludzie.

Marlene powiedziała, że dokończyłeś pić kawę, włożyłeś swoją ulubioną marynarkę, oznajmiłeś, że idziesz wyprowadzić psa na spacer, i nigdy nie wróciłeś. Próbowałem patrzeć na to jak na przypadek kapitana Oatesa^[14]: w rzeczywistości potknąłeś się na chodniku i zmarłeś, zanim zdążyła przyjechać karetka. Nie było to godne odejście dla kogoś, kogo imieniem nazwano twierdzenie. Mój przyjacielu, wielki Larry Gutenbergu.

Twoje wymeldowanie się z tego świata kompletnie mnie zdruzgotało. Że mogłeś tak zniknąć z horyzontu, niezauważony. Pamiętasz, jak męczyłem Cię, byś napisał autobiografię? „Kurka wodna, spytałeś, czy nauka nie wystarczy?” Prędzej czy później ktoś pewnie by napisał Twoją biografię. Zastanawiałem się, co miałby o nas do powiedzenia. Wiem, co ja bym powiedział. Co powiem. Dwa słowa. Kocham Cię.

Dobrze Cię potraktuję w mojej książce, Larry, obiecuję. Umówiłem się z Marlene, że przekaże mi nasze listy – najpierw poprosiła o zgodę Twoich synów – i chyba uwzględnię ich część w mojej małej publikacji. Koniec końców, nigdy nie jestem bardziej szczery niż przy Tobie, Larry, a wszystkim przyda się jeszcze odrobina uczciwości. A najbardziej Alice.

Dzieciaki nie stają się już teraz korespondencyjnymi przyjaciółmi, prawda? Internet otworzył świat i odarł go z tajemnic oraz intryg. Z każdego uczynił potencjalnego korespondencyjnego przyjaciela. Przyjaciela albo prześladowcę.

Twój jak zawsze

J.

*

**E-mail otrzymany przez Alice Salmon
4 lutego 2012, 13.52**

TEMAT: Status dostarczenia wiadomości (nieudany)

Wiadomość zatytułowana „Ty????”, wysłana 4 lutego 2012 o 13.51, nie została dostarczona odbiorcy jfhcooke@tmail.com z powodu nierozpoznania skrzynki odbiorczej.

Niniejsza wiadomość została wygenerowana automatycznie i prosimy na nią nie odpowiadać.

*

**Wiadomość pozostawiona przez Alice Salmon na poczcie
głosowej Megan Parker
4 lutego 2012, 18.31**

Zostawiłam mamie ze dwadzieścia wiadomości, ale nie mogę na razie z nią rozmawiać, nie w ten sposób. Piłam i na wierzch wypęzła zła Alice, stara Alice. Chciałabym być z wami gdzieś na wzgórzu w Lake District, z dala od tego całego gówna... ten wieczór jest już pogrzebany, a skoro już mowa o trupach, mogłabym przysiąc, że widziałam tu wcześniej tego pojeba Cooke'a. Albo ma sobowtóra, albo go sobie wyobraziłam. Po zobaczeniu tego maila mam w głowie gonitwę myśli... to niemożliwe, Meg, to po prostu niemożliwe. Zbyt obrzydliwe, by w ogóle o tym myśleć. Chce mi się rzygać, takie to ohydne. „Nasze wspólne dni” – co to do kurwy nędzy w ogóle znaczy? Zadzwonię do mamy jutro. Może to jakiś chory dowcip. Może powinnam udawać, że nigdy tego nie widziałam? Zgadnij też, kto napisał do mnie wcześniej? Ben! Chciałabym być trzeźwa, żeby mogła z tobą porozmawiać i posłuchać, co u ciebie. Ostatnio całymi dniami tylko do ciebie gadam... Tak mi przykro, że się upiłam, kiedy ostatnio się widziałyśmy, kostka nadal mi dokucza! Zobaczę się z Lukiem w poniedziałek i zdecydowałam w końcu, co z nim robić! Jak długo trwają wiadomości na poczcie, Parkster? Zawsze mówiłaś, że gadam jak nakręcona. Zastanawiasz się, po kim to mam? Odbierz, odbierz, odbierz. Oooooodbierz, Megan. Proszę. Stoję przed pubem. Wszystko się tu pozmieniało. Nie rozpoznaję ulic. Słyszę rzekę. Nic nie trwa wiecznie, wszyscy jesteśmy czymś, co przemija. Ten mail do mamy...

[8] Aluzja do gry planszowej Węże i drabiny (Snakes and Ladders), wywodzącej się za

starożytnych Indii.

[9] Wielkie Społeczeństwo (Big Society) – idea brytyjskich konserwatystów dotycząca tworzenia społeczeństwa obywatelskiego, aktywizowania społeczności lokalnych i reformowania sektora publicznego.

[10] W. Shakespeare, *Hamlet*, tłum. S. Barańczak, Kraków 1997, s. 157.

[11] TARDIS – statek kosmiczny służący do przemieszczania się w czasie i przestrzeni, z którego korzystają bohaterowie serialu science fiction *Doktor Who*. TARDIS ma formę niebieskiej budki policyjnej, jakie spotyka się w Wielkiej Brytanii.

[12] MILF – popularny slangowy skrót od *mom I'd like to fuck* (mamuśka, którą chciałbym przelecieć).

[13] Fragment wiersza Roberta Herricka *Do panien, aby czasu próżno nie trwoniły* w przekładzie Stanisława Barańczaka. Zob. R. Herrick, *77 wierszy*, tłum. S. Barańczak, Kraków 1992, s. 75.

[14] Kapitan Lawrence Oates (1880–1912) – członek ekspedycji Terra Nova mającej na celu dotarcie do bieguna południowego. Oates, którego podczas wyprawy dotknęły gangrena i liczne odmrożenia, odłączył się od współtowarzyszy, skazując się na pewną śmierć, świadomy, że jego zły stan zdrowia niebezpiecznie zmniejsza szanse na przetrwanie pozostałych uczestników ekspedycji.

IV

PRZEKŁADANIE ŚWIATA

**Post na forum internetowym „Głosiciele prawdy”
autorstwa Samotnego Wilka
21 czerwca 2012, 23.22**

Oto fakt o idealnej ślicznotce Alice Salmon. Wszędzie w mediach tak ją przedstawiają, ale nikt nie wspomniał o tym, że namówiła swojego chłopaka, żeby mnie ZABIŁ. Nazywa się Ben Finch i jest C**A. Przepraszam, wiem, że przekleństwa są niezgodne z regulaminem forum, ale taka jest prawda, plus jestem moderatorem, więc spróbujcie na mnie donieść!

Próbowałem mu wcisnąć, że zdjęcia Alice, które znalazł w moim pokoju, to część projektu do szkoły wieczorowej, ale on wpadł w szal.

– Ona jest moja! – krzyczał, jednocześnie mnie kopiąc, gdy leżałem na ziemi. – Moja, moja, moja.

Moja twarz, mój brzuch, moje plecy, moje jaja, moje nerki. Dobrze go wyszkolili w Eton, Harrow czy jakiegokolwiek innej szkole, do której chodził. Tak, ta C**A dobrze wiedziała, gdzie kopać!

Ona była jednak inna. Coś nas łączyło. Na drugim roku mieszkaliśmy w tej samej ruderze na Caledonian Road 2 i wieczorami spotykaliśmy się w salonie.

– Co sprawia, że nie możesz spać, Mocksy? – pytała i kiedy się sobie zwierzałyśmy, mogłem jej wybaczyć Bena Fincha.

– Musimy się trzymać razem – powiedziałem kiedyś, a ona nie protestowała. – Rzuć go – błagałem rano, po tym jak spuścił mi łomot. – Też ci to kiedyś zrobi. – Pokazałem jej siniaki, które zrobiły się całe fioletowe, choć ja i pompka rowerowa trochę im pomogliśmy. Cóż, musiałem jednoznacznie jej pokazać, jakim psycholem jest Ben Finch.

– Co jest ze mną nie tak? Jestem straszną idiotką – powiedziała, ale potem zaczęła go bronić i zaprzeczyła, że to Ben mnie pobił. Pewnie zmusił ją do milczenia. Tak, taki OPRAWCA zmusiłby ją, żeby stuliła dziób, bo to by zaszkodziło jego reputacji dobrego chłopaka, duszy towarzystwa, zdobywcy nagród w wyścigach wioślarskich i świetnego kandydata do zarządu w firmie tatusia.

– Nie obchodzi mnie, czy będzie ci przykro, jeśli tylko przemówi ci to do rozsądku – powiedziałem Alice. – A teraz możesz mnie pocałować.

– Straszny z ciebie wariat, Mocksy – odparła.

– Pewnego dnia cię pocałuję.

Wtedy jej odbiło.

– Cieszę się, że Ben to zrobił – powiedziała. – Zasłużyłeś. Poprosiłam go, żeby cię odstraszył.

Widzicie, PRAWDA wyjdzie na jaw, jeśli będziecie wystarczająco długo drażnić, a jej śmierć to sprawiedliwość, bo złe rzeczy zdarzają się złym ludziom. Pewnie ją to podniecało, kiedy wyobrażała sobie, jak chłopak o takich gabarytach wbija we mnie nogę.

Po śmierci Alice próbowałem sprzedać artykuł o niej krajowym mediom, ale idioci nie byli zainteresowani. Twierdziłem, że to prawdziwa petarda: informacje od człowieka, który znał ją najlepiej. Współlokator ze studiów, właściwie jej były chłopak, powiedziałem. Zaoferowałem im materiał na wyłączność, ale kapcany nie potrafiłyby poznać sensacji, nawet gdyby ugryzła ich w rękę. Kiedy przeczytają to, co mam do powiedzenia, wrócą do mnie w podskokach. Kiedy wszyscy współlokatorzy wyszli na miasto, położyłem się na łóżku Alice i wyobrażałem sobie, jak obmywa moje rany, które pieką przy tym i bolą, ale w miły sposób, co sprawiło, że pokochałem ją jeszcze bardziej, dodałem więc należący do niej kubek ze słoniem do kolekcji jej rzeczy, którą trzymałem w swojej szafie – szalik, długopis z pogryzioną

przez nią końcówką, stanik. Udawałem, że to prezenty od niej.

– Stłukł się – powiedziałem Alice, kiedy zapytała o swój kubek. Nic wielkiego, mnóstwo rzeczy stłukło się na Caledonian Road.

Zboczyłem z tematu, bo zacząłem ten wątek, by pomówić o złym na wskroś uczelnianym profesorze. Widzicie, sprawdzałem temat na własną rękę i rzeczona osoba wkrótce zostanie sprowadzona do parteru. Sprawiedliwość nadciąga.

*

Fragment pamiętnika Alice Salmon, lat 24 18 marca 2011

– Jaki jest sekret udanego małżeństwa? – zapytałam. (Tak, tak, rozumiem, że to wyświechtane pytanie, ale czytelnicy będą zainteresowani).

– Pozwolić drugiej osobie myśleć, że rządzi – odparła Queenie.

– Zgodność – dodał Alf, uśmiechając się szeroko.

Zaprowadzili mnie do salonu, przynieśli herbatę i ciasteczka na tandetnej tacy, i podali mi swój „diamentowy” album ślubny.

– Jeśli dotrwamy do sześćdziesiątej piątej rocznicy, to pojedziemy do wesołego miasteczka – poinformowała mnie Queenie.

– Tego porządnego, Thorpe Park – dorzucił Alf, kuśtykając do drzwi, żeby wypuścić psa.

– Kiedy wrócicie, na pewno was odwiedzę, żebyście mi o tym opowiedzieli – powiedziałam.

– Bez wątpienia będziesz już wtedy robiła co innego, kochanie – odparła. – Taka mądra dziewczyna jak ty.

Niedawno otrzymałam awans. Reporter naczelny. Proszę o owacje!

Pokazali mi swoje obrazy wzgórz South Downs. Malujący emeryci. Uwielbiający ogród i naturę osiemdziesięciokilkulatkowie. Zakochani starszycy. Oto jak ta praca działa na mózg: zaczynasz mówić sloganami.

– Muszę ci coś wyznać, Alice – powiedziała Queenie. – Rzadko czytam gazety. Więcej prawdy znajdzie się w przyzwoitej powieści.

Kpiny mojego redaktora niemal dźwięczały mi w uszach: „Co słyszeć u wapniaczków? Przeżyli do końca wywiadu?”. Interesowały go bardziej soczyste kawałki:

– Ma pani jakieś rady dla młodych, pani Stones?

– Każdego dnia żyjcie tak, jakby to był wasz ostatni – powiedziała.

To całkiem niezły cytat, pomyślałam. Ale maksyma redaktora brzmiała: „głębia i konflikt”.

– Pewnie w jakiś sposób działacie sobie na nerwy, prawda? – zagadnęłam, celując w szarą strefę, odrobinę ponad retorykę.

– Czasem bywa swarliwym starym capem, ale nie potrafiłabym bez niego żyć. – Patrzyliśmy na Alfa stojącego na patio, który czekał, aż pies zapragnie wrócić do domu. – Pewnie studiowałaś na uniwersytecie? – zapytała. – Żałuję, że ja nie miałam takiej możliwości. W moich czasach marne były na to szanse, zwłaszcza dla dziewcząt. Jeśli potrzebujesz jakiegoś zdania o żalach i wyrzutach, to już je masz.

– Studiowałam literaturę – powiedziałam jej.

– Też bym to wybrała. – Z czułością pokręciła głową, patrząc na męża, który próbował zejść bokiem po schodkach patio. – Sentymentalny starszek myśli, że zawsze będę jego księżniczką.

Nic nie trwa wiecznie, mogłam podsumować. Nauczyłam się spodziewać takich sprzeczności – tego, jak szczęśliwe historie mogły mnie nagle zasmucić.

– Pewnie ktoś się o ciebie stara. Jaki jest ten twój adorator?

– Ma na imię Luke.

– Mam wnuka o takim imieniu. Przystojny?

Wyciągnęłam telefon i znalazłam zdjęcie Luke’a, na którym siedzi na rowerze przed Pałacem Westminsterskim. Kiedy podałam komórkę staruszce, uważała, żeby nie dotknąć wyświetlacza, jakby się bała, że go zabrudzi.

– Ma życzliwą twarz. I jaki przystojny.

Telewizor był wyciszony, na oparciu sofy leżał program telewizyjny, w którym na czerwono zakreślono odcinek serialu *Poirot*.

– Straciliśmy dziecko – wyznała niepytana.

Życie niepozabawione tragedii, pomyślałam. Nie, nie posunę się do tego. Odłożyłam notatnik, a ona przekartkowała album aż do zdjęć nastoletniego chłopca, dziesięcio-, jedenasto- albo dwunastoletniego (dzieci w tym wieku wyglądają tak samo) i obwiodła palcem jego czarno-białą sylwetkę.

– Zdjęć nigdy za dużo, bo to może się okazać zawodnym narzędziem – powiedziała, stukając się w czoło. Miała ułożoną fryzurę, pewnie na wywiad, dla mnie. To wydało mi się takie lekceważące: spróbować przesiać ich życie tak, by pasowało do tej jednej rzeczy: artykułu, diamentowej rocznicy ślubu, artykułu o diamentowej rocznicy ślubu. Życie nie kręci się tylko wokół jednej rzeczy, nie może, nie powinno. – Dochodzi się do pewnego momentu, kiedy zapominasz to, co zapomniałaś – powiedziała.

– Ja zapisuję różne rzeczy w pamiętniku.

– Wszyscy przekładamy sobie świat na różne sposoby – stwierdziła. – Ja lubię zdjęcia. A tak przy okazji, czy moglibyśmy dostać odbitki tych, które fotograf zrobi nam później?

Ustawi ich przed drzwiami albo namówi, żeby usiedli na ławce w ogrodzie i wzięli się za rękę albo pokazywali do obiektywu zdjęcie nieżyjącego syna. Powie „uśmiech”, „świetnie” i „idealnie”, po czym wróci

do biura i nagra ich zdjęcia na płytę, poprawiwszy wcześniej kolory i ekspozycję, wyrównawszy odcień skóry oraz usunąwszy brzydkie szczegóły, potem podliczy koszty i szybko zawinie się do domu, żeby uniknąć korków.

– Ten twój Luke wygląda na miłego chłopca.

Kiedy zapytał, jak mi minął dzień, odpowiedziałam mu, że poznałam przemiłą parę i że kobieta uznała, że jest przystojny, i mówiła o nim *per* „chłopiec”. Jutro rano o szóstej czterdzieści, po tym jak budzik zadzwoni dwa razy, zaspana lekko szturchnę go w bok i powiem: „No chodź, chłopcze, wstajemy”.

A potem, kiedy zrobi mi listę piosenek albo kupi mi kwiaty, albo zostawi mi na progu paczkę niespodziankę, czekoladki czy ckliwy liścik, powiem mu: „Dobry z ciebie chłopiec”.

– Kochasz go, prawda?

– Nie znamy się tak długo.

– Nie wstydz się. Kochasz go czy nie? Mam osiemdziesiąt lat, potrafię to poznać.

Dobiegło nas stękanie i stukot miski o podłogę w kuchni, gdzie Alf karmił psa. Próbowałam wyobrazić sobie Luke’a jako staruszka, ale nie mogłam uzmysłwić sobie niczego ponad przebranie, które miał na sobie na przyjęciu – kardigan z obciągniętymi skórą guzikami, laseczkę, kaszkiet. Może i on będzie „swarliwy”? To były uczucia starszej osoby, słowo starszej osoby (i zdecydowanie moje słowo tego wpisu!).

– Pewnie zamieszkacie ze sobą, zanim się pobierzecie, prawda, ty i ten twój Luke?

– Spotykamy się dopiero od roku – powiedziałam.

Przyszedł mi do głowy termin „gospodyni domowa”. Pieprzyć to. Jakie są alternatywy? Alice Salmon – dziennikarka śledcza. Redaktorka.

Recenzentka muzyczna. Działaczka charytatywna. Podróżniczka. Słynna powieściopisarka. Dzika imprezowiczka. Popierdoleniec.

– Może kiedyś, w przyszłości – odparłam.

– Kochanie, przyszłość nie jest aż tak daleko.

– Nadal nie wykluczyłam możliwości, by wszystko rzucić i ruszyć w podróż dookoła świata – powiedziałam w ramach kompromisu. – Australia, Argentyna, Tajlandia. Zawsze chciałam pojechać do Meksyku. Teraz nikt się nie statkuje wcześniej niż przed trzydziestką.

Rozpostarła na stole swoje drzewo genealogiczne: patchwork nazwisk i liczb oraz splatających się linii, pnących się w dół i do góry, daty coraz odleglejsze, imiona jak z powieści: Winston, Victoria, Ethel, Alfred. A tuż nad samą dolną krawędzią – pod nimi czworo dzieci, siedmioro wnuków i dwoje prawnuków – wszystkie połączone pojedynczą wyraźną linią: Alfred Stones i Maud Walker.

– Maud to ładne imię – powiedziałam.

– Zawsze uważałam, że bardziej pasuje mi Rose. Mogę udzielić ci pewnej rady? Dla ciebie, nie do gazety. Nie próbuj być wszystkim. Twoje pokolenie ma dużo możliwości, ale trzeba wybrać swoją ścieżkę. – Dotknęła rogu swojego drzewa genealogicznego. – Ja czuję się dobrze, będąc tutaj.

Jaka nietypowa jest moja praca – płacą mi za to, że popijam herbatkę, wścibiam nos w serca obcych i rejestruję ich wynurzenia na dyktafonie albo skrótem stenograficznym do stu słów na minutę.

– Kiedy dowiedziałam się, że wpadniesz się z nami zobaczyć, obliczyłam, ile to dni sześćdziesiąt lat – powiedziała Queenie. – Dwadzieścia jeden tysięcy dziewięćset, z wyłączeniem lat przestępnych. „Po co są dni?”^[15] Spodziewam się, że znasz ten wiersz, prawda? To Larkin.

– Moja mama go lubi, a raczej lubi go nienawidzić.

– Należał do zgniłych ludzi.

Zbudziło się we mnie zamglone wspomnienie. Szkoła, Meg pisze coś po wewnętrznej stronie okładki mojego segregatora. Zegar na ścianie, dziesięć minut do końca przerwy. Był piątek, jak dziś. *Dni*. Zobaczyłam siebie przy biurku w redakcji. W telewizorze nad moją głową Sky News – w kółko o katastrofie w elektrowni w Fukushima – zerkam na zegarek i zaczynam się spieszyć z pisaniem, żeby zdążyć na spotkanie z Lukiem.

– Przyjdzie taki dzień, kiedy nas nie dobudzą – powiedziała Queenie, rozlewając nam ostatnie krople herbaty. Pod skórą na jej knykciach widać było kości. – Te dni.

– Po co są dni? – powiedziałam, recytując z rozbiegu dwie czy trzy kolejne linijki.

Alf wrócił do salonu.

– Możesz mnie bez skrupułów opisać jako kobieciarza – powiedział. – Tylko nie wysyłaj nas w żadną cholerną podróż. Niedługo sami się wybierzemy. W tę największą!

Wróciłam do redakcji, napisałam artykuł, a potem to. Muszę notować szczegóły, żebym miała co wspominać, zwłaszcza jeśli człowiek z czasem robi się w tym coraz gorszy, jak utrzymuje Queenie. Chciałabym także mieć coś do pokazania młodej mnie, jeśli takowa kiedyś zapuka do moich drzwi, gdy będę mieć osiemdziesiąt lat, i zacznie mnie wypytywać o moje życie. Nie byłam niezadowolona z tego, jak ostatecznie wyszedł ten artykuł. Oddałam im sprawiedliwość na tyle, na ile się dało w pięciuset słowach. Kilka rzeczy zachowałam dla siebie – wypowiedzi, których, jak założyłam, woleliby nie publikować. Nie zapiszę ich nawet tu. Na przykład tego: Queenie zapytała mnie, jak się czuję, kiedy nie jestem z Lukiem.

– Jakby czegoś mi brakowało – odpowiedziałam. – Jakby brakowało mi części mnie.

*

E-mail od profesora Jeremy'ego Cooke'a 2 lutego 2012

OD: jfhcooke@gmail.com

DO: Elizabeth_salmon101@hotmail.com

TEMAT: Nasze wspólne dni

Droga Elizabeth,

długo nie rozmawialiśmy – a raczej, wedle współczesnej frazeologii, nie „klikaliśmy”. Jak się masz, do diabła? Mam wrażenie, że minęła wieczność od naszych wspólnych dni.

Będziesz pewnie skonsternowana, dlaczego ten dinozaur próbuje nawiązać z Tobą kontakt – cóż, w internecie przeczytałem, że Alice może pojawić się w mieście na jakiegoś rodzaju przyjacielskim, weekendowym zjeździe, przez co zebrało mi się na wspominki. Taki już ze mnie sentymentalny bufon. Życie jest krótkie, Liz – przynajmniej w moim przypadku – dlaczego więc nie miałbym się odezwać?

Niezbyt przypominam dawnego siebie. Tak właściwie, z wyjątkiem mojego stałego uniformu złożonego ze sztruksów i tweedowej marynarki, to pewnie byś mnie nie poznała. Próbowałem Cię wygooglować, ale bez większych sukcesów, w przeciwieństwie do Alice, która jest w sieci wszechobecna. Kiepska gitarzystka, ale specjalistka od kuchni włoskiej – takie referencje wystawiła sobie w internecie. Nie zdawałem sobie sprawy, że gra na gitarze.

Nie spodziewam się wizyty – nasz kontakt był ograniczony do minimum,

kiedy tu studiowała – a znając ją, ruszy prosto do jakiegoś pubu. Nie jestem jednak całkowicie odrażający dla moich byłych studentów, z kilkoma pozostaję w kontakcie. Może motywują tę znajomość potrzebą wykorzystania mnie jako źródła swoich przyszłych referencji, pozwalam sobie jednak myśleć, że moje wysiłki nie spełzły na niczym.

Nie byłem dla Ciebie aż taki odrażający, prawda, Liz? Wspominam nasz krótki wspólny czas ze szczególnym rozrzewnieniem. Byłaś piękna. Spodziewam się, że nadal jesteś. Byłem zdruzgotany, kiedy się rozstaliśmy, nie tylko z powodu okoliczności, a zwłaszcza Twoich późniejszych czynów.

Nie oczekuję odpowiedzi na tę wiadomość – choć przywitałbym ją z radością – ale czułem się w obowiązku wyciągnąć do Ciebie rękę. Oczywiście metaforycznie. Patrząc z perspektywy, taka właśnie była przeważająca część mojego istnienia. Jak gdyby te ostatnie sześćdziesiąt lat nie były życiem samym w sobie, a jedynie obserwowaniem życia. My nie byliśmy metaforyczni, prawda? Byliśmy bardzo prawdziwi, bardzo dosłowni.

Przepraszam, że się narzucam. Musiałem powiedzieć, że o nas nie zapomniałem. Intrygujące uczucie. My.

Twój Jem

*

Zapiski Luke'a Addisona sporządzone na jego laptopie 7 marca 2012

Wątpię, by w tych okolicznościach znalazł się ktoś, kto nie próbowałby manipulować prawdą.

Nie mogłem podać policji dokładnej wersji zdarzeń – że nakrzyczałem na

ciebie i złapałem cię za włosy, prawda? Nigdy by mi nie uwierzyli, że na tym się skończyło.

Jest też inny czynnik. Ogromne fragmenty tamtego wieczoru po prostu wyparowały mi z pamięci. Zwyczajnie nie jestem w stanie ich odtworzyć. Taki byłem wstawiony. „Tak, panie władzo, trzymałem ją za włosy, ale mogę pana zapewnić, że więcej bym jej nie skrzywdził, nawet jeśli nie pamiętam właściwie, co zrobiłem. Mógłbym równie dobrze sam sobie wystawić nakaz aresztowania”.

To, czego mi nie wolno – czego obiecałem ci, że nie zrobię – to zapomnieć tych cząstek ciebie, które nadal mam w głowie. Twoje zielone oczy i kurze łapki, które ponoć kiedyś, w stanie skrajnej paniki, u siebie zauważyłaś. Takie rzeczy tak szybko uciekają, a reszta świata nie sprzyja pamiętaniu. Niewiele potrzeba, by zapomnieć. Mój szef zachęca mnie, żebym nadzorował duży projekt, może dokładnie tego teraz potrzebuję – wbić zęby w coś konkretnego. Koledzy z drużyny rugby namawiają mnie, żebym przyszedł w niedzielę na mecz: dobrze by mi to zrobiło. Dam się kolegom wyciągnąć do Porterhouse na szybkiego drinka – no chodź, będzie wesoło, zasłużyłaś, będzie tam cała drużyna – ze trzy godziny później kolejna dziewczyna będzie puszczać mi sygnał, żebym miał jej numer w telefonie, a ty będziesz była dziewczyną, tą, która umarła, tą, którą zabrałem do Margate, tą, o której już zapomniałem. Nie. Nie. NIE.

Sterczę w księgarni Waterstones i kartkuję książki, które lubiłaś. Słucham twojej letniej składanki z 2011 roku, bo to było najlepsze lato w historii. Wracam do Southampton, by zgubić się w twoim ulubionym mieście, wracam nad rzekę, miejsce zbrodni, miejsce, w którym się pokłóciliśmy. Gapię się na twoje zdjęcia w moim telefonie, jakbyś mogła się w magiczny sposób zmaterializować, jeśli tylko odpowiednio się skoncentruję.

W pracy siedzę jak zombie i wzruszam ramionami, kiedy klienci pytają

mnie: „Na jakim jesteś etapie z projektem, Luke?”. Przed oczami pływają mi arkusze kalkulacyjne. Głosy odbijają się echem w salach konferencyjnych pozostawione bez odpowiedzi. Jakie zyski przewidujemy na trzeci kwartał? Jaki będzie 2013 rok dla naszej branży? Gdzie możemy zminimalizować koszty?

Koledzy zapewniają mnie, że to normalne, ale potajemnie to uwielbiają: historia, o której piszą w internecie, toczy się w ich własnym biurze. Śmierć, powiew zbrodni. W panice zamykają przeglądarki albo wyłączają telefony, kiedy mijam ich biurka. Nie trzeba być geniuszem, żeby ustalić dalszy ciąg tych rozmów. Trzyma się wyjątkowo dobrze. Jest w rozsypce. Jest niemal zbyt spokojny.

A teraz to wszystko spisuję, mimo że moją strefą komfortu – jak często zauważałaś – są diagramy i liczby.

– O tym na pewno napiszesz w swoim pamiętniku, co? – zdenerwowałem się nad rzeką. – Żałosne, jak wylewasz swoje uczucia na kartkę papieru.

– Do laptopa – wymamrotałaś, a we mnie zagotowała się złość.

Można zapomnieć właściwie wszystko. To proste, musisz to tylko postanowić, zablokować te myśli i odtwarzać sobie w głowie alternatywną wersję zdarzeń tak często, aż sam w nią uwierzysz. Wiedziałem jednak, że nigdy nie zapomnę, jak złapałem cię za włosy.

– Jeśli jeszcze raz tkniesz mnie w ten sposób, zgłoszę to na policję – powiedziałaś.

Skręcały się, tam gdzie zmoczył je śnieg, i wewnątrz mojej dłoni zaczęło mrowić od ich zimnego dotyku.

Po wszystkim poszedłem przed siebie, aż znalazłem otwarty do późna bar, gdzie piłem cydr, włączałem grającą szafę i tańczyłem sam. Kiedy jacyś dwaj goście zaczęli się ze mnie śmiać, pomyślałem: nic nie wiecie o mnie ani o tym, co zrobiłem. Potem napiłem się whisky i obudziłem się o piątej na

podłodze mojego hotelowego pokoju, z ręką wyciągniętą na brzeg łóżka, jakbym był rozbitkiem trzymającym się wraku statku. Było mi niedobrze, a przebłyski poprzedniego wieczoru przebijały się do mojej świadomości jak kamienie tłukące szkło. Usiadłem na podłodze w samych bokserkach i próbowałem połączyć w całość kilka minionych godzin, jak to kiedyś mieliśmy w zwyczaju, i rozplakałem się jak dziecko.

Wziąłem bardzo gorący prysznic i wyszorowałem się do czysta: musiałem zmyć z siebie to, co się stało, musiałem zmyć siebie. Potem złapałem pociąg powrotny na stacji Waterloo. Kiedy przechodziłem przez peron obok kiosku, w oczy rzuciły mi się nagłówki gazet – zarobki klasy średniej zagrożone, wartość Facebooka szacowana na sto miliardów funtów. Zarzuty, które mogą zostać postawione w sprawie katastrofy Costa Concordia – i to mnie nakreśliło. Co zrobiłem? Poszedłem do najbliższego pubu, kupiłem kufel piwa Stella, podwójną wódkę i colę.

- Nie zabiłem jej – powiedziałem do Charliego kilka dni później.
- Stary, nikt tego nie sugeruje – odparł.

Dziwne, że nikt nie zauważył nas nad rzeką ani że nie złapała nas któraś kamera monitoringu.

Wczoraj wieczorem przeczytałem, że to niezwykle ważne, aby w ciągu dwudziestu czterech godzin stworzyć z ofiarą portret pamięciowy przestępcy. W przeciwnym razie obraz, jaki odtworzą później, może się znacznie różnić od rzeczywistości. Jeśli policja nie wykryje sprawcy przestępstwa – zwłaszcza poważnego – w ciągu dwudziestu czterech godzin, to szanse, że tak się stanie, gwałtownie spadają, twierdził autor artykułu.

W ogródku piwnym na stacji Waterloo zadzwonił mój telefon. Numer, którego nie rozpoznałem.

- Mówi Robert Salmon. Gdzie jesteś? – zapytał. – Jesteś sam?

Właśnie wtedy zacząłem kłamać.

Jeszcze później – dwa piwa i dwie podwójne wódki później – ten masywny gość przy barze. Nadasz się, pomyślałem.

A teraz gapię się na maila, który mi przysłałaś w piątek, 3 lutego, na dzień przed śmiercią, na moment zanim nasza dwumiesięczna przerwa dobiegła końca. Znalazłem go trzy tygodnie po twojej śmierci w folderze ze spamem. Powędrował tam ze względu na załącznik, który najwyraźniej system uznał za zagrożenie wirusowe, i pozostał wciśnięty pomiędzy spamem od faceta, który twierdził, że szybko potrzebuje pożyczki, bo utknął na Filipinach, a ofertą sprzętu biurowego w dobrej cenie.

„My” – napisałaś w polu tematu, ale ja z jakiegoś powodu przeczytałem to jako NY i pierwsze, co przyszło mi do głowy, to dlaczego piszesz do mnie o Ameryce. Wtedy jednak przypomniałem sobie, że rozważaliśmy wspólną podróż – zobaczyć Ground Zero, Empire State Building, zjeść bajgle, obejrzeć przedstawienie na Broadwayu. Może pojechać na zachodnie wybrzeże. *Jezioro marzeń, Życie na fali, Beverly Hills, 90210.*

– Zastępcza sceneria mojego dzieciństwa – mówiłaś.

Liczę dni od twojej śmierci. Trzydzieści dwa. Siedemset sześćdziesiąt osiem godzin. Teraz portret pamięciowy byłby już zupełnie niepodobny.

Policja, twoja rodzina, przyjaciele, tamten facet w pubie, Megan, kontrahent, z którym miałem dziś spotkanie i który skarżył się na „rozczarowujące rezultaty”. Są głupi, wszyscy co do jednego, poruszają się po omacku, niczego nieświadomi. Tylko ty i ja wiemy, co się stało. To nasz sekret.

„Cześć, Panie L.” – zaczynał się twój mail.

*

**Fragment transkrypcji przesłuchania Jessiki Barnes
przeprowadzonego w komisariacie w Southampton przez
detektywa nadinspektora Simona Rangera
5 kwietnia 2012, 17.20**

S.R.: Raz jeszcze powtarzam, nie jest pani aresztowana i w każdym momencie może pani wyjść, proszę jednak o potwierdzenie swojego imienia i nazwiska, wieku, adresu i że nie ma pani nic przeciw nagraniu tej rozmowy.

J.B.: Jessica Barnes, dziewiętnaście lat, mieszkam na Hartley Road pod numerem siedemdziesiąt cztery A. Nie mam nic przeciwko.

S.R.: Czy może pani wyjaśnić, co robiła pani w sobotę 4 lutego wieczorem?

J.B.: Wraz z grupą znajomych poszliśmy na miasto, było nas siedmioro albo ośmioro – mam podać nazwiska?

S.R.: Na tym etapie nie, ale byłoby pomocne, gdyby podała pani nazwy pubów, do których poszliście.

J.B.: Zaczęliśmy od Rock & Revs, High Life, a na koniec Ruby Lounge. Byliśmy też w Carly's Bar – aha, i jeszcze w New Inn.

S.R.: Ruby Lounge znajduje się blisko rzeki, prawda? Czy był jakiś powód, dla którego tam poszliście?

J.B.: To dobre miejsce na zakończenie wieczoru, bo są otwarci do drugiej i mają dobrą muzykę.

S.R.: Rozumiem, że na pewnym etapie oddzieliła się pani od grupy. Jak do tego doszło?

J.B.: Pokłóciłam się z Markiem.

S.R.: Markiem?

J.B.: Moim chłopakiem. Wyszedł na miasto z kumplami, więc umówiliśmy się, że spotkamy się w Ruby Lounge, ale zachował się jak palant

i podrywał Lottie. Nie mogłam na to spokojnie patrzeć, więc wyszłam. Poszłam na skróty ścieżką przy rzece, prowadzi do Hooper Road, a stamtąd miałam zamiar złapać autobus do domu.

S.R.: Która była wtedy mniej więcej godzina?

J.B.: Nie mam pojęcia, to było tak dawno. Powiedziałabym o tym wcześniej, ale nie wydawało mi się, że to coś ważnego. Dopiero dzisiaj usłyszałam w wiadomościach, że jakaś dziewczyna się tam utopiła, byłam wtedy u ojca i właśnie mówili o tym w telewizji. Nie oglądałam wiadomości. Bo jak mnie nie dotyczą, to po co? Mogło być koło północy.

S.R.: Czyli wtedy zauważyła pani parę na ławce nad brzegiem rzeki?

J.B.: Tak, już wcześniej mówiłam o tym policjantowi.

S.R.: Co pani zdaniem robili?

J.B.: Znajdowałam się daleko od nich, a poza tym padał śnieg i w ogóle.

S.R.: Na ile lat wyglądali?

J.B.: Na starszych ode mnie. Może koło trzydziestki.

S.R.: Ale zakładam, że mniej więcej widziała pani, co robią.

J.B.: Na pewno się kłócili, bo słyszałam to i owo. Stałam tam przez kilka chwil i paliłam papierosa, zastanawiając się, czy nie wrócić do Ruby Lounge i nie zrobić Markowi awantury. Chodzi o tę martwą dziewczynę z telewizji? Mam rację, tak? Jeśli o nią, to się chyba załamie.

S.R.: Dopóki nie ustalimy więcej szczegółów, wolałbym, abyśmy mówili o niej jako o „dziewczynie na ławce”. Może pani opisać którekolwiek z nich?

J.B.: On miał chyba czarną koszulkę – byłam tam tylko przez kilka minut. Nie zwracałam na nich uwagi, miałam swoje sprawy i nic mi było do tego, prawda? Nie miałam zamiaru się tak emocjonować. To ona, tak? Powiedzieli, że utonęła. Studenci to nadęte kutasy, ale ona robiła miłe wrażenie. Będę miała kłopoty? Nie zrobiłam niczego złego.

S.R.: Nikt tego nie sugeruje, ale rzeczywiście doszło do bardzo poważnego zdarzenia, w którym – być może – uczestniczyła któraś z osób, na które pani natrafiła. Gdyby przypomniała sobie pani więcej szczegółów z ich rozmowy, bardzo by to pomogło w naszym śledztwie.

J.B.: Byli naprawdę daleko ode mnie. W tamtym miejscu rzeka jest szeroka, więc trudno coś dosłyszeć, jak kiedy rozmawiasz przez telefon, ale zasięg jest do dupy i słyszysz jakieś urywki, potem nic, a potem znów urywki. Chyba planowali jakiś wspólny wyjazd, bo usłyszałam „Praga”. Widziałam w telewizji, że nadziane pary jeżdżą tam na weekend.

S.R.: Jakie jeszcze urywki pani usłyszała? Czy słyszała pani, żeby zwracali się do siebie po imieniu?

J.B.: Tak – mówiła do niego Luke.

S.R.: Jest pani tego pewna?

J.B.: Tak, na stówę, bo syn mojego brata ogląda ostatnio wszystkie części *Gwiezdných wojen* i biega po domu, krzycząc: „Jestem twoim ojcem, Luke”, dlatego zwróciłam uwagę.

S.R.: Coś jeszcze?

J.B.: To zabrzmiało dziwnie, ale mówiła coś o „lemingach”.

S.R.: Okej, spróbujmy teraz z innej strony. Jak się kłócili? Powiedziałyby pani, że byli na siebie źli?

J.B.: A jak inaczej można się kłócić? Tylko że wie pan, jak w niektórych kłótniach bez przerwy z kimś się przekrzykujesz... No to oni najpierw byli nakręceni, potem spokojni, potem znowu nakręceni, a potem były też takie momenty, że albo w ogóle ze sobą nie rozmawiali, albo szeptali. Kilka razy ona dała mu w twarz, a on przewrócił się raz na kolana. Może poślizgnął się na śniegu.

S.R.: Jak pijana była dziewczyna na ławce? Bardziej czy mniej niż pani?

J.B.: Mniej. Nie, bardziej. To była po prostu pijana dziewczyna. To ona,

prawda? Mówili, że przyskrzynyła przestępców za przemoc wobec kobiet, zgadza się?

S.R.: Czy inni w pani sytuacji zadzwoniliby po policję?

J.B.: A nawet gdybym zadzwoniła po psy – sorry, po was – to co niby miałabym powiedzieć? Ja bym powiedziała: „Na drugim brzegu rzeki widzę dwoje ludzi”, a wy na to: „Co oni robią?”, na co ja: „Siedzą na ławce i rozmawiają”. Nikt by raczej nie wysłał oddziałów specjalnych, co?

S.R.: To nie jest żart, proszę pani. Ktoś umarł.

J.B.: Przepraszam, ale mówi pan tak, jakby to była moja wina, a nie jest. Chyba nie będę miała jakichś kłopotów, co? Nie mogę stracić roboty, ja mam małe dziecko. Przepraszam. Wiem, że powinnam była zadzwonić pod numer alarmowy, kiedy on zaczął ją szarpać. Gdzieś w internecie napisali, że ona była w ciąży. To prawda?

S.R.: Szarpać? Proszę wyjaśnić.

J.B.: Po tym jak się przewrócił, ona zaczęła się śmiać, więc on stanął tuż przed nią i wziął ją za szyję, ale jakoś tak ostro. Przepraszam, przepraszam! Błagam, nie aresztujcie mnie. Mam małe dziecko...

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 9 lipca 2012

Larry,

pamiętasz, jak lata temu opowiadałem Ci o pewnym psychiatrze, wyniosłym gościu z rzymskim nosem i ptasimi ramionami? Zacząłem ponownie czytać notatki, które robiłem po naszych spotkaniach. Facet miał

nawet czelność oskarżyć mnie, że go nie lubię.

– Proszę tego nie brać do siebie – brzmiała moja riposta. – Ja po prostu nie bardzo lubię ludzi.

– Ciekawe – odpowiedział – że coś takiego mówi antropolog.

– Dla antropologa istnienie jest ciekawe – oznajmiłem mu. – Ciekawe i zaskakujące. – Czułem się, jakbym grał w intelektualnego tenisa. – Proszę się z tym pogodzić – powiedziałem. – Zasadniczo nie jest pan w stanie mnie naprawić.

– Tu nie chodzi o naprawianie, tylko o głębsze zrozumienie samego siebie. Może opowiedz więcej o tym, dlaczego postanowiłeś do mnie przyjść, Jeremy. – Irytowało mnie to, jak wymawiał moje imię. Po chwili milczenia, bez wątpienia trwającej tak długo jak jego edukacja na jakiejś drugorzędnej politechnice, dodał piskliwym tonem: – Na to pytanie nie ma złych odpowiedzi.

– Nie mam zbyt wiele do roboty w środowe popołudnia. Studenci mają wtedy zajęcia sportowe.

Była to druga środa z rzędu, kiedy niczym pokonany w bitwie żołnierz wkroczyłem do tego ponoć uznanego i dyskretnego gabinetu na przedmieściach Winchesteru, choć nie miałem najlepszego zdania o psychiatrach. Uczono mnie, by polegać na dowodach, a oni tak cholernie uwielbiają krążyć wokół tematu. Nie żeby ją to obchodziło, ale Fliss tkwiła w stanie cudownej nieświadomości co do tego, gdzie spędziłem tyle poprzednich środowych popołudni, kiedy studenci uprawiali sporty: zamknięty w podrzędnym hotelu z nową członkinią katedry literatury Elizabeth Mullens.

Podrapał się po nędznej brodzie, skrzyżował i rozkrzyżował nogi. Widać było po nim, że jest gejem. W ciszy, która nastąpiła, znów mnie to ogarnęło: gęsta, chmurna złość na to, że próbuje mnie rozgryźć – na to, że muszę tu

tkwić ze stosującym na mnie techniki śledcze liliputem, pewnie młodszym ode mnie o jakieś pięć lat, z małymi, okrągłymi okularami na nosie, noszonymi pewnie po to, żeby dodać sobie powagi.

– Ona myśli, że gram w squasha – powiedziałem. – Mam na myśli Fliss, moją żonę.

– Dlaczego tak uważa?

– Bo tak jej powiedziałem.

– Czy zawsze myśli to, co jej powiesz?

– Proszę mi wierzyć, rzadko kiedy wierzy w to, co jej powiem.

– A powinna?

– Oczywiście, że nie. Ma własny rozum.

– Czy to cię martwi?

– Nie tak bardzo jak reżim ajatollaha Chomeiniego albo te przekłete związki zawodowe.

Nawet wtedy zdawałem sobie sprawę, jaki byłem zbyteczny w prowadzeniu tej rozmowy. Moja żona zapytała mnie o wszystko wprost w wieczór po przyjęciu. Kiedy wróciłem do domu, zmywała naczynia w kuchni.

– Cześć, kochanie, jak ci minął dzień? – przywitałem się.

Nie odwróciła się, kiedy zapytałem, czemu jeszcze nie śpi, i dodałem, że idę do łóżka, bo padam z nóg. Gdy w końcu na mnie spojrzała, po policzkach płynęły jej łzy.

– Dzwonił Martin – powiedziała.

Zamarłem.

– Wspomniał, że wpadł na ciebie przypadkiem wczoraj wieczorem. Jak się udała impreza?

Powinienem był wycofać się w porę, Larry, przyznać się. Może to by się

liczyło na moją korzyść, złagodziłoby karę. Ale trzymałem się swego.

– Było nudno. Typowe spotkanie wykładowców. Wiesz, jakie one są.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Wyjaśnij mi.

– Pearce nadal jest o krok od rezygnacji z pracy, Shields jest przekonany, że lada dzień zadzwonią do niego w sprawie Nobla, Mills jest fizycznie niezdatny do wyprodukowania choćby jednego oryginalnego pomysłu. – Niektórzy mężczyźni w naturalny sposób potrafią zacierać swoje ślady, Larry, inni się tego uczą na własnych błędach. Ja nie pasowałem do żadnej z tych kategorii. To, co mówiłem, nie trzymało się kupy, jakbym na pytanie żony o kształt ziemi odpowiedział, że to prostopadłościan. – Nudni wykładowcy gadający od czapy – dodałem.

– Nudni wykładowcy z wydziału literatury?

Za moimi plecami pobrzękiwała żeliwna kuchnia, duma mojej żony.

– Tak.

– Jak sobie daje radę ta nowa dziewczyna? – zapytała. – Ta, której profil przedstawiono w newsletterze, Liz Mullens?

– Chyba dobrze. – Drewniany stół, pies w swoim koszyku, pudełko płatków i dwie miski przyszykowane na rano. Jako konsultant do spraw ochrony środowiska moja żona często odnosiła się do konceptu „siedliska”. To moje, pomyślałem. Nasze. Kim bym był, co bym zrobił bez tego i bez niej?

– Obiecałeś, że zawsze będziesz się o mnie troszczył.

Larry, ten niechlujny terapeuta, kielkujący bolszewik, był nieustępliwy.

– Może zadam ci jakieś pytania? – zaproponowałem, żeby uniknąć bombardowania.

– W ten sposób nie zrobimy postępów.

– Proszę, tylko jedno.

– W końcu to twoje pieniądze.

Przez chwilę mógłbym nawet przytulić tego mojego wychudzonego wroga, przed którego imieniem i nazwiskiem następował ciąg nic nieznaczących liter, ponieważ pogarda nie była uczuciem, które często mi okazywano, a przynajmniej nie w twarz.

– Czym jest seks?

– Wyczuwam, że jest zagadnieniem, które powinniśmy zgłębić.

– Tak właśnie władowałem się w kłopoty.

– Nie możesz winić za to seksu. Cokolwiek zrobiłeś, zależało to tylko od ciebie.

Jego odpowiedź sprawiła, że miałem ochotę walnąć go w tę jego gołębią gębę, tak jak zdzierałbym dziecko, które źle się zachowuje, gdybym takie miał.

– Nadal nie wyjaśniłeś, dlaczego tu jesteś.

– Bo to jak pójść do prostytutki. Zero konsekwencji, wszystko ma czysto transakcyjny charakter.

– I proszę, znów rozmawiamy o seksie.

Nienawidziłem tego nieustającego czepialstwa. Ale miał rację: miałem trzydzieści pięć lat i jakaś część mnie nie działała. Cisza i widmo jednego z moich największych lęków – nieumiejętności wysłowienia się – przyłgnęły do mnie jak mokra mgła.

– Opowiesz mi, kim ona była?

Na tamtym etapie nie przyznałem się jeszcze jasno do mojej niewierności, musiał więc połączyć fakty.

– A co, masz ochotę do niej zadzwonić? Moglibyście zacząć się spotykać, ona nie jest wybredna! – Usłyszałem w moim głosie rozdrażnienie i opryskliwość, na które się wzdrygnąłem.

– Jesteście w kontakcie?

– Zagroziła, że wbije mi między łopatki nóż do mięsa, jeśli jeszcze kiedykolwiek się do niej zbliżę.

Teraz sobie o tym przypomniałem: kiedyś padłem przed Liz na kolana, a ona ujęła w dłonie moją głowę, jak gdyby była dzieckiem albo naczyniem z gliny, które formowała, i ubódł mnie jej nagły brak: brak jej smaku, jej zapachu, miedzianego posmaku na moim języku, umieszczonego nisko ucisku w dołku, w jądrach. „Pewnie nigdy tego nie czułeś” – prawie z siebie wyplułem.

Fliss opowiedziała mi ze szczegółami o swojej rozmowie z Martinem z zupełną obojętnością, jak gdyby relacjonowała scenę z jakiejś powieści, na przykład *Dzieci północy* Rushdiego, albo najnowsze teorie na temat gatunków kwiatów, w których się specjalizowała.

– Kiedy odłożyłam słuchawkę, przeszukałam twoje marynarki.

– Co zrobiłaś!? – Moje słuszne oburzenie nigdy nie było bardziej nie na miejscu.

Podła mi kawałek papieru, rachunek z restauracji. Wargę zaczęła jej drżeć.

– Jak mogłeś?

– Jak się czujesz? – zapytał mój terapeuta.

Wilgoć na moim policzku, przez skurwysyna uroniłem łzę.

– Brawo, zarobiłeś dziś trochę kasy. Płacz to cholernie kłopotliwe zachowanie – powiedziałem, uciekając się do znanej mi struktury debaty – którego funkcja pozostaje źródłem dyskusji w kręgach naukowych.

– Pomóż mi jakoś, Jeremy. Jak profesjonalista profesjonalście.

– Mam dość uczucia, że życie przecieka mi przez palce. Może pan to powstrzymać, doktorze Richardzie Carterze? Możesz? Proszę.

– Nie – odpowiedział. – Tylko ty możesz to zrobić.

– W obecnych czasach nikt nie jest wierny – powiedziałem, świadomy faktu, że nie jest to zupełnie niepotwierdzona obserwacja, bo z wyjątkiem odmóżdżonych, pozbawionych jaj starych pierdołów jak Devereux robił tak cały kampus. – Są lata osiemdziesiąte i wszyscy posuwają wszystkich.

– Mogę cię zapewnić, że tak nie jest.

– Jesteś żonaty? – zapytałem.

– Nie.

– Nigdy nie wzięłeś sobie żony, co? – usłyszałem samego siebie i poczułem rozgoryczenie. Mężczyzna, który wychwalał korzyści dyskusji i debaty, który wierzył, że rodzaj ludzki odróżniała od innych gatunków tylko niewielka grupa cech, z których kluczowa była umiejętność komunikowania się, korzystał z tego daru jak dzieciak. Rzuciła we mnie durszlakiem. Fliss. Teraz brzmi to zabawnie, taka scena mogłaby się rozegrać w jednej z tych przeklętych telenowel, ale mogę Cię zapewnić, że wtedy mi się takie nie wydawało. Cedzak trafił mnie w czoło i przeciął skórę, uwalniając lepki strumień krwi.

– Inteligencja to umiejętność uczynienia siebie i tych, którzy cię otaczają, szczęśliwymi – powiedział mój terapeuta. – Bez wątpienia w tej kwestii zawiodłeś.

Rozgryzł mnie. Ten mały gnojek mnie rozgryzł.

– Jak ta kobieta, która nie jest twoją żoną, radzi sobie z tą całą sytuacją?

– Próbowwała się zabić.

*

Wiadomości na Twitterze do @AliceSalmon1 od

**@WolnyWolnyCzłowiek,
pozostawione pomiędzy 16 stycznia a 27 lutego 2012**

Jak się udał spacer po błoniach?

Pan powiedział, że sprawiedliwość jest moja.

Smakował ci wczorajszy włoski posiłek?

Ładna ta suszarka do włosów, którą dostałaś na święta.

Ten obraz z kwiatami w twojej sypialni jest nowy?

Lubisz imprezować, ślicznotko.

Wkrótce cię dorwę.

*

**Fragment transkrypcji przesłuchania Luke'a Addisona
przeprowadzonego w komisariacie w Southampton przez
detektywa nadinspektora Simona Rangera
6 kwietnia 2012, 13.25**

L.A.: To jakiś żart? Przecież byłem jej chłopakiem.

S.R.: Czyżby? Bo otrzymaliśmy informację, że w chwili jej śmierci nie byliście parą.

L.A.: To skomplikowane.

S.R.: Proszę więc nam wytłumaczyć, na czym to skomplikowanie polegało. Rozumiem, że tymczasowo rozeszliście się z Alice.

L.A.: Próbowaliśmy poradzić sobie z pewnymi problemami.

S.R.: Problemami?

L.A.: Przespałem się z kimś i Alice potrzebowała czasu, żeby jakoś to

sobie poukładać.

S.R.: Czyli pana rzuciła?

L.A.: Nie, zrobiliśmy sobie przerwę. Ale mieliśmy się zejść – ona tego chciała.

S.R.: Rozumiem, że to ona była inicjatorką tego rozstania, nie pan. Musiało to pana zaboлеć.

L.A.: Byłem zrozpaczony.

S.R.: Jak by pan skomentował insynuacje, że jest pan kobieciarzem?

L.A.: Kochałem Alice.

S.R.: Nawet jeśli tak, jest pan typem mężczyzny, który lubi dostawać to, czego chce, prawda? Określiłby pan siebie jako osobę, która lubi kontrolować?

L.A.: Nie, oczywiście, że nie.

S.R.: Ale fizycznie jest pan potężnym mężczyzną. Ile pan ma wzrostu, metr osiemdziesiąt pięć? I osiemdziesiąt trzy kilo wagi? „Głośny, porywczy, chłopak z drużyny, nie wylewał za kołnierz, nigdy nie było wiadomo, jak skończy się wieczór, kiedy Luke był w pobliżu” – tak został pan opisany przez osoby ze swojego otoczenia. Jeden z kolegów określił pana nawet jako „skorego do znęcania się”.

L.A.: Kochałem ją do szaleństwa.

S.R.: Aż takiego szaleństwa, by wepchnąć ją do rzeki?

L.A.: Pierdol się, facet.

S.R.: Spróbujmy zachować spokój, proszę pana.

L.A.: A byłby pan spokojny na moim miejscu? Moja dziewczyna nie żyje, a pan traktuje mnie tak, jakbym to ja zepchnął ją z mostu.

S.R.: Ciekawy dobór słów. O ile się nie mylę, nikt nie udowodnił, że została „zepchnięta z mostu”, dlaczego więc użył pan takiego

sformułowania?

L.A.: To była przenośnia. Nie mniej niż inni chcę wiedzieć, co stało się Alice. Tam jest most, a Alice znalazła się w wodzie, nie trzeba być geniuszem, żeby przyjąć możliwość, że spadła z mostu.

S.R.: Ale powiedział pan o zepchnięciu, a nie o tym, że spadła.

L.A.: Najwyższa pora, żebyście wyciągnęli głowy z piasku. Zaczynjcie arestowania, przeszukania. Albo pukajcie od drzwi do drzwi, szukając świadków. Patrzcie szerzej.

S.R.: Byłoby to panu na rękę, gdybyśmy zajęli się szerszym spektrum, prawda?

L.A.: To jest, kurwa, niedorzeczne.

S.R.: Proszę nie kląć. Czy można tak łatwo pana sprowokować?

L.A.: Chyba wszystkich łatwo.

S.R.: Nie, ja jestem spokojnym człowiekiem. Ale jestem też zdumiony, ponieważ dwadzieścia cztery godziny po śmierci Alice zapewniał nas pan, że wieczorem w dniu zdarzenia znajdował się sam w swoim mieszkaniu, a okazuje się, że był w Southampton.

L.A.: Już to tłumaczyłem. Nie powinienem był kłamać, ale bałem się, że mi nie uwierzycie. Wiedziałem, że wyciągniecie mylne wnioski.

S.R.: A do jakich wniosków powinniśmy byli dojść? Istnieje kolejna niespójność. Po tym jak zmienił pan zeznania i przyznał, że był w Southampton, twierdził pan, że wasza rozmowa nad rzeką była – cytuję – „uprzejma”. Mamy świadka, który powiedział nam o pana poważnych groźbach wobec Alice.

L.A.: Świadka... jakiego świadka?

S.R.: Świadka, który obserwował waszą małą scysję. Świadek stwierdziła, że pan – tu znów cytuję – „wziął ją za szyję”. [*Przesłuchiwany zaczął się śmiać*].

L.A.: Co za farsa. Nigdy nie słyszał pan o „domniemaniu niewinności”?

S.R.: Nie miałem świadomości, że mówimy o czyjejś winie. Ciekawe, że pan do tego nawiązał. Gdyby był pan na moim miejscu, jak by pan zinterpretował te sprzeczności?

L.A.: Kochałem ją.

S.R.: Wolałbym, aby odniósł się pan do niespójności. Wiemy też z pewnego źródła, że ma pan temperament i nietrudno sobie wyobrazić, jak ten temperament został wystawiony na próbę – silne emocje, trochę alkoholu, odtrącenie przez ukochaną kobietę. To nawet mnie doprowadziłoby do furii.

L.A.: Proszę, znajdźcie tego, kto to zrobił.

S.R.: Kiedy rozmawialiśmy z panem czterdzieści osiem godzin po śmierci Alice, miał pan limo pod okiem, a kiedy zapytałem pana, jak do tego doszło, odparł pan, że to od gry w squasha. Chce się pan jeszcze nad tym zastanowić?

L.A.: Nie pamiętam.

S.R.: Proszę jeszcze raz udzielić tej odpowiedzi, dobrze?

L.A.: Jakiś koleś uderzył mnie w barze.

S.R.: Zdecydowanie lepiej, teraz do czegoś zmierzamy. Czy ten „koleś” uderzył pana przed śmiercią Alice, czy po jej śmierci?

L.A.: To było następnego dnia, byłem pijany. Właśnie się dowiedziałem, że Alice nie żyje.

S.R.: Czyli rzeczywiście dużo pan pije?

L.A.: Lubię wyjść do knajpy w piątki i soboty.

S.R.: Czyli lubi się pan upijać.

L.A.: Nie, jestem normalnym dwudziestosiedmiolatkiem.

S.R.: Czy pił pan przed konfrontacją z Alice nad rzeką?

L.A.: Nie.

S.R.: To też mnie intryguje, bo mamy właściciela pubu, gotowego oficjalnie zeznać, że podał panu przynajmniej dwie pinty cydru.

L.A.: To nie pana sprawa i jego też nie.

S.R.: Stało się to moją sprawą w chwili, kiedy Alice zmarła. Tego wieczoru, którego, jak utrzymuje portier w Premier Inn na Queen Street, wrócił pan do pokoju za dziesięć czwarta, według niego zalany w sztok. Pracuję w tym zawodzie już od bardzo dawna i mogę pana zapewnić, że istnieje trudny i prosty sposób na to, co dalej zrobić, ale tak czy inaczej, dojdziemy do tego samego wyniku. Szybko przejrzałem nasze akta – w 2002 roku został pan aresztowany za napaść.

L.A.: Żądam prawnika.

S.R.: Napaść w pubie w Nantwich.

L.A.: Nigdy nie wniesiono zarzutów.

S.R.: Małe to pocieszenia dla gościa, któremu spuścił pan łomot.

L.A.: Miałem siedemnaście lat – jeśli będzie pan tak głęboko drążyć, okaże się, że wszyscy mamy rzeczy, które wolelibyśmy ukryć.

S.R.: Jak Praga? Czy to jedna z tych rzeczy, które wolałby pan ukryć?

L.A.: Pierdol się.

S.R.: Ostrożnie. Ten wybuchowy charakter może się okazać dla pana zgubny.

L.A.: Nie mam nic więcej do powiedzenia.

S.R.: Luke’u Addisonie, aresztuję pana w związku z zabójstwem Alice Salmon...

*

Wiadomość pozostawiona przez Alice Salmon na poczcie

głosowej Davida Salmona
4 lutego 2012, 17.09

Tato, to ja. Gdzie jest mama? Dlaczego nie odbiera telefonu? Powiedz jej, żeby do mnie zadzwoniła, to pilne. Jak się dzisiaj ma? Używała dziś swojego laptopa? Jak ty się masz? Ja jestem nieco zawiana. Jestem w Hampton na zjeździe koleżeńskim i wspominałam, jak powoli się tu wlekliśmy, kiedy wiozłeś mnie tu na pierwszy tydzień zajęć, sentymentalny staruszkule! Kiedy pójdziemy razem na niedzielny lunch, a potem wyprowadzimy psa? Tęsknię za tobą, tatusiu. Wybacz, że nie zawsze byłam taką świetną córką. Zaslugujesz pewnie na kogoś lepszego niż ja. Jeśli to jakieś pocieszenie, to ty jesteś najlepszym ojcem, jakiego można sobie wymarzyć. Jak mnie kiedyś nazywałeś? Swym aniołkiem? Lubiłam to. Muszę kończyć, pada mi bateria. Zawsze będę cię kochać.

*

Post na forum internetowym „Głosiciele prawdy”
autorstwa Samotnego Wilka
6 lipca 2012, 22.50

Gdybyście mogli ujawnić coś bardzo złego, robiąc coś odrobinę złego, zrobilibyście to? Gdyby to był jedyny sposób na zdemaskowanie skandalu w koncernie medycznym albo MI5? Albo gdybyście musieli posunąć się do włamania czy niegroźnej napaści, żeby udowodnić większe przestępstwo, morderstwo albo gwałt? Większość z nas by to zrobiła, bo ludziom mającym władzę złe czyny nie powinny uchodzić na sucho.

Profesor Cooke.

Nikt nie może mi nic zrobić za upublicznienie jego nazwiska.

Profesor Jeremy Frederick Harry Cooke. CZŁOWIEK LODU.

Nosi marynarkę i sztruksowe spodnie, a to, że zarzucam mu bycie złym człowiekiem, nie jest przestępstwem. To się nazywa wolność słowa i nie nauczyłem się tego na jakichś głównianych studiach na temat mediów – nie, to był Wydział Sportu, Mediów i Kultury, na którym zmarnowałem trzy lata, no może nie trzy, bo zobaczyłem światełko w tunelu i zmyłem się wcześniej. On nie może mnie tknąć, nikt nie może, co jest dość ironiczne, bo chodzi właśnie o to, że Cooke tknął kogoś innego.

Możecie mi zaufać, mogłem się mylić w innych kwestiach, ale w tej mam rację: trzeba go ZDEMASKOWAĆ. Kiedy wyciągnę miecz prawdy, nie powiecie, że jestem stukniętym palantem, co?

Teraz Cooke próbuje nawet przedstawić własną wersję zdarzeń, pisząc książkę. Mówi się, że historię piszą zwycięzcy. Okazuje się, że już nie, wszyscy ją piszemy. Uprzedziłem, że nie będzie mógł wykorzystać niczego, co powiedziałem, bo nie ma mojej zgody, ale odparł, że nie da się mówić nieoficjalnie, więc skosztuj własnego lekarstwa, mądralo.

Przyznaję, że miałem z Człowiekiem Lodu pewną finansową umowę. Zrobiłem sobie nawet nowy tatuaż dla jej uczczenia, ale on zmienił warunki. Nie jestem zachłanny, ale byłoby miło nie musieć się martwić o forszę, tak jak Ben Finch. Jemu to dobrze, żyje sobie jak król, w przekonaniu, że nic mu nie grozi za to, że próbował mnie ZAMORDOWAĆ z powodu znalezionych u mnie zdjęć.

Prawie pokazałem kiedyś Alice moje ulubione zdjęcie, jakie jej zrobiłem, kiedy na drugim roku siedzieliśmy w salonie i rozmawialiśmy o fotografii – to, na którym rozciąga się oparta o drzewo przed biegiem w parku. Ach, te noce były wyjątkowe, choć rozmawialiśmy też dużo w niedzielne popołudnia. Zwykle miała wtedy kaca giganta i popijała herbatę z kubka ze

słoniem, siedząc na zdezelowanej kanapie nakrytej czerwonym kocem. Jej telefon leżał na bocznym oparciu i co chwilę rozbłyskiwał wiadomościami. Ja pytałem, czy dobrze się bawiła, ona odpowiadała żartobliwie, że po czym to poznałem, na co mówiłem, że słyszałem, jak potyka się, wracając do domu, więc ona przepraszała, robiąc zawstydzoną minę, i czekała, że jej opowiem, co robiła.

Naprawdę między nami iskrzyło, aż ten PSYCHOL Ben Finch obrócił ją przeciw mnie. Uwielbiam to, że tutaj mogę mówić takie rzeczy. W ciągu ostatnich trzech miesięcy umieściłem sto osiemdziesiąt jeden postów. Zablokowały mnie dwa krajowe portale, ale tylko dlatego, że nie byli w stanie znieść moich komentarzy i są kontrolowani jak Korea Północna. To świat obywatelskiego dziennikarstwa, głos człowieka z ulicy, bo internet jest przyjacielem Dawida, a nie Goliata.

Gazety bojkotują ludzi takich jak ja, a pozwalają kwitnąć i rozwijać się takim jak Ben Finch, Alice Salmon i Człowiek Lodu. Ale już niedługo – sprawiedliwość nadciąga – Alice nie żyje, Ben Finch zniknął z horyzontu, a Człowiek Lodu niedługo zostanie pojmany za to, co zrobił.

Domyślcie się już, kogo molestował? OBSERWUJCIE UWAŻNIE!!!

*

Kolumna w „Evening Echo” 17 marca 2012

Greg Aston: Bezkompromisowy głos rozsądku

Stwierdzenie, że w dawnych czasach można było nie zamykać drzwi od domu, to banał, ale rzeczywiście wtedy bardziej troszczyliśmy się o siebie

nawzajem. Kumple, rodzina, sąsiedzi – liczyli się, kiedy byłem młodym chłopakiem. Jeśli nastąpiła fala nagłego oziębienia, sprawdzaliśmy, czy u naszej starszej sąsiadki wszystko w porządku, zamiast pozwolić jej marznąć i głodować. Bardziej snobistyczna gazeta wspomniałaby tu o „moralnym kompasie”, ale mnie chodzi zwyczajnie o rozumienie tego, co jest, a co nie jest akceptowalnym zachowaniem.

Kobiety, które tego nie rozumieją, to Holly Dickens, Sarah Hoskings i Lauren Nugent. To trio, które wyruszyło na pijacki podbój knajp z Alice Salmon w wieczór jej utonięcia. W pewnym momencie koleżanki pozwoliły sobie odłączyć się od Alice, która skończyła w rzece.

W opublikowanym wczoraj artykule jedna z nich, Dickens, zaapelowała o współczucie, sugerując, że „zgubiły” Alice – jakby była walizką na lotnisku. Dziennikarka jedynie poparła jej stanowisko konkluzją, że to się przecież mogło przydarzyć każdemu.

Gdyby te trzy kobiety nie zachowały się w sposób społecznie nieodpowiedzialny, najprawdopodobniej nie pozwoliłyby przyjaciółce się od nich oddalić (ja powiedziałbym nawet, że nie zostałyaby ona przez nie porzucona) i Alice Salmon żyłaby nadal.

„Trochę wstawione” – tak stan ich upojenia określiła Dickens. Chyba raczej zalane w trupa.

Ta trójka powinna zostać pociągnięta do odpowiedzialności za swoje zachowanie.

W międzyczasie ich milczenie pomogło jedynie stworzyć próżnię, w którą wlały się przeróżne mylne informacje. Wiele osób zaczęło szukać odpowiedzi w mediach społecznościowych. Ostatni tweet Alice głosił: „*Say hello, wave goodbye*”^[16], co interpretuje się jako odniesienie do tekstu hitu z lat osiemdziesiątych grupy Soft Cell, niedawno odświeżonego przez The Hoosiers.

Gdybym był cynikiem, zakończyłbym wnioskiem, że to milczenie nie zrodziło się z szacunku do rodziny Salmonów, ale z ubolewania nad własnym zachowaniem. Nic dziwnego, że unikały zainteresowania. Na ich miejscu głęboko bym się wstydził.

Te kobiety (widziałem, że nazywano je „dziewczynami”, którymi już nie są, moja lepsza połowa w tym wieku była już matką dwójki dzieci) są produktami unikającego odpowiedzialności, szukającego ciągłej gratyfikacji, pijącego na umór „pokolenia ja”. Rzeczywiście, Alice była jego ofiarą. Wszyscy ponosimy za to pewną odpowiedzialność.

Nie ma tolerancji dla prowadzenia po alkoholu. Nie ma tolerancji dla kiboli. Połóżmy zatem kres kulturze, która przymyka oko na prymitywów i chuliganów obu płci, którzy przewijają się przez nasze ulice, urządzą bójki, wymiotują na chodniki i skaczą z jednego emporium taniego alkoholu do drugiego.

Jeśli z tej strasznej tragedii mogłoby wyniknąć coś dobrego, to to, że może nie będziemy już tak skłonni pozwalać, by naszych miast używano jako weekendowych placów zabaw, na których zdarzają się śmiertelne wypadki.

Komentarze pod artykułem:

Szczera prawda, stary, jak można kogoś „zgubić”? To nie były klucze ani komórka. To tak, jakby nie pomogły małemu dziecku – definitywne nie.

Król Bluesa

Ta zmowa milczenia jest trochę dziwna. Gdybym była na ich miejscu, szybko zabrałabym głos, żeby się upewnić, że nikt nie wskazuje mnie palcem.

Tylkoja

Czego w słowie „żałoba” nie rozumiecie, pijawki?

Ziom z Bridlington

Gównu nie Hoosiers. Wersja Davida Graya to bez dyskusji najlepszy cover tej piosenki.

Wielki Mike

To się nazywa życie imitujące sztukę... przeczytałam w jakimś artykule, że ulubioną książką Alice była *Tajemna historia*. A tam grupa studentów prestiżowej amerykańskiej uczelni ukrywa się po śmierci jednego z nich.

Hazel

A wy nie trzymalibyście dziobów na kłódkę, gdyby wasza najlepsza kumpela poszła do piachu? To jedyny sposób, aby uszanować jej pamięć. Równie szybko potępilibyśmy je, gdyby co rusz stawały przed kamerami, zresztą tak łatwo dać się skołować. To nie jest jakiś pieprzony cyrk!!!

Śmieciarz

Byłam poruszona ich oświadczeniem. Nieźle się na nie posypało za to, że kazały przeczytać je prawnikowi, ale ja też nie dałabym rady stanąć przed kamerami, gdyby dwa dni wcześniej umarła moja najlepsza kumpela.

EmF

*

**List profesora Jeremy'ego Cooke'a
19 lipca 2012**

Drogi Larry,

dla ścisłości – wytrwałem z doktorem Richardem Carterem.

– Ewidentnie lubisz towarzystwo kobiet – zaczął jedną z sesji – ale skupmy się na tym, jak czułeś się przy Liz.

Miałem wrażenie, że wycofuję się rakiem od wyłącznego prowokowania i szturchania tego faceta – byliśmy jak dwaj niedowidzący zawodnicy wagi koguciej w słabej formie – i przyjmuję postawę, którą można by nawet nazwać szczerością.

– Czułem, że żyję – powiedziałem. – Byłem transcendentny, prymarny, wspaniały. Jak sukinsyn. Jak mężczyzna.

– A oni jak się czują, Jeremy?

Może w naszych wczesnych wymianach zdań rzuciłbym uszczypliwe „Nigdy się nie dowiesz”, ale teraz zdecydowałem się na:

– Jak ktoś inny.

– Czy to dobrze?

– Richardzie, należę do wyższej klasy średniej i jestem białym, anglosaskim wykładowcą niemal w wieku średnim. O moim istnieniu orzekają konwenanse, moja praca wymaga ode mnie racjonalności i staranności. „Skrupulatny”, takim określeniem charakteryzowali mnie nauczyciele. Ten „ktoś inny” nie musiał przestrzegać normalnych zasad, mógł zdzierać ubrania z niemal obcej mu osoby.

Straciłem ponad sześć kilogramów po tym, jak Fliss odeszła, chociaż nie miałem z czego chudnąć. Wróciła do swoich rodziców w Lincoln. Wszyscy tak teraz robią. Zwyczaj zakorzenił się w pierwszej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku i młodzi ludzie powracają do gniazda niczym pisklęta kukułki, bo przerosły ich studenckie kredyty, a ceny nieruchomości wystrzeliły poza pole ich zasięgu. Wtedy jednak niosło to w sobie jednoznaczny wydzźwięk porażki, wbrew naturalnemu porządkowi. Na

kampusie patrzono na mnie krzywo. Nie żeby nieobecność mojej żony na długo zagościła na szczycie listy najgorętszych plotek, wiadomość ta została zdetronizowana przez bardziej wstrząsające odkrycie: Elizabeth Mullens próbowała się zabić. Codziennie dzwoniłem do domu teściów, ale odmawiali mi rozmowy z żoną. Ustaliłem też miejsce przebywania Liz, żeby się dowiedzieć, jak ona się czuje, ale jedyne, co mnie czekało, to nieuprzejma gospodyni, której nie podobały się telefony po dziewiątej wieczorem i która narzekała na niezapłacony w terminie czynsz.

– Lubisz Rolling Stonesów? – zapytał Richard Carter.

– Znam ich.

– Bo Mick Jagger napisał piosenkę o tym, że nie zawsze dostaje się to, czego się chce. Coś w tym jest.

– Ludzka natura tak nie działa – zaprzeczyłem niegrzecznym tonem.

– Nie zgodzę się. Jesteśmy zdolni do okazywania bezinteresowności przy jednoczesnym ogromnym osobistym poświęceniu.

– Własny altruizm traktujemy wybiórczo. Jest zwykle skierowany na krewnych i właściwie tylko po to, by ktoś się nam odwzajemnił.

– Niekoniecznie. Regularnie wpłacam pieniądze fundacji, która kopie studnie w zachodniej Ugandzie. Jaki mam z tego zysk?

– Pozwala ci to spokojnie spać albo informować o tym swoich klientów, co potencjalnie umożliwia ci skuteczniej wykonywać swoją pracę.

– To nadzwyczajnie posępna diagnoza – powiedział. – Altruizm może być nieskażony. Istnieją gatunki pajaków, których samice dają się zjadać swojemu potomstwu, żeby zwiększyć ich szansę na przetrwanie. Są też samce pozwalające zjeść się samicom po kopulacji. To bardzo jednostronna relacja, podzielisz moje zdanie?

– Typowa cholerna kobieta. – Zastanawiałem się, czy Liz słyszała o pajakach, byłaby nimi zafascynowana.

– Nie rozmawiamy tu jednak o zwierzętach ani ewolucji – powiedział. – Rozmawiamy o tobie.

– Czyli właśnie o zwierzętach i ewolucji.

Nie pamiętam, czy zrobiłem mu wtedy pełen wykład, Larry, ale zostałem wezwany przed „komisję” uczelnianą, pieprzony sąd kapturowy, gdzie przyglądali mi się pytająco – plaster na czole, pomięte ubrania – i łaskawie poinformowali, że jeśli będę współpracował i nie dopuszczę, by ta „katastrofa” przedostała się do prasy, okażą mi przychylność. Wciąż miałem dużo do zaoferowania. „Coś”, a nie „dużo” – tak chyba brzmiała ich wypowiedź. Trudno mi teraz dokładnie sobie przypomnieć.

– Czy powód, dla którego szukałeś pozamałżeńskiego związku, mógł być reakcją na brak dzieci? – zapytał Richard.

Fliss i ja nie całkiem porzuciliśmy nasze rodzicielskie ambicje, zanim mój flirt z Liz wyszedł na jaw, ale potem stały się one hipotetyczne: jak zaprzestanie podkładania bomb przez IRA albo przełom w mojej pracy naukowej (właściwie była to pochodna prac Chomskiego). Liz za to rozpaczliwie pragnęła wyjść za mąż i założyć rodzinę. Były lata osiemdziesiąte i kobiety nadal tego chciały. Mogła z pamięci wymieni listę gatunków, które dobierały się w pary na całe życie – rodzaj antylopy, sępniki czarne, żurawie kanadyjskie, gatunek ryb o nazwie pielęgnica zebra – ale nieustannie dokonywała niewłaściwych wyborów i szczerze mówiąc, ja byłem najgorszym z nich.

– Czujesz się czasami odpowiedzialny za to, co zrobiła Liz? – zapytał Richard.

Powiesiła się na belce nad stołem stojącym w centralnym miejscu refektarza. Ta sala była niezwykła. Wysokie sufity, okna z szybkami oprawionymi w ołów, krokwie ze starego okrętu wojennego z epoki Tudorów. Do środka wszedł woźny po opakowanie pasty do podłóg i zastał

ją, kiedy wisała pijana z rozpostartymi, pająkowatymi nogami, które coraz to mniej wyraźnie drgały.

– Nie mogę się z tego rozgrzeszyć.

Miałem ochotę wczłogać się na kolanach z powrotem do swojego biura, gdzie znałem wszystkie zasady. Wyobraziłem sobie, jak zagłębiam się w całości w poprawianie prac, jakbym zapadał się w miękkie łóżko.

– Czytałeś kiedyś Tołstoja, Richardzie? Twierdził, że wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, a wszystkie nieszczęśliwe są nieszczęśliwe na swój sposób, ale tu się pomylił. Nieszczęście jest miażdżące wręcz przewidywalne. Jak sprawdzenie, że masz puste kieszenie, zanim włożysz spodnie do kosza na pranie, jak kąpiel, żeby pozbyć się zapachu nieznanomych perfum, zanim wślizgniesz się z powrotem do małżeńskiego łóża, jak znajome twarze wykrzywione w nieznanome kształty przez ból i alkohol. Szczęście jest czymś unikatowym. Drobne szczegóły wspólnie spędzonego życia: ciepło i niekrzykliwa mechanika monogamicznego związku.

– Ale spałeś z inną kobietą.

– Tak, ponieważ żądza jest jak narkotyk, mąci nam w głowach.

– Czy nie przyszło ci na myśl, jaki zadajesz ból?

– Mogłem się tego spodziewać, mogłem to zracjonalizować, mogłem zaryzykować przypuszczenie co do jego ogromu, ale tego nie czułem. Czy to robi ze mnie psychopatę?

Tego wieczoru, kiedy Fliss skonfrontowała się ze mną w kuchni, zażądała, żebym jej powiedział, co ma ta dziwka Elizabeth, czego ona nie ma, a kiedy zacząłem mówić, że to nie tak, odparła: „Czuję się taka zawiedziona, taka głupia”.

– A co o tym myśli twoja żona teraz, kiedy oboje już nieco ochłonęliście? – zapytał Richard.

– Jest w Lincoln.

– No tak, nadal w Lincoln. Piękna katedra – powiedział. – Bardzo niedoceniona.

Zacząłem się już spodziewać tych nagłych zmian tematu. Była to technika, którą często zwykł stosować mój ulubiony polityczny ekspert Robin Day.

– Byłaby pewnie zadowolona, że nadal przychodzę na te sesje – stwierdziłem. – Zawsze uważała, że jest ze mnie wół roboczy. I broń Boże, nie miała tu na myśli niczego złego, ale bolała mnie ta etykieta. Tacy ludzie kopią rowy i pakują pudła w fabrykach. Ja poszukiwałem oryginalności.

– Osobiście wolałbym szczęście zamiast oryginalności – oświadczył mój psychiatra. – Wolałbym brak cierpienia.

– Brak cierpienia i szczęście nie są jednoznaczne. To pierwsze to jedynie odfajkowanie dolnych części piramidy Masłowa.

– Nie wybrzydzaj – powiedział, zerkając na zegarek. – Miliony ludzi byłyby gotowe za to zabić.

*

Fragment pamiętnika Alice Salmon, lat 25 3 września 2011

– Powinniśmy poszukać mieszkania – powiedział Luke.

Wspólne wyjazdy często sprawiały, że nasze rozmowy wkraczały na nowe terytoria, jakby pod powierzchnią odbywała się lekka kalibracja naszego związku. Dopiero na Malcie – po sześciu wspólnych miesiącach – wyznał mi, jak rzadko widuje swoich rodziców.

– Chodzi mi o to – dodał – że chciałbym z tobą mieszkać i mam nadzieję, że ty chcesz mieszkać ze mną.

– Luke, to świetny pomysł. Nie spodziewałam się tylko, że o to poprosisz, a przynajmniej nie dzisiaj.

– W ciągu kilku najbliższych miesięcy musielibyśmy odłożyć trochę pieniędzy, ale bylibyśmy w stanie znaleźć coś przyzwoitego.

– Gdzie?

Nadział frytkę na widelec i rzucił ją mewie.

– Gdybyśmy występowali w filmie, właśnie zaczęłyby grać ckliwa muzyka, a ja powiedziałbym: „Nieważne, bylibyśmy tylko byli razem”. Byle nie w Stockwell!

– I nie w New Cross.

– Koniec końców, chciałbym się wynieść z Londynu – powiedział.

Było w nim jakieś nowe pragnienie, jak gdyby aż do tego momentu dusił to w sobie, i w końcu pękł.

– Najwyższy czas, żebyś się ustatkowała. W końcu masz już dwadzieścia pięć lat!

– Że co? – powiedziałam. – Wrrr!

Mewa wzbiła się w niebo, zakreśliła koło i usiadła na zardzewiałej balustradzie przed nami. Luke sięgnął do kieszeni, a mnie wpadł do głowy szalony pomysł, że może się oświadczy, ale wyciągnął tylko papierosy. Odpalił jednego, wypuścił dym, który rozplynał się w jasnym, kruchym nadmorskim świetle.

– Właściwie to moglibyśmy wybrać się wszędzie – powiedział, podekscytowany jak chłopiec. – *Carpe diem* i w ogóle.

– Wybrać na ryby? – zażartowałam, rzucając moją ulubioną kwestią z *The Inbetweeners*. Ledwie w zeszłym tygodniu Luke zażartował, że w jego

wypadku jednym z decydujących czynników przy wyborze mieszkania jest wystarczająca ilość miejsca na kolekcję DVD, musiał więc mieć już wtedy w głowie tę rozmowę. Miał to zaplanowane, kiedy wczoraj spotkaliśmy się na stacji Victoria, on wrócił z wagonu barowego z moim odtłuszczonym latte ze spienionym mlekiem i swoją herbatą, kiedy usiedliśmy w Faversham i w końcu domyśliłam się, dokąd jedziemy.

– Barbados nie umywa się do białych piasków Margate.

– Podoba ci się tutaj? Prawie zdecydowałem się na Paryż, ale to miejsce było bardziej w twoim stylu.

– Jest idealne, Luke. – Naprawdę było. Ten spłowiasty blichtr, brak ostentacyjności, bezpretensjonalne podejście do rozrywki. Byłam zachwycona.

– Tak czy inaczej, nie mogłem cię zabrać do Paryża, bo już kiedyś spędziłaś tam niegrzeczny weekend!

Pamiętałam hotel, w którym odźwierny – „cipa w kapeluszu”, jak ochrzcił go Ben – zwrócił się do mnie *per madame* i jak stuknęliśmy się kieliszkami nad miską muli w białym winie, a Ben powiedział: „za nas, Lisso”, i czułam, że zaraz się popłaczę. Takie mam wspomnienia z Miasta Świateł.

– Paryż możemy sobie odłożyć na potem – powiedział Luke.

Na tę myśl przeszedł mnie ciepły dreszcz – że odkładamy rzeczy na później, że nadal mamy coś do zrobienia.

– Margate miało kiedyś wiktoriańską przystań – oznajmił. – Projektu Eugeniusa Bircha. Widzisz we mnie sfrustrowanego architekta?

Przykro mi było patrzeć, że czegoś tak bardzo żałuje, bo może w wieku dwudziestu siedmiu lat nie jest się już młodym, ale to nadal za wcześnie na wyrzuty. Nie chciałam, żeby ten mężczyzna kiedykolwiek miał czego żałować.

– Możemy robić, co zechcesz – zapewnił. – Jeśli ty i ja, my, stawimy czoło światu, to będziemy niepokonani, Al.

Przysunęłam się do niego i pocałowałam mojego chłopaka.

– A to za co?

– Za to, że mnie tu zabrałeś, za to, że jesteś sobą. – Powiedz mu o sobie wszystko. O nocach, podczas których nie mogłaś zasnąć, katastrofalnej słodczy związku z Benem, o tym, że bez przerwy czujesz się wycieńczona (ale nie chuda z wycieńczenia – chciałabym!) i nic nieznacząca, powiedz mu nawet o tym, jak w łazience upuszczałaś sobie ból, powiedz mu. Niech ten cudowny chłopak usłyszy to od ciebie. Fala się cofnęła, ale mogłaś mu powiedzieć, kiedy wpłynęła głęboko na plażę i całe to gówno zostałyby zmiecione do morza, a wy moglibyście razem ruszyć dalej.

– Co chciałabyś w sobie najbardziej zmienić? – zapytał.

– Teraz nic, bo gdybym coś zmieniła, to mogłoby nas tu nie być. Właśnie teraz powinna rozbrzmieć ckliwa melodia!

Pochylił głowę. Wzruszył się. Luke naprawdę płakał.

– Kocham cię, Al Salmon – powiedział.

– Ja też cię kocham – odparłam.

Minęło kilka miesięcy, zanim mi to powiedział, ale ja wypaliłam z tą deklaracją już po pięciu tygodniach, pewnie zbyt wcześnie.

– A ty? – zapytałam. – Co byś zmienił, gdybyś miał magiczną różdżkę?

– Ale ja już jedną mam – powiedział, uśmiechając się chytrze i spoglądając na swoje kolano.

Skoro był już poważny, teraz musiał się rozluźnić. Można było poczuć uchodzące z niego napięcie. Włączył mu się tryb barowy.

– Nie wywiniesz się tak łatwo. No mów. Co?

– Poznałbym cię, gdy byłem młodszy.

- Dobra odpowiedź!
- Zanim każde z nas nabrało swojego bagażu.
- Mów za siebie!
- Są też inne rzeczy.

Po promenadzie przejechał na hulajnodze roześmiany dzieciak, po czym rozmowa wróciła na temat mieszkania i przewagi dzielnicy Streatham nad Clerkenwell. Mogłabym wziąć wolnowar i zdjęcia, które przechowywałam u rodziców, rozpakować pudła z książkami, a nawet odkurzyć trofeum dla „najlepszego debiutanta” i postawić je na kominku – tylko pomyśleć – własnym kominku! Odwiedzaliby nas znajomi i oglądali statuetkę, przychodząc na obiad. Prowokowałyby rozmowy, żartowalibyśmy o jej ciężarze i o tym, jak można by nią komuś wyrządzić porządną krzywdę, dyskutowalibyśmy o przestępczości i polityce nad sałatką grecką albo musem z białej czekolady i marakui według przepisu Nigelli.

– Wiesz, co lubię w tobie najbardziej? – zapytałam.

– Moją powalającą urodę? Moją czarującą osobowość? Makabryczne poczucie humoru?

– To, jaki z ciebie dobry słuchacz. Czy ktoś ci już to kiedyś mówił?

– Być może, ale pewnie nie słuchałem!

Luke się dzisiaj upije. Widziałam to po nim. Jego odpowiedzi, to, jak rzucał kawałki frytek mewom, nawet to, jak palił. I byłoby miło – nas dwoje w pubie w mieście na prowincji. W przebywaniu tutaj było coś zakazanego – byliśmy z dala od Londynu, z dala od dziewczyn, ukryci. Mieliśmy razem zamieszkać. Mogłam już sobie wyobrazić rozmowę, jaką odbędę z Meg. Uściśniemy się, a ona nie będzie chciała mnie puścić. „Nie stracę cię, prawda? – napisała ni stąd, ni zowąd w minionym tygodniu, kiedy wspomniałam, że Luke zabiera mnie na weekend niespodziankę. – Jesteś dla mnie jak siostra”.

Luke odpalił kolejnego papierosa, podał mi jednego i powiedział:

– Kiedy mówiłaś o rzuceniu palenia, oczywiście miałaś na myśli, że dopiero po tej paczce?

To moje życie, pomyślałam. Tu właśnie dzieje się moje życie. W nadmorskim miasteczku, gdzie kolor kamyczków sprawia, że chciałabym umieć malować, w rozklekotanych pociągach odchodzących z peronu drugiego na stacji Victoria, gdzie konduktorzy nadal mówią „dobry wieczór”, z mężczyzną, który nazywa się Luke Stuart Addison i który przyznał się, kiedy żartowaliśmy o przejażdżce na karuzeli, że przekroczył próg osiemdziesięciu pięciu kilogramów, co skłoniło mnie do wprowadzenia w życie natychmiastowego zakazu jedzenia curry. W końcu, w końcu, czułam się spełniona.

– To wszystko wydaje się bardzo dorosłe – powiedziałam. – Potrzebuję wina.

– Wybiła piwna godzina – powiedział Luke.

Kiedy szliśmy z powrotem do hotelu, pomyślałam: teraz to też jest nasze. Margate. Nawet malutki market, w którym kupiliśmy fantę. Dodałam je do pozostałych „naszych rzeczy”: naszą restauracją „na szczególne okazje” był Thai House na Balham High Street, naszym idealnym czwartkiem film w Clapham Picturehouse, ulubionym klubem muzycznym Brixton Academy. Od lat moja łódź nie była taka spokojna: osiągnęłam stan *equilibrium* (to zdecydowanie słowo tego wpisu). Zwykle unikałam stwierdzeń, że Luke mnie uszczęśliwił, bo przecież żadna z nas nie potrzebuje do tego faceta, prawda? Ale ten wniosek był nieunikniony: odkąd go poznałam, byłam szczęśliwsza.

A teraz poszedł kupić papierosy. Naszą najostatniejszą paczkę. Dziwne, że kiedyś czekałam już na innego mężczyznę w innym pokoju hotelowym, aż wróci z papierosami. Wyobraziłam sobie tę uroczą starszą panią, Queenie,

jak jeździ rollercoasterem w Thorpe Park, zaciskając ze wszystkich sił usiane wątrobowymi plamkami dłoń, jej pomarszczoną twarz spłaszczoną siłą wiatru i to, jak z jej bezzębnych ust wydobywają się skrzeczące okrzyki przerażenia i radości. Mam nadzieję, że uda jej się tam pojechać.

– Ja przekładam świat na słowa – powiedziałam jej. A co z moim słowem tego wpisu? Kurczę, *equilibrium* wybrałabym pewnie w wieku osiemnastu lat, kiedy pretensjonalnie szukałam czegoś wielosylabowego i przemądrzałego.

Czasem to, co najprostsze, wyraża najwięcej. Jak „chłopak” albo „zaufanie”, albo „oddanie”. Albo nawet „miłość”.

Tak, to się nada. Miłość.

*

Post na blogu Megan Parker 7 kwietnia 2012, 11.20

OMG, właśnie przeczytałam w internecie, że Luke został aresztowany. Nie mogę w to uwierzyć, zabrano go do komisariatu w Southampton. Najwyraźniej mogli postawić mu jakieś zarzuty. Nic o tym nie piszą na stronie policji, żadnego oświadczenia, ale na Twitterze aż huczy.

Wiedziałam, że coś z nim jest nie tak. Raz próbowałam nawet powiedzieć Alice, ale nie chciała mnie słuchać – zawsze była taka uparta, jeśli chodzi o facetów, zupełnie ślepa na ich wady. Potrafiła nieźle na mnie naskoczyć i oskarżała o to, że jestem zazdrosna.

Poważnie, prawie napisałam o moich podejrzeniach co do niego na blogu, ale Jeremy powiedział, że muszę uważać na to, co publikuję w internecie.

Uznałam też, że mogę ściągnąć na siebie kłopoty, jeśli będę rzucać fałszywe oskarżenia, ale jasna cholera, Luke!?

To było widać, kiedy przebywał z Alice. Robił się bardzo zazdrosny i lepiej było nie mieć z nim na pieńku – był jak sprężyna. Alice powiedziała mi w zaufaniu, że kiedyś na nią nawrzeszczał, a sama byłam świadkiem, jak zrobił się agresywny w barze – powód był całkiem głupi, a on tak łatwo się wkurzył. Luke pojawił się w życiu Alice stosunkowo niedawno, ale mnie starał się wymazać jak jakiś zbędny dodatek. Ona była moją najlepszą przyjaciółką, nie jego.

Jezu, nie mogę w to uwierzyć. Poszłam na policję, żeby złożyć kolejne zeznanie, po tym jak ta gazeta puściła artykuł o zwiędłych kwiatach, ale nie wydawali się zainteresowani. Miła policjantka wysłuchała mnie, ale kiedy jesteś megazdenerwowany, to rzeczy nie idą tak, jak powinny, i tracisz pewność siebie, a wtedy brzmisz podwójnie niewiarygodnie. Pewnie uznała mnie za „rozemocjonowaną”. A czemu miałabym nie być rozemocjonowana, skoro zginęła moja najlepsza przyjaciółka? To jakby umarła połowa mnie.

Mówię „umarła” zamiast „została zabita”, bo na tym się zatrzymaliśmy. Jeśli jeden ze skurczybyków, których doprowadziła przed oblicze wymiaru sprawiedliwości, nie był temu winny, a ona sama też tego nie zrobiła, wszyscy doszliśmy do wniosku, że był to jedynie straszny wypadek – ale skoro tak, to dlaczego rozmawiają teraz z Lukiem? Jezu, LUKE. Policja nikogo nie zamyka ot tak, bez powodu, a on był wściekły, że Alice go rzuciła. Mówiła, że był zdruzgotany, kiedy mu o tym powiedziała, i zachowywał się jak wariat. Opowiadała, że jego oczy sprawiały wrażenie dzikich. Jeśli Luke naprawdę ją kochał, to jak wytłumaczyć Pragę? Widzicie, Alice i ja zwierzałyśmy się sobie ze wszystkiego, dziewczyny – najlepsze przyjaciółki – tak właśnie robią. Ile trzeba mieć w sobie nienawiści, żeby zdradzić kogoś tak ufego jak Alice?

Nic nigdy nie jest takie proste, jak nam się wydaje, twierdzi Jeremy, ale on często mówi zagadkami i odpowiada retorycznie na prawdziwe pytania. „Człowiek nie umarł, dopóki wymienia się jego imię” – powtarza, zręcznie omijając fakt, że coś podobnego napisał Terry Pratchett. Jakby liczył na to, że się nie zorientuję.

Mówi, że powinnam być ostrożna, pisząc bloga, że mogę nieumyślnie zrobić złe wrażenie, ale to już się stało. Wywiad, którego udzieliłam telewizji, był kiepsko sfilmowany. Nawet nie wyglądałam jak ja. Ktoś zamieścił sparafrazowane urywki moich wypowiedzi na facebookowej stronie Alice, a potem lokalna gazeta cytowała ich fragmenty (oczywiście niedokładnie, ale tym już się nie martwiłam, bo kawałek nagrania, który pojawił się w telewizji, sam w sobie nie przedstawiał tego, co powiedziałam) i przypisał je Megan „Harker”, przez co jeszcze więcej ludzi zaczęło grzebać na Facebooku i złożyć na wypowiedzi, których jakoby udzieliłam gazecie.

Chodzi o to, że kiedy tracisz kogoś bliskiego, to dopada cię niezła paranoja i wszyscy robią się dla ciebie podejrzani. Jeśli mam być szczerą, to nawet Jeremy ostatnimi czasy zaczyna mnie lekko przerażać. To, jak odnosi się do swojej żony, jakby była jakimś podrzędnym gatunkiem. Nie ma szans, żebym pozwoliła jakiemuś mężczyźnie mówić o sobie w ten sposób, a już w szczególności nie pozwoliłaby na to Alice. Powiedziałyby szowiniście, że mamy rok 2012, a nie erę kamienia łupanego.

A znów poprzedniego wieczoru Jeremy zaprosił mnie do siebie, żebyśmy posegregowali nowe „zgłoszenia” i żebym poznała jego żonę, tylko że jego żony nie było, więc otworzył butelkę chilijskiego czerwonego wina, które określił jako „dynamiczne”, i rozmawialiśmy o moim powrocie na uniwersytet. Obiecał, że napisze mi list polecający, mimo że zna mnie stosunkowo krótko, i dodał, że będę specjalnie traktowana ze względu na Alice. A że nieco się

upiłam, zostałam na noc.

Właśnie zobaczyłam na Twitterze, że Luke został zatrzymany, bo przebywał w Southampton tego wieczoru, kiedy zginęła Alice. Jasna cholera, to zupełnie przeczy jego wcześniejszej wersji. Jakiś prawnik na Twitterze twierdzi, że mogą trzymać go w areszcie przez dwadzieścia cztery godziny bez stawiania zarzutów – ale w jego przypadku działali ostro, przeszukali jego mieszkanie i tym podobne.

Ponoć nie ma dymu bez ognia.

Najlepiej będzie, jeśli zadzwonię do mamy Alice. A wydawało się, że już nie może być dla nich gorzej.

Alice ma już własny hasztag. Do tego wszystko się sprowadza, do tego zredukowano moją najlepszą przyjaciółkę? #alicesalmon

Komentarze pod wpisem:

Megan, mogę jedynie przeprosić, jeśli miałaś jakikolwiek powód, aby poczuć się niezręcznie w moim towarzystwie. Fliss i ja z ogromną przyjemnością zaprosimy Cię do nas na kolację w ten weekend – to będzie świetna okazja, abyście mogły się poznać. Masz moją komórkę – zadzwoń, to omówimy szczegóły.

Jeremy „Srebrny Surfer” Cooke

*

**Wiadomość pozostawiona przez Alice Salmon na poczcie
głosowej Megan Parker
4 lutego 2012, 20.43**

Gdzie jesteś, Parker? Mam nadzieję, że masz na sobie swoje majty *à la* Bridget Jones... musicie zamaarać na pogórze. Mam maleńkie wyznanie... okej, kolosalne, ale buty ci spadną z wrażenia, więc nic nie powiem, dopóki nie zadzwonisz. Meg, do trzydziestki zostało nam już tyle samo lat, ile minęło od drugiego roku studiów do teraz. Może zrobiłam coś, czego nie robiłam od lat, co miało związek z kreską i rulonikiem. Jest impreza! Nie miej mi za złe i nie zazdrość mi wieczoru na mieście. Potrzebuję go. Strasznie. Muszę się od tego wszystkiego oderwać. Próbuję nie myśleć o mailu, który dostała mama. Zejdź z tego swojego wzgórza i zadzwoń do mnie w tej chwili, Parker!

*

Studenckie forum internetowe Southampton StudentNet 7 kwietnia 2012

TEMAT: Aresztowanie

Widzę, że w sprawie Alice Salmon aresztowano jej chłopaka. Zawsze wiedziałem, że jest w nim coś podejrzanego.

Autor: MegaGracz, 13.20

A niby skąd wiedziałeś? Byliście kumplami czy co, MegaGraczu, czy to twoja kolejna stuknięta teoria?

Autor: Su, 13.26

Fakty mówią same za siebie. Aresztowany.

Autor: MegaGracz, 13.33

Z tego co czytam na Bookface, między 2003 i 2006 rokiem studiował na uczelni w Liverpoolu. Musi być z niego niezły mózg, bo zrobił dyplom i został zatrudniony przez dużą firmę z programem magisterskim.

Autor: Graeme, 13.56

Cud, że w ogóle dostał się na studia – chodził do beznadziejnej szkoły.

Autor: Lex, 14.14

Kiedy byłem w ostatniej klasie liceum, był taki chłopak, może najmądrzejszy w całej szkole, ale lubił się bić w piątki wieczorem. To, że był mądry, nie znaczy, że nie używał pięści.

Autor: Baz Kierowca, 14.28

Czytam jego „profil” w gazecie... Jego rodzice rozwiedli się, kiedy miał osiem lat. Zacytowali wypowiedź jakiegoś psychiatry, który wyjaśnił, że tłumione emocje po takim syfie mogą się potem objawiać mizoginizmem.

Autor: Fi, 14.41

Witamy z powrotem, Fi! Czemu w twojej głowie wszystko sprowadza się do mizoginizmu? A może to jest mizoginiczny komentarz? Nie może być po prostu tak, że jedna osoba straciła nad sobą kontrolę podczas kłótni z drugą osobą i ją utopiła?

Autor: Tom, 14.46

Chwila, znów odwracacie kota ogonem. Codziennie aresztuje się ludzi i nie stawia im zarzutów. W ten sposób władze komunikują, że mają wystarczająco dużo informacji, by badać ten wątek.

Autor: Jacko, 14.54

Nadal uważam, że sama skoczyła.

Autor: Ta druga Katniss, 14.44

Tak, słuszna uwaga, Kat – 2012 rokiem skoków na główkę!!!!

Autor: Smithy, 15.02

Podobno kiedy był młodszy, dobrze się zapowiadał jako zawodnik rugby. Jako uczeń próbował się dostać do Harlequin F.C., ale potem roztrzaskał sobie kolano, no i wszystko poszło się je*ać.

Autor: Phil, 15.20

Wracając do rzeczy, widzieliście jego zdjęcia? Mniam!

Autor: Christi, 15.31

Wyjdzie za kaucją?

Autor: Zosia nie-samosia, 15.49

Zależy. Gliny mają dwadzieścia cztery godziny, żeby postawić zarzuty, albo muszą cię wypuścić. Mogą dostać przedłużenie, ale to nie takie proste. Widziałem program w TV, w którym udało się przeciągnąć sprawę do dziewięćdziesięciu sześciu godzin, ale potrzebna była zgoda z góry.

Autor: KoneserSztuki, 15.50

Po raz kolejny jestem zmuszony poinformować wszystkich, że będę musiał zawiesić ten wątek. Przypominam wszystkim komentatorom, że śledztwo nadal się toczy, więc jego komentowanie może mieć prawne konsekwencje.

Autor: Administrator forum StudentNet, 16.26

Gdyby ci się chciało przeczytać wątek, to zauważyłbyś, że nikt nie wymienił jego nazwiska, więc się mylisz.

Autor: Barley Mow, 16.26

*

**E-mail od profesora Jeremy'ego Cooke'a
23 lipca 2012**

OD: jfhcooke@gmail.com

DO: Elizabeth_Salmon101@hotmail.com

TEMAT: Powiedz mi

Moja droga Liz,

miałem zamiar napisać do Ciebie, żebyś nie dowiedziała się od kogoś obcego, ale okoliczności mnie przerosły. Tamten list był – jest – mojego autorstwa. Moje pismo zawsze było pełne zawijasów.

Możesz mi nie uwierzyć, ale kiedy zacząłem zbierać materiały o Alice, ledwie o nim pamiętałem. W 2004 roku znajdowałem się w dość skomplikowanym położeniu. A potem pojawiła się Alice i tak bardzo przypomniała mi o wszystkich emocjach, które próbowałem – i w dużej mierze zdołałem – ujarzmić. Co tu kryć: przypomniała mi Ciebie. A kiedy dowiedziałem się, kim ona jest, poczułem, jakby fragment mojej przeszłości – fragment mnie samego – wrócił do życia. Pewnego razu zaprosiłem ją na zakrapianą alkoholem imprezę, coroczny bankiet na wydziale antropologii.

– Brzmi jak niezły ubaw – zażartowała. – Ale czy to nie impreza dla kadry?

– Dostaniesz dyspensę, bo twoja matka kiedyś tu pracowała.

Zawahała się.

– Będzie darmowy alkohol – poinformowałem ją i to przeważyło.

– Wy to dopiero umiecie się bawić – powiedziała, patrząc, jak powłóczymy po sali nogami niczym ledwie ciepłe zwłoki. – Gdzie muzyka? Gdzie wóda?

Trzy godziny później znaleźliśmy się w moim gabinecie. Wyciągnęła jointa z kieszeni i wypaliliśmy go na spółkę. Często myślałem sobie, że moje wspomnienia z czasów studiów powinny dotyczyć właśnie czegoś takiego. Powiedziała, że kręci jej się w głowie, i usiadła mi na kolanach, na co ja odparłem, żeby tego nie robiła. Potem zasnęła wciśnięta w róg sofy, a ja okryłem ją swetrem i chciałem ją nim opatulić, ale ona objęła mnie za szyję.

– Ładnie pachniesz – powiedziała. Nie zamierzałem zrobić tego, co zdarzyło się potem, ale pogładziłem dłonią jej włosy i doznałem czegoś na kształt elektrycznego wstrząsu: to Ty przeszyłaś mnie jak nagły prąd.

Jestem pijany, Liz. Nie żeby było to widać. Tego także nie umiem zrobić jak trzeba: upić się. Spójrz tylko na tego maila – nawet przekłeta interpunkcja jest bezbłędna. Jeszcze się napiję. Lubieżny wykładowca zaleje się w sztok. Trzeźwy pijak. Z tego co wiem, to oksymoron. Posłuchaj mnie tylko: oksymoron! Jestem pretensjonalny, nawet kiedy się spiję.

Fliss wie wszystko o naszym romansie. To, co zrobiłem z Alice, złamię jej serce, ale jestem jej winien prawdę. Nie możemy umrzeć, chowając przed sobą sekrety, a ja, szczerze mówiąc, tonę pod ich nadmiarem. Żałuję, że nikt mi wcześniej nie powiedział, że tajemnice zżerają duszę.

Często odnosiłaś się do „tu i teraz”, Liz – cóż, problem polega na tym, że to cholernie przemijające. Kto by pomyślał? Wielki R. Gnojek jedyny w swoim rodzaju, na tyle rzadki, że jego rozwój nie podlega jakimkolwiek przewidywaniom. Nie wykończy mnie natychmiast, ale to, czy przekroczę próg siedemdziesiątki, jest dość wątpliwe. Przepraszam, jeśli jest to dla

Ciebie niesmaczne, ale choroba tak jak wiek zmniejsza poziom empatii i uodparnia na zażenowanie.

Czy masz tyle serca, by nie czuć do mnie wyłącznie wstrętu? Liz, z którą dzieliłem część mojego życia, miałyby. Ta, z którą stałem na plaży Chesil, która wydawała z siebie okrzyki radości na widok tycjanów i caravaggiów w National Gallery, która, choć miała dwadzieścia parę lat, zachowywała się jak dziewczynka – uśmiechnęła się od ucha do ucha, dowiedziawszy się, że aksamitny meszek na porożu jelenia nazywa się scypuł. Zrozumienie i wybaczenie, właściwie tylko to się liczy. I sprawiedliwość.

Nie powinniśmy się tego wstydzić: nie możemy wybielić naszej historii. Tworzyliśmy związek, spaliliśmy ze sobą, pieprzyliśmy się. Liczymy się.

Pada deszcz. Może dzisiaj zostanę tu na noc. Nie pierwszy raz obudzę się pomiędzy chaosem kartek, a na telefonie pikać będą nieodebrane połączenia od Fliss. Naraziłem tę kobietę na tyle zmartwień. Byłem takim samolubem. Czy nie jest tak, że to, jak ktoś zostanie oceniony, podyktowane jest jego typowym zachowaniem? Każdy człowiek składa się z sumy swoich dni, nie najlepszej i najgorszej rzeczy, jaką zrobił w życiu. Czy to nie byłby bardziej sprawiedliwy barometr ludzkiego istnienia, tego, jakim się jest?

Kiedy się obudzę, może będzie lepiej. Powiedz mi, że tak. Powiedz mi, że będę spał. Powiedz mi, że nie będę się gapił nocą po ścianach, próbując powstrzymać krzyk, nie będę przytulać moich książek albo pisać na szybach skrótów: JFHC RIP. Powiedz mi, że się obudzę i że znów będę miał dziewięć lat – dziewięć albo powiedzmy czternaście, zadowoliliby mnie nawet trzydzieści pięć. Przetrwam ostre żądło pasa mojego ojca, tego potwornego, starego drania, szkolne drwiny, zlewającą się w jedno szarość szpitalnych wizyt Fliss i tych coraz bardziej hipotetycznych rozmów o imionach, dziecięcych pokojach i szkołach, a nawet pustoszącą rozpacz wieku średniego. Przyjąłbym każde z nich, byleby nie być mężczyzną, który czuje

na sobie ciężar nadciągającego czarnego końca.

Pozwól mi spać spokojnym snem. Pozwól mi na whisky. Pozwól mi odejść łagodnie.

Czy dla Ciebie to było łagodne, kiedy niemal odeszłaś do tej dobrej nocy? Tamtego dnia w refektarzu, mając nad głową czarne belki wojennych okrętów Tudorów, stały wytarte łokciami pokoleń akademickich nauczycieli zbyt daleko pod twymi stopami. Musiałaś się czuć taka samotna.

Po naszym rozstaniu chodziłem do terapeuty, którego interesował jeden szczególny epigram: ból musi mieć gdzieś swoje ujście. Teraz mój ból znajduje je w Tobie. To niesprawiedliwe, ale gdzie indziej mógłby pójść? Gdzie pójdzie dalej, zależy już tylko od Ciebie. Jestem zbyt zmęczony, by się tym przejmować. Czy to nie zaskakujące? Człowiek, który zaciekle bronił podejmowania własnych decyzji, składa swój los w ręce kogoś obcego.

Miej nade mną litość. Rzuć mnie na pożarcie lwom. Ty decydujesz.

Da sobie radę, kiedy ja odejdę. Mam na myśli Fliss. Po prostu wiem, że tak będzie. Da mi powody do dumy. Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o sobie.

Dobranoc. Pchły na noc. Karaluchy pod poduchy. To powiedziałbym dzieciom, gdybym je kiedykolwiek miał.

Przepraszam.

Z wyrazami miłości

Jem

*

Oświadczenie wydane przez policję hrabstwa Hampshire

7 kwietnia 2012

Dwudziestosiedmioletni mężczyzna aresztowany w związku z podejrzeniem zabójstwa byłej mieszkanki Southampton został zwolniony bez postawienia mu zarzutów.

Policja potwierdziła, że mężczyzna opuścił areszt, w którym umieszczono go po przesłuchaniu dotyczącym śmierci Alice Salmon 5 lutego.

Policja dokonała zatrzymania wczoraj, po zgłoszeniu się nowego świadka związanego ze sprawą, ale mężczyzna zamieszkujący w południowym Londynie został zwolniony dziś po południu.

Detektyw nadinspektor Simon Ranger powiedział: „Nasze śledztwo prowadzi do ustalenia dokładnych okoliczności śmierci Alice. Sekcja zwłok wykazała, że zgon nastąpił w wyniku utonięcia, ale nadal systematycznie pracujemy nad ustaleniem okoliczności poprzedzających to zdarzenie. Dziękujemy osobom, które do tej pory nam pomagały, i podkreślamy, że nadal z chęcią porozmawiamy z każdym, kto tamtego wieczoru widział Alice lub był świadkiem jakichkolwiek zdarzeń nad rzeką Dane”.

Ciało Alice Salmon zostało znalezione 5 lutego o 7.15 GMT.

Jeśli posiadasz informacje, które mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie dla dochodzenia, prosimy o kontakt z centrum koordynacyjnym policji lub anonimowy telefon na infolinię 0800 555 111.

*

Fragment transkrypcji przesłuchania Elizabeth Salmon przeprowadzonego w komisariacie w Southampton przez detektywa nadinspektora Simona Rangera i detektywa

Julie Welbeck
4 sierpnia 2012, 17.45

E.S.: Ma pan dzieci?

S.R.: Tak, jedno, córkę.

E.S.: Ile ma lat?

S.R.: Siedem. Czemu pani pyta?

E.S.: Bo dorastają i nie da się ich więcej chronić. Robisz, co w twojej mocy, żeby skierować je na jak najlepszą drogę, ale potem trzeba stać z boku i patrzeć, jak się oddalają. Nie można owinać ich wata. Chronimy nasze dzieci czy pieprzymy im w głowach – jaka jest rola rodzica?

S.R.: Czy jest jakiś konkretny powód, dla którego dziś pani zadzwoniła, pani Salmon? Nie spodziewaliśmy się pani.

E.S.: Poszłam złożyć kwiaty w... w... nad rzeką. Woda musiała być taka zimna...

S.R.: Rozumiem, że chce się pani z nami podzielić jakimiś nowymi informacjami.

E.S.: Minęło pół roku. Gdzie są moje odpowiedzi?

S.R.: Rozumiem, jakie to dla pani musi być bolesne.

E.S.: Naprawdę? Wątpię, żeby pan to rozumiał. Bo kończy pan zmianę i wypełnia papierki – co pan napisze o mnie, że jestem niekonsekwentna, nieźrównoważona, pijana? – i układa pan swoją córkę do snu, a ja... ja... ja nie mam najbledszego pojęcia, co robię. [*Przesłuchiwana wstaje i zaczyna chodzić po pokoju... Znowu płacze...*]

E.S.: Nie jestem głupia.

J.W.: Nikt tego nie sugeruje. Może napije się pani herbaty?

E.S.: Herbaty? Nie, żadnej herbaty. On ją śledził.

S.R.: Kto?

E.S.: Ten wykładowca, który pisze książkę o Alice. Śledził ją, kiedy była na uczelni... Wykorzystał ją, naprawdę... on w średnim wieku, a ona na pierwszym roku, ledwie skończyła osiemnaście lat, pierwszy raz mieszkała poza domem. Aż mnie mdli, kiedy pomyślę, że zwabił ją do tej swojej pieczary, czekał, aż się upije, a potem się na nią rzucił. Moje małeństwo, baranek na rzeź. Mam dowody. Mam e-mail od Cooke'a, w którym się do tego przyznaje.

S.R.: Proszę zwolnić, pani Salmon.

E.S.: Jak w konfesjonale, może ten wąż nawrócił się na katolicyzm. Było Boże Narodzenie 2004 roku, zabrał ją do tego ohydneho gabinetu, który bardziej przypomina norę i... [*Przesłuchiwana kołysze się na krześle w przód i w tył, płacze, patrzy w górę...*] Musicie go aresztować!

S.R.: To nie takie proste.

E.S.: Ale mam dowody, jego przyznanie się do winy. To dowód.

S.R.: Rozumiem, że to bolesne...

E.S.: Po stracie dziecka nic już nie jest bolesne. Są tylko warstwy ośpienia.

J.W.: Pani Salmon, czy pani piła?

E.S.: A czym jest alkohol? Kolejną warstwą ośpienia – to woda ściekająca po lodzie. Pan by nie pił na moim miejscu?

S.R.: Tak, tak, pewnie bym pił. Jest pani pewna, że nie chce tej herbaty?

E.S.: Przestańcie z tą herbatą! Co to pomoże? Alice nie żyje. Pastor powiedział: „pewnie Bóg potrzebował kolejnego anioła”, ale ona nie należała do Boga, żeby mógł ją sobie ot tak wziąć, ten anioł należał do mnie. Poddaliście się, gdyby nie to, że media wciąż trąbią o tej sprawie, zupełnie byście o niej zapomnieli. To, co mówią, może nie zawsze jest zgodne z prawdą, ale przynajmniej nie odpuszczają.

S.R.: Zapewniam panią, że nasze dochodzenie jest bardzo szeroko zakrojone i cały czas mamy oczy otwarte.

E.S.: Dajcie sobie spokój z otwieraniem oczu – powinniście aresztować Cooke’a.

S.R.: Czy pani córka wspomniała pani albo komuś innemu o tym domniemanym zdarzeniu? Kiedy to się stało?

E.S.: Nie ma w tym nic domniemanego i nie, nie wspomniała, a przynajmniej nie mnie. Trzymała to w sobie – gdybym tylko się o tym dowiedziała, zadzwoniłabym na policję w ciągu milisekundy... a potem sama złożyłabym potworowi wizytę, aż by pożałował, że w ogóle się urodził. *[Przesłuchiwana obejmuje się rękami, potem płacze...]*

E.S.: Ale wy szukaliście tylko wiatru w polu i uczepiliście się Luke’a – w życiu nie słyszałam większej głupoty.

S.R.: Aresztowanie kogoś podejrzanego o zabójstwo to nie jest krok, który podejmujemy bez uzasadnienia.

E.S.: Ten chłopiec kochał moją córkę i ja zawsze będę za to kochać jego. To Cooke’a powinniście przesłuchiwać. Ktoś ją zamordował, a on miał najwyraźniej obsesję na jej punkcie – i wtedy, i teraz.

S.R.: Skąd u pani ta pewność?

E.S.: To nie był wypadek, a moja Alice na pewno by nie... wie pan, nie zrobiłaby tego sama. Zresztą to mi się też przyśniło.

J.W.: To chyba dobry moment, żeby zrobić sobie kilkuminutową przerwę.

E.S.: Biedny chłopak, przeżywa taką stratę, a wy mieszacie go z błotem.

S.R.: Z całym szacunkiem, moja praca polega na sprawdzeniu wszystkich schematów.

E.S.: Schematów. Schematów? Oto jeden: deszcz na szybie za pana plecami. Alice by się spodobał. Odciski zwierzęcych łap na śniegu, bąbelki

w lemoniadzie, pręgi na kocie, którego miała w dzieciństwie... nazwała go Gandalf. Fascynowała się *Władcą Pierścieni* na długo, zanim pojawiły się filmy.

J.W.: Pani Salmon, wiem, że sytuacja jest dla pani trudna – i to całkiem zrozumiałe. Czy konsultowała się pani z lekarzem?

E.S.: Tak, ale on nie umie pomóc.

S.R.: Czy zażywa pani jakieś leki, o których powinniśmy wiedzieć?

E.S.: To się nazywa samoleczenie!

J.W.: Zakładam, że kiedy skończymy rozmawiać, uda się pani do domu?

E.S.: Do domu? Może do domu.

J.W.: Czy czeka tam na panią mąż?

E.S.: Wyjechał... [*Przesłuchiwana płacze*].

E.S.: Można mieć pewność, że twoje grzechy do ciebie wrócą.

S.R.: Słucham?

E.S.: Zrobiłam coś strasznego. Alice zobaczyła maila, którego Jem – to znaczy Cooke – przysłał mi w dniu jej śmierci.

S.R.: Dlaczego przysłał pani maila?

E.S.: Próbuje uporządkować swoje sprawy, zanim kopnie w kalendarz, a kiedyś byliśmy parą.

S.R.: Co było w nim napisane? Jak Alice na niego zareagowała?

E.S.: Nie rozmawialiśmy... Wysłała mi za to mnóstwo SMS-ów... napisała, że jestem ohydłą hipokrytką, kłamczuchą, że jestem dwulicowa... Jest taka do mnie podobna, furiatka. Wierzy pan w karmę, panie nadinspektorze? Bo musiałam zrobić jakieś straszne rzeczy w poprzednim życiu.

J.W.: Dobrze się pani czuje? Potrzebuje pani chwili przerwy?

E.S.: Oczywiście, że nie czuję się dobrze. Nie byłam nawet bliska

dobrego samopoczucia od 1982 roku. A jeśli on będzie się chciał rozprawić i ze mną? Nie ma nic do stracenia.

J.W.: Powinniśmy chyba skontaktować się z pani mężem – gdzie go teraz zastaniemy?

E.S.: Nie wiem w tej kwestii więcej niż wy. Mam nadzieję, że ta przeklęta książka doprowadzi Cooke'a do bankructwa. Czym jest książka, panie nadinspektorze? Papier, tusz, próżność. Milion stron nie jest wart szczęścia choćby jednej osoby.

S.R.: Pani syn – ma na imię Robert, prawda? – czy może on mógłby po panią przyjechać?

E.S.: Nie przyjedzie. Niech pan zgadnie, jak mnie nazwał w zeszłym tygodniu? Moczymordą! Własną matkę! Urocze. Mogę tu trochę posiedzieć?

S.R.: Oczywiście, może pani zostać, jak długo zechce, ale czy będzie miał kto potem po panią przyjechać?

E.S.: Czy funkcjonariusz zajmujący się tą sprawą będzie mógł przyjechać do mojego domu? Chyba nie ufam sobie na tyle, by być dzisiaj sama.

*

Wpis na blogu Megan Parker 3 sierpnia 2012, 20.24

To, co robi Cooke, jest chore. Obiecał mi, że to będzie hołd, a wyszła próba zniesławienia. Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek pomagałam tej cmentarnej hienie. JPRDL! A niby jestem specjalistką od komunikacji. Miałam najlepsze intencje, lecz rozpacz mnie zaślepiła. Ale to już koniec – nie mam z nim już nic do czynienia i nawołuję wszystkich moich znajomych

i znajomych Alice, aby zrobili to samo.

Jest gorszy niż prasa bulwarowa – jak gdyby grzebanie w przeszłości Alice nie wystarczyło, teraz uczeplił się ostatnich kilku godzin jej życia.

Nawet oficjalnie wsparł Luke'a, choć wcześniej zapewniał mnie, że musimy ufać władzom. Tylko jak można im ufać, kiedy słyszy się o tylu sądowych pomyłkach?

Powiem szczerze, Cooke nie jest normalny. Na początku go lubiłam, ale więcej chce rozmawiać o mnie niż o Alice, plecie bez końca o tym, jak powinnam podążać za moim marzeniem o powrocie na dzienne studia.

– Na pewno się dostaniesz, zwłaszcza jeśli szepnę o tobie dobre słowo komisji – powiedział.

– Dziękuję, ale na pewno nie wybiorę Southampton – wyjaśniłam. – Zbyt wiele duchów.

– Nie miałem na myśli naszego sierpniowego naboru. Moja reputacja może nie jest już taka jak kiedyś, ale mam jeszcze jakieś koneksje w akademickich kręgach. Nie żebyś potrzebowała mojego polecenia. Jesteś inteligentna, wrażliwa, masz doświadczenie w branży, więc przeróżne uczelnie będą się o ciebie zabijać, a jeśli nie, to do cholery, powinny!

A kilka dni temu – co za niespodzianka, jego żona dziwnym trafem była poza domem – poszedł odebrać telefon, a ja miałam okazję powęszyć (Alice mówiła, że wścibstwo to bardzo dobra cecha!) i w jednej z szuflad znalazłam teczkę ze zdjęciami nienależącymi do naszej kolekcji. Wciśnięta pomiędzy nie leżała ziarnista fotografia, jakby to był wydruk skanu zwykłej, starej odbitki. To była Alice jako DZIECKO na plaży. Aż mnie zmroziło i potem – bałam się wzbudzić podejrzania – musiałam siedzieć z Cookiem w jadalni, mając przed oczami obraz Alice w różowym bikini w kropeczki, z kroplami wody na ramionach, podczas gdy on serwował mi teksty o etapach żałoby, jakby cytował podręcznik. Jakby brakowało mu jakiegoś pierwiastka. Każdy

mięsień w moim ciele krzyczał: Uciekaj...!

Rozprawiał o poczuciu winy. Od czego mam zacząć? Od poczucia winy, że nie byłam razem z nią w tamten weekend i się nią nie zaopiekowałam, poczucia winy, że nie odebrałam jej SMS-ów, jej wiadomości głosowych, poczucia winy, że nie byłam lepszą przyjaciółką? A poza tym (zawsze się kłóciłyśmy, czy można zacząć zdanie od „a”, ale w tej kwestii jej zdanie, że można, było niezmiennie... nawet stosowanie nawiasów mi o niej przypomina, bo robiła to bardzo często) jest jeszcze gniew. Gniew na to, jak starzy faceci mogą zbierać dziecięce zdjęcia Alice w kostiumie kąpielowym, a flirciarze tacy jak Luke mogą iść się napić, po tym jak skłamali policji. Chloe i Lauren uważają, że nie powinnam być dla niego taka okropna, ale dlaczego nie? Jeśli pozwolę, by ten gniew odszedł, będzie tak, jakbym dawała odejść jej.

Przestanę prowadzić bloga. Myślałam, że przez pisanie uczczę pamięć Alice, ale tak nie jest. Może i trzeba wypełnić puste miejsca, ale pogodzenie się z jej odejściem jej nie przywróci. Ta lubieżna fascynacja szczegółami, ta obsesja, by uchwycić logikę tam, gdzie – być może – ona nie istnieje. Nie tak okazuje się szacunek. Szczegóły ostatnich chwil życia należą do Alice, nie do nas... To jedyny sekret, jaki pozostał jej na tym etapie, zwłaszcza gdy Cooke opublikuje swoją paskudną książkę.

Opinia publiczna zdaje się skłaniać ku teorii, że na końcu Alice była sama, więc dokładne szczegóły z tego momentu nie mają chyba znaczenia. Ignorujcie Cooke'a, to smutny, zdyskredytowany dewiant, zafiksowany na szukaniu intrygi i skandalu, tam gdzie ich nie ma. Ten człowiek nie doświadczył w swoim życiu wystarczająco dużo ekscytacji czy dramaturgii, więc próbuje wypełnić lukę. Czy Alice poślizgnęła się na błotnistym brzegu, czy potknęła o korzeń drzewa, czy też zatrzymała na chwilę, by spojrzeć w zachwycie na pobłyskującą czerń, i postanowiła ze wszystkim skończyć?

Nawet jeśli postanowiła w pijanym widzie, że nadszedł czas, no wiecie... zasnąć wiecznym snem, przynajmniej to pozwólmy jej zachować tylko dla siebie. Jej ostatnią tajemnicę. Stosowny hołd.

Ta nasza Alice miała duszę romantyczki, słabość do czerwonych róż, tragicznych bohaterek, rozmazanego łązka atramentu w miłosnym liście. (Alicjo-Policjo, teraz moje łązki spadają na klawiaturę). A więc ty, Alice, upiłaś się i wpadłaś do rzeki... gdybyś nie umarła, śmiałybyśmy się do rozpuku, byłyby to historia, którą opowiadałybyśmy przy różnych okazjach – urodziny Franceski są już za cztery tygodnie, teraz cię to ominie. To bardzo w twoim stylu, kochana.

Śmierć jest przypadkowa, a jeśli opierasz się tej myśli, pytania doprowadzą cię do szaleństwa.

„Będzie tyle pytań pozostawionych bez odpowiedzi, że starczyłoby na książkę”, powiedziała kiedyś mama Alice podczas jednej z naszych wielogodzinnych, łązawych, ciągnących się do późnej nocy rozmów.

Pijane dziewczyny naprawdę wpadają do rzek i topią się w nich.

Zanim pozwolę najlepszej przyjaciółce, jaką kiedykolwiek miałam, spoczywać w pokoju, muszę wyjaśnić jeszcze jedną, ostatnią rzecz. Nie wiercie w ani jedno słowo opublikowane w książce przez naszego sławetnego, wychwalanego profesorka, który zbiera zdjęcia dziewczynek w kostiumach kąpielowych. Bo on ma swój plan, nie dajcie się zwieść, to zboczenie, który próbował mnie wykorzystać. Kiedy wymówiłam się i wstałam od stołu w jadalni, jego ręka ścisnęła mnie jak imadło.

Publikuj i niech cię szlag, prawda, Lisso?

Komentarze pod wpisem:

Bezskutecznie próbowałem skontaktować się z Tobą drogą mailową i telefonicznie, nie mam więc innego wyboru, niż pozostawić tutaj swój

komentarz. Rozumiem Twoje zdenerwowanie, ale to, co piszesz, to bardzo poważne – i bezzasadne – pomówienia. Jeśli nie usuniesz ich w ciągu dwunastu godzin, podejmę kroki prawne. Jestem Tobą wielce rozczarowany, Megan.

Jeremy „Srebrny Surfer” Cooke

„Podjąć kroki prawne” – nie boję się ciebie, profesorze Cooke. Nie dam się zastraszyć prześladowcom takim jak ty, Alice by tego nie chciała. Mam prawo do własnego zdania. Kończę z blogowaniem, ale nie dlatego, że jest ci to na rękę. To, co tu już jest, zostanie z szacunku dla Alice. A to, jeśli nie zauważyliście – mówię tu do ciebie, Luke’a i reszty sędów – jest przywilejem, którego moja najlepsza przyjaciółka nigdy nie miała.

Megan Parker

Megan, zupełnie ci odbiło. Nie wierzę, że mogłaś napisać coś takiego o Jeremym. To porządny gość. To, co napisałaś o mnie, to stek kłamstw – tak, zostałem aresztowany, ale mnie zwolniono, czyli NIE oskarżono. Policja by to zrobiła, gdyby miała wobec mnie choć najmniejsze podejrzenia. Alice nie chciałaby, żebyśmy kłócili się o jej pamięć, więc nie rób z siebie świętszej od papieża – tak, tak, byłaś jej najlepszą kumpelą, ale nie odwiedziłaś jej od wieków. Jedna wzmianka w gazecie o „Trzydziestu przed trzydziestką, o których jeszcze usłyszymy”, a ty odwróciłaś się plecami od swoich najlepszych przyjaciół. Poza tym Alice powiedziała mi, że kiedy ostatnim razem rozmawialiście, nieźle na nią wyjechałaś.

Luke A.

Dlaczego więc policja tak chętnie z tobą rozmawia, skoro jesteś niewinny, Luke? Musieli mieć jakiś powód, bo inaczej nie ściągnęliby cię do Southampton. Może puścili cię wolno, ale to wcale nie znaczy, że jeszcze cię

nie oskarżają. Mam już dość tego, jak traktują mnie ludzie za to, że w jednym głupim wywiadzie ośmieliłam się powiedzieć, że Alice nie była idealna. Z prawdziwymi przyjaciółmi nie trzeba udawać. Byłam jej najstarszą przyjaciółką, nie jakimś przejściowym chłopakiem! Właściwie to nawet brak szacunku twierdzić, że była zakonnica – lubiła wino, lubiła się upić, to żadna zbrodnia. Ze wszystkich ludzi ty powinieneś wiedzieć o tym najlepiej, choć założę się, że nie opowiedziała ci o jednym weekendzie, kiedy była tu w grudniu, co? Kiedyś tak strasznie się upiła, że spadła ze schodów, pociągając mnie za sobą. Pewnie to sobie wyobraziłam, co?

Megan Parker

Założę się, że byłaś równie nawalona.

Luke A.

Otóż nie. Jak chcesz wiedzieć, to ja nie piłam, i jeśli to była czyjaś wina, że Alice tak się napruła, to twoja, bo dzień wcześniej odkryła, że wsadzałeś w Pradze której popadnie. Była roztrzęsiona i potrzebowała towarzystwa, więc daruj sobie te kazania!

Megan Parker

*

**Fragment transkrypcji przesłuchania Jessiki Barnes
przeprowadzonego w komisariacie w Southampton przez
detektywa nadinspektora Simona Rangera
5 kwietnia 2012, 17.20**

S.R.: Gwoli ścisłości, pani opinia jest taka, że po tym jak mężczyzna

„wziął ją za szyję, ale nie w miły sposób”, uciekła, zgadza się?

J.B.: Tak. Już tłumaczyłam. Wyrwała się. Zwiąła.

S.R.: To bardzo istotne, pani Jessico. Jest pani w stu procentach pewna?

J.B.: Tak, ona poszła w jedną stronę, a on w drugą.

S.R.: Czy któreś z nich mogło być świadome pani obecności?
[Przesłuchiwana wzrusza ramionami].

J.B.: Może on potem wrócił, ale ja już poszłam do domu. To, co się stało, to jest najbardziej kurewska rzecz z możliwych.

S.R.: Jak bardzo była pijana?

J.B.: Nie była nieprzytomna, ale trzeźwa też nie. Zataczała się, ale szła.

S.R.: „Zataczała się, ale szła”? W którą stronę?

J.B.: W stronę tej takiej jakby śluzy. Tam jest strasznie. Od czasu do czasu słyszy się, że wciągnęło tam psa. Bardzo niebezpieczne miejsce, wszyscy o tym wiedzą.

S.R.: Alice Salmon pewnie nie wiedziała.

J.B.: Czyli to była ona! Wiedziałam.

S.R.: Ale twierdzi pani, że mężczyzna w czarnej koszulce, mężczyzna, do którego ona zwracała się Luke, na tym etapie nie znajdował się już nigdzie w pobliżu?

J.B.: Nie, to znaczy tak.

S.R.: Gdzie poszedł?

J.B.: W drugą stronę, w kierunku głównej drogi.

S.R.: Do tego czasu pewnie już dawno wypaliła pani tego papierosa.

J.B.: Tak, ale wtedy zaczęłam się martwić.

S.R.: Dlaczego zaczęła się pani martwić, Jessico?

J.B.: Bo ona zaczęła się wspinać na tamę.

S.R.: Po co mogła to robić?

J.B.: Dzieciaki robią tak latem, żeby popływać.

S.R.: Ale to nie było lato, prawda? Był luty.

J.B.: Dlatego to było takie dziwne. Patrzyłam na to, jak czasem patrzy się na wideo na YouTube i nie wiesz, czy jest prawdziwe, czy ustawione.

S.R.: Mogę panią zapewnić, że to nie YouTube. Ktoś nie żyje.

J.B.: Nie zrobiłam niczego złego. Chcecie mnie aresztować?

S.R.: Nie, może pani wyjść w dowolnym momencie, ale wspinanie się na ten jaz to dość nietypowe. Może pani do niej zawołała?

J.B.: Tak, tak właśnie zrobiłam, przysięgam, że wrzeszczałam, ale ta dziewczyna była strasznie daleko i w swoim świecie. Trochę też zamarłam, jak kiedy masz koszmar i tak srasz ze strachu, że aż nie możesz wydobyć z siebie głosu.

S.R.: Co się stało dalej?

J.B.: Stała na kładce z krat i przeszła na drugą stronę płotka, a ja pomyślałam, kurka, co ona wyprawia. To prawda? Była w ciąży?

S.R.: Co wtedy zrobiła?

J.B.: Na górze jest taka jakby platforma i ona się na nią wspięła. Była chyba z sześć metrów nad rzeką, a ja, no, ja spanikowałam. Nie wiem, dlaczego to miejsce nie jest ogrodzone porządnym płotem, Dziecko by pokonało te zabezpieczenia. To mi przypomniało tę reklamę w telewizji, gdzie jakiś dziadek wchodzi na gzyms, bo się upił, i myśli, że umie latać, tylko że ona była ostrożna.

S.R.: Ostrożna?

J.B.: Tak, taka jakby skupiona. Kiedy ludzie są nawaleni, to czasem zachowują się jak wariaci, biegają w kółko i krzyczą. A ona na odwrót: była bardzo dokładna. Jakby robiła wszystko w zwolnionym tempie. Ani przez chwilę nie pomyślałam, że spadnie. Pomyślałam, że ona wie, co robi. I wtedy sobie to uświadomiłam.

S.R.: Co? Co sobie pani uświadomiła?

J.B.: Że ona ma zamiar skoczyć.

[15] Fragment wiersza *Dni* Philipa Larkina w przekładzie Stanisława Barańczaka. Zob. Ph. Larkin, *44 wiersze*, tłum. S. Barańczak, Kraków 1991, s. 75.

[16] „Powiedz cześć i pomachaj na do widzenia”.

V

NIE ŻEGNAJĄC SIĘ X

Fragment pamiętnika Alice Salmon, lat 25 9 grudnia 2011

Udawałam, że niczego nie usłyszałam w restauracji. Gdybym tak nie zrobiła, tobym wybuchła – poważnie, wpadłabym w szal, zaczęła płakać, krzyczeć albo rzuciła jedzeniem Luke’a w jego tłustą, zarozumiałą głowę. Plus – taka ze mnie idiotka – nadal po cichu wierzyłam w jego niewinność. Mama zawsze mówiła, że jestem w gorącej wodzie kąpana, więc czekałam, aż powie coś w stylu „tylko nie zrozum opacznie tej rozmowy między mną a Adamem” albo „nie zwracaj uwagi na Adama, plecie trzy po trzy”. Ale tego nie zrobił, a ja się nie przesłyszałam ani nie zrozumiałam niczego opacznie, bo może jestem głupia, ale nie aż tak.

Nic dziwnego, że tak desperacko chciał do mnie przyjść po swoim powrocie z Pragi. To się dopiero nazywa nieczyste sumienie. Zadzwoił od razu, jak tylko wylądowali na Heathrow.

– Jest niedziela – oponowałam, wiedząc, że w pracy czeka mnie ciężki poniedziałek.

– Proszę – przekonywał mnie.

– No dobra, niech ci będzie – powiedziałam i godzinę później wszedł do mojego mieszkania pewnym siebie krokiem z plecakiem na plecach, bukietem kwiatów w dłoni i bez jednej brwi (zgoilił ją ponoć w jakimś zakładzie).

– Coś ty tam wyrabiał? A może nie powinnam pytać!?

– Co się dzieje w trasie, pozostaje w trasie – zaśmiał się.

Najwyraźniej.

Padł przed telewizorem. Przez dwie ostatnie noce spał tylko po kilka

godzin.

Siedziałam z tym dwulicowym kłamaczą w restauracji po tej samej stronie stolika. Towarzyszyły nam jeszcze trzy osoby i siedzieliśmy na przemian: chłopak, dziewczyna, chłopak, dziewczyna. Spotkaliśmy się z jego znajomymi z pracy i mimo że następnego dnia czekały mnie świąteczne zakupy, nie miałam zamiaru zachować się aspołecznie i się wymigać. W drodze do toalety przetoczył się przed nami gość, który siedział przy barze, i kiedy zauważył Luke'a, klepnął go po ramieniu, przykucnął przy nim i zaczął nawijać. Był znajomym Charliego z jego rodzinnego miasta, a do Londynu wpadł na weekend, poznali się podczas wyjazdu do Pragi.

– Piłeś tequilę w irlandzkim barze, kiedy widziałem cię po raz ostatni – powiedział Luke.

– Niezły wyjazd, co?

Rozmawiali – „zacieśniali znajomość”, rzekłby Luke – o jakiejś sprzeczce w barze i pijackich grach i poczułam ukłucie zazdrości. Chciałam być częścią tej rozmowy. Ciekawe, jak to jest być chłopcem, pomyślałam wtedy. Na pewno zdecydowanie inaczej.

A gdy po meczu wyszliśmy z restauracji, miał czelność zapytać:

– U ciebie czy u mnie?

– U mnie – odpowiedziałam, bo chciałam być na swoim terytorium, kiedy zadam mu to pytanie.

Wsiedliśmy więc do metra na Leicester Square w stronę Balham, jak zwykła, normalna para. Miał dziesięć przystanków, żeby się przyznać albo zaprzeczyć. Wystarczyłoby nawet przyznanie, że jego rozmowa z Adamem nie była wytworem mojej wyobraźni. Ale on usiadł, zgarbił się na swoim siedzeniu, rozstawiając szeroko nogi, tak że inni pasażerowie musieli je omijać, i nie powiedział absolutnie nic. Jestem taką idiotką. Kiedy pojawił się u mnie po Pradze, zbył wszystkie moje pytania o to, co robili, odpowiedzią:

„głównie barowaliśmy”, a ja to połknęłam. Czemu nie? Nawet kiedy dodał: „oczywiście odwiedziliśmy jeden czy dwa kluby ze striptizem”, nie byłam zachwycona, ale tak się zachowują faceci i podobało mi się to, że może się tym ze mną podzielić.

Zgodnie z ugrzecznioną wersją zobaczyli zamek, ale nie weszli do środka. Zastanawiali się, czy nie pójść do Muzeum Komunizmu, ale ostatecznie się nie zdecydowali. Luke rozplątywał się nad mostem Karola i jego barokowymi figurami i poinformował mnie, zadowolony z siebie, że nakręcono tam jedną z części *Mission: Impossible*.

– Wypiliśmy też kawę na Rynku Staromiejskim. To się liczy jako kulturalne zwiedzanie? – zażartował, poprawiając poduszki i wyciągając się na kanapie.

– W twoim przypadku tak.

– Stęskniłem się za tobą – oznajmił.

– Ja za tobą też – odpowiedziałam.

– Jestem już na to za stary – stwierdził. – Czuję się fatalnie.

Obserwowałam Luke’a i jego kolegę. Gość miał ten sam swobodny sposób bycia co on, ale nie był nawet w połowie tak przystojny. Mój chłopak, pomyślałam, patrząc, jak potakuje i śmieje się. Mówili o tym, jaka to tragedia, że Gary Speed się powiesił, i co teraz zrobi Apple, skoro Steve Jobs nie żyje.

– Są na twórczym rozdrożu – powiedział Luke, a ja postanowiłam to zapamiętać, ponabijam się z niego później. „Twórcze rozdroże – powiedziałabym – rozumiem!” Potem przestałam właściwie zwracać uwagę na ich rozmowę i włączyłam się w konwersację po mojej lewej stronie na temat nowej wystawy w muzeum Tate Britain. Luke mrugnął do mnie, jakby mówił „przepraszam, niedługo pójdziemy”, i uśmiechnęłam się na to czule: spotykaliśmy się już od półtora roku.

– Ile tequili wypiliśmy na tym wyjeździe? – mój chłopak zapytał swojego nowego najlepszego kumpla.

– Nie mam pojęcia – tamten odpowiedział. – I ty chyba też nie, bo przez większość czasu posuwałaś tę laskę z Dartmouth.

*

**Artykuł na stronie „Wiadomości Studenckich. Prosto
spod prasy”
9 września 2012**

***TYLKO U NAS: Nowy „romansowy” wątek w sprawie Salmon – z udziałem
znanego wykładowcy***

Wykładowca uniwersytecki Jeremy Cooke, który znalazł się w ogniu krytyki po tym, jak wykazał chore zainteresowanie Alice Salmon, okazał się żywić „romantyczne uczucia” do zmarłej niedawno dziewczyny.

Zniesmaczony świadek twierdzi, że znany z samotniczej natury Jeremy Cooke, który pisze książkę o tej *femme fatale*, obdarzał ją „nienaturalnie dużym zainteresowaniem”, kiedy była studentką jego uczelni.

Świadek twierdzi, że zauważyła, jak bezdzietny sześćdziesięcioletni, który mieszka w wartym pięćset tysięcy funtów domu, prowadzi tę nieszczęsną dziewczynę do swojego gabinetu, kiedy w 2004 upiła się, będąc studentką pierwszego roku.

Wypowiadając się anonimowo, była studentka studiów licencjackich, obecnie ceniona profesjonalistka osiadła w środkowej części kraju, zgłosiła się wczoraj, by rzucić światło na zachowanie profesora, który sam siebie określa jako „przeżytek” i który jeździ wszędzie charakterystycznym

rozklekotanym rowerem. Kontaktowała się również z innymi mediami, ale „Wiadomości Studenckie. Prosto spod prasy” to jedyna strona, która zgodziła się o tym napisać.

– Natknęłam się na ich dwoje pewnego wieczoru tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Ona wyraźnie słaniała się na nogach – powiedziało nasze źródło. – Zaproponowałam, że odprowadzę ją do jej pokoju w akademiku, ale profesor odpowiedział: „Nie, ta gaska jest cała moja”, na co ona zaczęła się śmiać, więc pomyślałam, że nic jej nie jest. Powinnam była dłużej się upierać, ale on był w podeszłym wieku, nie miałam więc powodów do podejrzeń.

Dopiero ostatnio, po przeczytaniu relacji prasowych o tych dwóch osobach, nasza informatorka zaczęła postrzegać zdarzenie w innym świetle i doszła do wniosku, że relacje Salmon i profesora mogły być więcej niż przyjacielskie.

– Podobno spędzali razem czas, kiedy Alice przystępowała do egzaminów końcowych. Jego uwaga pewnie jej schlebiała, jak niemal każdej młodej dziewczynie. Cooke często proponował konsultacje studentom, którzy nie chodzili nawet na jego zajęcia, obsypywał ich – zarówno dziewczęta, jak i chłopców – niestosowną wręcz dozą życzliwości i wsparcia. Alice mogła być w nim zadurzona albo go podziwiała. Może utożsamiała go z ojcem. Tak, to mógł być romans.

Była studentka powiedziała, że starania Cooke’a, by poskładać w całość życie Alice Salmon, wyglądają raczej na próbę zyskania sławy i zainteresowania niż na prawdziwe akademickie przedsięwzięcie.

– Wielu naukowców ma obsesję na punkcie uznania w środowisku akademickim i swojego dziedzictwa – powiedziała.

Opinie studentów z wydziału kulturoznawstwa, które wyciekły z bazy uczelni, ukazują, jak postrzegany jest człowiek, który ukończył publiczną

szkołę w bogatej części Szkocji i pracował tylko w jednej instytucji naukowej.

„Jest jak z innej epoki. Jakby był na autopilocie albo znajdował się w zupełnie innym miejscu” – skomentował jeden.

Inny stwierdził: „To jak czepianie się pazurami szczątków! Podobno władze uczelni próbują się go pozbyć już od czasów jakiegoś skandalu w latach osiemdziesiątych, ale od tamtej pory nie daje się usunąć”.

W czasach, kiedy nie toleruje się fizycznych kontaktów pomiędzy wykładowcami a studentami, takie oskarżenia wywołają pytania o przyszłość schorowanego wykładowcy.

„Wiadomości Studenckie. Prosto spod prasy” skontaktowały się dziś rano z profesorem Cookiem, ale odmówił komentarza.

*

**List Roberta Salmona
27 lipca 2012**

Harding, Young & Sharp
Bow's Yard 3
Londyn EC1Y7BZ

Panie Cooke,

nigdy się nie poznaliśmy, więc nie będę się rozwodzić. Jestem bratem Alice Salmon. Nie wiem, czy moja matka uznała za stosowne poinformować Pana w waszej korespondencji, że jestem prawnikiem. Wygląda na to, że we wszelkich pozostałych kwestiach wykazała się obsesyjną szczegółowością.

Moją specjalnością jest prawo korporacyjne, ale konsultowałem się z kolegami, którzy specjalizują się w prawie wydawniczym i autorskim. Pragnę zwrócić Panu uwagę, że Pańska „książka o Alice” wkracza na niebezpieczne prawne terytorium. Zniesławienie to potencjalnie bardzo kosztowna dziedzina. Sprawy, które wiążą się z takim zarzutem, są długotrwałe i kosztowne, a osobiste bankructwa nie są znów takie niespotykane wśród pozwanych. Nie można zniesławić nieżyjących, to prawda, istnieje jednak wiele prawnych szlaków, które da się przetrzeć, by powstrzymać publikację lub uzyskać roszczenia zwrotne po wypuszczeniu książki na rynek.

Zakładam, że moja matka zapomniała poprosić Pana, by powstrzymał się Pan od opublikowania dostarczonych Panu przez nią informacji oraz jej własnych przemyśleń. Komunikacja między nami jest obecnie ograniczona, jestem jednak zobowiązany przypomnieć Panu, że nawet pomijając aspekt prawny, uczynienie tego byłoby wysoce nieetyczne, biorąc pod uwagę jej obecny stan emocjonalny. Jej wymiana listów z Panem w sposób oczywisty prowokuje u niej nieprzewidywalne stany emocjonalne. Od tej pory musi Pan więc zaprzestać wszelkiego z nią kontaktu.

W chwili, kiedy rozpoczął Pan swą pogoń za Alice, otworzył Pan puszkę Pandory. Wbija Pan klin w to, co pozostało z naszej rodziny. Mój ojciec nie jest z natury zazdrosnym czy gwałtownym człowiekiem, ale wszyscy mamy swoje granice wytrzymałości. Jak zareagowałby Pan na wiadomość, że Pańska żona miała kiedyś romans z człowiekiem, który obecnie wykazuje niezdrowe zainteresowanie Pana zmarłą córką? Że Pańska żona próbowała niegdyś odebrać sobie życie? Że była (miałem zamiar powiedzieć: jest) alkoholiczką, czego, jak rozumiem, ojciec był już świadomy, ten fakt był nowością jedynie dla mnie. Moje gratulacje, Profesorze, osiągnął Pan to, co nie udało się nikomu przez ostatnie trzydzieści lat – sprawił Pan, że moja

matka znów pije.

Może uzna Pan, że podjęta przeze mnie próba nawiązania kontaktu jest niestosowna – udzielanie przeze mnie powyższych informacji może być poniekąd uznane za naruszenie zasady poufności – jednak kiedy ktoś nie jest w pełni władz umysłowych, obowiązkiem osób najbliższych jest podejmować decyzje w jego imieniu.

Musi Pan zrozumieć, że jeśli będzie Pan dalej zagrażał dobru mojej matki lub jej relacji z moim ojcem, będę Pana ścigał, aż zostanie Pan bez grosza, a ostatnią kopię Pana plugawej książki przerobi się na miazgę.

Z poważaniem

Robert M. Salmon

*

**Fragment transkrypcji przesłuchania Jessiki Barnes
przeprowadzonego w komisariacie w Southampton przez
nadinspektora Simona Rangera
5 kwietnia 2012, 17.20**

S.R.: Czyli dziewczyna weszła na podwyższenie i chciała skoczyć. Co stało się potem?

J.B.: Zaczęła śpiewać.

S.R.: Śpiewać?

J.B.: Machałam do niej i wydawało mi się, że zwróciłam na siebie jej uwagę, bo odmachala mi. Widziałam, jak w powietrzu porusza się jej telefon, to znaczy światełko wyświetlacza.

S.R.: Jak pani zareagowała?

J.B.: W jakim świecie będzie dorastać moje dziecko, skoro dziewczyna może ot tak, umrzeć i nikt nawet tego nie zauważy.

S.R.: Jak ona zareagowała, kiedy pani do niej pomachała?

J.B.: Na Facebooku ktoś napisał: „Idzie do lepszego miejsca”, a wie pan, jak jakiś popapraniec to skomentował? „To wyklucza Portsmouth”.

S.R.: Proszę się skupić. Co się stało dalej?

J.B.: Przestała machać i stała nieruchomo na jazie, co mnie uspokoiło, bo uznałam, że gdyby miała zrobić coś strasznego, to tak by nie uważała, boby ją to już głównie obchodziło, prawda? I to, jak krzyczała na tamtego chłopaka – było w niej za dużo walki, takie kobiety się nie zabijają. Brawo, dziewczyno, powiedziałabym jej. Bez obrazy, ale większość facetów to skończone fiuty.

S.R.: A mężczyzna, z którym była? Pojawił się jeszcze?

J.B.: Nie, już nie.

S.R.: Ale mógł wrócić przez panią niezauważony, tak?

J.B.: Uważa pan, że to był on?

S.R.: W pani zeznaniu jest napisane, że nie była sama, kiedy znalazła się w wodzie.

J.B.: Mój chłopak ma rację, mówi, że nie macie o niczym pojęcia. Nic dziwnego, że gazety tak po was jadą. Twierdzą, że ktoś ją prześladował. To prawda?

S.R.: Co zrobiła Alice, kiedy przestała machać?

J.B.: Chodziła w kółko, a ja myślałam: Cholera, co mam robić? Co robić? Krzyknęłam więc „Halo!”, a potem wyciągnęłam komórkę. Nie byłam pewna, do kogo zadzwonić, na policję czy co, ale nie miałam zasięgu i wtedy do mnie dotarło, dlaczego ona tam stoi i macha rękami. Wyszła tam, żeby złapać sygnał.

S.R.: To się wydaje trochę mało prawdopodobne.

J.B.: Po pijaku robi się różne dziwne rzeczy, kompletne wariactwa wydają się mieć sens, a normalne rzeczy stają się niedorzeczne. Cały czas wyciągała przed siebie telefon. Widziałam łunę z wyświetlacza. Albo pisała, albo czytała czyjaś wiadomość.

S.R.: Zadam teraz pani bardzo proste pytanie i jest niezwykle istotne, aby szczerze pani odpowiedziała. Co Alice zrobiła dalej?

J.B.: Zeszła na dół, przysięgam na życie mojego dziecka, zeszła na dół.

S.R.: Czy byłaby pani gotowa zeznać to pod przysięgą w sądzie?

J.B.: Jasne. Zauważyłam jednak jeszcze kogoś po jej stronie rzeki, trochę dalej, kiedy odchodziłam. Jakiegoś dziadka. Pewnie wyprowadzał psa. Nie widziałam psa, ale inaczej po co by tam stał, było chyba z minus sto stopni.

S.R.: Pani stała.

J.B.: Już to tłumaczyłam. Nie mogłam stamtąd pójść, skoro mi się zdawało, że ona się zabije. Pan by poszedł? Nie można mnie winić...

S.R.: Nie jest pani podejrzana.

J.B.: Kiedy jechałam tu autobusem, przypomniałam sobie, jaką piosenkę śpiewała. Jakby występowała w barze karaoke, ale nikt nie słuchał.

S.R.: Proszę opowiedzieć coś więcej o tym „dziadku”, który wyprowadzał psa.

J.B.: Nie mogę sobie wybić z głowy tej melodii. To była piosenka grupy Example, bo zaśpiewała refren: „*Love kickstarts again*”. W internecie piszą, że to była jedna z jej ulubionych piosenek. Żadna ze mnie policjantka, ale gdyby miała skoczyć, toby to zrobiła, stojąc na pomoście, a nie była na tyle wstawiona, żeby się poślizgnąć, więc zostaje chyba tylko jedno.

S.R.: Czyli co?

J.B.: To chyba jasne, co? Została zamordowana.

*

Twitterowy biogram Alice Salmon 4 stycznia 2012

Majster bez piątej klepki. Ni pies, ni wydra. Osobiste poglądy – coś pożyczonego i coś niebieskiego (obecnie głównie niebieskiego). Pamiętajcie, jak mówi Jessie J, chodzi nie tylko o forszę, forszę, forszę...

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 25 lipca 2012

Drogi Larry,

musisz mi wybaczyć, że tak się skupiam na przeszłości, rok 1982 wydaje mi się niebywale wręcz terażniejszy. Wytrzymałem z doktorem Richardem Carterem do jesieni. Jego obserwacje nadal mnie prowokowały, ale zacząłem czerpać z nich mglistą satysfakcję. Kiedy się zaważałem, Fliss przypominała mi o naszej umowie. Nie pozbędzie się mnie, powiedziała – jakby mówiła o starym meblu albo nieprzyjemnym domowym zwierzęciu, na przykład psie, który ostatnimi czasy zaczął gryźć – pod warunkiem że nadal będę chodził na „konsultacje”.

Pewnego wieczoru, po jakichś sześciu tygodniach jej nieobecności, zatrzymałem auto na naszym podjeździe – choć w kwestii czasu nie bierz moich słów za pewnik – i światło w salonie było włączone.

– Wróciłaś – powiedziałem.

– Nie myśl, że to słabość – odparła. – Obyś nigdy nie pomylił tego ze słabością.

W okresie, który nastąpił po jej powrocie, komunikacja między nami była niezręczna. Fliss zaskoczyło to, gdzie się wymykam w środowe popołudnia.

– Mój zawód – poinformowałem ją z potężną dozą pretensjonalności – każe ludzkości zmierzyć się z własnym obliczem, pomyślałem więc, że stosowną rzeczą będzie zrobić coś takiego sobie samemu.

Richard był równie zdumiony, kiedy mu to wyznałem. Mój partner treningowy wyjawiał nawet strzępki informacji na swój temat: miał narzeczoną, interesował się hodowlą drzew i gotykami. Miał niekonwencjonalne, ale fascynujące poglądy na temat Junga.

– Ze wszystkich możliwych zawodów, dlaczego wybrałeś właśnie ten? – dopytywałem.

– Nie ma zbyt wielu rzeczy do roboty w środowe popołudnia – odparła i obaj się zaśmialiśmy. Kolejny przełom.

Teraz, trzy dekady później, poważnie rozważam, czy nie odszukać gdzieś doktora Richarda Cartera. Mielibyśmy całkiem nową pulę problemów do – jak by to określił – „zglobienia”. Wtedy jednak doświadczałem najbardziej niewiarygodnego ze zjawisk: postępu. Czułem się jak ktoś zupełnie inny. W listopadzie zapytałem Fliss, czy też to zauważa.

– Nie liczę na nowego ciebie – powiedziała. – Raczej na nieco udoskonaloną wersję starego. Mój tata powiedział, że koniec końców, niezbyt dobry z ciebie człowiek, ale ja tak nie uważam. Jesteś głupcem, ale nie jesteś z gruntu zły, nie w głębi serca.

– Byłem taki głupi.

– Z tym nie będę dyskutować. – Wróciła do robienia ciasta, pewnie z przepisu Delii. Wtedy, trzydzieści lat temu, ta kucharka była tak samo

popularna jak dziś. – Co zobaczyłeś? – zapytała Fliss, odgarniając włosy za uszy i przez przypadek zostawiając na nich ślad mąki. – Kiedy spojrzalesz na siebie w tym lustrze?

– Kogoś, kto ma bardzo dużo szczęścia. Kogoś, kto już nigdy więcej nie popełni tego samego błędu.

Wyciągnąłem rękę i strzepałem mąkę z jej włosów. Byłem zadowolony, że zrobiła mi awanturę. Nie mogłem już dłużej znieść ciężaru mojego sekretu.

– Ewolucja ma niby zrobić z nas lepszych ludzi, ale obawiam się, że tylko się cofamy – powiedziałem. – Stajemy się mniej ludzcy. Czytałem wczoraj, że podczas ostatniego wybuchu wojny w Libanie zabito ponad dziesięć tysięcy osób. Uwierzysz, że mamy 1982 rok, a ludzie nadal zabijają się o ziemię?

Starła się mnie pocieszyć, nazwała starym pesymistycznym wapniakiem – przypomniała mi, że na świecie dzieje się też dużo dobrego: mężczyzna na uniwersytecie w Utah ma pierwsze na świecie sztuczne serce, Columbia leci w kosmos, nasi inżynierowie walczą z naporem wód Tamizy, zanim te zaleją Londyn, a nawet, powiedziała lękliwie, świadoma, że mimo moich lewicowych skłonności byłem sceptyczny wobec lesbijskiej hołoty w jednostce lotniczej Greenham Common, ludzie gwałtownie sprzeciwiają się wyścigowi zbrojeń.

Larry, nigdy nie spodziewałem się konwersji w drodze do Damaszku. Richard ostrzegł mnie, że nie nastąpi moment nagłego olśnienia, ale czułem się odrodzony. Ale jednocześnie wprowadziłbym cię w błąd, gdybym powiedział, że zaszła jakaś diametralna zmiana w moim charakterze, ponieważ mocno lobbowałem za kulisami, żeby zdegradowano tego zdrajcę Devereux w reakcji na prowadzoną samotnie kampanię tego szmaciarza przeciw mojemu „brakowi moralnego kręgosłupa”. (Ostatecznie, jak sobie

pewnie przypominasz, moje starania spełzły na niczym, bo Devereux bratał się z wierchuszką).

– Jak opisałbyś swoje zachowanie z perspektywy czasu? – zapytał Richard podczas jednej z naszych ostatnich sesji. To pytanie przypominało mi szkołę. Nigdy nie sprawiałem kłopotów, więc słyszałem je jedynie z drugiej ręki, ale bardziej porywczy chłopcy, ci z prawdziwą ikłą, którzy, jak potem dowiedziałem się z pamfletu o absolwentach, zostali inwestorami kapitału wysokiego ryzyka albo przenieśli się do Kuala Lumpur, opowiadali, jak dyrektor, w połowie strofowania, kazał im oceniać swoje czyny.

– Jako kiepskie – powiedziałem. – Słabe.

Potem pewnego popołudnia, zapewne uznawszy, że nasza znajomość przeniosła się na nową płaszczyznę, Richard nagle wypalił:

– Wiele w tobie podziwiam, Jeremy, ale czy zdajesz sobie sprawę, jakim ogromnym jesteś hipokrytą? Powtarzasz, że mamy małe znaczenie, ale w głębi serca wierzysz, że jesteś najbardziej wyjątkową osobą, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi. Nie potrafisz zaakceptować oczywistych prawd, które wygłaszasz swoim uczniom. Mimo swoich kwalifikacji, i błagam, oszczędź mi tego całego oksfordzkiego pieprzenia, nie możesz się pogodzić z jednym faktem. Jesteś śmiertelny. Umrzesz. Nie zmienisz świata. A dodatkowo, gdyby łączyła nas relacja uczeń–nauczyciel, czułbym się w obowiązku przypomnieć ci, że nigdy w sposób satysfakcjonujący nie odpowiedziałeś mi na początkowe pytanie: po co tu przyszedłeś!?

– Potrzebuję wybaczenia.

– To poza moją jurysdykcją – powiedział Richard, przechylając głowę w stronę nieba.

Przypomniałem sobie moje szkolne motto: *dulcius ex asperis* – słodsze po trudnościach.

– Chciałem być lepszy – powiedziałem. – Chciałem przestać ranić ludzi.

– Widzisz – powiedział, z przebłyskiem samozadowolenia. – Altruizm! Nie zauważyłem, żebyś w ogóle odnosił się do swoich bliskich.

Larry, często głowiłem się nad tym, kto w moim przypadku kwalifikuje się do grona „bliskich”. Oboje rodzice pochowani, uczestniczyłem w jednym pogrzebie, drugi zbojkotowałem. Brak rodzeństwa. Kuzyn w Edynburgu, którego nie widziałem od stuleci. Najbliższą mi osobą była Fliss, kobieta, którą poślubiłem w małym kamiennym kościółku w Wiltshire, przez którego witraże w oknach przebijały się wtedy promienie słońca.

– Jak byś kochał, gdybyś miał sztuczne serce? – zastanawiała się kiedyś, zafascynowana.

– Z prawdziwym też nie wypadam szczególnie świetnie – odpowiedziałem.

– Za tydzień o tej samej porze? – zapytał Richard któregoś grudniowego dnia.

– Nie – powiedziałem. – Skończyliśmy.

– Koniec końców, wszyscy mnie porzucają – zarechotał.

– To nas właśnie łączy. Mnie robią to studenci. Dzięki za wszystko. Czuję się lepiej. Jestem uleczony.

– Nie tak bym to opisał. Widzę cię raczej jako człowieka „w remisji”.

Wskoczyłem do auta – TVR, które kupiłem poprzedniego lata pod wpływem impulsu – i puściłem moją nową ulubioną piosenkę, *You Can't Always Get What You Want*.

Doktor Richard Carter stał się jednym z moich najbliższych przyjaciół.

*

Aktywność na Twitterze na profilu Alice Salmon

od 29 stycznia do 5 lutego 2012

OD @EmmaIrons7

Koniec z obietnicami, że nigdy nie dołączę do tweetujących – wylądowałam! Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę w przyszłym miesiącu. Zapakuj buty do tańca!!

29 stycznia, 11.39

OD @EmmaIrons7

Tak w ogóle to PADNIESZ na widok sukienki, którą wczoraj kupiłam.

29 stycznia, 18.31

OD @EmmaIrons7

Czemu nie odpowiadasz na moje wypociny???

OD @AliceSalmon1

Sorki, Ems. Po łokcie w robocie przed weekendem. Impreza imprezka x

30 stycznia, 17.55

OD @Carolynstocks

Powodzenia z artykułem w tym tygodniu. Rzuć ich na kolana.

31 stycznia, 8.50

OD @ AliceSalmon1

Ooo dzięki, Cazza. Robię w gacie ze strachu x

31 stycznia, 9.16

OD @NickFonzer

Będę jutro w twojej okolicy i stawiam obiad. Chętna? U Włocha tam

gdzie lubisz?

1 lutego, 15.44

OD @Alice Salmon1

Byłoby super, ale w tym tyg. ciężko z czasem – za tydzień?

1 lutego, 15.55

OD @Alice Salmon1

Pogromczynie przestępców idzie spać. Jutro wielki weekend na starych śmieciach. 3majcie się x

3 lutego, 19.37

OD @Alice Salmon1

Kiedy się w końcu nauczę?

4 lutego, 20.07

OD @GeordieLauren12

Słaba głowa, Alice! Nigdy ci nie wybaczymy, że zmyłaś się wcześniej z naszego spotkania!

4 lutego, 23.05

OD @Alice Salmon1

Say hello, wave goodbye.

4 lutego, 23.44

OD @Carolynstocks

Odbierz ten głupi telefon, Salmon...

5 lutego, 11.09

OD @MissMeganParker

Też nie mogę złapać @AliceSalmon1. Pewnie leczy gdzieś kacora potwora!

5 lutego, 13.34

OD @Carolynstocks

Porwali cię? Jeśli szybko się nie odezwiesz, wysyłam ekipę ratunkową.

5 lutego, 14.04

OD@MissMeganParker

Też dzwonię do @AliceSalmon1 bez rezultatu – pewnie padła jej kom. – nigdy jej nie łąduje!

5 lutego, 14.22

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 8 sierpnia 2012

Witaj ponownie, Larry,

„Robi się zimno. Nie spóźnij się” – poinstruowała mnie Fliss, kiedy powiedziałem jej o szesnastej, że wyskoczę na mój zwyczajowy spacer.

O osiemnastej SMS z pytaniem, kiedy chcę zjeść kolację. O dziewiętnastej zdawkowe „gdzie jesteś?”.

Ale nie mogłem przepuścić okazji takiej jak ta. Widzisz, mój przyjacielu, Alice była w mieście. Dar niebios.

Nie było trudno ją namierzyć. Początkowo korzystałem z internetu, ale potem złapałem trop i fizycznie deptałem jej po piętach. Byłem jak posokowiec. Utarczki przed barami pomagały mi wejść do środka

niezauważenie, musiałem jedynie znaleźć punkt obserwacyjny gdzieś na uboczu, z którego mógłbym mieć na nią oko – wyzwaniem było pozostanie w pobliżu. Nie minęło wiele czasu, a ledwie zipiiałem ze zmęczenia, nieźle mnie przegoniła. To musiała być ta noc, Larry. Byłem zdeterminowany, by pozbyć się kilku duchów, przyznać się, wyjaśnić to, co się stało na bankiecie antropologów.

Były we cztery, ale ich tetrada była płynna – zwiększała się i zmniejszała, jej trzy przyjaciółki znikwały z pola widzenia, potem pojawiały się ponownie, przyłączali się do nich inni, zostawali, znikali, powracali. Jak można było przypuszczać, otaczał ją wianuszek mężczyzn konkurujących o jej uwagę. Nie żebym się sprzeciwiał pojeniu jej przez nich alkoholem, zaprawi ją to tylko przed rozmową, którą zamierzałem z nią odbyć. Miejskie chłopaki, niekiedy prawdziwe zakapiory. „Spotkanie po latach”, usłyszałem, jak jej głos przebija się przez hałas. Inni, studenci: hałaśliwi i namawiający moją grupkę na pijackie gry. Dużo frywolności.

Jak skonstatowałeś, Larry, odtwarzałem ten lutowy wieczór w najdrobniejszych szczegółach, dekonstruując ruchy i rozmowy Alice. Widzisz – wszystko niedługo Ci wyjaśnię – policjanci się pomylili. Mam podejrzenia, że ktoś bliski Alice źle jej życzył. Zrozumiesz, jeśli na tym etapie nie powiem więcej. Dla pracownika naukowego publiczne rozpowszechnianie zwykłych przeczuć może okazać się niebezpieczne – aby zrujnować sobie reputację, wystarczy znacznie mniej. Obawiam się, że będzie to wyjątkiem od naszej reguły: na jakiś czas będzie nas dzielił pewien sekret.

„Martwię się o ciebie” – napisała Fliss.

Żaden z tych filistrów by tego nie wychwycił, ale pod prowokowaną alkoholem radością Alice nosiła welon smutku. Tak bardzo przypominało mi to Liz, że musiałem się powstrzymać, by nie odepchnąć jej adoratorów

i nie wyprowadzić jej na zewnątrz. Była mniej więcej w tym samym wieku co jej matka, kiedy nasze drogi się skrzyżowały. Około dwudziestego piątego roku życia. Najlepszy czas.

W pewnym momencie wyłonił się kolejny chłopak. Jeden z tych nadzianych. Nachyliłem się bliżej – może trzymał rękę na jej ramieniu. Zaśmiała się tak gwałtownie na jeden z jego żartów, że odchyliła głowę do tyłu i w świetle lampy jarzeniowej jej włosy wyglądały dokładnie jak włosy jej matki. Miałem zamiar wyjaśnić jej moje relacje z Liz, ale bałem się, że nie zniesie aż tyle naraz. Bałem się, że urządzi scenę.

Nie byłem w stanie rozszyfrować tego, co powiedziała mu Alice, ale dobiegło mnie to:

- Kimkolwiek on jest, jest idiotą, skoro pozwolił ci odejść.
- Możesz mu to powiedzieć – odparła.
- Nie ma sprawy, daj mi tylko swój telefon.

Czując wzbierającą we mnie melancholię, pomyślałem, że tak zapewne wygląda chemia między dwojgiem ludzi.

Kolejna wiadomość od Fliss: „Nic ci nie jest?”.

Kiedy wróciłem do domu, spisałem wszystkie zdarzenia tego wieczoru: zamknąłem się w gabinecie i przelałem je na papier, póki były świeże w mojej pamięci. Następnie zbadałem dokładnie wszystkie składowe. Praca w zawodzie uczy, aby zgromadzić niezbite dowody. Bóg wie, że w tej sprawie było mnóstwo dygresji, przykuwających uwagę odstępstw. Wątki drugoplanowe i tym podobne.

W pewnym momencie ten chłopak postawił sobie na głowie pusty kufel po piwie, po czym odstawił go na stół i wyrzucił obie ręce w powietrze, co się jej bardzo spodobało: zanosila się śmiechem. Rozumiałem dlaczego – gdyby to się zdarzyło w mojej szkole, zadurzyłbym się w nim. Ramiona twarde od wiosłowania, swobodny, bezczelny uśmiech, inteligencja, której

brak zastosowania. Spotkałem mnóstwo chłopaków takich jak on, Larry. Biegłem w ich aerodynamicznym cieniu, o dziwo, wdzięczny za ich pogardę i okrucieństwo. Gdybym miał wskazać palcem, w tym właśnie czasie uformowała się moja mizantropia: na tle butów do rugby stukających o podłogę w szatni i wkuwania łacińskich deklinacji i koniugacji. W nieustającym przekonaniu, że każdy z nich co do ostatniego jest przeciw mnie.

– Pijesz czasem rum? – zapytał.

– Nie. A właściwie rzadko.

– Czyli?

– To drugie. Rzadko.

– No to „rzadko” wypada właśnie dziś – powiedział.

Kolejny SMS od Fliss. „Co ty, do cholery, knujesz?”

Alice odwróciła się i trudno było powiedzieć, czy patrzy w stronę swojej grupy, czy zerka na kredową tablicę na ścianie, gdzie kolorowymi literami napisane było: 8 SZOTÓW 7 FUNTÓW.

– Podobno żyje się tylko raz.

– Zuch dziewczynka – powiedział chłopak. – Zuch dziewczynka.

*

**Wewnętrzna korespondencja władz uniwersytetu
w Southampton
17 sierpnia 1982**

OD: Anthony Devereux

DO: Charles Whittaker

STATUS: Pilne i ściśle tajne

Charles,

nie jestem w stanie skontaktować się z Tobą telefonicznie, ale musimy porozmawiać w trybie pilnym. Spodziewam się, że będziesz działał szybko w kwestii wykładowczyni literatury Elizabeth Mullens. Prawdopodobnie dysponujesz szerszymi informacjami niż te, w które zostałem wtajemniczony, ale rozumiem, że dziś w godzinach popołudniowych próbowała popełnić samobójstwo. Jak się dowiedziałem, wezwano pogotowie. Z tego co rozumiem, jej stan był poważny. To niewątpliwie osobista tragedia, ale martwię się szerszymi implikacjami w kategoriach zawodowych i wizerunkowych. Prasa zapewne podejmie ten temat – zwłaszcza że zamieszany jest w nią członek ekipy sprzątającej, oni są fizycznie niezdolni do trzymania języka za zębami – musimy więc wypocić jakieś oświadczenie. Wielki smutek, zaskoczenie, coś w tym tonie. Nie zaszkodzi delikatnie wspomnieć o kilku osobistych „problemach” dziewczyny i przy pomyślnych wiatrach sami się domyślą, że zaglądała do kieliszka. Gdyby to się wydarzyło poza terenem uczelni, nie byłoby tak szkodliwe. A przy tej okazji zwrócono moją uwagę na plotki o Mullens i Cooke’u z wydziału antropologii. Jeśli tych dwoje ma / miało romans, to skomplikuje sprawę. Cooke jest dużo starszy i żonaty, i żaden z tych faktów nie umknie niczyjej uwagi. Skandal to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, Charles. W zeszłym roku zabił się wykładowca jednej z tych posępnych prowincjonalnych politechnik na północy i gazety miały używanie. Skończyło się rezygnacjami. Mój instynkt – i piszę to w zaufaniu, bo znamy się już od dwudziestu lat – mówi mi, że Cooke jest pozbawiony talentu, więc może jest to stosowny moment, by ponownie rozważyć jego przyszłość. Mogłoby to również zaspokoić żądę krwi dziennikarzy. Byłoby roztropnie z Twojej strony, gdybyś wysłał Mullens kwiaty. Dzięki Bogu, studenci mają wakacje – wyobrażasz sobie, z jaką

dziczą musielibyśmy się zmierzyć, gdyby to wszystko wydarzyło się w trakcie semestru?

Łączę pozdrowienia

Anthony

PS Z innej beczki, czy miałbyś ochotę wieczorem dwudziestego czwartego dołączyć do naszego okrągłego stołu na temat biznesu w praktyce? Jednym z gości będzie dyrektor IBM, który twierdzi, że komputery do użytku domowego będą wkrótce tak powszechne jak telewizory.

*

Profil „Ulubione cytaty” na Facebooku Alice Salmon 14 grudnia 2011

Obsmaruję was w literaturze. Każdą krostę, każdą wadę. Byłem nagi przez jeden dzień, wy wejdziecie nago w wieczność^[17].

Geoffrey Chaucer

Bądź sobą, wszyscy inni są już zajęci.

Oscar Wilde

Jeśli mówisz prawdę, niczego nie musisz pamiętać.

Mark Twain

Na sprzedaż: Jedno serce w opłakanym stanie. Cena nie gra roli. Proszę.

Anonim

W wolnym społeczeństwie nadchodzi czas, kiedy prawda – jakkolwiek ciężko to słyszeć i jakkolwiek niepolityczne może się to wydać – musi wyjść na jaw.

Al Gore

*

**Post na forum internetowym „Głosiciele prawdy”
autorstwa Samotnego Wilka
14 sierpnia 2012, 23.51**

Byłem nie tylko w głowie Człowieka Lodu. Widziałem też wnętrza jego domu, niezłą ma chawirę! Podpatrzyłem go na Google Earth, ale musiałem poczekać, aż on i jego stara, heterowata i zadzierająca nosa mysz, pójdą na zakupy, żeby wejść do środka. Nie myślcie o mnie źle, w tym przypadku cel zdecydowanie uświęcał środki i to jest prawdziwe dziennikarstwo – nie jakieś gównno w wykonaniu Alice, tylko obnażanie rzeczy, których establishment nie chce obnażyć. Człowiek Lodu musi zostać zdemaskowany za to, jakim jest ZBOCZEŃCEM.

Jakaś ptaszyna Megan, która kumpłowała się z Alice, zaczęła trajkotać o nim na swoim blogu. Napisała na przykład o dziwnych zdjęciach, które trzyma gdzieś w domu, choć nie byłem tam na tyle długo, żeby je znaleźć. Zacząłem też ciągnąć za język jeszcze jednego profesora – o, tak, jakiegoś staruszka w domu opieki, który nazywa się Devereux. Usłyszałem o nim od jednego z konserwatorów na uczelni. Ten facet pracował kiedyś z Człowiekiem Lodu i go nie znosi. Musiałem wymyślić bujdę o zbieraniu materiałów do jakiegoś artykułu na temat wielkich profesorów po tej stronie

globu, żeby mnie do niego wpuścili, ale nie miejcie mi tego za złe.

Zacząłem od tego, jak wspaniale go widzieć, siląc się na najbardziej wytworny akcent. Dziadek zabrał się do jedzenia czekoladek, jakby nie karmili go od tygodnia. Musiałem go nieco nakręcić, powiedzieć mu, że książka Człowieka Lodu sprawi, że to on zostanie zapamiętany tak jak Darwin albo Wallace – przeciwczyłem sobie tę linijkę – i już wkrótce paplał bez opamiętania.

– Zgwałcił studentkę, ot co – powiedział Devereux, mając w kącikach ust spienioną ślinę. – Zaprowadził ją do swojego gabinetu i tam jej włożył.

– Proszę mówić dalej.

– Zawsze miałem swoje podejrzania, tylko nie mogłem ich potwierdzić, ale niedawno przeczytałem w gazecie artykuł, w którym ktoś sugerował to samo. Widział, jak Cooke prowadził pod rękę pijaną studentkę. Wtedy elementy układanki złożyły się w całość. Przeliczyłem, kiedy to było, i pamiętam, że następnego dnia wpadłem na niego przypadkiem przed jego gabinetem. Zachowywał się podejrzanie. Czemu ktoś miałby spędzić noc w swoim gabinecie, skoro ma własną piękną, starą plebanię jedynie kilka mil dalej w New Forest, co?

– Słuszna uwaga.

– Tego ranka nie był też rozdrażniony i jak zwykle bojowo nastawiony. Tak, to chyba prawda. Cooke zawsze wierzył w swoją sławę. „Nie do tknięcia”, mówił o sobie.

Bingo! Już byłem skłonny dać Lodowemu kredyt zaufania, przyjąć, że tylko ją śledził, ale wszystko wskazuje na to, że zabrał ją do swojego gabinetu i pieprzył ją, mimo że była NIEPRZYTOMNA od alkoholu, więc to, że wszedłem do jego domu przez tylne okno, nie jest teraz chyba takim przestępstwem, co?!!!

Nie zdradziłem się przy Devereux, udawałem, że już o tym wiem,

wyczuwając, że to nie koniec. Strzeliłem mu gadkę, jak to Jeremy Frederick Harry Cooke poda w swojej książce, że ma nieskazitelne morale, podczas gdy inni mu podobni pieprzyli się jak króliki.

– Króliki – skrzeknął. – Ja mu dam króliki. Cooke nie był w stanie utrzymać w spodniach tego swojego, pożał się Boże, korniszona. Był seksualnym maniakiem.

Wtedy powiedział mi coś jeszcze. Mam teraz o wiele WIĘCEJ informacji niż Megan Parker i jedyne, co na razie powiem, to to, że są ekstra i kiedy je usłyszycie, zaczniecie brać na poważnie inne rzeczy, które mówię. A wtedy moje rewelacje rozprzestrzenia się VIRALOWO i ta głupia książka zgnije w kilku bibliotekach, podczas gdy moje informacje obiegają świat, pomijając kraje takie jak Chiny, gdzie nawet nie można wejść na Facebooka, bo rząd ustawił zaporę.

Początkowo nie miałem zamiaru tego upubliczniać, ale to Cooke wycofał się z naszej umowy i jeśli ma zamiar grać nieczysto, to ja też. Bez przerwy nadaje o ewolucji, ale to ja jestem elastyczny, żywo reaguję, umiem się dopasować.

Nie będę brać jeńców. Czas, aby Samotny Wilk zaczął wyć. Współczujcie moim zdobyczom.

*

Fragment pamiętnika Alice Salmon, lat 25 9 grudnia 2011

Kiedy kogoś kochasz, zauważasz rzeczy, których nie zauważają inni. Mrugnięcie, sztywność ramion, niewielka zmiana w tonie głosu. Zobaczyłam

to wszystko u mojego chłopaka (czy teraz jest już moim byłym?), kiedy Adam wypowiedział to zdanie w restauracji. Potem, jak gdyby nigdy nic, Luke odezwał się, mówiąc:

– Mają tu coś dobrego do jedzenia? – I rozmowa potoczyła się innym torem, zmieniła kierunek, dokładnie tak, jak to sobie założył.

Ale ja sobie tego nie wyobraziłam. „Przez większość weekendu posuwałaś tę laskę z Dartmouth”. Ten gość wyraźnie nie miał pojęcia, że ja i Luke jesteśmy parą – albo sądził, że definitywnie nią nie byliśmy podczas wyjazdu do Pragi. Luke przelotnie odwrócił się do mnie i uśmiechnął sztucznie, ale całe jego ciało krzychało: „Czy ona to słyszała?”.

Tak, słyszałam, i to świetnie.

Przettrzymał do końca posiłku – nalegał nawet, żebyśmy zamówili deser – zachowując się tak, jakby to się wcale nie wydarzyło. Wypił kawę, nadal milcząc, a potem nawet likier.

Na temat ilu innych wyjazdów jeszcze skłamał? Odkąd się poznaliśmy, było ich mnóstwo – wycieczki z klubem rugby, męskie weekendy, urodzinowe imprezy, jeden czy dwa wieczory kawalerskie. Dublin, Newcastle, Brighton, Barcelona.

A potem całą drogę do domu – dziesięć przystanków – nic. Może zachowywał się zgodnie z założeniem, że jeśli ja nie poruszę tematu, to znaczy, że mu się udało. Była w nim spokojna, przekalkulowana nieugiętość, której nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

Te dziesięć przystanków było dla niego szansą, aby zaprzeczyć albo się przyznać. Mężczyzna, którego – jak mi się wydawało – kocham, nie przesiedziałyby dziesięciu przystanków bez słowa. Przy Oval miał nawet czelność zasugerować, żebyśmy poszli do kina obejrzeć *Spiega*, ale to zlekceważyłam. W głowie dokładnie przeliczałam, kiedy Luke był w Pradze – i doszłam do wniosku, że to musiało być dobre kilka miesięcy po

tym, jak się poznaliśmy, na pewno po ślubie Emily T.

Przyszło mi do głowy, że mogę udawać, że nic nie słyszałam. Miałam wybór. Właściwie byłoby dość proste schować to gdzieś z tyłu głowy, zignorować. Niektóre kobiety przez całe życie odsuwają od siebie prawdę, ale do diabła z tym! Nawalił i teraz musieliśmy sobie z tym poradzić.

Kuszenie losu przyjmowałam z niepokojem, ale Luke był inny. Meg mówiła, żebym nie dała się ponieść.

– Coś musi być z nim nie tak, w końcu to facet!

– Jeśli nawet, to jeszcze tego nie znalazłam – odpowiadałam niezmiennie. – A przyjrzałam się bardzo uważnie! Ale z drugiej strony, mam nie najlepszy gust, jeśli chodzi o facetów, prawda?

– Może, ale za to w kwestii przyjaciół jest bez zarzutu!

Kiedy wróciliśmy do mieszkania, Soph i Alex siedzieli w salonie ze znajomymi, więc poszliśmy do mojej sypialni, gdzie od razu wypaliłam:

– Przespałeś się z kimś podczas tego weekendu z drużyną w Pradze?

Na początku zaprzeczył, ale szybko zmienił śpiewkę, przysiadłszy niezręcznie na krawędzi łóżka, jak uczeń, którego przyłapano na gorącym uczynku.

To nic nie znaczyło. Był pijany. My dwoje nie byliśmy jeszcze właściwie parą. Ple, ple, ple.

– Jestem tą samą osobą, co zawsze – upierał się.

– W tym właśnie tkwi problem. Może nie zdawałam sobie sprawy, kim ta osoba jest.

Obiecałam sobie, że się nie rozplaczę, ale nic z tego. Szalę przechyliła malutka choinka i jej mrugające światełka, a ja przypomniałam sobie, jak kiedyś najdrobniejsze rzeczy potrafiły wyprowadzić mnie z równowagi – stare zdjęcie, dziecko wyprowadzające psa na spacer, zlew pełen garnków – i gardziłam Lukiem za to, że przez niego znów to poczułam.

– Nie jestem, kurwa, głupia! – wrzasnęłam i ktoś w mieszkaniu obok walnął w ścianę.

– Nikt nie powiedział, że jesteś.

– I przestań traktować mnie z góry.

Potań ręką czoło.

Może po prostu nigdy do siebie nie pasowaliśmy. Kiedy przy Oval głądził o filmie – jaki jest stylowy, ile w nim klasy, jaki jest błyskotliwy – słuchołam, myśląc, że może tak, ale pewnie jest i nudny. Jaki zresztą facet plecie o filmie szpiegowskim i Garym Oldmanie, kiedy przespał się z inną kobietą?

Popatrzyłam na obraz z kwiatami na ścianie, zostawiony przez poprzedniego lokatora. Wróciłam tu, bo chciałam być na własnym terytorium, ale to mieszkanie nie było moje, ten pokój też.

– Chcę, żebyśmy się nie kontaktowali przez dwa miesiące. Żadnych telefonów, SMS-ów, żadnego niczego. – I do głowy przyszła mi najgłupsza rzecz: że to podwójne przeczenie.

– Ale szukamy razem mieszkania – powiedział. – Do Bożego Narodzenia zostały dwa tygodnie.

Tak bardzo chciałam się przytulić, oprzeć głowę między jego szyją a ramieniem, wciągnąć w płuca ten zapach: alkohol, dym i resztki aromatu żelu pod prysznic, a potem paść na łóżko – ja po prawej, on po lewej stronie.

– Lubię być blisko drzwi – wyjaśnił, kiedy po raz drugi został u mnie na noc. – Na wypadek, gdybym musiał szybko uciekać!

Tamtego dnia dużo się przez niego śmiałam.

– Nie pozwolę, żeby to się stało, nie chcę, nie mogę – powiedział.

No już, pomyślałam, brnij w to dalej. Tylko kopiesz sobie dół.

Artykuł na stronie „Twoje miejsce, Twoi ludzie” 20 września 2012

Wykładowca walczący o „utrzymanie nazwiska Salmon przy życiu” jest umierający

Znany profesor, który podjął się „wzruszającego upamiętnienia” byłej studentki Alice Salmon, umiera z powodu nieuleczalnego nowotworu.

U profesora Jeremy’ego Cooke’a zdiagnozowano raka prostaty, najczęstszą odmianę nowotworu u mężczyzn zamieszkujących Zjednoczone Królestwo.

Słynny wykładowca ponoć obiecał sobie prowadzić nadal normalne życie mimo choroby, o której informacja została podana do wiadomości publicznej w anonimowym poście na forum internetowym przez użytkownika podpisującego się „Samotny Wilk”.

– Od trzydziestu lat statystyki pokonania nowotworu prostaty poprawiają się i przy wczesnej diagnozie znacząca większość pacjentów jest w stanie przeżyć jeszcze minimum pięć lat – wyjaśnił nam emerytowany chirurg ze szpitala w Southampton. – Prognoza robi się jednak mniej optymistyczna, jeśli nowotwór przedostał się do innych części ciała, na przykład kości.

Studenci i kadra akademicka wspólnie wspierają człowieka, którego z sympatią nazywają Profesorkiem. Była współpracownica Amelia Bartlett powiedziała:

– To wspaniały wykładowca o przenikliwym umyśle. Mam nadzieję, że w tych strasznych okolicznościach będzie w stanie zastosować swoją filozoficzną mądrość, z której słynie.

Była studentka, Carly Tinsley, opowiada:

– Ten człowiek to właściwie legenda, z chęcią grał z nami w squasha albo

chodził na piwo. Nieustannie dokładał wszelkich starań, by służyć nam radą i wsparciem. Dał mi nawet witaminy, kiedy przeziębiałam się na pierwszym roku. Przykro mi, że prasa tak się na niego uwzięła.

W niedawnej anonimowej ankiecie jeden ze studentów oświadczył: „Jego wykład o Melanezji był niesamowity. Dzięki niemu nabrałem determinacji, by odwiedzić tę część świata – to musi być chyba najwyższa pochwała dla antropologa”.

Inny powiedział: „Na studiach nauczyciele powtarzali jak papugi wszystko to, co przeczytali w książkach innych uczonych, ale on przynajmniej miał własne dokonania. Jego znajomość socjolingwistyki nie ma sobie równych”.

Od dawna mieszkający w Hampshire Cooke został po raz pierwszy dostrzeżony przez opinię publiczną w 2000 roku, kiedy wystąpił w znanym dokumencie BBC *Nasz początek*.

Zdobywca wielu prestiżowych nagród, w tym Merton Harvey Award za „inspirowanie młodzieży w dziedzinie antropologii”, znany jest również ze swoich zdecydowanych poglądów na temat środowiska naturalnego.

Absolwent szanowanej Glenhart School pod Edynburgiem i podpora wielu miejscowych organizacji charytatywnych, przysiągł w wywiadzie dla radia BBC udzielonym pięć lat temu „porzucić przekłętą samochód i jeździć rowerem wszędzie, gdzie się do cholery da”.

*

**List profesora Jeremy’ego Cooke’a
21 sierpnia 2012**

Drogi Larry,

Alice chlusnęła mi w twarz zawartością swojego kieliszka i krzyknęła:

– Ty zboczeńcu!

Wytarłem oczy chusteczką, w knajpie było tak tłoczno, że nikt nawet nie zwrócił na nas uwagi. Staliśmy tak sztywno pośród hałasu, ale jedno z nas musiało się odezwać, więc zadałem żalosne pytanie:

– Jak ci mija spotkanie koleżeńskie?

– Jest do dupy, oto jak. To najgorszy dzień mojego życia. Jeszcze jakieś głupie pytania?

– O rany.

– Właściwie to drugi najgorszy dzień mojego życia. Pamiętasz pierwszy, byłeś tam. Sam uczyniłeś go najgorszym, ty mendo!

Nigdy nie zgadniesz, co zrobiła dalej, Larry. Jak Boga kocham, strzeliła mnie w twarz.

– Proszę. To za to, co mi zrobiłeś, kiedy miałam osiemnaście lat.

Ostatnią osobą, która wymierzyła mi policzek, był mój ojciec jakieś pięćdziesiąt parę lat wcześniej. Jej cios miał tę samą tępą, mechaniczną jakość. O dziwo, w całym harmidrze nikt tego nie zauważył.

– Zasłużyłem na to – powiedziałem. – Jeśli to jakiegokolwiek pocieszenie, to żałuję tego, co zrobiłem, każdą komórką mojego istnienia.

– Bardzo poetyczne, ale niestety nie jest to pocieszenie.

– Nie przyszedłem zrobić ci krzywdy. Chciałem ci wszystko wytłumaczyć.

Jej spojrzenie przypomniało mi martwą łasicę uwięzioną w sidłach, na którą kiedyś przypadkiem natrafiłem.

– Nie musisz się mnie bać.

– Nie boję się. Nie boję się żadnego mężczyzny.

– Przynieść ci wody?

– Wody? – odpowiedziała, jak gdybym zaproponował, żebyśmy zarezerwowali stolik w restauracji. – Potrzebuję alkoholu.

Pobiegłem do baru i przyniosłem jej drinka – zdecydowałem się na podwójny dzin z tonikiem, bo to był ulubiony drink jej matki – a kiedy wróciłem, dyszała, jakby ledwie skończyła intensywny trening.

– Po prostu sobie pójdź – powiedziała. – Jeśli teraz pójdiesz, będę w stanie sobie wmówić, że to był zwykły zbieg okoliczności.

– Ale nie jest. Wiedziałem z Twittera, że tu będziesz.

– Śledziłeś mnie?

– Ludzie po sześćdziesiątce też umieją korzystać z internetu.

– Najwyraźniej... żeby pisać maile do mojej mamy! Co do kurwy...

– Co do dwa tysiące czwartego roku... – przerwałem jej – musisz mnie wysłuchać.

– Nie, ty musisz zejść mi z oczu.

To była brawura. Niezbyt się różniła od mojej mantry: nie boję się śmierci. Czułem presję nagłej konieczności.

– Mam wobec ciebie ogromny dług wdzięczności. Za twoją dyskrecję. Gdyby nie ona, moje życie mogłoby przyjąć niespodziewany obrót.

– Nie zrobiłam tego dla ciebie. Tak sobie myślałeś? Ty głupi, stary popaprańcu! Milczałam, bo nie miałam pojęcia, do czego doszło. Nie miałam na tyle pewności, żeby coś zrobić. Gdyby to się zdarzyło teraz, zrobiłabym wszystko, żebyś trafił do pierdła.

Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy się okłamywać, prawda, Larry? Żadnych kłamstw. Jestem jednak świadomy, że nigdy Ci nie powiedziałem, co dokładnie zdarzyło się tamtej nocy. Był rok 2004: grono antropologów rozmawiało z podeksytowaniem na temat skamieniałych szczątków

hominidów w Indonezji, *Homo floresiensis*. Zdominowało to rozmowy na naszym małym bankiecie: jak ten podobny do hobbita gatunek mógł istnieć aż dwanaście tysięcy lat temu, szkielety przypominające *Homo erectus*, ale ciała i mózgi maleńkie. Nigdy Ci nie powiedziałem, jak potem, kiedy byliśmy bezpieczni za drzwiami mojego gabinetu, Alice niemal się na mnie przewróciła.

– Ledwie mogłaś chodzić – powiedziałem.

Zadrzała, a po jej twarzy przebiegł cień przerażenia.

Tak, może i zamknąłem drzwi, ale nie ze złymi zamiarami, a dlatego że zrobiła z siebie niezłe przedstawienie na przyjęciu i nie chciałem, żeby ktoś jeszcze zobaczył ją w tym stanie. Bezspornym faktem pozostaje jednak to, że żaden student, bez względu na płeć, nie powinien zostać sam na sam z członkiem kadry, będąc pod wpływem alkoholu. A z pewnością nie na całą noc. Nawet pomijając kwestię Liz, było to gigantyczne naruszenie zasad.

– Położę cię spać – wyszeptałem, ale nie dosłyszała, więc powtórzyłem głośniejszym głosem i to stwierdzenie brzmiało równie dziwnie, jak gdybym oświadczył, że mieszkam na Księżycu.

Chciała się odwrócić, ale najwyraźniej nie mogła.

– Jak?

– Musiałem cię przenieść.

– Kiedy się obudziłam, byłam... nie miałam na sobie wszystkich części ubrania.

– Twoja bluzka była zalana winem, Alice, przemoczona do suchej nitki. Nie byłabyś w stanie w niej spać.

– Dlatego ją ściągnąłeś?

– Pomogłem ci ją ściągnąć.

Alice przeszły ciarki i zerknęła przez moje ramię na chmarę sobotnich imprezowiczów. Tam właśnie chcesz być, prawda, skarbie? – pomyślałem.

Razem z nimi wieść nieskażone, optymistyczne życie.

– Dopilnowałem, by było ci wygodnie – zapewniłem. – Zająłem się tobą.

– Mogłeś poprosić jakąś kobietę, żeby to zrobiła.

– Rzeczywiście, i z perspektywy czasu widzę, że to właśnie powinienem był zrobić. Relacja pomiędzy studentami a wykładowcami opiera się na zaufaniu, a ja złamałem tę zasadę.

Ale nie zaaranżowałem tej sytuacji, by rozwinęła się w taki sposób, Larry. Nie było moim wyborem, by zobaczyć jej smukłe, blade ciało albo zacienione wgłębienie jej pępka, ani zaskakującą jaskrawość jej fioletowej bielizny.

Powinienem był wyjść wtedy z pubu, ale porzuciłbym ostatnią szansę na wspólną rozmowę, a nie miałem zamiaru pozostawić żadnych niedopowiedzeń.

– Tak samo było z twoją spódnicą – powiedziałem. – Szarpałaś się z nią, narzekając, że nie będziesz mogła w niej spać. Pomogłem ci więc ją ściągnąć.

– Ty obślizgły typie, powinni cię byli zwolnić.

Przyszedłem jej zadośćuczynić, ale ona uciekała ode mnie, a moje starannie przygotowane kwestie zmiotł impet jej gniewu.

– Mamy pewien kodeks postępowania, a ja złamałem jego zasady. Zachowałem się nieetycznie.

– Powinna była pójść na policję. Mogłam postawić cię przed sądem.

– Ale niby za co? Zachowałem się nieodpowiedzialnie, niemoralnie, ale w sensie prawnym nie można mi nic zarzucić. Przekroczyłem pewną granicę, ale innych nigdy bym nie przekroczył.

Larry, nie wybrałem tego, by wąchać jej słodki oddech albo czuć dotyk jej delikatnych nóg, które składają się jak harmonijka. Albo by stać z boku i patrzeć obojętnie i z rozmarzeniem na nieskażoną, przypominającą Liz cudowność, która leży wyczerpana w moim gabinecie.

– Jesteś ohydny. Właściwie to jesteś pedofilem.

– Nie, to nieprawda, na to się nie zgodzę. – Zadrzała mi prawa powieka, żyłka w prawej skroni zaczęła pulsować. Rzadko kiedy tracę nad sobą panowanie, Larry. Zdarzyło się to może trzy lub cztery razy w ciągu ostatnich dwudziestu lat, ale kiedy już wybuchnę, to ratuj się kto może. Pewnego razu, po wizycie w szpitalu, poszliśmy do parku, żeby „dać ujście ciśnieniu”, jak to ujęła Fliss, bo wieści nie były najlepsze, i zacząłem walić w ławkę, aż z dłoni poszła krew. Dziwi mnie, jak mało teraz pamiętam z tamtego dnia. Egzorcyzmowałem go z mojej głowy. Pamięć i mózg działają w zdumiewający sposób, to zręczny, samoregulujący się mechanizm obronny, który pozbywa się tego, co złe.

– Zająłem się tobą – powiedziałem. – Otoczyłem cię opieką.

Zasnęła w okamgnieniu, więc przykryłem ją swoim swetrem, a ona wydawała z siebie cichutkie, zwierzęce dźwięki. Mój sapiący ciężko, ślepy kociak, moja złowiona mysz. Włączyłem radio, nachyliłem się i spojrzałem na nią uważnie z bliska, bez przeszkód. Od tak dawna pragnąłem tych oględzin: kłębki czarnych włosów na karku, mały pieprzyk z boku głowy, niemal niewidoczny meszek włosów na twarzy, jak puch.

– Pilnowałem cię, kiedy spałaś – powiedziałem.

Siedziałem przy jej łóżku całą noc – jej maleńkie ciało, mój maleńki mózg – i trzymałem ją za rękę, podczas gdy gałęzmi wiazu za oknem poruszał nocny wiatr. Myślałem o seksie, oczywiście, że myślałem – ale ostatecznie było to takie niestosowne. Niezbyt to poważny powód, by zakończyć małżeństwo, prawda? Obca osoba wkłada jedną część ciała w ciało kogoś innego i porusza się przez chwilę. Wilgoć o wilgoć, tyle.

– Mogłeś zrobić wszystko – powiedziała.

– Ale Alice, to by była obrzydliwość.

– Kłamiesz?

– Nie – powiedziałem.

Rozejrzała się za swoimi przyjaciółmi i połączyła nas nagła samotność.

– Nie masz pojęcia, jak często prawie stawałam z tobą twarzą w twarz, żeby zapytać o tę noc – powiedziała. – Ale zawsze tchórzyłam.

– Zawsze miałem do ciebie słabość, nawet kiedy byłaś na pierwszym roku, czułem, że muszę się tobą opiekować ze względu na twoją matkę. Jesteś do niej taka podobna.

– Widziałam twojego maila, przeczytałam go dzisiaj. Mówiła na ciebie Jem? Chce mi się rzygać na was dwoje!

– Cóż, Alice, nie urodziliśmy się starzy.

– Mój ojciec ma w sobie więcej z mężczyzny, niż ty kiedykolwiek będziesz miał.

– W to nie wątpię. – Odbiegała od głównego tematu, ale szukałem porozumienia, więc nie odpuszczałem. – Troska, którą wobec ciebie odczuwałem, objawiała się zwodniczo. Był wieczór, o którym rozmawialiśmy, i może pamiętasz anonimowy list, który dostałaś podczas pierwszego tygodnia na uczelni? Obawiam się, że pochodził ode mnie.

– Ty skurwysynu.

Larry, zwilżyłem chusteczkę i od czasu do czasu ocierałem jej skroń, przytykałem do ust kubek z wodą i przytrzymywałem włosy, kiedy szarpały nią torsje. Walczyłem ze snem – musiałem się upewnić, że się nie udławi własnymi wymiocinami – podczas gdy radiowy prezenter monotonnym głosem rozmawiał z plejadą ekspertów na temat recyklingowej polityki miasta i nieporządku powodowanego przez lisy, aż spomiędzy zaciągniętych zasłon zaczęło się przebijać dzienne światło i zobaczyłem na podłodze jej spłowiałą brązową spódnicę, wykręconą i zwiniętą niczym lina, i pomyślałem: na tym właśnie polega bycie mężczyzną? Miliony – miliardy – lat ewolucji, i tylko do tego doszliśmy?

- Przyszedłem tu powiedzieć przepraszam.
- Przepraszam nie wystarczy.
- To jakiś początek – powiedziałem. – I to wszystko co mam. Jest mi nad wyraz przykro.

Utkwiła wzrok w blacie stolika, śledziła palcem linie słoików w drewnie. Zawsze zadziwiało mnie, kiedy byłem dzieckiem, jak można określić wiek drzewa przez jego kręgi. Była to jedna z pierwszych okazji, przy których zacząłem doceniać siłę nauki w udzielaniu odpowiedzi. W mojej głowie kłębiły się inne myśli: alkoholizm Liz, jej próba samobójcza, nie miałem jednak prawa o nich mówić.

- Prawda nie zawsze musi być czymś złym – stwierdziłem przekornie.
- Dlaczego do niej dzisiaj napisałeś?
- Alice, wiadomość, że pojawisz się w mieście, przywiodła wiele emocji. Mówi się, że śmierć starego człowieka to nigdy nie jest wielka tragedia, ale do cholery, nie jestem aż taki stary. Ani trochę się taki nie czuję. – Wkradał się we mnie strach. – Rak prostaty. Mam raka prostaty.

- To ma sprawić, że zrobi mi się ciebie żal?
- To nie ma niczego sprawiać. Taka jest sytuacja i już. Jednym z ulubionych powiedzeń twojej matki było, że „trzeba się mierzyć ze swoimi demonami”. Zrobiłaś to dzisiaj. Jestem z ciebie dumny.

Staliśmy ledwie metr od siebie, ale równie dobrze mógł to być kilometr, jak gdyby patrzyła na mnie przez ścianę wody. Poczulem intrygującą ulgę.

- Zostawiłam mamie wiadomość po tym, jak przeczytałam twojego maila. Nie była miła.

– Może zadzwonisz, żeby ją trochę uspokoić? Nie należy kłaść się do łóżka w gniewie.

- Nie mogę, jest już za późno, teraz będzie to źle wyglądać. Zadzwonię do niej rano. Nie żeby to była twoja sprawa.

– Obiecay mi jedno. Nie zrób dzisiaj niczego, czego będziesz już wiecznie żałować.

– Pieprzyć wieczność.

Pociągnęła nosem, wyraźnie na skraju łez, i poczułem ból w dołku, w jądrach, ostre ukłucie, pamięć mięśniowa. Kończył mi się czas, Larry. Miałem sześćdziesiąt pięć lat, by stać się lepszym człowiekiem, jak mogłem zmarnować taką okazję? Policja też była już na moim tropie, możesz w to uwierzyć? Moim. Podobno Liz wtargnęła do komisariatu – z tego co zdołałem wywnioskować, była pijana – i wyrzuciła z siebie mieszankę oskarżeń pod moim adresem. Prześcignięcie tej bandy niekompetentnych bufonów nie było jednak nadzwyczaj trudne. Mam zamiar ujawnić swoje informacje na własnych warunkach i w wybranym przeze mnie momencie.

– Nie masz zamiaru zrobić niczego głupiego, prawda?

– I kto to mówi.

Miała słusność. Zastanawiałem się, czy nie wsiąść za kółko zalany szkocką whisky. Miałem wrażenie, że znajduję się w nowej, zmienionej rzeczywistości: cicha medytacja granicząca z egzystencjalnym spokojem. Stało się.

– Jest taki cytat na twoim Facebooku, który wpadł mi w oko: prawda boli tylko przez chwilę, ale kłamstwa bolą całe życie.

Rano wstałem, aby wyjść, ale wydawała się taka bezbronna, że nachyliłem się nad nią i delikatnie pocałowałem ją w czoło.

– Żegnaj, Alice – szepnąłem. – Żegnaj, najdroższa. – Obudziła się spanikowana, zagubiona i zmieszana, po czym wystrzeliła z mojego biura i podczas trzyletniej bytności na uczelni ani razu nie porozmawiała ze mną o tej nocy. Najwyraźniej los postanowił, że nasze ścieżki już więcej się nie skrzyżują, pozwalając na jedynie kilka przypadkowych, bolesnych dla niej spotkań.

– To jeszcze nie koniec – powiedziała.

Skończyła się jedna piosenka, której nie znałem, i zaczęła kolejna.

– Nieźle cię pewnie podnieciło, kiedy mnie dotykałeś.

Czułem wzbierające we mnie gniew i nienawiść. Oczywiście, nie spodziewałem się wdzięczności ani podziękowań, ale co by wolała – żebym rzucił ją wilkom? Postanowiłem się przejść i oczyścić umysł. Rzeka wydała się dobrym pomysłem: cicha, rześka, ożywcza. Kiedy ruszyłem do wyjścia, chwyciła mnie za ramię i odwróciła do siebie.

– Zadałam ci pytanie, Profesorze Zboku. Jakie to było uczucie, kiedy mnie dotykałeś?

– Niebiańskie, Alice. Czułem się jak w niebie.

*

**Post na forum internetowym „Głosiciele prawdy”
autorstwa Samotnego Wilka
20 sierpnia 2012, 23.02**

Przećwiczyłem wytworny akcent, nauczyłem się kilku nowych słów i, pif-paf-puf, wkrótce staruszek Devereux śpiewał jak z nut. Był samotny i aż go skręcało, by móc się komuś wygadać. Powiedziałem mu, że Cooke opisuje siebie w tej książce jako czołowego naukowca uczelni i, co było do przewidzenia, dziadunio łyknął przynętę.

To była moja trzecia wizyta. Druga była do niczego: nie spał w nocy, bo do któregoś z pensjonariuszy przyjechała karetka, miał szkliste oczy i był za miły, co na nic mi się zdało. Dziś był ożywiony i w idealnym nastroju do rozmów.

– To nie pana liga – powiedziałem, wymieniając listę nagród, jakie otrzymał ten stary zgred. Miał nawet swoją stronę w Wikipedii. Jakie to próżne. Niewykluczone, że wspomniałem w rozmowie, że Cooke scharakteryzował go słowem „ograniczony”.

– Mówiliśmy na niego Fiut – oznajmił mi. W kącikach ust zbierała mu się gęsta ślina. – Jeremy Fiut.

Mam dar do zagładania w głąb ludzi i czułem, że jestem na tropie czegoś wielkiego, muszę tylko zdrapać strup, więc zmyśliłem jakąś bujdę o tym, jak to Cooke rozpowiadał na uczelni, że Devereux jest półgłówkiem.

– W latach osiemdziesiątych spał też z matką tej dziewczyny.

Nie zareagowałem. Alice mówiła mi, kiedy mieszkaliśmy na Caledonian Road, jak dziennikarze lubią milczenie, bo wszyscy się go boimy i mamy wrodzoną skłonność do wypełniania ciszy.

– Mullens – powiedział. – Elizabeth Mullens.

Proszę, proszę, czyli Człowiek Lodu przeleciał matkę Alice Salmon, a potem ją. To jest coś! Wyobraziłem sobie, jak po powrocie w swoim pokoju na trzecim piętrze publikuję tę informację. Czekałem, aż kolejny moment przerwy zrobi swoje, tylko że z sąsiedniego pokoju rozległ się długi jęk i ktoś zaczął krzyczeć „Nieeee!”.

– Próbowwała się zabić, kiedy z nią zerwał. Powinien był wylecieć z pracy.

– Jeszcze nic straconego – zaśmiałem się. – Nic straconego.

W telewizji leciał teleturniej *Tylko Ty!*, a ja zacząłem pleść jakieś bzdury o tym, jak Mullens musiała nienawidzić świata, skoro zdecydowała się na harakiri.

– Samobójcy nienawidzą przede wszystkim samych siebie – odpowiedział Devereux. – Choć przyspieszanie końca jest wbrew Boskiemu planowi. Ach, Boski plan. Kolejna kość niezgody pomiędzy Cookiem a mną.

– Jest pan dużo mądrzejszy, prawda?

– Ciało może i jest kruche, ale mózg nadal działa.

Te profesorskie typy próbują ci wmówić, że są od wszystkich lepsi, ale zachowują się jak dzieci. Konflikt między nim a Człowiekiem Lodu zaczął się od małoszkowej kłótni na temat wydziałowego budżetu i przetrwał trzy dekady utarczek o dotacje, politykę, stanowiska, metody nauczania – wszystko co się dało. Bez przerwy skakali sobie do gardeł.

– Nadal mu w głowie bzykanko – rzuciłem mimochodem, chcąc wydusić coś jeszcze.

Do pokoju zajrzał jeden z sanitariuszy i poinformował, że niedługo będzie obiad. Pieczona jagnięcina.

– Jego występki nie ograniczały się tylko do sypialni. Plagiat to nie jest według mnie lekkie oskarżenie. Kwestionowano także jego budżet, pieniądze znikwały bez śladu. Choć oczywiście nie było na to dowodów.

– Pana pamięć jest niesamowita – odparłem, żeby mu się podlizać.

Nie osądzajcie mnie. Na co się umówiliśmy co do celów uświęcających środki, co do profesorów posuwających studentki i Ludzi Lodu zabijających łososie?

– Nie tylko przyjęcie antropologów było tradycją – powiedział. – To, że Fiut zabierał później pijane studentki do swojego gabinetu, to też była tradycja.

– Zniszczmy go – szepnąłem.

Staruszek gapił się na teleturniej i poczułem zapach sików.

– Ta Mullens prawie umarła, a on nadal nie potrafił dać jej spokoju. Znowu to zrobili, kiedy była mężatką. Byli przekonani, że utrzymali to w tajemnicy, ale ja deptałem mu po piętach. To było trzy lata po ich romansie.

Wszystko przeliczyłem. To byłoby na rok przed urodzeniem się Alice.

*

Mowa Megan Parker na pogrzebie Alice Salmon 13 lutego 2012

Czym jest śmierć?

Stoję na brzegu.

W porannej bryzie wypływa fregata i kieruje się na morze.

Jest przedmiotem, a ja stoję i patrzę na nią,

Aż w końcu znika z horyzontu

I ktoś przy mym boku mówi: „Zniknęła!”. Gdzie zniknęła?

Zniknęła mi z oczu, to wszystko.

Ma równie wysokie maszty, wielki kadłub i reje, jak wtedy gdy ją
widziałem,

I nadal niesie swój ładunek do celu.

Utrata jej z pola widzenia to moja rzecz, nie jej.

I w chwili, gdy ktoś przy moim boku mówi:

„Zniknęła”,

Inni patrzą, jak przypływa,

I krzyczą z radością:

„Już jest!”.

Tym właśnie jest śmierć^[18].

*

Fragment pamiętnika Alice Salmon, lat 25 9 grudnia 2011

Nie wolno mi przestać pisać... muszę czymś zająć umysł... muszę trzymać demony na dystans...

Podaję, że Luke poszedł do domu, ale jeśli o mnie chodzi, to równie dobrze mógłby spać na ławce na stacji Balham.

– Pociągi już nie jeżdżą – jęknął, kiedy zaczęłam wypychać go za drzwi. – Jest późno.

– To idź piechotą albo złap taksówkę. To nie mój problem.

Kręcił coś o cenie taryfy, ale jakoś zawsze miał mnóstwo gotówki na wyjścia z chłopakami albo wyjazdy z kumplami do drogich europejskich miast.

Zadzwoniłam do Meg, kiedy tylko zatrzasnęłam za nim drzwi.

– Oddzwon do mnie – powiedziałam błagalnym tonem do jej poczty głosowej. – Muszę z tobą koniecznie porozmawiać.

Usiadłam na łóżku i zaczęły spływać SMS-y: przepraszam, nie mogę bez ciebie żyć, zmienię się, nigdy już tego nie zrobię, nikogo nie kocham bardziej, ple, ple, ple. „Jakiej części naszej umowy *nie* rozumiesz?” – napisałam i poczułam się dziwnie, nie żegnając się x, ale skasowałam wiadomość, zanim ją wysłałam.

Co za drań! Jak mógł?

Położyłam się na łóżku i przeglądałam zdjęcia w moim telefonie. Luke był na tak wielu z nich. Czy istniała jakaś część mojego życia, której nie przeniknął? Raz za razem uderzałam w ikonkę kosza na śmieci. Potem znalazłam numer Luke'a i też go usunęłam.

O ściany pokoju niczym bumerang obijały się barbarzyńskie pomysły na to, jak się na nim odegrać.

Muzyka z mieszkania piętro wyżej. Trzaśnięcie drzwiami, woda spływająca w toalecie, stłumione rozmowy w pokojach Alexa i Soph, oni i ich indywidualne westchnienia. Nie kładźcie się spać, pomyślałam. Nie zostawiajcie mnie samej, bezsennej.

Znów spróbowałam dodzwonić się do Megan. Poczta głosowa. Dlaczego nie odpowiada?

„Co się znowu stało?” – zapyta pewnie później z rozdrażnieniem. „Nigdy nie ufaj mężczyźnie, Salmonetko” – zwykła mówić i zanim pojawił się Luke, zawsze się z tym zgadzałam. Teraz nienawidziłam go za to, że dowiódł racji Meg. „Zapomnij o facetach, tylko przyjaźń trwa przez całe życie” – oświadczyła kiedyś, kiedy zastała mnie pod swoimi drzwiami po jakimś dramacie z Benem. Wzięła mnie do środka, puściła *Życie w Hollyoaks* i powiedziała: „To sami dranie, wszystkimi rządzą fiuty” – po czym naląła nam wina i ból powoli zaczął uchodzić.

Ni stąd, ni zowąd kilka tygodni temu Ben znów zaczął się do mnie odzywać: przysłał mi dość niewinnego SMS-a z zapytaniem: „Co tam, Rybi Pyszczku?”. Zignorowałam go, świadoma, do czego mogą prowadzić takie wymiany, ale teraz podnoszę telefon trzęsącymi się dłońmi i wstukuję do niego krótką wiadomość.

Luke, ty skończony draniu, jak mogłeś? Mieliśmy odłożone wystarczająco dużo kasy na kaucję i pierwszy czynsz. Pieniądze wpłaciłam na nasze wspólne konto bankowe – panna A.L. Salmon i pan L.S. Addison – co jakiś czas dorzucając się do salda. Wzrastająca kwota była pretekstem do rozmów o coraz bardziej realnym „naszym mieszkaniu”, kiedy włączyliśmy się po Wandsworth i Lambeth oraz jałowym Denmark Hill, a nawet po uroczym Pimlico, by zobaczyć, jak żyją bogatsi, w końcu decydując się na Tooting Bec, które, jak uznaliśmy, było w naszym zasięgu, ale też miało wysoki standard („To następne Shoreditch” – optymistycznie zapewnił nas

jeden z agentów). Liczyliśmy na dwa pokoje, ale dalibyśmy sobie radę i w jednym. Woleliśmy budynek typowo mieszkalny niż zaadaptowany. Chcieliśmy ostatnie piętro, żeby uniknąć hałasów. W kwestii domków mieszkaniowych byliśmy definitywnie na „nie”. Ogród byłby bonusem, ale mogliśmy się bez niego obejść. Nie mogłabym się obejść tylko bez jednego. Bez Luke’a.

Tylko jednego łamacza serc.

Mogłabym pojechać do Australii. Ta myśl była jak krótkotrwałe fluorescencyjne światło optymizmu. Mam dopiero dwadzieścia pięć lat, a zachowuję się jak trzydziestolatka. Jednak jasność szybko przygasła. Co to będzie za przygoda bez Luke’a?

Potrzebuję powietrza, przestrzeni, ruchu. Często kiedy wychodziłam na spacer, zaglądałam na Facebooka albo Twitter i śledziłam znajomych znajomych albo obserwatorów obserwatorów, aż doklikałam się do grona zupełnie obcych mi ludzi, po czym pisałam: „Cześć, jak się masz?“, a żeby nie pomyśleli sobie, że to spam, dodawałam coś bardziej osobistego, na przykład: „Jak się udał teatr?” albo „Masz fajną sukienkę na zdjęciu profilowym”. Pewnego wieczoru jakaś przypadkowa osoba zapytała: „Gdzie jesteś?”, a ja odparłam: „Stoję nad stawem w Clapham Common i wpatruję się w wodę”, i to był koniec tej rozmowy. Meg mówi, że to dziwne rozmawiać z kimś, kogo się nie zna, ale już samo mieszkanie w mieście jest dziwne. Jesteśmy tu stłoczeni jak kury na farmie w chowie przemysłowym, śpimy oddaleni o centymetry od zupełnie obcych nam osób, piszemy maile do kolegów z pracy, którzy siedzą kilka metrów od nas.

Czemu do mnie nie dzwonicz, Megan?

„Nigdy nie będą mieli tego, co my – powiedziała kiedyś, gdy byłyśmy nastolatkami. – Bez względu na to, kogo poznamy, za kogo wyjdziemy za męża, nigdy nie będą mieli tego, co my”.

Ruch na ulicach cichł, a ja do niego nie zadzwoniłam ani nie napisałam. Trzymałam się tego okruszka kontroli. Otworzyłam laptopa i zmusiłam się do pisania. Zrobiłam to, co często robił Luke – podsumowałam sytuację w języku tabloidowych nagłówków:

Dziewczyna wyrzuciła przez okno miniaturową choinkę;

Dziewczyna poczuła starą znajomą obojętność, prawie jakby unosiła się na wodzie;

Dziewczyna leżała na łóżku, zastanawiając się, gdzie jest jej niegdysiejsza przyjaciółka.

Nie pozwolę mu zniszczyć świąt. Tak na nie czekałam – na spotkanie z rodzicami, jedzenie mamy, zabawianie się w ciocię Alice. Kiedy miałam osiemnaście lat, nie mogłam się doczekać, aż wydam się z przedmieść, ale teraz, kiedy się denerwuję, przyciągają mnie z niemal magnetyczną siłą – dom, dom. Sypialnia, gdzie Meg i ja spędzałyśmy leniwe, przeciągłe sobotnie popołudnia, gdzie rowery jeździły zygzakiem po ulicach, gdzie czuć było zapach grillów, gdzie fałszowały flety, gdzie ludzie ślęczeli przed komputerami, a rodziny siedziały wieczorami pod oknami werand, gdzie koty drzemały na gankach, gdzie trawniki pokrywała rosa, a o poranku słychać było brzęczenie kluczy, gdzie dzieci krzyczały „Maaamooo!” z uporem i miłością. Co powiedzą na to rodzice? Lubią Luke’a. Przestaną, kiedy powiem im, jaki jest naprawdę, jaką ma awersję do ciężkiej pracy, jaki jest niezdecydowany w kwestii swojej kariery, jaki jest chłopięco bezbronny, jaki ma temperament. Możemy też dorzucić do tej listy patologiczną skłonność do kłamstw.

Jak mogłam być taka głupia? Głupia, głupia, głupia ja.

– Kretyn! – krzyknęłam, a kiedy na kilka minut przestałam pisać, pojawił się wygaszacz ekranu: zdjęcie Luke’a w okularach przeciwsłonecznych, zrobione od dołu. Wkurzyło mnie, że tam był. Usunąć.

W końcu przestałam nawet czytać wiadomości od niego. Przejechałam palcem przez wyświetlacz, tak że pojawił się czerwony przycisk „usuń”, a potem zniknęły.

Czyli to koniec, tak? Osiemnaście miesięcy. Grecka restauracja na Dean Street. Przyjaciel jego przyjaciela. Jedno pochopne zdanie z ust mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widziałam i którego więcej już nie spotkam.

Nie miałam zamiaru do niego dzwonić i nie miałam zamiaru do niego pisać, nie miałam zamiaru płakać ani pozwolić, by TO znów się przywlekło.

Dałam sobie radę z pierwszymi dwoma.

Znów zaczęłam pisać i rozbawiła mnie ta ironia. Usunęłam z telefonu każde zdjęcie Luke’a, ale oto proszę, wprowadzałam go z powrotem do mojego komputera. Zmuszam się do tego, żeby nie przestawać, choć moje ręce są ciężkie jak kłody – grube, blade, pokryte plamami kawały mięsa.

Banały. Wszystko banały.

Dwudziestopięciolatka nienawidzi siebie, ale Luke’a Addisona nienawidzi bardziej.

W końcu ruch na ulicach umilkł, a ja do niego nie dzwonię ani nie piszę.

Walę w klawisze swoimi ohydnyimi palcami i kłębiące się, postrzępione myśli w głowie stają się czcionką na stronie. Pokój kręci się wkoło. Nie jestem pijana, ale mam to w zanadrzu.

Pisz dalej, Alice... nie przestawaj.

Muszę się skupić na pozytywnych rzeczach. Boże Narodzenie i lutowe spotkanie w Hampton. Czy tak właśnie wygląda nieszczęście? Tak będzie wyglądała druga połowa twojej dwudziestki? Będziesz się chwytać kamieni milowych, żeby jakoś przetrwać.

Wiadomość od Bena. „Siemanko! Kiedy spotkanko?”

Kiedy byłam dzieckiem, lubiłam sobie wyobrażać kryzysy w związkach: doszłam do wniosku, że nie mogę stać się kobietą, jeśli ich nie doznam.

Układałam o nich wiersze pełne lekkomyślnych, teoretycznych nonsensów. Taka jest jednak rzeczywistość – nie mam najmniejszej pewności, czy miłość wygrywa z nienawiścią, a ponadto – ponad zagmatwane praktyczne szczegóły – nie wiem, czy zostawić telefon włączony, czy nie i co powiedzieć, kiedy ktoś zapyta mnie w pracy o Luke’a, i co zrobić z biletami do Globe na następny czwartek.

Luke Addison to kłamca.

Oto moje słowo tego wpisu. Kłamca. Albo drań. Albo Praga. Albo niewierny. Albo naiwna. Mnóstwo do wyboru.

To na jakiś czas będzie mój ostatni wpis do pamiętnika.

Chciałabym, żeby umarł. Sama chciałabym umrzeć.

Meg nadal nie oddzwoniła.

„W twojej okolicy pierwszy tydzień lutego x” – odpowiedziałam Benowi, czując zadowolenie, że zadałam Luke’owi pierwszy cios, po którym natychmiast nastąpiło niepewne poczucie winy.

Na zewnątrz cicho albo tak cicho, jak może być w mieście nocą.

– Witajcie, starzy przyjaciele – mówię do nocy, niemal idealnej ciszy i zmęczenia pod moimi powiekami, bo nie mogę się zmusić do tego, by to napisać.

Napiszę tu ostatnie zdanie. Sprawię, aby Luke tego pożałował, choćby miało mnie to zabić.

*

List profesora Jeremy’ego Cooke’a
7 września 2012

Larry,

to nie przyszło do mnie we śnie ani podczas szaleńczej pracy po nocach. Nie towarzyszyły temu walenia piorunów ani śpiewy anielskich chórów. Nie było żadnego romantycznego tła, jedynie spacer po lesie z psem. Nieprzesadna sceneria jak na epifanię wielkiego kalibru. Morderstwo.

Widzisz, wiem, co stało się Alice. To był jeden z tych nieoczekiwanych, a mimo to elektryzujących skoków. Spodziewam się, że poniekąd przypominało to, co czułeś, kiedy natknąłeś się (umniejszam Ci, Szanowny Panie, nie był to przypadek, a wynik wielu lat szczegółowej i systematycznej pracy) na twierdzenie Gutenberga. Przebłysk – i proszę, wybac mi użycie tego słowa w stosunku do siebie – inspiracji. Nigdy wcześniej nie byłem tak bliski eureka.

To niemożliwe, powiedziałem do siebie. To nie może być. Ale jaka jest rola nas, naukowców, Larry, jeśli nie myśleć o tym, co nie do pomyślenia? Nawet czysto teoretycznie założmy: a jeśli?

Chodzi o to, że kiedy już się ma taką nowatorską myśl, otwierają się drzwi wyobraźni. Wszystko zostaje przefiltrowane przez ten pryzmat. Jak przewracające się kawałki domina. Jak po tym, kiedy zmapowano ludzki genom, wiele możliwości znalazło się w zasięgu ręki – nawet rozszyfrowywanie predyspozycji chorobowych. Dla mnie za późno na ten mały cud odkrycia, ale jakież ogromne kroki mogą poczynić ci, którzy przyjdą po nas.

Każdy z nas jest w obecnych czasach detektywem amatorem. Policja zabrała się do wszystkiego od złej strony. To analogiczne do sytuacji, kiedy przeszukuje się pokój w celu znalezienia konkretnego przedmiotu: nie można przymknąć oczu na inne rzeczy. Logiczne, prawdopodobne podejście do zadania – skonstruować teorie, a potem przeprowadzić przeciwdowód – dopuszczają, że jedna z tych teorii może być prawidłowa. Nauka daje nam

wolność, by patrzeć – a właściwie nakazuje nam patrzeć – na sytuację z szerokiej perspektywy.

Rozprawiając o wartości mojej pracy, o mechanice „projektu Alice”, ta osoba popełniła błąd. Jedna nieroztropna wypowiedź i alleluja – jakby rozproszyła się mgła. „Możemy sprawić, by Alice była, kimkolwiek chcemy”, brzmiała lekkomyślna wypowiedź. „Możemy stworzyć jakąś postać, a przy okazji na nowo stworzyć nas samych”.

Larry, od razu chciałem napisać do Ciebie krótką depezę, ale miałem zadanie do wykonania. Wielokrotnie zarzucano mi, że niestarannie przygotowuję hipotezy. Miałem dowody do zebrania, argumenty do uszeregowania. Muszę sprawić, by były mocne jak stal. Jestem jednak pewny. Jak w przypadku z pozoru najgłupszych i niemożliwych do rozwiązania problemów, prawda jest zawstydzająco prosta.

Fliss i ja spędzamy dziś wieczór poza domem: idziemy na zbierającą pochlebne recenzje *Burzę* w Mayflower. Zawsze czułem fascynację tym najbardziej enigmatycznym z bohaterów – Prosperem – przypominającym Boga, acz dziecinnym panem wszechświata, ekskomunikowanym, okaleczonym przez miłość i jej brak, pełnym wad, ale zdolnym do przebaczenia. Nie martw się jednak, mój przyjacielu, nie dam się zwieść temu pokazowi dobrodziejstwa. Sprawiedliwość musi zwyciężyć.

Piąta symfonia Mahlera, filiżanka earl grey, szkic mojego wymówienia (które zaczynałem już pisać przy tylu okazjach) przede mną. Nie takie złe to moje życie. Notatki o strukturze mojej książki, książki o Alice, leżą w bezładzie na biurku. Podejrzewam, że po tym popołudniowym spacerze będzie miała niespodziewane zakończenie.

*

**SMS-y wysłane przez Alice Salmon
4 lutego 2012 pomiędzy 23.47 a 23.59**

Do Bena Fincha:

Masz rację, jesteśmy zatrzymanym przemijaniem... jesteś tam? Chcesz się spotkać w naszym ulubionym miejscu???

Do Megan Parker:

Sorki, że jestem taką beznadziejną przyjaciółką. Kocham cię!

Do Luke'a Addisona:

To nie poszło tak, jak zamierzałam – jestem taka popaprana. Nic dziwnego, że mnie nienawidzisz L

Do Elizabeth Salmon:

Jak mogłaś? Jak mogłaś?

Do Luke'a Addisona:

Nie macham, lecz tonę.

[17] Wypowiedź bohatera filmu *Obłądny rycerz*, inspirowanego *Opowieściami kanterberyjskimi* Geoffreya Chaucera.

[18] Przytoczone fragmenty pochodzą z wiersza Henry'ego van Dyke'a *Gone From My Sight* w przekładzie tłumaczki powieści.

VI

RZECZY, KTÓRE CZYNIĄ

CIEŃ TOBĄ

Post na blogu Megan Parker 26 października 2012, 17.15

Dziś rano przeczytałam na Twitterze, że jestem chora psychicznie.

Głośno się roześmiałam. Poważnie. Trzeba się roześmiać, bo inaczej się rozpłaczesz. Inaczej to cię wciągnie pod wodę.

Kiedy straciliśmy Alice, najpierw jej rodzina znalazła się na celowniku mediów. Potem znalazł się tam każdy mężczyzna, z którym choćby zamieniła słowo – w zależności od publikacji byli „byłymi kochankami”, „potencjalnymi kochankami”, „obiektami westchnień” lub „podbojami”. Potem na liście celów znaleźli się przyjaciele, a ja wylądowałam na samym jej szczycie. Byłam łatwym celem.

Był taki czas, kiedy nie mogłam wyjść z mieszkania – ciasny, działający w zмовie tłum dziennikarzy koczował pod drzwiami, przynosząc sobie nawzajem kawy ze Starbucksa i witając mnie za każdym razem, kiedy otworzyłam drzwi, gradem pstrykających migawek i krzyków: „Megan, Megan, jak się dzisiaj czujesz, Megan!?”.

Dorośla nieżyjąca osoba nigdy nie staje się powodem tak obszernych relacji jak sprawa dotycząca dziecka, ale jeden redaktor posunął się na tyle daleko, by stwierdzić, że nasza historia „miała cechy szekspirowskiego dramatu – dwie kobiety, bliskie sobie jak siostry, rozdzielone przez śmierć”.

Zabawne, jakich zgrywają ekspertów na mój temat. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że otrzymałam „klasyczne podmiejskie wychowanie”, że jestem „typową Wagą” i że mój smutek okazał się „progiem nie do pokonania”.

Wciągnięto w to terapeutów zajmujących się sytuacjami kryzysowymi,

a artykuły ilustrowane były kolorowymi rysunkami i infografikami. *Próba poradzenia sobie ze stratą. Czego się spodziewać, kiedy umiera najlepsza przyjaciółka. Sławy, które straciły najlepszych przyjaciół.*

Próbowałam współpracować – zmusiłam się, by spojrzeć w kamery, i odpowiadałam na ich pytania, bo byli jak wściekłe osy, które bałam się rozjuszyć. Kiedy to się na mnie zemściło, odmówiłam udziału, ale to nie uczyniło już żadnej różnicy. Sami wybrali swój punkt widzenia.

Kiedy zrobili już ze mnie idiotkę, jedna strona internetowa zamieściła zdjęcie moich rodziców, którzy „robią sobie przerwę od wspierania córki”, a uszczypliwy podtekst, poparty podpisem: „Rodzice Parker na spacerze po plaży w Devon”, był pewnie taki, że nie mieli prawa do weekendu poza miastem z okazji swojej rocznicy. To nie był jedyny przypadek. Artykuły o rodzicielstwie, przyjaźni, o tym, jak centra naszych miast w piątki i soboty stają się miejscami, w których lepiej nie bywać – wszystkie były uzasadnione, jeśli tylko Alice stała się w nich punktem zaczepienia. Idąc tym tropem, jedna z gazet wyskoczyła z nagłówkiem: „Historia Salmon uwydatnia impotencję Levesona”. Najwyraźniej prowokuję ciekawe pytania.

Zapominam, co powiedziałam i czego nie powiedziałam. Jestem tym już całkowicie wyczerpana, ale mimo wszystko oni nadal krążą niczym szakale, łakomiąc się na kolejny kęs martwego ciała, kolejny zwrot w sprawie, bis, część drugą.

Były interpretacja, ekstrapolacja i egzageracja, ryzykowne działania i ryzykowna logika, dwa i dwa dodane do siebie tak, żeby w wiarygodny sposób dać wynik pięć. Dlaczego niby fakty miałyby stanąć na drodze dobremu artykułowi?

Przeczytałam gdzieś, że rzuciłam pracę nie dlatego, że chcę wrócić na studia, a dlatego, że nie jestem w stanie pracować. Koledzy z pracy – wszyscy anonimowi – byli świadkami, jak staję się „cieniem kobiety, którą

kiedyś byłam”, i że jestem „o krok od załamania pod ciężarem straty”. Tych anonimowych źródeł było mnóstwo.

W tym tygodniu na jednym z blogów pojawiła się sensacyjna wiadomość, wciśnięta pomiędzy newsy o Jayu Z i Jimie Davidsonie, że Alice i ja „regularnie” paliłyśmy zioło. Bardzo ciekawe. Od kiedy trzy lub cztery razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat to już „regularnie”? Usprawiedliwienie? Pół linijki od wspólnej znajomej. (Nie martw się, Nik, nie mam ci tego za złe, byłaś kolejnym barankiem prowadzonym na rzeź).

Pomiędzy migającymi reklamami butów przecenionych o pięćdziesiąt procent, dochodzeniami o odszkodowania, gwarancjami, że stracisz siedem kilogramów w siedem dni, nadano mi błędne nazwisko, podano niewłaściwy wiek, a mój dom przeniesiono do Cambridgeshire. O ile to ma jeszcze jakieś znaczenie: mój tata nie był kierownikiem sklepu meblowego, to była firma zajmująca się tapicerstwem. Dorastałam w bliźniaku. Na wakacje, które spędziłam z rodzicami Alice, pojechaliśmy do Grecji, nie do Turcji. Nawet miłe rzeczy, które mówią, są przeinaczone. Nie miałyśmy dzieciństwa „jak z pocztówki”, było typowe, normalne i to nie w porządku tak je przekształcać.

Nazywano mnie fanatyczką religijną, imprezowiczką, PR-owym chłopcem na posyłki i przeciętną dwudziestolatką. To, co dzieje się wokół mnie, w pewien sposób przypomina to, co zdarzyło się Alice. Powinnam jednak cieszyć się z tego, co mam. Przynajmniej tu jestem, by móc to przeczytać.

Kilka portali, pewnie zakładając, że ich podejście poruszy w czytelnikach czułą strunę, wezwało opinię publiczną, aby dała mi spokój. „Ile jeszcze ma znieść ta biedna kobieta?” – padło pytanie.

Rozumiem, dlaczego nieustający strumień wiadomości czasem męczył Alice. „To nigdy nie śpi – powiedziała mi kiedyś. – Nieustające zebranie

o uwagę!”

Na każdą osobę, która mówi, że jestem miła, przypada kolejna, która stwierdza coś przeciwnego – która włącza się do dyskusji, kiedy rozmawia się o mnie, jakbym była drugą falą recesji albo czystością obrusów na TripAdvisor. Wnioski o „odwadze” kontrowane są „załamaniem”, „lojalność” zestawiana bywa ze „sztucznością”, „normalność” z „dziwacznością”.

Rozumiem już, dlaczego gwiazdy i politycy zatrudniają sobie spin doktorów. Ta część PR-u – podstępne i potajemne działania, które mają na celu umieszczanie i usuwanie nazwisk z mediów, zakulisowe układy, z których tak słynął Max Clifford, zanim medialna bestia, którą oswoił, rzuciła się na niego – nigdy nie była moją broszką. I dobrze mu tak: to cię właśnie czeka, jeśli pływasz z rekinami.

Chyba do tej pory zebrali o mnie wystarczająco dużo informacji. Z pewnością niedługo jak szarańcza przeniosą się na kolejną ofiarę. Czy jeszcze się nie nachapali? Proszę, zostawcie mnie w spokoju.

Naiwnie sądziłam, że prowadzenie bloga pomoże, ale jedynie podsyciłam ogień, więc to jest zdecydowanie mój ostatni post. Poza tym, oto na czym powinni się skupić: na tym, jak Indiana Cooke zbija kabzę na całym nieszczęściu. „Wyjątkowe spojrzenie na sprawę Alice Salmon” – ekspozycja w mediach jeszcze przed pojawieniem się książki jest obiecująca. „Zaskakująca historia, która poruszyła cały kraj, opowiedziana przez osobę z wewnątrz”.

Węsząc bestseller, wydawca ogłosił, że książka może się pojawić na półkach wczesnym latem następnego roku, a może nawet wiosną. Powinni się wstydzić. On też i ta jego zadowolona z siebie, przesadnie skromna obrzydliwość: przygryzanie oprawek i informowanie dziennikarzy, że do całej sagi dopisano zupełnie nowy rozdział.

PR uczy cię, żeby trzymać się scenariusza, ale czasem trzeba przemówić prosto z serca.

„Wyduś to z siebie”, zwykła mówić Alice i zrobię to, zrobię.

Przepraszam, jeśli moja żałoba nie jest dla was wystarczająco dobra, jeśli nie przeżywam jej, jakbyście chcieli – ale proszę, zostawcie mnie w spokoju. Nikt nie wie, ile straciłam.

[Możliwość zostawiania komentarzy została wyłączona].

*

List Roberta Salmona 3 września 2012

Harding, Young and Sharp

Bow's Yard 3

Londyn EC1Y7BZ

Panie Cooke,

powierzono mi zadanie, by napisać do Pana w imieniu mojej rodziny.

Oświadczam oficjalnie, że w żaden sposób nie aprobujemy, nie uznajemy ani nie pochwalamy treści Pana książki. Oto jedno słowo, którego nie będzie mógł Pan użyć na okładce: „autoryzowany”.

Moja matka nie przestaje mówić o pewnej charakterystyce Pańskiego dzieła, którą gdzieś przeczytała: „Hybryda czytadła i nauk społecznych”. „Chyba ograbiania grobów”, skwitowała. „Odkopywanie umarłych to dziwny sposób na spędzenie życia”, twierdzi.

Ty skurwielu. Załączam kopię maila z 10 grudnia 2004 roku, który

napisała moja siostra, ale najwyraźniej nigdy go nie wysłała. Założę się, że nie włączy Pan tego do ponoć „zawierającej wszystko” książki. Bez przerwy głądzi Pan o prawdzie. Proszę to w takim razie opublikować, wtedy Pana deklaracje nie będą miały pustego wydźwięku.

Niedawno złapałem końcówkę programu stacji Radio 4, w którym perorował Pan na temat „naprawiania krzywd” i ostatecznej wiary w prawo. Cóż, prawo nie dostarczyło nam jeszcze odpowiedzi, więc może jednak jest do dupy.

Spełniłem mój synowski obowiązek, informując Pana o naszym stanowisku w kwestii książki. Poinformuję Pana jeszcze – choć moi rodzice o to nie prosili – że moja matka nie sięgnęła po alkohol od kilku tygodni i poprzysięgła więcej już tego nie zrobić. Jesteśmy z niej niebywale dumni.

Proszę mnie posłuchać, robię to, czego obiecałem nie robić: wchodzę w dialog, konwersuję, wyjaśniam. To prawda, co mówią – nakłania Pan ludzi do zwierzeń. Proszę jednak nie dać się ponieść Pana słynnemu ego. Matka mówi, że znaczy Pan dla niej mniej niż drobinka kurzu. To jej słowa.

Jeśli chodzi o mojego ojca i o mnie, to potrafimy poznać sprośnego starucha na pierwszy rzut oka, właściwie jest nam Pana żal. Proszę poskromić wszelkie pokusy autokreacji oraz napuszone poczucie własnej wielkości. Profesorze, wiadomość o Pana relacjach z moją matką była relatywnie niegroźnym ciosem w porównaniu z tym, co nas spotkało.

Zacząłem ten list, w pełni zamierzając stworzyć pismo o charakterze prawnym, ale najwyraźniej uległo przemianie. Alice mówiła, że jestem strasznym formalistą. „Od czasu do czasu podejmij ryzyko, Robster – mówiła. – Dobrze ci to zrobi”. Tak więc uczynię. Muszę się do czegoś przyznać: 24 maja zostawiłem Panu wiadomość, której nie powinienem był zostawiać. Przepraszam za to.

Jednak bez względu na wszystko proszę mieć w pamięci nasze

ostrzeżenie co do pozostawienia tej rodziny w spokoju. Nie będę się rozwodził nad tym, co mój ojciec obiecał zrobić, jeśli zignoruje Pan tę prośbę.

Nawet jeśli ma Pan zamiar ich nagabywać, nie zastanie ich Pan. Chcą zacząć na nowo, przeprowadzają się, zmieniają dane kontaktowe, *tabula rasa*. Nie znajdzie ich Pan, Profesorze, a mama mówi, że może Pan to sobie wetknąć w fajkę i wypalić. Mówi, że tak jak reszta świata może się Pan iść powiesić. Mówi, że Alice – prawdziwa Alice – będzie żyła dłużej w jej sercu niż w jakiegokolwiek książce. A tę książkę może Pan sobie wsadzić gdzie słońce nie dochodzi.

Nawiasem mówiąc, żadne z nas nie ma najmniejszego zamiaru przeczytać Pana publikacji.

Z poważaniem

Robert Salmon

*

**E-mail od Alice Salmon
3 lutego 2012**

OD: Rybkaalice7@gmail.com

DO: Lukea504@gmail.com

TEMAT: MY

ZAŁĄCZNIK: Lemingi.jpg

Cześć, Panie L.,

myślałam o nas – od dwóch miesięcy nie myślę już właściwie o niczym

innym – i doszłam do pewnego wniosku. Nie będę oszukiwać, głowiłam się nad tym i głowiłam, ale nigdy nie przestanę nienawidzić tego, co zrobiłeś, jednak Ciebie nie nienawidzę. Nie mogę. Kocham Cię. Kocham Cię, reszta to szczegóły. Potrzebuję więcej czasu, zanim porozmawiamy, ale to ważne, żebyś wiedział o tym już teraz, to wszystko.

Popełniłeś ogromny, egoistyczny błąd, ale żaden ze mnie paradygmat moralności (sprawdź w słowniku!), więc nie będę Cię pouczać i nie mam też zamiaru pozwolić mojej dumie wykoleić naszą przyszłość. Nie panikuj, niczego wielkiego nie sugeruję – wyluzujmy, zanim postanowimy ponownie choćby rozważyć wspólne mieszkanie – ale to właśnie moglibyśmy razem mieć: przyszłość.

Pamiętasz ten dzień, kiedy przejechaliśmy się London Eye? Chcę więcej takich dni. Tak dobrze to wspominam. W górę do nieba, jakbyśmy lecieli, Londyn, nasz Londyn rozpościerał się w dole. Udawałam, że patrzę na parlament i południowy brzeg Tamizy, ale to od Ciebie nie mogłam oderwać oczu i pochłonęła mnie nagła, pulsująca w żyłach świadomość: niektóre dziewczyny czekają na to całe życie.

Przez te ostatnie dwa miesiące żyłam jak w transie – chodziłam do pracy i na siłownię, spotykałam się z dziewczynami – nie żeby nie była zajęta, ale było bardzo monotonnie. Nic nie iskrzyło, nie śpiewało, nie wyróżniało się. Kiedy jestem z Tobą, naprawdę czuję, że żyję, a kiedy sobie o tym przypomnę, moja decyzja wydaje się cudownie prosta. Chodzi o to, Panie L., że chcę, żebyśmy byli razem, nie dlatego że boję się alternatywy, dałabym sobie radę, przetrwałabym, oboje byśmy przetrwali, ale kto chce musieć dawać sobie radę? Kto chce tylko przetrwać? Chrzanić to. Zasługuję na więcej. Oboje zasługujemy.

Za chwilę będę musiała zmykać, szef pogania mnie z artykułem. Mam zadzwonić do faceta, który ponoć wrócił do domu z pracy i zastał

namalowane na swoim podjeździe dwie żółte linie oznaczające zakaz parkowania, a ja zapiszę słowa, których, jak się spodziewam, użyje: „zaszokowany”, „wściekły” i „biurokracja oszalała”! A ty mnie nazywasz wielką dziennikarką! Przed chwilą wystukałam Twój numer na klawiaturze telefonu – może wykasowałam go z kontaktów, ale jest wyryty w mojej głowie – i prawie do Ciebie zadzwoniłam. Tak trudno mi tego nie robić. Słyszę niemal, jak brzmisz, kiedy odbierasz: ton Twojego głosu, intonację (to też sprawdź!). Ale potrzebuję więcej czasu i przestrzeni, żeby pomyśleć o tym, co zrobiłeś, i musisz to uszanować. Czy możesz to dla mnie zrobić? Nasze dwa miesiące upływają w przyszłym tygodniu i powstanie pewne ciśnienie, żebyśmy się spotkali, ale nie możesz na mnie naciskać, Luke. Poza tym części mnie podoba się to, że odkładam rozmowę z Tobą na później, że na nią czekam. Będę o tym myśleć cały weekend, który spędzam w Hampton (oj, będzie ostro!), to będzie mój sekret, nasz sekret. Czy mówiąc to, robię z siebie wariatkę? Chyba wszyscy jesteśmy trochę szaleni. Zwłaszcza kiedy jesteśmy zakochani. Bo – czy już o tym wspomniałam? – KOCHAM CIĘ.

A. x

PS Piszę to wszystko, zakładając, że nadal chcesz się ze mną spotykać, ponieważ w ciągu ostatnich ośmiu tygodni mogłeś spotkać kogoś dużo mądrzejszego i dużo ładniejszego niż ja. Ale z drugiej strony potrzebowałbyś więcej niż osiem tygodni, żeby znaleźć kogoś, kto znosiłby Twoją nieprzerwaną paplaninę o filmach i obsesję na punkcie prasowania koszul!

PPS Jeśli jeszcze raz wywiniesz taki numer, utnę Ci jaja!

PPPS Kocham Cię.

*

E-mail od Elizabeth Salmon 8 października 2012

OD: Elizabeth_salmon101@hotmail.com

DO: jfhcooke@gmail.com

TEMAT: Ona

Drogi Jem,

pewnie się nie spodziewałeś, że znów się odezwę, prawda? Sama nie przypuszczałam, że to zrobię. Nie spodziewałam się żadnej z rzeczy, które się zdarzyły. Nie denerwuj się, wkrótce przestanę zawracać Ci głowę. Jednak po mojej rozmowie z Meg czuję się zobowiązana wysłać Ci wiadomość. Rozumiem, że wy dwoje już się nie widujecie, ale musisz odłożyć na bok swoje dziecinne uprzedzenia. Ona otworzyła mi oczy.

– Przepraszam, że ostatnio się nie odzywałam – powiedziała. – Czasem łatwiej jest unikać rzeczy, które o wszystkim ci przypominają. A im dłużej ich unikałam, tym było mi ciężiej.

– Chodź do mnie, skarbie – chciałam ją przytulić.

Wpadła mi w ramiona, a ja zrobiłam głęboki wdech. Ten zapach przypominał mi zapach, który przypominał mi Alice.

Odwiedziłam ją pod pretekstem oddania książki Kazuo Ishiguro. Ewidentnie nie mogąc się zdobyć na to, by zapukać do moich drzwi, zostawiła ją pewnego wieczoru na progu, ale pomyślałam, że skoro Alice jej ją dała, to pewnie chciała, żeby została u niej.

– Nadal codziennie za nią tęsknię, ciociu Liz.

Minęło przynajmniej dziesięć lat, odkąd ostatnio mnie tak nazwała: „ciocia” zniknęła niezauważenie dokładnie w tym samym momencie, kiedy Alice przestała nazywać mamę tej dziewczyny „ciocią Pam”.

– Mówią, że to się nigdy nie poprawi, że nie można się z tego wyleczyć. Można się nauczyć nowej rzeczywistości, uczysz się adaptować.

Na stoliku papierosy, brązowa buteleczka pastylek, stare weekendowe gazety z nagłówkami o debacie między prezydentem Obamą a Mittem Romneyem, kolizja promu w Hongkongu, kobieta w Gruzji, która zmarła rzekomo w wieku 132 lat. Jej nowa rzeczywistość.

– Nie ma się co wstydzić swoich blizn, one czynią nas tymi, kim jesteśmy.

Obecność Megan czyniła brak Alice jeszcze bardziej rzeczywistym, przez żywość tej dziewczyny martwość Alice wydawała się jeszcze bardziej wyostrzona: nadawała koloru i głębi jej oddaleniu. Przypomniałam sobie ich głosy w sypialni na piętrze, piskliwy śmiech, szepty, namowy, śpiewy, oszczędzanie na rolki. Później szykowanie się na wieczorne wyjścia, godziny przed lustrem, podekscytowane, odważne dziewczyny.

– Niektórzy rodzice nadają gwiazdom imiona ich martwych dzieci – stwierdziłam. – Następnym razem w jasną noc spójrz w niebo, Meg. Jest tam cała galaktyka naszych dzieci. – Ocierałyśmy sobie wzajemnie łzy z policzków, ze skóry, której dotykała Alice. – Pewnego dnia, skarbie, będziesz miała piękne dzieci, które przyniosą ci tyle samo radości, ile mnie dała Alice, ile nadal mi daje.

– Dlaczego ona to zrobiła, ciociu Liz?

Nadal przesuwiałam palcem po jej twarzy, jakbym próbowała się pozbyć niewidzialnej smugi.

– Dlaczego wybrała taki właśnie sposób? Nie musiała...

Zajął mi kilka sekund, żeby zrozumieć, co próbuje powiedzieć. Przetawiała się we mnie jakaś dźwignia.

– Kochanie, to był wypadek.

– Wybacz, ciociu Liz, ale nie pomożemy sobie, jeśli nie będziemy

szczere.

– Alice nigdy by tego nie zrobiła.

– Ale zrobiła.

– Nie, nie możesz tak mówić.

– Przykro mi, że muszę to zrobić, ale nie będziemy w stanie sobie z tym poradzić, jeśli się z tym nie zmierzmy. Nie możesz się tego wstydzić. Ludzie zabijają... to znaczy odbierają sobie życie z milionów powodów. Choć to nie do wyobrażenia, jest to wybór, którego dokonała.

– Moja córka taka nie była.

– Nie chodzi o to, jaka była, nie ma żadnego wzoru. Każdy może dojść do takiego miejsca.

Panika dławiła mój oddech: już nigdy nie zobaczę Alice.

– Powiedziała mi, co zrobiłaś, kiedy byłaś w Southampton. Jak... no wiesz... Zwierzyła mi się, że dziadek jej wyjawiał.

– To było trzydzieści lat temu.

Mówi się, że w erze internetu nie ma już tajemnic, Jem. Odtwarzanie informacji przez kryminologów. SMS-y Alice, jej telefony, nawet historia przeglądarki przesiąkły do domeny publicznej – ujawnione przez śledczych, odgadnięte lub upublicznione przez tych, którzy się z nią porozumiewali. Ale nie wszystkie SMS-y wyszły na jaw. Większość tak, ale jeden nie. Wysłała mi go ostatniego wieczoru.

Widzisz, sekrety.

Co ja mam zrobić, Jem?

Z pozdrowieniami

Liz

Mowa Elizabeth Salmon na pogrzebie Alice Salmon 13 lutego 2012

Śmierć to nic wielkiego.

Przeszedłem tylko do drugiego pokoju.

Ja jestem ja, a ty jesteś ty.

Kimkolwiek dla siebie byliśmy,

Nadal nimi jesteśmy.

Zwracaj się do mnie starym, znajomym imieniem.

Mów do mnie swobodnie

Tak jak zawsze.

Niech twój ton niczym się nie różni.

Nie przywdziewaj sztucznej powagi czy smutku.

Śmiej się tak, jak zawsze mieliśmy w zwyczaju:

Z małych żartów, które bawiły nas oboje.

Baw się, uśmiechaj, myśl o mnie. Módl się za mnie.

Niech moje imię będzie wypowiedane zwyczajnie

Tak jak dawniej.

Bez konsekwencji.

Bez śladu cienia.

Życie znaczy to co zawsze.

Jest takie samo jak przedtem.

Istnieje absolutna, nieprzerwana ciągłość.

Czemu miałbym zniknąć z serca,

Mimo że oczy mnie nie widzą?

Czekam na ciebie.

Na antrakcie.

Gdzieś. Bardzo blisko.

Tuż za rogiem.

Wszystko jest w porządku[19].

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 10 października 2012

Larry,

ona tu była. Bez umówionego spotkania, bez ostrzeżenia. Wystarczyło pukanie do drzwi i oto była w środku.

Nadal jest piękna. Ubrana nieco niestarannie i nieco roztrzepana, z domieszką Redgrave czy Hepburn. Podejrzewam, że to polityczna niepoprawność porównywać kobietę do wina, ale dojrzała w imponujący sposób.

– Gdzie są twoje odpowiedzi? – zapytała władcym tonem.

– Liz, jak się masz?

Usiadła na skraju krzesła.

– No, mów, Doktorze Śmierć. Te wszystkie badania, które prowadziłeś, jakie są ich rezultaty?

Jeśli chodzi o uprzejmości i niezobowiązującą pogawędkę, to by było na tyle. Jeśli zaś chodzi o ton, to podjęliśmy rozmowę w tym samym momencie, w którym zakończyliśmy ją trzydzieści lat temu.

– Jeśli jesteś takim intelektualnym gigantem, jak twierdzisz, to powiedz, co się stało z moją córką. No dalej, czekam.

Czułem woń alkoholu, jednak nie dochodziła od Liz, tylko z kieliszka czerwonego wina na moim biurku. W mojej pamięci zaczęło klarować się wspomnienie: rozmyte i nieroztropne.

– A jeśli to prawda? Jeśli rzeczywiście popełniła samobójstwo?

– Liz, ona tego nie zrobiła.

– Megan jest o tym przekonana.

– Wszystko, co mówi panna Parker, podzieliłbym przez dwa.

– Musisz przełknąć tę niedorzeczną niechęć wobec niej. Te publiczne oskarżenia o to, że jest „fantastką”, nie pomagają. To infantylne.

Już miałem przytoczyć jej słowa Fliss, że Megan wyraźnie ma coś przeciw mnie, ale się powstrzymałem. Wspominanie przy niej o mojej żonie wydało mi się niestosowne – tak samo jak później czułem się niezręcznie, opowiadając o tym spotkaniu Fliss.

– Megan była jej najlepszą przyjaciółką.

Miałem ciężki dylemat, Larry. Widziałem się z Alice w jej ostatnią noc, pamiętasz? Była oburzona, ale jej zachowanie zdecydowanie nie wskazywało na to, że jest o krok od odebrania sobie życia (nie że bym był gotów podać Liz te skrawki informacji, dla niej i dla świata tej rozmowy nie było). A dodatkowo, kiedy spędzasz setki godzin, analizując czyjeś życie minuta po minucie, zaczynasz rozumieć jego osobowość. Pomysł, że sama odebrała sobie życie, po prostu nie pasował.

– Liz – powiedziałem i prawie wyciągnąłem rękę, by jej dotknąć.

– Jedyna rzecz, jaką miałam i której się trzymałam, to myśl, że to niemożliwe, a teraz mam wrażenie, że wszystko na to wskazuje.

– Nie, Alice była silna.

– Jem, ty skończony kretynie, nie trzeba być słabym, żeby odebrać sobie życie. Samobójstwo jest jak depresja: to choroba silnych ludzi.

Siedzieliśmy tak i Liz rozglądała się po moim gabinecie, przesuwając wzrok po pustej tacy na dokumenty, segregatorach, kamiennym przycisku do papieru, który kupiła mi wieki temu. Przypomniałem sobie hotele, centra handlowe przy autostradzie, bójki, elastyczny pasek jej stanika.

– A może cały czas się myliłam? – zapytała. – Samobójstwo to jedyne rozwiązanie, którego nie mogłam zaakceptować, po prostu nie mogłam przyjąć, że moja mała córeczka czuła się aż tak źle. Zaprzeczałam temu przez ostatnie osiem miesięcy, ale może nie da się zaprzeczyć niezaprzeczalnemu.

Cienie pod jej oczami, bezsenność, tak jak i u mnie. My na koncercie, my nad makrelą w sali wyłożonej boazerią, pensjonat w prowincjonalnym miasteczku nad brzegiem morza i wcześniejsze zakupy, siedzenia ze skóry i tkaniny w moim TR7, lepkie i w cielistym kolorze. Jedno wspomnienie pociągało za sobą kolejne – całe ich chmary, nagromadzenia, jak warstwy skalne.

– Był też ten SMS.

– SMS?

– Wysłała go dwadzieścia jeden minut po północy, ale zobaczyłam go dopiero w niedzielę rano.

– SMS?

– Na początku nie zrobił na mnie wrażenia, Alice od zawsze pisała po pijaku, ale około dziesiątej potwornie się już denerwowałam, że nie odbiera telefonu. A potem pukanie do drzwi: policjant i policjantka. Wiedziałam, że chodzi o coś złego, bo inaczej nie przychodzą do ciebie do domu. – Gładziła palcem plamkę na poręczy fotela. – Kiedy czytałam tę wiadomość, trwał jeszcze zwyczajny niedzielny poranek, ostatni w moim życiu normalny niedzielny poranek.

– Liz, mów. Jaki SMS?

– To była Plath. Ta pieprzona baba! To zdanie o leżeniu w trawie... to przecież wiadomość samobójcza.

Oblizwała palec i znów zajęła się plamą na poręczy, tym razem z większą zapalczywością, drapiąc po niej paznokciem.

– Nie chce zejść – powiedziała, a mnie chwyciło nagle współczucie. – Prasa dokopała się do wszystkiego innego, ale do tego nie. Aż do tej pory nie byłam w stanie się z tym zmierzyć, ale to może oznaczać tylko jedną rzecz. Nie mogłam znieść myśli, że to mogą być jej ostatnie słowa, więc nikomu o tym nie powiedziałam, nawet Davidowi.

– Ale policja...

– Funkcjonariusze, którzy przyszli potem, mają wszelkie informacje, ale nikt więcej o tym nie wie, to jeden z niewielu śladów Alice, które nie są własnością publiczną. To nie jest niczyja sprawa.

Siedzieliśmy i między nami panowała krucha, napięta atmosfera, jak po kłótni, która nigdy się między nami nie wydarzyła.

– Wiedziałam, że była pijana, bo przeinaczyła cytat, a moja Alice była straszną pedantką w kwestii dokładnego cytowania. – Pociągnęła nosem, uśmiechnęła się niemrawo. – Masz zdanie na każdy temat, co więc o tym sądzisz?

To równie dobrze mogło się dziać trzydzieści lat temu:

– Nigdy nie zostawisz swojej żony, prawda? – Wtedy gorączkowo jej pożałowałam: jej dalsze losy były niemożliwym do uniknięcia apogeum. Teraz, gdy była w rozsypce, to pożądanie przemieniło się w jedno życzenie: by złagodzić ból.

– Myślę, że ostatecznie prawda wyjdzie na jaw. W tej chwili jednak sądzę, że nie powinnaś tu być. Mogę cię zawieźć, gdzie będziesz chciała, na przykład do domu.

- To całe kilometry stąd.
- Wiesz, że zrobiłbym to dla ciebie.
- Na twoim miejscu unikałabym mojego męża.

Dolałem sobie wina i stanął przede mną obraz Liz: czerwone wino na zębach. Męczyło mnie poczucie winy, ale nie zrobiłem nic złego, Larry. Za kilka minut opuszczę to *rendez-vous* i pojadę do domu do kolejnej kobiety z podobnie siwiejącymi włosami. Ja, mężczyzna po sześćdziesiątce, który cierpi na zgałę i musi wyteńczyć wzrok, żeby przeczytać rozkład jazdy pociągów, mimo że trzydzieści lat temu zrobiłem to samo, tylko że byłem kimś, kto jeździł po wiejskich drogach sportowym samochodem i grał pięć meczów na korcie do squasha, po czym wskakiwał na rower Raleigh Europa, i był wolny od raka.

– Czy David wie, że tu jesteś?

– A jak myślisz?

Tak jak w 1982 pytania rodziły pytania.

– Dave i Robbie są przekonani, że nadal jestem bardzo słaba, niańczą mnie jak dziecko. Nie jestem dzieckiem.

– Jesteś silna.

– Nie jestem silna, Jem. Kto byłby silny w takiej sytuacji? – Skrzyżowała ramiona, pocierając je dłońmi, jakby było jej zimno. Jej skorupa. Za nami stała sofa, na której osiem lat temu spała jej pijana córka.

– Musisz wiedzieć, Jem, że bardzo kocham mojego męża.

– Żurawie kanadyjskie, co?

– Żurawie kanadyjskie. Podejrzewam, że obity ci się o uszy te dziecinne spekulacje, że jesteś ojcem Alice.

– Mocksy – powiedziałem. – Podsycany przez Devereux. Moją nemezis.

– Nigdy nie zdradziłabym takiego dobrego człowieka jak David.

Alice mi ją przypomiwała, Larry, ale w tamtej chwili stało się na odwrót, Larry: to Liz przypomiwała mi Alice.

– Powinieneś przeczytać *Atlas Fanthorpe*. Ten wiersz idealnie podsumowuje małżeństwo.

Wytarłem szkła okularów, przewidując trzymałem w pogotowiu pudełko chusteczek dla pierwszorocznych, którzy obnażali przede mną swoje dusze, ale z czasem zaczynali się tu zjawiać tylko po to, żeby domagać się swoich praw i żądać ponownego sprawdzenia pracy. Mam własną teorię. Więcej niż teorię: fakt. I nie ma to nic wspólnego z samobójstwem.

– Nic ci nie będzie? – zapytałem.

– Błękit policyjnych mundurów nie wygląda tak jak w telewizji, kiedy widzisz go na własne oczy.

– Liz, nic ci nie będzie?

To, co miałem zamiar zrobić, mogło spowodować, że już nigdy więcej nie poczuje się dobrze.

*

**Transkrypcja rozmowy telefonicznej na żywo
w programie Martina „Rannego Ptaszka” Clarka
w Dane Radio
2 września 2012**

M.C.: Później zajmiemy się polityką i z chęcią posłuchamy waszych opinii na temat otwarcia naszych granic, ale najpierw pomówmy o szczęśliwych zbiegach okoliczności i kiedy ich doświadczycie... Chcemy usłyszeć całą prawdę o waszych cudownie niesamowitych przygodach i jako

pierwszą mamy na linii Ellie z Southampton. Witamy ciepło w programie śniadaniowym, Ellie. O czym chcesz nam opowiedzieć?

E.E.: Dzwonię w sprawie zbiegów okoliczności. Miałam taki z tą martwą dziewczyną, o której tyle trąbili w wiadomościach.

M.C.: Aha, w porządku, a o której martwej dziewczynie konkretnie mówisz?

E.E.: O Alice Salmon. Rozmawiałam z nią tego dnia, kiedy umarła.

M.C.: To nieco... grząski temat, ale mów...

E.E.: Byłam w siódmym miesiącu ciąży i ona ustąpiła mi miejsca w autobusie. „Wyglądasz, jakby przydał ci się mały odpoczynek od tego ciężaru” – powiedziała, po czym zapytała, czy spodziewam się bliźnięt, a kiedy zaprzeczyłam, odparła, że naprawdę musi się nauczyć najpierw myśleć, a potem mówić. Ja na to, że nietrudno się pomylić, bo jestem wielka jak słoń, a Alice na to, że ona też, ale nie ma na to dobrej wymówki! Powiedziała, że promienieję. Kobieta, z którą pracuję, cały czas opowiada o takiej książce *Przypadkowe akty dobroci*, i to było dokładnie to, bo normalnie przecież ludzie nie rozmawiają ze sobą w autobusach.

M.C.: Wprowadzasz do programu bardzo potrzebny element kultury, Ellie – teraz mamy już nawet rekomendacje czytelnicze. Wszyscy byliśmy niezwykle poruszeni tym wypadkiem, a twoja historia jest ogromnie wzruszająca i głęboka... opowiadaj dalej.

E.E.: Dopiero kilka dni później uświadomiłam sobie, że to dziewczyna, o której tyle mówiono w wiadomościach.

M.C.: Tak. Wszyscy znamy tragiczną historię Alice. Gościliśmy w naszym studiu kilka osób, z którymi poruszaliśmy ten temat tuż po zdarzeniu. Twoja opowieść jest wzruszająca, ale gdybym miał się czepiać, powiedziałbym, że to bardziej smutny niż szczęśliwy zbieg okoliczności, prawda?

E.E.: Właśnie do tego zmierzam. Widzisz, ni stąd, ni zowąd mój mąż przysłał mi SMS-a z propozycją, żebyśmy dali naszemu dziecku na imię Alice. „To moje imię” – powiedziała, kiedy się z nią tym podzieliłam.

M.C.: Dzięki, Ellie. Zachęcamy całe południowe wybrzeże – jeśli macie jakąś historię o szczęśliwym zbiegu okoliczności, jesteście w stanie przebić tę? Zrządzenia losu, rzut kośćmi, dotyk przeznaczenia... włącz się w rozmowę, numery telefonów na stronie internetowej.

E.E.: Powiedziała, że jedzie się strasznie upić, a ja na to, że też bym chciała. Spojrzała na mój brzuch i stwierdziła, że to pewnie wyczerpujące nosić ze sobą coś takiego, a potem, że nasze matki nie mają z nami łatwego życia. Ale one zawsze są dla nas ostoją i z czasem my musimy stać się ostoją dla nich.

M.C.: To wspaniałe podsumowanie, Ellie, dzięki za telefon... Prawie zapomniałem zapytać: jak w końcu nazwaliście córeczkę?

E.E.: Alice, daliśmy jej na imię Alice.

M.C.: Posłuchamy teraz muzyki, następnie raportu z dróg, a potem wrócimy z kolejnymi waszymi historiami o szczęśliwych zbiegach okoliczności...

*

Fragment listu profesora Jeremy'ego Cooke'a 6 grudnia 2012

– Chciałeś się ze mną widzieć – powiedziała. – No to jestem.

– Rzeczywiście, Megan. Wejdz, proszę.

Zrobiła, o co ją poproszono, ściągnęła szalik, po czym oświadczyła:

– Jesteś już trochę za stary, żeby ukradkiem zostawiać ludziom liściki, nie sądzisz?

Larry, gdyby wcześniej odpowiedziała na moją korespondencję, nie musiałbym się uciekać do starej sztuczki z liścikiem pod drzwiami.

„Chcę Ci wynagrodzić moje zachowanie – napisałem, pewien, że to ją wykurzy z kryjówki. – Wpadnij do mnie, może się to okazać najbardziej lukratywną godziną w Twoim życiu”. Miała na sobie kozaczki i czarne rajstopy. Zdecydowała się na krótką spódniczkę mimo srogiego mrozu na zewnątrz.

– Ładnie wyglądasz – skłamałem.

Zdjęła płaszcz i rzuciła go na oparcie krzesła.

– Tu jest jak w lochu, nie ma czym oddychać.

Podaliśmy jej wino, które trzymałem w zanadrzu na jej przybycie. Białe, bardzo mocno schłodzone, takie jak lubi.

– Rozgość się.

Usiadła, po czym zapytała:

– A więc co to za oferta?

W mojej wiadomości zasugerowałem zapewnienie kilku klientów dla jej nowej firmy PR-owej. Jej zamiary powrotu do akademickiego świata najwyraźniej zostały zarzucone. Nasza znajomość się rozpadała, ale podejrzewałem, że jej chciwość przeważa nad wszelkimi wątpliwościami, jakie mogła mieć w stosunku do tej wizyty. Teraz, nie mogąc się otrząsnąć po usłyszeniu od mojego lekarza pewnych nie najlepszych wieści, byłem skory do konfliktu.

– Dlaczego oświadczyłaś, że cię dotknąłem?

– Pasowało to do ciebie.

– Ale to nieprawda.

Upiła duży, pogardliwy łyk wina.

– Co to takiego?

– Gagnard-Delagrange. Jest fenomenalne.

– Ostatnimi czasy rzadko sięgam po wino – wyznała. – Po tym, co stało się Alice, alkohol mnie przeraża. Kiedy widzę dziewczyny zalane w sztok, mam ochotę pouczyć je o niebezpieczeństwach wynikających z picia. Chyba się starzeję!

– Ja wraz z wiekiem staję się bardziej impulsywny – powiedziałem z roztargnieniem. – W następnym życiu na pewno będę ryzykantem.

– Alice jest dla ciebie jedną wielką grą.

– Nie określiłbym jej w ten sposób.

– Czytałam wywiad, w którym stwierdziłeś, że jesteś „niepoprawnym obserwatorem ludzkiej natury”, ale ludzie interesują cię tylko wtedy, gdy nie żyją albo należą do jakiegoś plemienia na innym kontynencie. To jak czytanie, unikanie prawdziwego życia, bo trupy i odlegli ludzie nie mogą cię zranić.

Próbowałem sobie przypomnieć, z jakiej to książki ci „odlegli ludzie”, ale moja pamięć nie jest już taka jak dawniej, Larry.

– Skończyłaś mnie obrażać?

– Nie, jeszcze nie. A co z nami, tymi, którzy żyją? Czy nie zasługujemy na tę samą opiekę? A co z prawem do prywatności? Gazety je sponiewierały. To, co w nich pisze o mnie i o Alice, to czyste wymysły.

– Jest napisane – poprawiłem. – Mówi się „jest napisane”, nie „pisze”.

Wystawiła swój pusty kieliszek niczym żebrak, więc uraczyłem ją kolejną porcją.

– Dzisiejsze wiadomości, jutro gazeta do wyścielenia kosza na śmieci. Tak sobie powtarzam, ale to nie pomaga.

Grała kartą prywatności, Larry, ale nie przepuściła okazji, aby wepchnąć się przed światła reflektorów, z tym jej kokieteryjnym uśmiechem pełnym poczucia niesprawiedliwości – jest w niej coś z Diany – i opiewać swoją najlepszą przyjaciółkę.

– Tobie to nie przeszkadza – dodała. – Ty jesteś pokryty teflonem. Ale nie męczy cię to, że wszyscy mają jakieś zdanie na twój temat?

– Można się do tego przyzwyczaić. – Tak wiele moich znajomości potoczyło się w ten sposób, Larry: mój ojciec, szkolni rówieśnicy. Koledzy z uczelni, współpracownicy. Kiedy po raz ostatni słyszałem o Devereux, siedział w jakimś domu opieki, zgarbiony w kącie, z urojeniami, plując jadem. Przeszedłem do rzeczy.

– Dlaczego chciałaś mnie zrobić?

– Niektórych ludzi aresztuje się za rzeczy, których nie popełnili. Zostają skazani pod niesłusznym zarzutem i może to nie jest to, co zrobili, ale zrobili coś równie złego. Czy to sądowa pomyłka?

– Technicznie – powiedziałem.

– Pieprzyć techniczność. Wszystko sprowadza się do jednego. To sprawiedliwość. Stwierdziłam, że ci się przyda.

– Nie tobie ją rozdzielać – odparłem.

– Tobie też nie. – Wlewała w siebie wino, jakby to była woda, i zaczynało już na nią oddziaływać. – Nauczyłam się jednego. Opinia publiczna woli proste kłamstwo od skomplikowanej prawdy.

Dostrzegłem zimowe słońce, słabe i rozmyte.

– Prawda porusza się po prostej, Megan. Jak światło.

– Przestań mówić zagadkami. I co to za oferta? Czy to kolejne z twoich kłamstw? Jeśli tak, to wychodzę.

– Nie mam dla ciebie żadnych samochodów ani zagranicznych wycieczek.

Prychnęła.

– Dobrze. Jedna gazeta napisała, że teraz ode mnie zależy, jaka będzie moja przyszłość.

– „Magiczne odległe drzewo” . rzekłem, przypominając sobie zawieruszony cytat. – To stamtąd. Z książki Enid Blyton.

– Bredzisz.

– Chodzi o to, że jesteś zazdrosna? Chodzi o to, że to nie ty znajdujesz się w centrum zainteresowania?

– To najbardziej szalona, najbardziej upiorna rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałaś, a powiedziałaś ich sporo.

– Mogę ci prawić komplementy, jeśli tak bardzo pragniesz uwagi.

Kliknięcie grzejnika, szum wody, ciepło.

– W ostatnich tygodniach rozmawiałem z Liz. Mówiła mi, że ponoć teraz jesteś przekonana, że to było samobójstwo. Z chęcią posłucham, jakie masz dowody.

– Ten most jest jak Beachy Head. Ludzie rzucają się z niego jak lemingi.

Larry, jestem w pełni świadomy, jaką reputację ma to miejsce. Regularnie się po nim przechadzałem. To jedno z niewielu miejsc w tym mieście, w których zaszczycą człowieka całkowite osamotnienie.

– Zła odpowiedź, spróbuj jeszcze raz.

– Nie powinnam tu być. Będziesz miał kłopoty, jeśli to się gdzieś wydostanie.

Ty się nie wydostaniesz, pomyślałem, dyskretnie rozglądając się po biurku za kluczem od drzwi.

– No powiedz, dlaczego się zabiła?

– Uznali mnie za marną przyjaciółkę, ale wróżką też nie jestem. Alice się upiła i potrafiła być niesłychanie nieprzewidywalna. I jeszcze te leki, które

tylko ją nakręcały. Patrzyłam na to z przykrością. Już wcześniej wspominała o samobójstwie.

Wróciłem do scenariusza, Larry, do roli, w którą tak wygodnie się wpasowałem: archiwisty, analityka, śledczego. Gromadzącego dowody.

– Naprawdę? Kiedy?

– Wcześniej. Najwyraźniej straciła chęć do życia.

– Nie potrzebujesz chęci, żeby żyć, Megan. To nasza pozycja domyślna. Chęci potrzebujesz do tego, by przestać żyć, by odebrać sobie życie.

– Nie znam wszystkich odpowiedzi. Nie jestem Bogiem. – Rozparła się na krześle i zaczęła wachlować sobie twarz. – Pomyłka – powiedziała. – To była pomyłka, że tu przyszłam. Powinnam już iść. Miałam dzisiaj pilnować dzieci. A poza tym przestań zapisywać te wszystkie rzeczy.

Dyskretnie wzięłem klucz, stanąłem za nią i udając, że odstawiam książkę na półkę, poza zasięgiem jej wzroku zamknąłem drzwi. Nigdzie nie pójdzie.

– Kim ty jesteś, żeby oceniać moje poglądy, Indiana?

Larry, miałem powody, by mieć swoje zdanie, nieźle się zaznajomiłem z tą młodą damą. Przy licznych okazjach, gdy żona grała w brydża albo pojechała na uniwersytet trzeciego wieku, siedzieliśmy razem przy stole w jadalni nad „projektem Alice”. Przeglądanie tych stosów materiałów było intrygującym klaustrofobicznym połączeniem, makabryczną praktyką, pewnego rodzaju ekshumacją.

– Jak Alice odebrała sobie życie, Megan?

– Żadne z twoich pytań jej nie wskrzesi, ona odeszła. – Skoczyła ku stercie papierów i wyszarpnęła jedną kartkę. – To nie jest ona i to nie jestem ja... jesteśmy czymś więcej.

Na zewnątrz mrugało światło latarni. Zanotowałem w pamięci, żeby jutro zadzwonić do działu konserwacji.

– Kiedyś robiłeś na mnie wrażenie – stwierdziła podniesionym głosem –

ale nic w tobie nie ma. Jesteś słowami, wiatrem, gorącym powietrzem... jesteś... – wydała z siebie szyderczy śmiech, prawdziwy LOL, jak według niej teraz się to określa – skończonym debilem!

Jedno po drugim gasły światła w sąsiednich gabinetach, a moi koledzy z pracy ulatniali się do domów. Zasypywałem Megan pytaniami, komplementami, kolejnymi pytaniami. Otworzyłem drugą butelkę. Dziewczyna zrobiła się lekko zawiana. Widziałem to po jej oczach, po tym jak niezdarnie krzyżowała i rozkrzyżowywała nogi. Kilka razy z niepokojem spojrzała na zegarek, ale była rozkojarzona. A ja wmuszałem szeptane przez nią słowa w moją głowę, rejestrowałem je, bo zapamiętywanie szczegółów coraz częściej przestaje być moją mocną stroną (ostatnio powiedziałem do Fliss „Liz”, ale, chwała Bogu, nie dosłyszała mojej pomyłki).

– Opisz ostatni raz, kiedy widziałaś się z Alice – nakazałem jej półoficjalnie.

– Śnieg – odpowiedziała z rozmarzeniem. – Było dużo śniegu.

Ostatniej zimy śnieg padał tylko raz: w nocy 4 lutego.

– To było nad rzeką, prawda, Megan? Byłaś tam, prawda? Byłaś w Southampton.

*

List profesora Jeremy'ego Cooke'a 20 kwietnia 2013

Drogi Larry!

– Czy to normalne, żeby mieć taką obsesję na punkcie kobiet? – zapytał wczorajszego wieczoru. – Na punkcie seksu?

– Mówią, że seks jest jak tlen – odparłem. – Brakuje ci go tylko wtedy, kiedy go nie masz.

Fascynuje mnie jego szorstkość. A także znaki na jego ciele. I owszem, zanim mnie zganisz, jestem w pełni świadomy, że powinienem przekazać tego drania w ręce policji, ale kto jest bez grzechu... wiesz, co dalej.

– Alice była moim tlenem.

Przedstawia się jako Mocksy, ale naprawdę ma na imię Gavin.

– Czy kolekcjonowanie jej rzeczy pomogło? – zapytałem.

– Nie bardzo. To były tylko przedmioty, nie ona.

Na podłodze leżały zbiory przygotowane do zwrócenia Salmonom: zestaw bransoletek, karty do gry, kopia pracy na temat Mai Angelou, pocztówki, długopisy, podkładka pod piwo z rysunkiem kangura, uschnięta róża, szczoteczka do zębów, szkic recenzji koncertu, bluza z napisem „ŚMIEJ SIĘ KOCHAJ ŻYJ”.

– Jedyna rzecz, jakiej nie przyniosłem, to książka jakiegoś faceta o japońskim nazwisku. Zostawiłem ją na progu domu jej mamy.

– Niedawno umarł mój najbliższy przyjaciel – odparłem.

– Nadal nienawidzę w tobie wielu rzeczy.

– Był moim najlepszym przyjacielem, a ja nigdy go nie poznałem.

– Nadal nienawidzę też Alice.

– Uważaj z tą nienawiścią, Gavin. Ona cię naznacza, zaczynasz nasiąkać jej kolorem, jeśli zbyt długo chowasz urazę.

Larry, to oszałamiające nowe podejście: próbować nie dostrzegać w kimś samych najgorszych cech. W tym miejscu stosowne będzie małe wyznanie. Nie byłem całkowicie szczery z Fliss co do tych „spotkań”. Nie żebym miał się przyznać do czegoś niestosownego, ale nie pochwaliłaby ich. To w pełni zrozumiałe, zważywszy na to, co zrobił ten chłopak, zwłaszcza w naszym

domu. Jest ewidentnie zdolny do złych rzeczy, ale pod powierzchnią – a czyż nie jest to zadanie uniwersyteckiego badacza, by zajrzeć pod powierzchnię – nie jest całkowicie zły. Nikt nie jest. Zapewnia mnie, że chce mieć czyste konto i zacząć od nowa. My mówimy na to *tabula rasa*.

– Będę w tej twojej książce? – zapytał.

– Już jesteś.

– Lepiej, żebyś mnie nie obsmarował.

– Przedstawiam cię z takim samym szacunkiem, jak ty mnie na forach!

– To było tylko w internecie, z książkami jest inaczej. Nie zdejmą moich postów, jeśli do tego zmierzasz. Taką mają politykę.

– Mówiono o mnie gorsze rzeczy. Poza tym to forum odgrywa swoją rolę.

– Skończyłem z forum i z wilczym syfem. To, co tam napisałem, nikogo nie obchodzi. Już szybciej zyskam sławę dzięki twojej książce, nawet jeśli będą w niej same pierdoły.

Lubię jego pogardę, przypomina mi moje rozmowy z tym terapeutą, Carterem. Kolejne wyznanie: odszukałem gałgana.

– Mógłbym przeczytać tę książkę w całości. Mógłbym zostać twoim redaktorem!

– Postanowiłem, że nikt, kto w niej występuje, nie zobaczy jej przed wydaniem.

– Ty zobaczyłeś! Nie wierzysz, że będę trzymał gębę na kłódkę co do zakończenia, tak?

Chłopak podszedł do okna. Jaką dziwną parę musieliśmy tworzyć, Larry: dwie istoty z dwóch nieprzystających kontynentów. Ekspонат A i ekspонат B. Bawił się prawym uchem, a właściwie jednym z wstawionych w płatek ucha tuneli, które są obecnie takie modne, i na ten widok zrobiło mi się żal, że potrafi się okaleczać w taki sposób.

– Ten gabinet, ten uniwersytet, to miasto, to twoje fora, prawda? – powiedział. – Możesz tu sobie nawijać i nikt się nie przyczepi.

Co ciekawe, przy bliższym poznaniu Gavin jest bardziej elokwentny, mniej onieśmielający. Internet zupełnie go wypaczył, jego słowa były oderwane, bezcielesne, pozbawione niewerbalnej komunikacji – w czasie rzeczywistym byłaby to barowa awantura, w której triumfuje najniższy wspólny mianownik.

– Była za silna dla nas obu, prawda? Chodzi mi o Alice.

– Pożądanie – westchnąłem – ono jest w nas wpisane. Możemy jedynie wybrać, jak na nie zareagujemy.

Na moment przywołałem odosobnioną złożoność pożądania – metaliczną mięśistość języka drugiego człowieka, pradawny, bezkompromisowy zapach seksu – ale wkrótce rozpięzchnęło się to jak wspomnienie scenerii dawno minionych wakacji wśród wzgórz na wyspie Skye albo włoskich Dolomitów. „Maniak seksualny” – powiedział o mnie kiedyś w jednej ze swoich internetowych tyrad, teraz już się tak nie mówi. Czy tak zostanę zapamiętany? Dość zabawna postać, w młodości chaotycznie napędzana testosteronem i egoizmem, w otocze intelektualizmu lub co bardziej prawdopodobne, ekscentryczności.

– Gavinie, ucz się na moich błędach – powiedziałem. – Napięcie rozładowuje się, sprawiając, że twoje sekrety nie są dłużej sekretami.

– Chyba ją kochałem – wyznał. – Alice. Tak jakby. Mój nowy obiekt, Zoe, to prawdziwa dziewczyna. Ją też kocham. Może.

– Ja kocham Fliss. Bardziej niż samego siebie.

– Jezu, aż tyle! No to chyba kobiety robią z nas lepszych ludzi.

– Amen. Ale gorszych też. To cecha, którą dzielą z religią. Chciałbym na nowo odkryć moją wiarę. A póki co uznaję to za ludzki potencjał, siłę naszego gatunku.

– Wierzysz w to wszystko, Człowieku Lodu? W miłość i takie tam?

Cisza, podczas gdy ja, niezdolny do wysłownienia się i pozbawiony wyrazu, przypominałem sobie kierunek badań, którymi zajmowałem się niezobowiązująco dziesięciolecia temu, i rozkoszowałem się wspomnieniem tego, co definiowało nasze małżeństwo: jak odgania mnie od zlewu w kuchni do pralni, kliknięcia jej sekatora, uwieranie fartucha z napisem „najlepszy kucharz na świecie”, który kupiła mi na sześćdziesiąte urodziny, herbaciarnia w miasteczku, antykwariaty.

– Tak, wierzę. Bardzo wierzę. Miłość jest tym, co po tobie pozostaje. To właśnie Alice codziennie z siebie dawała, a teraz, kiedy już jej nie ma, to po sobie pozostawiła.

Stałem obok niego i oparłem ręce na jego ramionach – niedużych, ale zaskakująco muskularnych.

– Nie jestem gejem, Lodowy, tak dla twojej informacji.

Wróciłem na swoje miejsce.

– Dla twojej informacji: ja też nie – odparłem. – Problem ze staniem plecami do stada, młody człowieku, jest taki, że czasem potrzebujesz stada. Ochrony, kryjówki, osłony, towarzystwa, miłości... jesteśmy stadnymi zwierzętami.

Ja i ten chłopak nie różnimy się tak bardzo, Larry: nasz wewnętrzny przymus, by nas usłyszano, oddawanie się rejestrowaniu naszych historii, chwytności dziedzictwa naszego życia, on w tęczy kolorów na swoich ramionach, ja w tej książce, tak jak nasi praprzodkowie na ścianach jaskini Lascaux.

– Naprawdę uważasz, że możemy się zmienić? – zapytał.

– Tak, tak uważam. Na tym właśnie polega człowieczeństwo: że mamy tę możliwość. Każdego dnia wybieramy, kim chcemy być. Jakie włożymy ubrania, co powiemy, co zjemy, jak się zachowamy, jakie rysunki umieścimy

sobie na rękach. Przez tę miriadę drobnych decyzji w sposób narastający stajemy się tym, kim jesteśmy.

– Muszę ci się do czegoś przyznać. Ten dziadek Devereux nigdy nie powiedział, że przeleciałeś matkę Alice na rok przed jej narodzinami. To była tylko moja inwencja.

Tak ciężko jest nie nienawidzić, Larry, ale próbuję. Poprawiłem się nieco na krześle ze zwyczajową sztywnością, ale nietypowym ukłuciem bólu, na które się skrzywiłem.

– Jak to jest mieć raka, Człowieku Lodu? Mój dziadek twierdził, że to jakby coś zjadało cię od środka.

Ja tego tak nie odczuwałem, Larry. To nie medyczne zabiegi albo stopniowy rozpad twoich fizycznych możliwości, to płynne przerażenie na myśl o tym, że mogę nie istnieć, podczas gdy to wszystko będzie nadal trwać. My akademicy wydajemy miliardy funtów i inwestujemy ogromne pokłady intelektualnej energii w pogoń za najbardziej niejasnymi celami, kiedy ledwie ślizgamy się po powierzchni zagadnienia, jak nas samych utrzymać przy życiu.

– Zanim odejdę, zobaczę, jak triumfuje sprawiedliwość. Dla Alice.

– Mam nadzieję, że jej matka nie przeczytała tej książki, którą zostawiłem jej na progu – powiedział. – To o ludziach hodowanych po to, żeby ich potem użyć jako źródeł części zapasowych. Klonach-dawcach organów. Te wywody o życiu do ponad setki i umieraniu młodo, brednie o kresie życia to byłaby dla niej za ponura lektura. Choć ostatecznie to tylko opowieść. No wiesz, jest zmyślona.

Nerwowo podrapał się po ramionach, po barwach wojennych upstrzonych wysypką. Miałem zamiar powiedzieć: „Nie powinieneś ich mieć, jesteś jeszcze dzieckiem”, ale spytałem:

– Czy tatuowanie boli?

– Trochę. Ale warto.

Tak, dajcie nam jeszcze kilka tysięcy lat, Larry, a złożymy w całość tę gigantyczną układankę. My naukowcy. My antropolodzy. Moje plemię.

– Z tatuażami chodzi o to – powiedział – że z tobą zostają, naznaczają cię.

– Tak jak życie, synu. Tak jak życie.

*

Fragment listu profesora Jeremy'ego Cooke'a 6 listopada 2012

– Byłaś tam, prawda? – powtórzyłem. – Byłaś w Southampton?

Zmagala się z konsekwencjami swojej wypowiedzi, męczyła, chwytala nieistniejącej brzytwy. Alkohol zdecydowanie zaczął zbierać żniwo, jej twarz była czerwona, włosy w nieładzie. Wino okrutnie drogie, ale warte każdego pensa.

Podsunałem do niej krzesło, żebyśmy byli bliżej.

– Byłaś tam, Megan, prawda? Przyznaj się.

Była wściekła i przerażona – połączenie, którego nie widywałem często. Właściwie tylko raz: Liz. Wymamrotała pół zdania.

– Jeszcze raz – zażądałem. – Głośniej. – Larry, mój głos był uniesiony. Jak na impotentą przepełniała mnie dzikość. Może byłem nawet na skraju fizycznej agresji. – Jeszcze raz – powiedziałem. – Jeśli będzie trzeba, zostaniemy tu całą noc.

Wykrzywiła twarz – kalkulacje, wyliczenia, sformułowania – ale Gagnard-Delagrang, wyjątkowe białe wino, eleganckie, ożywcze i pełne powabu, wykonało swoje zadanie, wpływając na mechanizm jej umysłu.

– Będzie lepiej, jeśli sama powiesz. Tutaj. Teraz. Mnie. Możesz mi wierzyć.

– Pojechałam tam tylko dlatego, że była taka pijana.

– Czyli jednak tam byłaś.

Jej wzrok powędrował na sufit i chaotycznie podążył śladem biegnących w narożnikach listew.

– Tak, ale nie z nią, nie blisko niej.

– Dlaczego?

– Samobójstwo – powiedziała.

– Nie.

– Tak.

– Nie.

– Tak. – Jej uwaga przeniosła się teraz z krzykliwego wiktoriańskiego plafonu w rózę na plamę pleśni, która ostatnio urosła od wielkości piłki tenisowej do rozmiarów talerza obiadowego. – Mówiłam już o tym wcześniej. Ilu jeszcze dowodów potrzebujesz?

– Jeszcze trochę. Chciałbym jeszcze trochę.

– Jest ich mnóstwo.

– Nie ma żadnych.

Czknęła i zaczęła wiercić się na krześle. Nalałem jej to, co pozostało w butelce. Nie była pierwszą dziewczyną, która znajdowała się w tym gabinecie w takim stanie. Była Alice i inne. Tak, inne.

– Robimy postępy, Meg. – Wziąłem do ręki mój nożyk do listów, staromodne, smukłe ostrze ze stali nierdzewnej. Trzymając go w prawej dłoni, zacząłem uderzać nim o wnętrze lewej. – To nie było samobójstwo, prawda?

– Przestań temu zaprzeczać. Są dowody.

- Nie ma ich ani skrawka.
- SMS! – krzyknęła. – To dowód.

Nasze spojrzenia spotkały się i przeszedł mnie dreszcz.

- Jaki SMS, Megan?

Zawahała się, ale po chwili zaczęła brnąć dalej w kłamstwo.

- Samobójczy.

- SMS samobójczy?

– Cytat z Plath, który wysłała Liz na moment przed śmiercią. Nie ma już chyba bardziej rozstrzygającego dowodu!

Powrócił do mnie sekret Liz: „Dokopali się do wszystkiego, ale nie do tego”.

- Skąd się o nim dowiedziałaś?

- Przeczytałam.

- Niemożliwe.

- Możliwe, tak napisali w gazecie.

- Której gazecie?

– Jakiejś gazecie. Nie muszę tego znosić – powiedziała, próbując dźwignąć się z krzesła.

Położyłem jej dłoń na ramieniu, docisnąłem.

– Z pewnością możesz mnie oświecić co do tego, która to była gazeta, bo na pewno ja tego nigdzie nie widziałem, a mogę zapewnić, że historia Alice to jedyny temat, w którym jestem absolutnym ekspertem.

- Oczywiście, że jesteś, ty dziwaku.

– Zgadza się. Mam segregatory pełne wycinków. Możemy je przejrzeć, jeśli chcesz. No, chodź, zrobimy to razem.

– Właściwie to, profesorze Kleptomanie, to było w internecie. Właśnie, to było na jakiejś stronie.

– Przysuń się bliżej, a pokażę ci każdy artykuł o Alice, jaki kiedykolwiek napisano, mam je wszystkie zaznaczone, ty tylko wskażesz palcem.

– Nie mam fotograficznej pamięci. Pamiętam jedynie, że to było w sieci: wiadomość o tym, że śmierć jest piękna i o leżeniu w miękkiej brązowej ziemi.

– Jak na kogoś, kto twierdzi, że ma niedoskonałą pamięć, wydajesz się wyjątkowo dobrze zaznajomiona z tym cytatem.

– Sama się dziwię – powiedziała.

– Już czas, Megan. Koniec kłamstw.

Wykonała rozchwiany, zygzakowaty ruch ręką.

– Nie zawsze porusza się po linii prostej – powiedziała i straciła wątek.

„Nikommu o tym nie wspomniałam, nawet Davidowi” – brzmiały słowa Liz.

– To się zakończy dzisiaj.

– Poślizgnęła się.

– Widziałaś, jak to się stało?

– Tak. Nie.

– Czyli?

– Ten jaz jest taki wysoki.

– Czemu mówisz o jазie, Megan?

– Stałam bardzo daleko.

– Ale widziałaś, jak wpada do wody.

– Skoczyła.

– Skąd ta pewność, skoro stałaś daleko?

Skryła twarz w dłoniach. Modliłem się, żeby nie zaczęła bełkotać ani nie zemdląca.

– Próbowałam ją uratować.

– Ach tak, teraz próbowałaś ją uratować?

– Mam na myśli ostatnie dwadzieścia pięć lat. Całe moje życie próbowałam uchronić ją przed nią samą. Była jak wypadek, który tylko czeka, żeby się wydarzyć.

Patrzyłem na pleśń na suficie. Nie było sensu się tym zajmować, to będzie zadanie dla następnego rezydenta tego gabinetu.

– Tylko trzy osoby, poza policją, wiedzą o tej wiadomości: Liz, ja i jej nadawca.

– Próbowałam odciągnąć ją od krawędzi, ale miała już w sobie to szaleństwo. Odziedziczyła je po matce, nie mogła się powstrzymać.

Chciała wstać, ale zmusiłem ją, aby usiadła. Jej wzrok momentalnie powędrował na drzwi. Zamknięte.

– Uciekła ode mnie. Poślizgnęła się.

– Ale powiedziałaś przecież, że skoczyła.

– Nie możesz po prostu zostawić mnie w spokoju? Proszę. Nie mam na to siły.

– Jaki to był dźwięk, Megan? Kiedy wpadła do wody?

– Dlaczego mi to robisz?

– Bo nikt nie wie, że tu jesteśmy. Bo mogę. Jak brzmiał plusk wywołany upadkiem Alice?

– Próbowałam ją uratować, kiedy wpadła do wody, wyła o pomoc, w życiu tak bardzo się nie starałam...

Larry, Megan tryskała energią, kiedy podano do wiadomości, że Luke został aresztowany. Aż za bardzo. A potem, kiedy go wypuszczono, potrzebowała nowego punktu zaczepienia, nowego celu. Z chłodnym wyrachowaniem przesunęła palec wskazujący z jednego podejrzanego na drugiego: na mnie.

– Nie była w stanie wołać o pomoc, bo usta miała pełne wody. Nie była w stanie zaczerpnąć powietrza, aby krzyknąć – odparłem.

– Przestań.

– Próbowала ją odkrztusić, ale woda zalałaby jej wtedy żołądek.

– Nie.

– Walczyła, szamotała się, machała rękami, płakała, potem przewróciła się na plecy i zaczęła hiperwentylować.

– Nie zniosę tego – powiedziała. – Nienawidzę cię. Nienawidzę jej.

– Wstrzymała oddech, ale nie można tego robić w nieskończoność. Mamy odruch oddechowy, bo musimy się pozbyć z organizmu dwutlenku węgla. Mniej więcej po minucie zaczęła iść na dno jak bryłka ołowiu.

Przypomniałem sobie, że kiedy Megan zaczęły się kurczyć opcje, nazwała mnie kłamcą, zbrojencem, potworem. Wiedziała, że deptę jej po piętach. Jej wypowiedziana mimochodem kwestia o tworzeniu Alice na nowo, a przy okazji nas samych, była doskonałą wskazówką.

– Dlaczego mielibyśmy chcieć to robić? – zapytałem wtedy, a jej ręka wspięła się po moim kolanie. Oczywiście, Larry, wkraczamy tu na teren sporny: teren zapamiętanych zdarzeń, interpretacji i opisów (od dawna niezmiennym źródłem zdumienia dla mnie i mojej żony jest to, że mamy tak rozbieżne poglądy na to, jak właściwie wygląda kolor różowy). Ale w przypadku zachowania Megan, nawet jeśli do zdarzenia, o którym mowa, doszło kilka tygodni temu, nie mam żadnych wątpliwości. Jej ręka lekko zadrżała i przesunęła się odrobinę wyżej.

– Co byś powiedział na to – zapytała – żebyśmy my też mieli wspólny sekret? Chciałbyś tego, prawda? Oni by nie zrozumieli, ale ty tak. To może być nasz sekret, jeden z naszych sekretów.

– Wynoś się z mojego domu – zażądałem.

Następnie – co według mnie było bardzo cwany posunięciem –

umieściła na blogu mnóstwo postów, pełnych przeróżnych nieprawdziwych oskarżeń.

– Mózg Alice nie miał już tlenu – powiedziałem teraz. Ja, władca marionetek. Poganiałem biczem jej żal, wstyd i wściekłość w stronę jakiegoś nieuchronnego punktu kulminacyjnego. – Umierał z głodu.

– Nie – jęknęła.

Już prawie, pomyślałem, zadając kolejne ciosy, naciskając, czując, jak zastrzyki energii szarpią moim wątłym ciałem, męskim, pierwotnym, nieśmiertelnym, chcąc pochwycić świetlistą przenikliwość, jak Nawahowie po zażyciu peyotlu albo Guahibo po *ayahuasca*.

– Pewnie rzucały nią konwulsje, w ustach zebrała się piana.

Długi, upiorny krzyk. Ja to zrobiłem, Larry, doprowadziłem Megan Parker do płaczu i podsyciałem go, cwałując po przełom, moje własne krystaliczne odkrycie: prawdę. Prawdę dla mnie i dla Alice.

– Było już bardzo ciemno. Alice zatonąłaby w mroku.

Megan zasłoniła uszy rękami, uderzała stopami w podłogę.

– Co daje ci prawo, żeby tak mnie torturować?

– To, że stoję u progu śmierci. Dotykam śmiertelności! Ale głównie wiedza.

Przepraszam, Larry, że wcześniej nie podzieliłem się z Tobą swoją teorią, ale wychylenie się za winkiel zawsze może się okazać niebezpiecznym posunięciem.

– To byłaś ty, prawda? Ty ją zabiłaś?

Zamrugła powiekami i zakwiliła jak pisklę, więc podszedłem do niej, pogładziłem ją po włosach. Podniosła na mnie wzrok, swoje sarnie, nawiedzone oczy, a z jej ust popłynęły słowa:

– Ona zabiła moje dziecko.

*

Zapiski Luke'a Addisona sporządzone na jego laptopie 30 czerwca 2013

Natknąłem się na twojego maila trzy tygodnie po twojej śmierci. Pole tematu: MY. To było prawie półtora roku temu, ale nadal zgrzyta. Al, nie zasłużyłaś na to, aby skończyć w folderze ze spamem, to najgorsze z wszystkich możliwych miejsc. Twoja wiadomość znalazła się tam ze względu na załącznik: zeskanowaną pocztówkę ze zdjęciem dwóch lemingów na krawędzi klifu, z których jeden mówi: „Skacz pierwszy”, a drugi: „Nie, ty skacz pierwszy”. Pod spodem dopisałaś: „Czasami w życiu trzeba podjąć ryzyko”.

Kiedy to zobaczyłem, poczułem się, jakbym dostał obuchem w głowę. Czyli to miałaś na myśli nad rzeką, kiedy powiedziałaś coś o lemingach – mail, który wysłałaś mi dzień przed śmiercią i w którym wyjaśniałaś, że chcesz ze mną być, ale potrzebujesz więcej czasu. Mail, na którego nigdy nie otrzymałaś odpowiedzi. Nic dziwnego, że się wściekłaś, kiedy się pojawiłem.

Na początku z nikim nie podzieliłem się twoją wiadomością, ponieważ pomyślałem, że tylko umocni ona głupie plotki o samobójstwie, które weszły w obieg. Ale bezmózgie cymbały, które to sugerowały, nie były z nami w Margate, prawda? Nie było ich, kiedy planowaliśmy wynająć razem mieszkanie, nie słyszały, jak mówisz, że to bardzo dorosłe i straszne, ale czasem w życiu trzeba podjąć ryzyko. Jak większość ich informacji, wszystkie pochodziły z drugiej ręki. A potem w sprawie swojego projektu skontaktował się ze mną Cooke. Powiedział, że zrozumie, jeśli nie będę chciał ujawnić naszej korespondencji – albo że mógłbym to zrobić

nieoficjalnie, a on skorzystałby z tego tylko dla tła – ale myślę, że pomysł tej książki przypadłby ci do gustu. Do tego samego wniosku doszedłem w kwestii zapisków, które sporządzałem na swoim laptopie tuż po tym, jak cię straciliśmy. Instynktownie czułem, że powinienem je usunąć – z niektórymi tak właśnie zrobiłem – ale potrzebujemy przejrzystości. „Niedobrze jest wszystko w sobie dusić”, mówiłaś często, dokuczając mi, więc oto lekcja, której rzeczywiście się od ciebie nauczyłem.

– Proszę – powiedziałem, podając mu pendrive’a. – Proszę to wziąć. Co Pan z tym zrobi, to już pana sprawa. To bełkot.

Byliśmy częścią naszych wzajemnych historii. Bycie twoim chłopakiem, Alice, było przywilejem, zaszczytem. Słyszę, jak każesz mi się nie mazgać, ale to ważne, żebym oficjalnie to powiedział. Bo jeśli zdarzy się – w co wątpię – że ktoś tę książkę naprawdę przeczyta (bo to żaden Dan Brown), to chciałbym, żeby właśnie tak mnie postrzegał – jako twojego chłopaka. Nie mieści mi się w głowie, dlaczego taka wspaniała kobieta jak ty umawiała się z takim gościem jak ja, ale będąc szczerzy, okazuję szacunek osobie, którą byłaś (przy twojej elokwentnej gadce w stylu Radio 4 użyłabyś pewnie słowa „trybut”!). Podejrzewam, że spodobałby ci się pomysł, że będziemy razem w książce. „Historie potrzebują równowagi – mawiałaś. – Potrzebują kontekstu. Trzeba udzielić głosu wszystkim stronom”.

Chyba wszyscy na różne sposoby poradziliśmy sobie – nadal sobie radzimy – z tym, co się stało, i rozumiem, dlaczego niektórzy ludzie zachowują milczenie. I tak źle, i tak niedobrze, ale w moim przypadku otworzenie się okazało się słuszne. Musiałem to z siebie wyrzucić. Może jestem głupi, ale ufam Cooke’owi.

– Nie wyrabiaj sobie o mnie jeszcze ostatecznego zdania – powiedział. – Może spojrzysz na mnie mniej łaskawie, kiedy książka się ukaże.

Wygląda na to, że dręczy go parę duchów, których musi się pozbyć, ale

to, co zrobił, wydaje się wyrazem ogromnego szacunku, niemal uwielbienia. Tyle pasji włożył w badanie ciebie i szukanie odpowiedzi.

– W mojej książce znajdują się pewne fragmenty, które będą dla ciebie ciężkie – ostrzegł mnie.

– Czyli słyszał pan o moich problemach z czytaniem! – zażartowałem.

Mam nadzieję, że nie będziesz mieć mi tego za złe, Al, ale czasami się śmieję. Nie chciałabyś pewnie, żebym już nigdy się nie śmiał, prawda? Czy to źle? Ostatnio potrafię przeżyć niemal całe dni, nie myśląc o tobie, a potem nagle do mnie wracasz. Tego popołudnia siedziałem na męczącym zebraniu w pracy – nadal w niej jestem, ale skorzystam z twojej rady i przekwalifikuję się na architekta – i potajemnie włączyłem sobie twojego maila. Czulaś, że żyłaś, kiedy byłaś ze mną. Kochałaś mnie.

Cooke ma rację, zapominać to zbrodnia, a to się właśnie dzieje. Nie pośród tych, którzy byli ci bliscy, troszczyli się o ciebie i kochali cię (choć z oczywistych powodów musieliśmy na nowo ustalić, kto pasuje do tej kategorii), ale w szerszych kręgach. „Alice Salmon – będą mówić ludzie. – Ta, która została porwana? Nie, to była ta z Bożego Narodzenia. Nie, to ta, co się utopiła, kiedy napadł na nią jej chłopak. Nie, wypuścili go, on był w porządku. Czy ona nie miała jakiegoś skomplikowanego życia uczuciowego? Czy ten profesor w końcu doszedł do prawdy...?”

Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, Al, ale zacząłem się spotykać z innymi dziewczynami. Nic poważnego i nic też z tego nie wyszło, więc robię sobie przerwę od randek. To nie jest w porządku wobec żadnej ze stron. Może przyjdzie taki moment, kiedy będę gotowy. Czy to okej? Kimkolwiek ona będzie, czeka ją trudne zadanie.

Po twojej śmierci chyba odrobinę mi odbiło, bo zacząłem odpowiadać na twój mail z lemingami (tego zdecydowanie nie pokazałem Cooke'owi), ale teraz chciałbym się trochę więcej pośmiać. Twoja mama mówi – spotkaliśmy

się w Starbucksie, twój ojciec nie chce mnie widzieć w swoim domu – że nie mogę się do końca życia torturować. „Żyj – mówi. – Musisz żyć”.

– Ale jak? – pytałem ją często.

– Dzień po dniu – brzmiała jej odpowiedź. – Dzień po dniu.

Wiesz, jak ludzie rysują czasem w powietrzu znak cudzysłowu, kiedy używają słowa „związek”? Kiedy myślę o naszym związku, Al, to nie jest on w cudzysłowie. Jest w milionie maleńkich przypomnień. Ludzie siedzący ze skrzyżowanymi nogami, wielkie okulary, rozkloszowane minispódniczki, Margate w telewizji, Praga, kiedy ktoś się uśmiecha, czytając SMS-y w metrze, puchate nauszники, maleńki tatuaż. Dla kogoś, kto cię nie znał, to głupie drobiazgi, ale dla mnie to były rzeczy, które czynią cię tobą.

Szczególnie muzyka. Kiedyś nie mogłem znieść, gdy słyszałem piosenkę, którą uwielbiałaś, ale teraz już mi przeszło, więc zrobiłem ci playlistę utworów, których słuchałabyś tego lata. Nie wybrałem żadnego płaczliwego, sentymentalnego chłamu – umieściłem tu tylko numery, przy których chciałabyś zerwać się z kanapy i krzyknąć: „Kocham tę piosenkę!”, pogłośnić radio w samochodzie albo zerwać się jak strzała na parkiet w Clapham Grand, uśmiechnąć się do mnie, a potem tańczyć.

Włączę teraz mojego iPoda, Al, podkręcę głośność i będę szedł. Pójdę na nocny spacer, tak jak miałaś w zwyczaju, i będę słuchać twojego głosu...

Pompeii Bastille

Wake Me Up Avicii

Locked Out of Heaven Bruno Mars

Ho Hey The Lumineers

Wrecking Ball Miley Cyrus

Drinking from the Bottle Calvin Harris (z Tinie Tempah)

I Need Your Love Calvin Harris (z Ellie Goulding)

I Love It Icona Pop
Play Hard David Guetta
You and Me The Wannadies
Get Lucky Daft Punk
We Are Young Fun (z Janelle Monáe)

*

Fragment listu profesora Jeremy'ego Cooke'a 6 listopada 2012

– Ona zabiła moje dziecko – zaskrzeczała Megan.

Cofnąłem się, ale chwyciła mnie za nadgarstek.

– Dlatego pojechałam do Southampton. Musiała wiedzieć, co zrobiła. Pojechałam jej powiedzieć.

Wyzwoliłem się z jej uścisku, a Megan niezdarnie opuściła dłoń na swój brzuch i zaczęła płakać.

– Następnego wieczoru po tym, jak dowiedziała się, że Luke puścił ją kantem, zjawiała się u mnie i strasznie upiła. Nie chciała iść spać. Zaprowadziłam ją na górę, ale Alice się poślizgnęła.

Drzewo przed moim gabinetem zaszeleściło. Więcej łez. Wielkie przytykające przełknięcia śliny.

– Gdyby się mnie nie trzymała, nic by mi się nie stało, ale nagle znalazłyśmy się na dole schodów, Alice leżała na mnie i się śmiała, ona się, kurwa, śmiała!

Ogarnęła mnie fala współczucia, zmieszana z prędką, iskrzącą wściekłością. Okno, tafła szkła na czarnym tle.

– Po raz pierwszy ja miałam być w centrum zainteresowania, nie Alice, ale nawet na to nie mogła mi pozwolić, na dziecko. Spuszczone w kiblu, poronione, martwe, spuszczone w kiblu...

– Mój Boże – wydusiłem z siebie.

– W prasie piszą, że brak mi piątej klepki, ale to Alice była szurnięta. Kiedy miała trzynaście lat, podcinała sobie nadgarstki z taką łatwością, jakby otwierała puszkę z colą light, ale Alice, twoja kochana Alice, umiała sprawić, że nawet to wydało się racjonalne.

– Ona nie jest moja – powiedziałem. – Nie jest moja.

– Te groźby, które dostawała – wykrztusiła, podczas gdy z nosa zwisały jej smarki – te wpisy na Twitterze, listy, wszystkie wyszły spod mojej ręki. Ja jestem Wolnym Człowiekiem. Nawet zwiędłe kwiaty były ode mnie.

– Wepchnęłaś ją do wody, prawda?

– Poszłam tam pokazać jej, co zniszczyła, bo zniszczyła mnie!

– Przyznaj się, wepchnęłaś ją do wody.

– Nie rób mi krzywdy – jęknęła. – Proszę, nie rób mi krzywdy. – Po chwili dodała: – Nikt ci nie uwierzy.

– Popchnęłaś ją, a potem wysłałaś tę wiadomość, żeby wyglądało na to, że sama odebrała sobie życie.

– Nie ufają ci. Gdybyś był marką, byłbyś spalony.

– Ale ludzie nie są markami.

– Wszyscy jesteśmy markami.

Wiatr huczał w gałęziach wiązu, mojego wiązu.

– Kiedyś ją uwielbiałam, była moim wzorem. Udawałam nawet wobec obcych, że jestem jej siostrą bliźniaczką.

Wiele rzeczy jest mi zupełnie obcych, Larry, ale obsesja to terytorium, które znam bardzo dobrze. Jej szorstki dotyk, ostry kolec, piźmowy kwaśny

zapach. Granica pomiędzy miłością a nienawiścią jest cienka jak papier, a kiedy kogoś kochasz i to uczucie zamienia się w nienawiść, między dwiema osobami powstaje relacja odwrotna. Pytanie, które następnie jej zadałem, było okrucieństwem *in extremis*, ale musiałem zapytać.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Zbyt wcześnie – powiedziała. – Było za wcześnie, by stwierdzić. – Wstała i odeszła w róg pokoju, zanim padła na podłogę. – Próbowałam jej powiedzieć, że jestem w ciąży, kiedy do mnie przyszła, ale była na to głucha, zbyt pijana. Głucha, głucha, głucha. Z nikim nie przyjaźniłam się tak długo jak z nią.

Żadnych świadków, żadnych nagrań z monitoringu. Dwie dziewczyny i to albo tamto na cmentarzu w wiosce niedaleko Corby z inskrypcją słów Brontë na nagrobku: „Nie jestem ptakiem, żadna sieć mnie nie więzi”^[20].

– Niedługo umrę – powiedziałem. – Przynajmniej daj mi nagrodę pocieszenia w postaci rozwiązania.

– Co ja zrobiłam?

– Skłamałaś.

– Kiedy już przekroczy się jakąś granicę, to nie można zawrócić.

– Można. Zawsze można. – Przypomniałem sobie stare porzekadło mojej matki: „Kłamstwo może obieć pół świata, zanim prawda włoży buty”. – Mówienie prawdy nie jest trudne. To prawda jest trudna.

Larry, zastanawiałem się, czy siłą nie wsadzić jej do mojego samochodu, odeskortować do komisariatu policji i przymusić, aby powtórzyła swoje wyznanie.

– Nie wywiniesz się.

– Jestem dobra w strzeżeniu sekretów.

– Ja też. Ale z prawdą idzie mi lepiej.

– PR to wymysł – odparła.

Tak, wymysł. Postawiła kołnierz płaszcza albo owinęła twarz szalikiem – padał śnieg, nie zwróciliby to niczyjej uwagi – wróciła do samochodu, pojechała do Lake District, a następnego dnia zadzwoniła do Liz i Dave’a, odczekawszy do chwili, aż w wiadomościach pojawią się jakieś informacje. Świetnie wypełniła funkcję podpory rodziny, tak jak przez lata odgrywała najlepszą przyjaciółkę.

– Nic dziwnego, że tak nagle obróciłaś się przeciw mnie.

– Nie miałam wyboru. Oczyszczono Luke’a, teoria z samobójstwem została zepchnięta na boczny tor. W tej sytuacji byłeś najlepszym nowym podejrzanym.

A więc moja hipoteza była prawidłowa. Jak kameleon dostosowywała się do każdej wersji, a potem, kiedy uznała to za wygodne, ustawiła celownik na mnie.

Larry, bezstronny obserwator stwierdziłby tu, że ja sam mam w tym interes. Książka taka jak moja – ostatecznie zdecydowałem się na tytuł *Prawda o dziewczynie* – zyskałaby na takim odkryciu. Na zwrocie akcji. Ale taka jest prawda, a nie można być jej jedynie częściowo wiernym, tak jak nie można być częściowo ślepym, martwym albo częściowo w ciąży.

Spoglądałem w noc. Niedługo się pożegnam. Ten fakt był jak cios: umieram.

– Nie zasługujesz na to, żeby być matką. Gdybyś miała dziecko, zniszczyłabyś je.

– Popchnęłam ją, usłyszałam jej krzyk i odeszłam, i cieszę się, że tak zrobiłam. – Jej głowa przechyliła się na bok. – Niedobrze mi – wykrztusiła. – Nawet nie chciałam dziecka, jestem za młoda, żeby być matką. Takie mam szczęście, przygoda na jedną noc z jakimś kretyńcem z pracy i już jestem w ciąży! Ale kiedy się dowiedziałam, poczułam, że właśnie tak powinno

być. – Przyciągnęła do siebie kolana i schowała twarz w dłoniach. – Powinnam rozmawiać z księdzem, a nie byłym wykładowcą. Jak można tęsknić za czymś, czego nigdy się nie miało?

– Z łatwością. To się nazywa wyobraźnia. Sprawiałaś, że się zagalopowaliśmy. – Siedzieliśmy w niepokojącej ciszy i pomyślałem, że po dzisiejszym wieczorze już nigdy nie doprowadzę nikogo do płaczu. – Ten cytat w SMS-ie pochodzi od Wilde’a. Plath go sobie przywłaszczyła.

– Ja też. – Po chwili dodała: – Jej telefon leżał na ziemi. Kiedy znalazła się w wodzie... skoczyła, poślizgnęła się, sam sobie wybierz, kiedy umilkła, wzięłam go i, bingo, poleciał SMS do mamusi. Dla Liz byłam Alice. Byłam Alice, która mówi jej „do widzenia”.

To nie wymagało żadnego wysiłku, Larry – przyciśnięcie kilku klawiszy, kilka wykrzykników, jeden czy dwa emotikony. Tylko tyle trzeba, żeby się pożegnać. Tylko tyle, żeby umrzeć.

– Krokodyle łyż – powiedziałem. – To krokodyle łyż.

– Oko za oko, Indiana. Ząb za ząb. Była morderczynią.

Ta mała lisica może i jest pewna, że się jej udało, ale doprowadzę ją przed oblicze sądu. Wystawię głowę za winkiel, stanę na szafku i krzyknę, a ona nie ucieknie długiemu ramieniu sprawiedliwości. Ja też „opublikuję i niech mnie szlag”, i ta niesprawiedliwość nie wygra, Larry. Sam uroniłem kilka łez. Czułem przyjemne oczyszczenie. Mogłem płakać, potrafiłem.

– Nie możesz mnie tknąć – powiedziała.

– Mogę – powiedziałem, powoli idąc w jej stronę z uniesioną dłonią. – I zrobię to.

Podniosła wzrok i w jej oczach było coś więcej niż strach.

*

E-mail od profesora Jeremy'ego Cooke'a
25 sierpnia 2013

OD: jfhcooke@gmail.com

DO: marlenegutenberg@gmail.com

TEMAT: Wyjazd

Droga Marlene,

zostało już niewiele czasu do mojego jutrzejszego odlotu, więc wykorzystam tę szansę, by dodać nieco więcej niż we wczorajszej, napisanej naprędce i flegmatycznej wiadomości.

Moje ostatnie spotkanie z lekarzem nie poszło najlepiej. Trzy lata to obecnie jego najpewniejsza prognoza, maksymalnie pięć. Myślałem, że książki dają ludziom nieśmiertelność.

Jestem stosunkowo pogodzony z losem. O ironio. Ta wiadomość jest często większą udręką dla tych, którym ją przekazuję. Nie opanowałem jeszcze płynnie języka takich rozmów. Twórca krzyżówek do „Guardiana”, którego lubię, ostatnimi czasy oznajmił własną śmiertelną chorobę przez swoje wskazówki: nowy guz (osiem liter) i przekaźnik pożywienia, który stopniowo ogranicza niekończące się lamentsy (pięć liter). „Nowotwór krtani”, uświadomiłem sobie, kiedy wypełniałem kratki, siedząc w pokoju wykładowców.

Nie będę już przeczekiwał jak ślimak w muszli, aż zostanę odprawiony. Przechodzę na emeryturę. Wolałbym zniknąć po cichu, ale planowana jest impreza. Kieliszek ciepłego, przeciętnego wina, jakieś tartinki i kilka słów od mojego szefa (wystarczyłoby ściągnąć mu krawat, a uszedłby za studenta), które niechybnie odnosić się będą do mojego „wkładu” i „niepowtarzalnej” metodologii, a potem, po tej krótkiej rundzie życzliwości, spakuję swoje

rzeczy z gabinetu, wytrę biurko do czysta, zatrzasnę za sobą drzwi i pojedę do domu do Fliss i psa.

Moja żona znosi cały ten cyrk, który narasta w związku ze zbliżającą się datą wydania książki, z właściwym jej hartem ducha i gracją.

W jeden wieczór posłusznie przebrnęła przez wersję recenzenką, po czym popatrzyła na moją pełną obaw twarz i oświadczyła:

– No, no. – Mam w nosie zdanie krytyków, ale jeśli chodzi o opinię mojej żony, to wręcz odwrotnie. – Nie jestem dumna z tego, co zrobiłeś, ale jestem dumna z tego, że dotarłeś do prawdy. – Tak brzmiał jej oficjalny werdykt. Za kulisami, poza kadrem, były łzy i tłuczenie zastawy: uderzenie pioruna, jakim było odkrycie, że panieńskie nazwisko Liz brzmi Mullens, okazało się bardzo bolesne.

Fliss żartuje, że stanę się ekspertem od wszystkiego ze względu na moje wystąpienia w telewizji i radiu. Intrygująco szczerzy (nie jestem chyba upoważniony samego siebie cenzurować, prawda?), nieonieśmielony kontrowersjami, przygotowany, by przeskoczyć z dyskusji o współczesnym zażywaniu kokainy do etnografii, staję do rozmowy z życzliwymi prezenterami, którzy zmagają się z tym, jak mnie przedstawić: „niezmordowany poszukiwacz sprawiedliwości” czy „stary zbok”.

Jak do tej pory zajadle opierałem się wyjawieniu mojego końcowego odkrycia, zbywając wszelkie naciski ripostą, że moim głównym celem jest postawić winnych przed sądem, a to wymaga opowiedzenia historii w wersji nieskróconej. A poza tym spoilery odbijają się na sprzedaży.

Może powinienem był upublicznić moją teorię, kiedy tylko do niej doszedłem, nauczyłem się jednak, jakie zagrożenia niesie takie pochopne działanie. Zamiast tego podwoiłem moje wysiłki, zachęcając Megan, by zrobiła to samo. Surrealne, z perspektywy czasu, były te nasze wspólne sesje badawcze: złożona gra w szachy, przeszłość Alice jako pionki, ruchy

i kontry, moje pączkujące podejrzenia, jej próby wpłynięcia na moje wnioski, coraz bardziej desperackie zagrywki, by utrzymać wersję zdarzeń, którą sama stworzyła, przeszłość, której sobie życzyła, przyszłość, której pragnęła. Podejrzewałem ją na długo przed nieroztropnym odniesieniem do SMS-a, którego wysłała z telefonu Alice, ale to było ostatecznym potwierdzeniem. Miłośnicy fikcji określają coś takiego jako „kłamstwo, które wyjawia prawdę”. Cóż, tak przynajmniej było w moim przypadku. Kłamstwo, które ujawniło prawdę, było tu wiadomością elektroniczną o leżeniu w trawie i nieposiadaniu wczoraj ani jutra, i spoczywaniu w pokoju.

Nie jestem ślepy wobec faktu, że publiczne oświadczenie, iż ktoś zamordował swoją najlepszą przyjaciółkę, to potencjalne pomówienie. Nawet sugerowanie, że ktoś nie zrobił wszystkiego, co mógł w takiej sytuacji, może obrócić się przeciw mnie. Jednak prawda jest niezniszczalną bronią przeciw pomówieniom. Ponadto istnieje precedens. Uczni związani z dziedziną mediów powinni być zaznajomieni z pierwszą stroną „Daily Mail” z 1997 roku. Pod nagłówkiem „Mordercy” umieszczono zdjęcia pięciu mężczyzn. Redakcja była przekonana, że są oni odpowiedzialni za śmierć Stephen’a Lawrence’a. „Jeśli się mylimy, pozwijcie nas do sądu”, głosił podtytuł.

No, Megan, jeśli kłamię, pozwij mnie.

Jeśli zaś chodzi o samą Alice, nigdy nie powiem, by moja publikacja była encyklopedyczna. Wystarczy przypomnieć sobie relacje ze sprawy Joanny Yeates (Fliss zganiła mnie za moje „niezdrowe” zainteresowanie tym przypadkiem), by sobie to uświadomić. Jej strona w Wikipedii wymienia jej Alma Mater, wzrost, pub, w którym widziano ją po raz ostatni, informuje też o ostatnim nagraniu z monitoringu – jak kupuje pizzę – ale koniec końców to jedynie garstka szczegółów. Może podać współrzędne, gdzie znaleziono ciało, ale nie zna namiarów na jej serce.

Bez wątpienia czytelnicy zainteresowani walorami literackimi skarżą

mnie za to, że częściowo zdradzam zakończenie na samym początku (nasza bohaterka umiera w rozdziale pierwszym). Ale takie jest życie, już na samym początku jesteśmy poniekąd świadomi tego, jaki będzie finał.

Fliss droczy się ze mną, że przeznaczeniem tej książki jest znaleźć się w koszu wyprzedażowym, ale sukces to loteria. Zbiegi okoliczności, szczęście, przypuszczenia, nieporozumienia – to one kierują losem. Gdyby Liz nie uznała przez przypadek, że książkę znalezionej na jej progu zostawiła Megan, a nie Gavin, może nigdy by do niej nie poszła i w konsekwencji nie stanęłaby niczym przybłąda w moich drzwiach. *Nie opuszczaj mnie* było jedną z ulubionych książek Alice.

Nie mogę się doczekać ranka, wszystko zaplanowałem w najmniejszych szczegółach. Fliss zawsze marzyła o podróży do Kalifornii i jutro spełnię to jej marzenie. Tamte wakacje, kiedy włączyliśmy się po Dolinie Królów, Stadionie Panateńskim i Synagodze Ades, były absolutnie czarujące, ale to będą dwa tygodnie bezwstydnej zabawy. Nasycimy się słońcem, będziemy jeść dania powodujące zawał i jeździć za szybko naszym chevroletem z 1970 roku – oczywiście jest okrutnie niepraktyczny i żłopie ogromne ilości paliwa, ale na dwa tygodnie do diabła z rowerem. To jeden z punktów na mojej liście rzeczy do zrobienia przed śmiercią. Zastanawiam się, kiedy dokładnie ta świadomość dotrze do Fliss – kiedy jej oświadczę, że ominie kilka zajęć w szkole wieczorowej, kiedy powiem, że musimy zostawić Harley w hotelu dla zwierząt, kiedy zobaczy swój paszport? To jedna z rzeczy, na które najbardziej czekam: uśmiech rozkwitający na twarzy żony. Bo ma naprawdę piękny uśmiech.

Marlene, byłbym kłamcą, gdybym powiedział, że nie przeszło mi przez myśl, byśmy zaczęli korespondować. Nie będę już jednak więcej pisał. Z podobnych powodów wstrzymałem moje *tête-a-tête* z młodym Gavinem. Nie chcielibyśmy, aby którekolwiek z nas zaczęło sobie coś wyobrażać,

prawda? Co mogą o mnie mówić? „Dziwak z tego profesorka. Musisz na niego uważać”. Tu się zatrzymajmy, dobrze? Na serdecznych pozdrowieniach.

Pozwól mi za to marzyć o odwiedzeniu Twojego wspaniałego kraju. Jak pojawiam się w Waszych drzwiach bez zapowiedzi, jak Twój mąż zrywa się, by mnie przywitać. „A niech mnie dunder”, powiedziałałyby. Wypilibyśmy razem kieliszeczek, rozmawialibyśmy o tym, jak naprawić świat, wspominalibyśmy i wyjeżdżali na jednodniowe wycieczki – dwaj dobrzy kumple, dwa błyskotliwe umysły, dwaj starzy łajdacy, jadący razem po Route 1 czy Route 11, by odwiedzić Fredericton i Moncton, drobinki w obliczu gór. Wielki Larry Gutenberg i ja.

Teraz powrócę do pakowania. Najpierw jednak podejść do pokrytego parą okna i przeżywając małe *déjà vu*, narysuję serca, w które wpiszę inicjały moje i żony.

Tyle wystarczy. Przynajmniej na teraz to więcej, niż mi trzeba.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Jeremy Cooke

[19] Wiersz Henry’ego Scotta Hollanda *Death Is Nothing At All* w przekładzie tłumaczki powieści.

[20] Ch. Brontë, *Dziwne losy Jane Eyre*, tłum. T. Świdorska, Warszawa 1998, s. 271.

EPILOG

List Alice Salmon, 8 września 2011

Droga Ja,
pewnie się zastanawiasz, dlaczego do Ciebie piszę. Dwudziestopięcioletnia dziennikarka mieszkająca w południowym Londynie. Nie martw się, nie władowałaś się w żadne kłopoty. Nie mam też zamiaru zrobić jakiegoś straszego *exposé* na Twój temat. To nie w moim stylu.

To dlatego, że czytam fantastyczną książkę pod tytułem *Droga ja*, pełną listów ze słowami mądrości od autorów do szesnastoletnich wersji samych siebie. Chciałabym zainicjować ten pomysł w pracy i zacznę od swojego listu. Od listu do Ciebie.

Musisz być trochę bardziej jak wszyscy, młoda damo. Leżenie na łożku w środku nocy, cała w nerwach, niczego Ci nie da. Szef, którego jeszcze nie poznałaś, będzie często mówił, kiedy ktoś coś schrzani, że ostatecznie nikt nie umarł.

Nie ma nic złego w tym, że się boisz. To w porządku. Ważne jest, abyś nie dała swoim lękom się ograniczać. Czasem trzeba po prostu rzucić się na głęboką wodę.

Przestań się też zadrećczać tym, jak wyglądasz. Nie masz stóp jak nutria ani ramion kulturystki. Jesteś wyjątkowa. Może Ci zająć trochę czasu, zanim

się dowiesz, kim jesteś, ale warto czekać, bo jak mawia Twój tata – mój tata, nasz tata – jest tylko jedna taka jak Ty, Alice Salmon.

Mam nadzieję, że czytanie tego listu nie jest dla Ciebie żenujące. Jeśli to jakieś pocieszenie, „Gazeta Ogłoszeniowa” (to gazeta, w której będziesz pracować), ma nakład tylko osiemdziesięciu jeden egzemplarzy, więc to się na pewno nie roznieś (oczywiście przeredaguję tekst, zanim zobaczy go naczelny, stąd przekleństwa). To, albo publikuj i niech cię szlag. Opublikuję tekst i znajdzie się „gdzieś w sieci”, to część tego, kim jesteśmy: produktami pokolenia internetu.

Wątpię, żebyś mnie słuchała, bo dla Ciebie jestem skamieliną, staruszką, praktycznie nie żyję, i nie mogę Cię za to winić, bo ja sama nie zwracałabym pewnie uwagi na trzydziestokilkuletnią mnie, gdyby zaczęła głądzić o planie emerytalnym i dobrych szkołach w okolicy. Ale mogę przynajmniej zasugerować kilka rzeczy, których powinnaś się wystrzegać. Nie bierz narkotyków, nie pij tyle, nie zadłużaj się, nie marnuj tyle czasu w internecie, nie pozwól, by to, co o Tobie myślą ludzie, spędzało Ci sen z powiek (zaczynam brzmieć jak *The Sunscreen Song* z lat dziewięćdziesiątych). Nie przejmuj się mężczyznami, a w szczególności nie czuj do siebie nienawiści. Ale czasem sobie odpuść, ponieważ – jak pewien parszywy profesor poinformuje Cię pewnego dnia (mówię to z najbardziej wydumanym akcentem, na jaki mnie stać) – zwykle żałuje się rzeczy, których się nie zrobiło, a nie tych, które się zrobiło. Myli się. Czasem żałuje się też rzeczy, które się zrobiło. Ja o tym wiem i on też powinien. On najbardziej ze wszystkich.

Postaraj się też być miłsza dla swojej mamy. Nie miała łatwo i sama ma swoje sekrety, sekrety, których nie mogła Ci wyjawic, gdy miałaś szesnaście lat, i których nadal nie chce mi wyznać, kiedy mam dwadzieścia pięć. Kiedyś Ci o nich opowie, a ja będę gotowa ich wysłuchać. Prawda jest taka, że zanim

się pojawiłam, istniała inna „ona”, tak jak będzie istniała wersja mnie po niej. Pamiętasz, jak byłaś przekonana, że przeistoczenie się we własną matkę będzie czymś dużo gorszym niż śmierć? Cóż, dojdiesz do momentu, kiedy będziesz z niecierpliwością czekać na tę przemianę. Kiedy wyda Ci się to zaszczepem.

Bądź też miłsza dla Robstera. Może i przestałaś go podszczypywać w wieku szesnastu lat, ale nie było łatwo mieszkać z nastoletnią Tobą, a on zawsze Cię bronił: młodszej siostry, która wszystko obsesyjnie zapisywała, a potem tak rozpaczliwie pragnęła uciec od tego, co zobaczyła, że spaliła swoje pamiętniki w napadzie obrzydliwej wściekłości.

Gratuluje, nawiasem mówiąc, wygranej w konkursie pisarskim „Czymże jest imię?”. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek to zrobiłam. Jako energiczna dziennikarka (uważaj, Caitlin Moran) muszę napomknąć, że w Twoim tekście było zbyt wiele nawiasów i wykrzykników (jakby tu ich nie było!) i właściwie nie odpowiadał na pytanie (co się zmieniło?). Dodatkowo wykorzystyłaś tylko osiemset dziewięćdziesiąt siedem z dziewięćset słów. Ale prawda jest taka, że wygrałaś. Nadal uważam to za dziwne niemal dekadę później. Ty – ja, my – wygrałyśmy.

To, czego oczywiście nie wiedziałaś, pisząc te osiemset dziewięćdziesiąt siedem słów, to to, że za jakiś czas będziesz z rozrzewnieniem myśleć o mieście, z którego tak rozpaczliwie chciałaś uciec, że pójdziesz na uniwersytet w Southampton (tak na marginesie to było bardzo mądre, że odrzuciłaś Oksford) i że jakieś dwanaście sekund po wysłaniu tekstu minie Ci zauroczenie Leonardem DiCaprio. Nie wiedziałaś też, że utwór, który będzie lecieć z twojego iPod'a dziesięć lat później, *Iris Goo Goo Dolls*, stanie się Twoją ulubioną piosenką wszech czasów, że poznasz chłopaka imieniem Luke w barze w Covent Garden albo że tego samego dnia, kiedy ogłoszą Twoje zwycięstwo w konkursie, zawałą się Twin Towers, a świat spędzi

kolejną dekadę na poszukiwaniu mężczyzny, który był za to odpowiedzialny, by dorwać go dopiero kilka miesięcy temu w Pakistanie, o czym wieść rozejdzie się przez internet, a Twój sąsiad będzie pisał na Twitterze, że słyszy w powietrzu amerykańskie helikoptery.

Polubiłabyś Luke'a. Kiedy byłaś sama, w sekrecie wymawiałaś słowa „mój chłopak” na głos, prawda? Delektowałaś się soczystymi, okrągłymi kształtami, w jakie układały się Twoje usta, ich hipotetycznymi możliwościami. Dowiesz się, że to skomplikowane słowa, które mają wiele twarzy, interpretacji i stopni definitywności. Ale Luke to mój chłopak i to mi pasuje.

Kilka nowych Alice stało się sławnymi, odkąd wyliczyłaś je w swoim eseju, jak Alice Cullen, która zyskała popularność jako postać ze *Zmierzchu*, i Alice Munro, która właściwie zawsze była znana, ale odkryłaś ją dopiero niedawno. Nasze imię najwyraźniej sprzyja pisarkom. Pokochałam *Kolor purpury* Alice Walker, odkąd byłam Tobą, mimo że musiałam sprawdzić w słowniku słowo „epistolarny”. Kto wie, jeśli moje recenzje muzyczne nie wypalą, może nawet dołączyć do tej listy. Wyobraź sobie. Uwieczniona niczym romantyczna bohaterka. Ja. Ta Alice. Alice Salmon.

Na razie jednak będę tą lekko za wysoką dziewczyną, która wrosła w moje ciało, która nauczyła się z nim żyć, którą aż skręca z radości, kiedy jest ze swoimi przyjaciółmi, która nadal uwielbia płyty DVD z sezonami *Jeziora marzeń*, nawet jeśli od czasu do czasu, słuchając mądrych wynurzeń serialowych nastolatków, cicho mamrocze pod nosem: „Taa, jasne”. Bo życie to nie tylko imprezy na plaży i krajobrazy w barwach jesiennych liści. Jest skomplikowane i nie zawsze kończy się szczęśliwie. Nie każdego dnia wszyscy są po twojej stronie, nie wszyscy należą do „drużyny Alice”. To tak jak w *Gdzie jest Nemo?* (w cytowaniu z filmów jestem tak samo kiepska jak moja druga połówka, Luke), że kiedy życie cię zawodzi, musisz płynąć dalej.

I to właśnie zrobię: będę dalej płynąć.

Tak, głowa do góry, bo za dziesięć lat będziesz czuć, że jesteś tam, gdzie powinnaś. Nie będziesz już nawet tyle bujać w obłokach, a zawsze miałaś ku temu skłonności, prawda?

Koniec końców, możesz jedynie żyć dalej. Nikt nie zdoła pozostać bez skazy, ale to po bliznach widać, kim jesteśmy, gdzie byliśmy, jak walczyliśmy, jak wygraliśmy. Jeśli ześlizgniesz się po wężu, biegnij na drabinę. Pamiętaj, to jak gra w scrabble: wykorzystaj dobre litery, kiedy tylko je dostaniesz.

A jeśli chodzi o te brakujące trzy słowa: jakie by były, jakie są? To proste.

Jestem Alice Salmon.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję wszystkim w Janklow & Nesbit, zwłaszcza Kirsty Gordon, która kiedyś udzieliła mi rady, której nigdy nie zapomnę, oraz mojej wspaniałej agentce Hellie Ogden. Bez jej redaktorskiej błyskotliwości, rynkowej przenikliwości i niesłabnącego wsparcia ta książka po prostu nigdy by nie powstała.

Wielkim zaszczytem była możliwość współpracy z niezwykle utalentowanym Rowlandem White'em w Michael Joseph / Penguin. Entuzjazm i wizja Rowlanda od samego początku znaczyły dla mnie bardzo wiele – to niesamowite szczęście móc skorzystać z jego inspirującego wkładu redaktorskiego. Ogromne podziękowania składam Emadowi Akhtarowi (za jego wnikliwe rady) oraz zespołowi praw autorskich.

Na koniec kieruję podziękowania do Sarah Knight z Simon & Schuster, która była niewyczerpanym źródłem wspaniałych pomysłów, gdy ta książka nabierała kształtów.

Tytuł oryginału: *What She Left*

Original English language edition first published by
Penguin Books Ltd, London

Copyright © T.R. Richmond 2015. All rights reserved

Copyright © for the translation by Joanna Dziubińska

Opieka redakcyjna: Olga Orzeł-Wargskog

Adiustacja i korekta: Wydawnictwo Plus

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © cinocihancagli / Shutterstock.com

ISBN 978-83-751-5741-3



OTWARTE

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków, tel. [12](tel:12)

[427 12 00](tel:4271200)

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można
kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com